

**Victoria Holt**

# **Ruchome piaski**

*Shivering Sands*

**Przełożyła Ewa Gorzdek**

## *Rozdział 1*

Zastanawiam się, od czego zacząć tę opowieść. Czy od ślubu Napiera i Edith w małym kościółku w Lovat Mill? Czy może od momentu, gdy wyruszyłam w podróż pociągiem, by rozwiązać zagadkę zaginięcia mojej siostry Romy? Zanim jednak do tego doszło, zdarzyło się wiele równie ważnych rzeczy. Chociaż za drugą wersją przemawia to, że właśnie wtedy bezpowrotnie uwikłałam się w tę historię.

Moja siostra, osoba trzeźwo myśląca i odpowiedzialna, nagle zniknęła. Były różne podejrzenia i domysły, ale żadne nie odpowiadały jednoznacznie na pytanie, co się z nią stało. Wydawało mi się, że wyjaśnienia tajemnicy należy szukać tam, gdzie widziano Romę po raz ostatni, i postanowiłam sama się tym zająć.

Troska o los siostry pozwoliła mi zapomnieć o własnych problemach. Gdy rozpoczynałam ową podróż, byłam samotną, pogrążoną w smutku kobietą ze złamanym sercem. Tak mogłabym o sobie powiedzieć, gdybym była sentymentalna, ale życie z Piętrzem nauczyło mnie cynizmu. Jednak wtedy mojego męża już przy mnie nie było i czułam się jak kłoda wyrzucona przez fale na brzeg, zagubiona i pozbawiona celu. Byłam też bardzo biedna, moje dochody nie wystarczały na utrzymanie przyzwoitego poziomu życia i musiałam je za wszelką cenę powiększyć. Dlatego też, gdy pojawiła się propozycja wyjazdu, potraktowałam ją jako dar losu.

Gdy tylko zorientowałam się, że muszę zarabiać na swoje utrzymanie, postanowiłam dawać lekcje muzyki. Miałam jednak niewielu uczniów i moje zarobki nie wystarczały na pokrycie wydatków. Liczyłam na to, że po pewnym czasie będzie ich więcej. Marzyłam, że odkryję wśród nich jakiegoś młodego geniusza, dla kariery którego poświęcę własne życie. Czas jednak płynął, a ja przeżywałam katusze, wysłuchując kalekich interpretacji „The Blue Bells of Scotland”. Powoli traciłam nadzieję, że przy moim fortepianie zasiądzie kiedykolwiek przyszły Beethoven.

Byłam już kobietą, która poznała smak życia. Okazał się gorzki, a raczej słodko-gorzki, jednak słodycz szybko przeminęła, a gorycz pozostała. Przeżycia uczyniły mnie osobą doświadczoną, o czym dobitnie świadczyła gruba, złota obrączka na serdecznym palcu lewej ręki.

Czy byłam za młoda, by widzieć świat w tak czarnych barwach? Miałam dwadzieścia osiem lat i każdy się chyba zgodzi, że to za wcześnie, by być wdową.

Pociąg przejeżdżał przez prowincje hrabstwa Kent, tego ogrodu Anglii, który już wkrótce miał się pokryć różowymi i białymi kobiercami kwitnących wiśni, śliw i jabłoni. Mijaliśmy plantacje i suszarnie chmielu. Nagle wjechaliśmy do tunelu, z którego zaraz wynurzyliśmy się i pędziliśmy dalej przez oświetloną słabym, marcowym słońcem okolicę. Fragment wybrzeża między Folkestone a Dover wydawał się zaskakująco biały na tle szarozielonego morza. Porywisty wschodni wiatr pędził po niebie stado szarych chmur i burzył fale, które rozbijając się o nabrzeżne klify, strzelały w górę srebrzystymi fontannami.

Być może ja także, jak ten pociąg, wynurzałam się z czarnego tunelu wprost ku słonecznemu światłu.

Takie porównanie wywołałoby uśmiech na twarzy Pietra. Powiedziałaby zapewne, że pod moją fałszywą pozą światowej kobiety kryje się romantyczna dusza.

Marcowe słońce świeciło jeszcze nieśmiało, a w porywach wiatru było coś surowego. Wrażenie to potęgowała jeszcze bliskość nieprzewidywalnego żywiołu morza.

Ogarnął mnie głęboki smutek, wywołany poczuciem samotności. Nagle pojawiła się przede mną twarz Pietra, który zdawał się pytać: Nowe życie? Myślisz o życiu beze mnie? Masz nadzieję, że uda ci się ode mnie uciec?

Odpowiedź była tylko jedna. Nie. Nigdy. Zawsze będziesz przy mnie, Pietro. Nie uda mi się uciec... nawet do grobu.

Grobowca, poprawiłam się z pewną nonszalancją. To brzmiało znacznie lepiej, bardziej w stylu wielkiej opery. Tak właśnie powiedziałby Pietro, mój kochanek i rywal, człowiek czarujący i kojący duszę, ale jednocześnie potrafiąca boleśnie sztydzić, ktoś, kto mnie inspirował i niszczył zarazem. Nie byłam w stanie się od niego wyzwolić. Zawsze będzie się krył w cieniu obok mnie — mężczyzna, z którym i bez którego kobieta nie może być szczęśliwa.

Nie po to jednak wyruszyłam w tę podróż, by rozmyślać o Piotrze. Wręcz przeciwnie, pragnęłam o nim zapomnieć. Najważniejsza była Roma.

Najwyższy już czas, bym opowiedziała, jak doszło do tego, że Roma wyjechała do Lovat Mill, i o tym, jak spotkałam Pietra.

Roma była starsza ode mnie o dwa lata i nie miałyśmy innego rodzeństwa. Nasi rodzice byli archeologami entuzjastami, dla których odkrywanie relikwii starożytności było dużo ważniejsze niż wychowywanie dzieci. Ciągłe wyjeżdżali na wykopaliska, a nas traktowali jako nie komplikujące ich życia dobrodziejstwo, niekłopotliwe obciążenie, a więc możliwe do zaakceptowania.

Matka była osobą wyjątkową. W owych czasach nieczęsto się zdarzało, by kobieta brała udział w wyprawach archeologicznych. Dzięki tej właśnie pasji poznała naszego ojca. Wkrótce się pobrali, ale nie wyobrażali sobie życia bez wypraw badawczych i kolejnych odkryć. Cieszyli się nim beztrudnie, dopóki na świecie nie pojawiła się Roma, a potem ja. Z pewnością nie marzyli o dzieciach, lecz postanowili spełnić swój rodzicielski obowiązek.

Od najmłodszych lat wychowywałyśmy się w otoczeniu rysunków przedstawiających różnego rodzaju broń z epoki kamienia łupanego i brązu, odkrytą na terenie Anglii. Rodzice oczekiwali, że przedmioty te wzbudzą w nas zapał co najmniej taki, z jakim inne kilkuletnie dzieci bawią się układankami. Już wkrótce okazało się, że Roma istotnie podchodziła do tego entuzjastycznie. Ojciec uważał, że ja jestem jeszcze za młoda i z wiekiem również podzielę ich zainteresowania.

— Na nią też przyjdzie pora — mawiał. — Przecież Roma jest o dwa lata starsza. Spójrz, Caroline, to łaźnia rzymska. Świetnie zachowana. Jak ci się podoba?

Roma była ich oczkiem w głowie. Nie dlatego, że w jakikolwiek sposób się o to starała. Po prostu ta niezwykła pasja naprawdę się w niej zrodziła i niczego nie musiała udawać. To raczej ja, dość cynicznie jak na tak młody wiek starałam się skupić na sobie zainteresowanie rodziców. Czy takie, jakie budził w nich skompletowany naszyjnik z epoki brązu? Na pewno nie. Nie mogłam się też równać z rzymską mozaiką. Może zatem z kawałem krzemienia z epoki kamiennej? To już prędzej, bo było ich stosunkowo dużo.

— Chciałabym — często powtarzałam Romie — żebyśmy miały trochę bardziej normalnych rodziców. Chciałabym, żeby się czasami na nas pozłościli... może nawet, żeby którąś z nas uderzyli, oczywiście dla naszego dobra, jak się zwykle tłumaczy. To mogłoby być zabawne.

— Nie bądź głupia — odpowiadała na to Roma trzeźwym tonem. — Dostałabyś szau, gdyby któreś z nich cię uderzyło. Już widzę, jak byś kopała i wrzeszczała wniebogłose. Dobrze cię znam. Mówisz tak, bo nigdy tego nie zaznałaś. Jak trochę podrosnę, tata zabierze mnie na wykopaliska.

Oczy jej pałały. Widać było, że już się nie może doczekać tego dnia.

— Zawsze nam powtarzają, że musimy dorosnąć do wykonywania pożytecznej pracy.

— A zatem musimy poczekać.

— Ale oni rozumieją to po swojemu. Musimy jeszcze podrosnąć, żeby też zostać archeologami.

— Mamy szczęście — stwierdziła Roma.

Ona zawsze coś stwierdzała. Zawsze była przekonana, że to co mówi, jest absolutnie słuszne. I w gruncie rzeczy nigdy nie powiedziała niczego, czego nie byłaby absolutnie pewna. Taka była Roma.

Ja byłem zupełnie inna, lekkomyślna, wesoła, zdecydowanie bardziej lubiłam żonglować słowami niż zajmować się relikwiami przeszłości. Byłam figlarna i rozbawiona, podczas gdy od niej oczekiwano powagi. Tak naprawdę, nie pakowałam do swojej rodziny.

Często chodziliśmy z Romą do British Museum, z którym współpracował nasz ojciec. Spędzałyśmy tam dużo czasu i zawsze miałyśmy dziwne poczucie, że jesteśmy w jakimś świętym miejscu. Pamiętam, jak stąpałam po kamiennych posadzkach, przystawałam przy zamkniętych gablotach i przytykając nos do zimnego szkła, oglądałam starą broń, naczynia i biżuterię.

Roma była naprawdę zauroczona tym światem. Później zawsze nosiła dziwne naszyjniki, najczęściej z grubo ciosanych turkusów, nie oszlifowanych bursztynów lub krwawników. Zdobiące je ozdoby przypominały czasy prehistoryczne, jakby ktoś dawno temu znalazł je na archeologicznych wykopaliskach. Przypuszczam, że właśnie dlatego tak jej się podobały.

Po pewnym czasie ja także odkryłam w sobie pasję. Odkąd pamiętam, zawsze interesowały mnie dźwięki. Uwielbiałam plusk wody, zwłaszcza delikatny szmer fontanny, podobał mi się też stukot końskich kopyt na drodze i nawoływania ulicznych sprzedawców. Potrafiłam godzinami wsłuchiwać się w szum wiatru, igrającego w liściach gruszy rosnącej w naszym maleńkim, ogrodzonym murem ogródku niedaleko muzeum, cieszyły mnie okrzyki bawiących się w pobliżu dzieci, śpiew ptaków i szczekanie psa. Nawet kapiąca z kranu woda, irytująca innych, dla mnie była muzyką. Gdy miałam pięć lat, umiałam już wystukać na fortepianie prostą melodię. Spędzałam wiele czasu siedząc na taborecie i uderzając tłustymi paluszkami w klawisze. Cieszyłam się cudem tworzonych dźwięków.

— Jeśli dzięki temu jest spokojna... — przyzwalająco kiwały głowami piastunki.

Moi rodzice akceptowali to, chociaż nie byli w pełni usatysfakcjonowani. Oczywiście, to nie to samo, co archeologia, ale zawsze szlachetna pasja i godna namiastka ich zainteresowań. W świetle tego, co wydarzyło się później, muszę ze wstydem przyznać, że dołożyli wszelkich starań, abym mogła się w tym kierunku rozwijać.

Roma była ich wielką radością. Jeździła z rodzicami na wykopaliska nawet podczas szkolnych wakacji. Ja w tym czasie brałam lekcje muzyki, zostawiana pod opieką służby.

Robiłam duże postępy i chociaż nie byliśmy bardzo zamożni, zawsze miałam najlepszych nauczycieli. Ojciec dość dobrze zarabiał, ale dużo pochłaniały wydatki związane z ich podróżami i pracami w terenie. Gdy Roma zaczęła studiować archeologię, rodzice ciągle powtarzali, że kiedyś będzie lepsza od nich, ponieważ ma szansę połączyć wiedzę teoretyczną z praktyką.

Czasami, gdy we troje rozmawiali o sprawach zawodowych, brzmiało to dla mnie jak niezrozumiały żargon. Nie czułam się jednak na uboczu swojej rodziny. Wszyscy bowiem wróżyli mi wielką karierę pianistyczną. Lekcje, które brałam, sprawiały radość nie tylko mnie, ale także moim nauczycielom. Ilekroć słyszę wprawki na fortepianie, przypominają mi się tamte cudowne dni — pierwsze sukcesy, całkowite oddanie się czystej przyjemności grania. Stałam się bardziej tolerancyjna dla reszty rodziny. Zrozumiałam, co czują do swoich krzemieni i brzoźów. Życie miało także coś dla mnie. Podarowało mi Beethovena, Mozarta i Chopina.

Gdy skończyłam osiemnaście lat, wyjechałam na studia do Paryża. W czasie wakacji niemal nie widywałam się z Romą, która oczywiście spędzała lato na wykopaliskach. Zawsze byłyśmy serdecznymi, chociaż nie bliskimi, przyjaciółkami. Nasze zainteresowania za bardzo się rozmięły.

Właśnie w Paryżu poznałam Pietra, ognistego pół Francuza, pół Włocha. Nasz nauczyciel muzyki miał ogromny dom niedaleko Rue de Rivoli, gdzie my, studenci, mieszkaliśmy. Madame,

czyli jego żona, prowadziła pensję, co znaczyło mniej więcej tyle, że wszyscy byliśmy pod jednym dachem.

To były szczęśliwe i beztrudne dni. Włoczyliśmy się po Bois, siadając od czasu do czasu w kawiarnianych ogródkach i rozmawiając o przyszłości. Każdy z nas głęboko wierzył, że to właśnie on lub ona będzie tym wybrańcem, który rzuci na kolana cały świat.

Pietro i ja byliśmy najbardziej obiecującymi uczniami, oboje piekielnie ambitni i gotowi na wszystkie wyrzeczenia. Na początku nasze relacje kształtowało współzawodnictwo, ale szybko ulegliśmy wzajemnej fascynacji. Byliśmy młodzi. Paryż wiosną jest doskonałą scenerią dla zakochanych i miałam wrażenie, że oto właśnie rozpoczęło się prawdziwe życie. Wydawało mi się, że namiętność i rozpacz, jakie wówczas przeżywałam, są szczytem tego, co mogę doświadczyć w życiu. Gotowa byłam współczuć tym wszystkim, którzy nie studiowali muzyki w Paryżu i nie byli zakochani. Pietro był urodzonym muzykiem, całkowicie oddanym swojej pasji. W głębi serca wiedziałam, że kiedyś będzie lepszy ode mnie i to czyniło go w moich oczach jeszcze ważniejszym. Był zupełnie inny niż ja.

Na początku swojej kariery pianistycznej udawałam, że jest mi obojętna i traktowałam ją z wyraźną nonszalancją. Pietro wiedział jednak, że byłam tak samo zaangażowana i pochłonięta graniem jak on i irytowało go, a jednocześnie fascynowało, iż można to ukrywać. On traktował tę sprawę absolutnie poważnie.

Mnie rzadko zdarzały się chwile rozdrażnienia i wzburzenia, on niemal nigdy nie był spokojny. Z godziny na godzinę popadał w skrajnie różne nastroje i moje pogodne usposobienie było dla niego nieustannym wyzwaniem. Czasami przepełniała go ogromna radość, płynąca z przekonania o własnym geniuszu, a zaraz potem ogarniała go bezdenne rozpacz, bo nie był pewien czy uda mu się właściwie wykorzystać talent, którym został obdarzony. Podobnie jak wielu innych artystów był bezwzględny i nie umiał pokonać zżerającej go zawiści. Popadał w depresję albo wściekał się, gdy mnie chwalono. Szukał wtedy okazji, by powiedzieć mi przykre rzeczy, które mogłyby mnie zranić. Kiedy jednak szło mi źle i potrzebowałam pocieszenia, okazywał mi najgłębsze oddanie i stawał się najmilszym towarzyszem. Był wtedy życzliwy jak nikt inny, a ja kochałam go właśnie za to całkowite zrozumienie i zdolność do współczucia.

Dość szybko zaczęły się między nami sprzeczki.

— Wspaniale, Franz Liszt — miałam ochotę zawołać, gdy grał którąś z rapsodii węgierskiego kompozytora, waląc w klawisze i odrzucając w tył głowę z bujną czupryną, doskonale imitując mistrza.

— Zawieść to zdrażająca wszystkich artystów, Caro.

— Także tego, którego bardzo dobrze znasz.

— Masz rację. Ale największym z nas, artystów, powinno być to wybaczone. Przyjdzie czas, że to zrozumiesz.

Miał rację. Zrozumiałam.

Mówił mi, że jestem doskonałą interpretatorką. Potrafiłam bezbłędnie zagrać najbardziej skomplikowany technicznie utwór, ale bycie artystą oznaczało dla niego coś więcej — trzeba było być twórczym.

— A zatem, czy to ty skomponowałeś to, co przed chwilą grałeś? — odcinałam się.

— Jeżeli kompozytor mógłby usłyszeć, jak odtworzyłem jego dzieło, byłby spokojny, że nie zmarnował życia.

— Co za próżność! — skwitowałam.

— Raczej pewność artysty, moja droga Caro.

To był tylko częściowo żart. Pietro wierzył w siebie. Żył przede wszystkim dla muzyki. Nasza wzajemna rywalizacja drażniła mnie, ale godziłam się na nią. Podświadomie zdawałam sobie

sprawę, że właśnie to jest dla niego najbardziej atrakcyjne w naszym związku. Nie znaczyło to jednak, że kochając go, nie życzyłam mu światowego sukcesu. Prawdę powiedziawszy, byłam nawet gotowa poświęcić dla niego swoje ambicje. Te utarczki słowne były elementem naszej gry miłosnej, chociaż czasami wydawało mi się, że jego chęć pokazania mi swojej przewagi była najistotniejszą cechą jego uczucia.

Nie ma sensu z niczego się tłumaczyć. Wszystko, co Pietro o mnie mówił, było szczerą prawdą. Byłam interpretatorką i bardzo sprawną technicznie pianistką. Nie mogłam czuć się artystką, gdyż artyści nie pozwalają, aby inne pragnienia czy zachcianki, odrywały ich od twórczości. Nie pracowałam nad sobą wystarczająco dużo, a w kluczowym momencie kariery straciłam odwagę i poddałam się. Nie dotrzymałam danej sobie obietnicy i podczas gdy marzyłam o Pietrze, on marzył o sukcesie.

Nagle w moim życiu zapanował całkowity chaos. Później za to, co się wydarzyło, winałam zły los.

Rodzice wyjechali na wykopaliska do Grecji. Roma, która była już w tym czasie dyplomowanym archeologiem, także miała brać udział w tej wyprawie. W ostatniej chwili dostała jednak propozycję pracy przy ścianie Hadriana i zmieniła plany. Gdyby pojechała wtedy z nimi, nie miałabym po co odwiedzać Lovat Mill. Rodzice zginęli w katastrofie kolejowej w drodze do Grecji.

Wróciłam do Londynu, aby wziąć udział w pogrzebie. Przez kilka dni mieszkaliśmy z siostrą w naszym domu niedaleko British Museum. Doznałam szoku, ale biedna Roma, która była mocniej związana z rodzicami, cierpiała jeszcze bardziej. Chociaż, jak to ona, starała się podejść do tego nieszczęścia filozoficznie. Pocieszała nas, że zginęli razem, i że byłoby o wiele gorzej, gdyby któreś z nich ocalało i musiało żyć dalej w samotności. Byli przecież ze sobą bardzo szczęśliwi. Mimo ogromnego smutku, potrafiła wziąć się w garść i wrócić do pracy. Była osobą praktyczną, racjonalną, rzadko angażowała się emocjonalnie, w czym stanowiła moje przeciwieństwo. Powiedziała, że powinniśmy sprzedać dom i meble i podzielić się pieniędzmi. Uważała, że to dla mnie bardzo korzystna propozycja, gdyż umożliwi mi opłacenie do końca pianistycznej edukacji.

Śmierć zawsze wybija żywych z rytmu życia, kiedy więc wróciłam do Paryża, wciąż jeszcze byłam oszołomiona i niespokojna. Ciągle myślałam o rodzicach, o tym, ile im zawdzięczałam, i że nie doceniałam tego wcześniej. Moje późniejsze zachowanie tłumaczyłam sobie stanem psychicznym, w jakim byłam po stracie najbliższych.

Pietro czekał na mnie. Był to czas, gdy zaczynał odnosić sukcesy, większe niż ktokolwiek z moich przyjaciół. Pozwoliło mu to widzieć coraz głębszą przepaść między sobą a resztą nas, to znaczy między prawdziwym artystą a tymi, którzy są tylko utalentowani.

Pewnego dnia poprosił mnie o rękę. Powiedział, że mnie kocha i dopiero gdy wyjechałam, zdał sobie sprawę jak bardzo. Kiedy zobaczył mnie w żałobie po śmierci rodziców zrozumiał, że pragnie mnie chronić, pragnie dać mi szczęście. Wyjść za Pietra! Spędzić z nim całe życie! Ta wizja uskrzydliła mnie, chociaż wciąż jeszcze byłam pogrążona w smutku.

Nasz nauczyciel muzyki, bacznie obserwujący swoich studentów, bardzo szybko domyślił się, jakie mamy plany. Był zdania, że mnie czeka jeszcze długa praca, zanim zrobię karierę, podczas gdy Pietro w jego oczach uchodził za wschodzącą gwiazdę na muzycznym niebie. Domyślałam się, że zadawał sobie pytanie, czy małżeństwo będzie dla Pietra pomocą czy przeszkodą w osiągnięciu wielkich sukcesów. A co ze mną? Naturalnie, utalentowany pianista jest zawsze mniej ważny od geniusza.

Madame, jego żona, była dużo bardziej romantyczna. Pewnego dnia znalazła sposób, by porozmawiać ze mną na osobności.

— A więc kochasz go? — powiedziała. — Czy wystarczająco mocno, żeby wychodzić za niego za mąż?

Zapewniłam ją, że kocham go żarliwie.

— Może jednak poczekaasz z podjęciem ostatecznej decyzji? Przeżyłaś wielki szok. Powinnaś mieć czas do namysłu. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy dla twojej kariery?

— A co to może zmienić? Uważam, że związek dwojga muzyków, to wspaniała sytuacja.

— Chodzi mi o niego — ostrzegęła mnie. — On jest taki jak wszyscy artyści. Zazdrosny. Znam go bardzo dobrze. To rzeczywiście wielki artysta. Mój mąż wierzy, że największy geniusz, jakiego tu mamy. A zatem twoja kariera, kochanie, zawsze będzie na drugim miejscu. Jeżeli za niego wyjdiesz, będziesz tylko dobrą pianistką... nawet bardzo dobrą. Ale kto wie, czy nie będzie to koniec marzeń o wielkim sukcesie, sławie i fortunie. Przemyślałaś to dobrze?

Nie wierzyłam jej. Byłam młoda i zakochana. To prawda, dwojgu ambitnym ludziom może być trudno żyć w harmonii, ale miałam nadzieję, że nam z pewnością się to uda.

Pietro śmiał się, gdy powtórzyłam mu obawy madame, a ja śmiałam się razem z nim. Zapewniał mnie, że czeka nas wspaniałe życie.

— Caro, aż do śmierci będziemy razem pracować.

Wysłałam więc za Pietra i wkrótce zrozumiałam, że madame miała rację. Nie dbałam jednak o to. Zmieniłam się. Nie czułam już neodpartej potrzeby zrobienia kariery. Pragnęłam tylko, aby Pietro odniósł sukces. Przez następne kilka miesięcy wierzyłam, że osiągnęłam w życiu to, czego najbardziej pragnęłam. Być z Pięciem, pracować z Pięciem i żyć dla Pietra. Nie rozumiem, jak mogłam być aż tak głupia, by sądzić, że życie można skwitować jednym zdaniem: „Pobrali się i żyli szczęśliwie do końca swoich dni”.

Już pierwszy koncert Pietra zadecydował o jego przyszłości. Przyniósł mu ogromne uznanie. Potem nastąpiło pasmo sukcesów, co niestety nie sprawiło, że było mi łatwiej z nim żyć. Oczekiwał ode mnie roli służebnej. Był artystą, a moje muzyczne wykształcenie przydawało się tylko do tego, by mógł rozmawiać ze mną o swoich planach i pozwalać mi słuchać swoich interpretacji. Niewątpliwie odniósł większy sukces, niż mógł się spodziewać w najskrytszych marzeniach.

Teraz widzę, że był zbyt młody i niedojrzały, by stawić temu czoło. Szybko zaczął odczuwać potrzebę ciągłej adoracji... ze strony pięknych i bogatych kobiet. Ja jednak zawsze musiałam być w pobliżu, ta, która czeka na jego powroty, sama niemal artystka, rozumiejąca nieustanne wymagania, jakie stawiało mu jego artystyczne ego. Żadna inna kobieta nie była mu tak bliska i myślę, że na swój sposób mnie kochał.

Może gdybym miała inny charakter, wszystko byłoby dobrze. Ale potulność nie leżała w mojej naturze. Mówiłam mu, że nie jestem materiałem na niewolnicę. Wkrótce zaczęłam żałować, że tak pochopnie zrezygnowałam z własnej kariery. Postanowiłam znowu ćwiczyć. Pietro oczywiście mnie wyśmiewał. Czy myślę, że można odtrącić muzę, a potem wezwać ją z powrotem? Nie mylił się. Miałam swoją szansę, zrezygnowałam z niej i nigdy już nie będę nikim więcej niż sprawną pianistką.

Właściwie bez przerwy się kłóciliśmy. Mówiłam, że dłużej z nim nie wytrzymam. Zastanawiałam się, czy od niego nie odejść, ale wiedziałam doskonale, że nigdy się na to nie zdobędę. Podobnie jak on. Niepokoiłam się stanem jego zdrowia, gdyż lekkomyślnie je rujnował. Zauważyłam, że miewał kłopoty z oddychaniem. Zwróciłam mu nawet na to uwagę, ale on wcale się nie przejął.

Pietro koncertował w Wiedniu, Rzymie, Londynie i Paryżu. Pojawiały się opinie, że jest największym pianistą swoich czasów. Bez trudu zdobywał wszystkie laury, jakby były dla niego przeznaczone. Robił się przy tym coraz bardziej arogancki i sycił się wszystkim, co o nim pisano.

Lubił patrzeć, jak wklejam do księgi wycinki prasowe na jego temat. Tak widział moje miejsce u swojego boku — oddana służebnica, która poświęciła dla niego karierę. Jednak nawet księga pamiątkowa czasami doprowadzała go do furii. Jeśli znalazł w gromadzonych recenzjach najmniejszy cień krytyki, wściekał się tak, że tracił oddech, a żyły na skroniach nabrzmiwały mu jak postronki.

Pracował bardzo ciężko; do późna w nocy świętował swoje sukcesy, a rano zrywał się skoro świt, by ćwiczyć. Wszędzie otaczały go rzesze pochlebców. Miałam wrażenie, że potrzebował tej adoracji, aby podsycać wiarę w siebie. Byłam wobec Pietra krytyczna; nie rozumiałam wtedy, że był jeszcze bardzo młody. Gdy sukces przychodzi zbyt wcześnie, często przeradza się w tragedię. Jego życie było pełne napięć i stresów. Wreszcie zrozumiałam, że nigdy nie będę z Piętrzem szczęśliwa, lecz zarazem nie wyobrażałam sobie życia bez niego.

Przyjechaliśmy do Londynu, gdzie Pietro grał kilka koncertów, a ja miałam okazję spotkać się z Romą. Wynajmowała mieszkanie tuż obok British Museum, w którym pracowała w przerwach między wykopaliskami.

Moja siostra nic się nie zmieniła. Była wciąż osobą stanowczą, pełną zdrowego rozsądku, obwieszoną biżuterią w prehistoryczne wzory. Wspominając naszych rodziców, mówiła o nich ze smutkiem, ale tonem ożywionym i energicznym. Pytała też o moje życie z Piętrzem, ale wolałam się na ten temat za bardzo nie rozwodzić. Wiedziałam, że nie zrozumie mojej decyzji o porzuceniu kariery pianistycznej, po której tyle sobie obiecywałam, i to decyzji podjętej w imię dobra małżeństwa. Nie usłyszałam jednak od niej słowa krytyki, Roma była bowiem jedną z najbardziej tolerancyjnych osób, jakie znałam.

— Cieszę się, że byłam w Londynie, gdy przyjechaliście. Tydzień później już byśmy się nie spotkały. Wyjeżdżam do Lovat Mill.

— To młyn?

— Tak nazywa się to miejsce. Znajduje się na wybrzeżu hrabstwa Kent... niedaleko historycznego obozowiska Cezara. Odkryliśmy tam już wcześniej amfiteatr, a ja jestem pewna, że znajdziemy coś więcej. Jak wiesz, tego typu budowle powstawały zazwyczaj na obrzeżach miast.

Nie wiedziałam tego, ale oczywiście byłam pewna, że Roma miała rację.

— Oznacza to, że musimy rozpocząć wykopaliska na prywatnym terenie lokalnego nababa. Mieliśmy problemy z uzyskaniem jego zgody — ciągnęła dalej.

— Naprawdę?

— To sir William Stacy, właściciel większości terenów w tamtej okolicy i bardzo trudny partner, uwierz mi. Narobił rabanu z powodu swoich bażantów i drzew. Osobiście z nim w tej sprawie rozmawiałam. „Chyba nie sądzi pan, że bażanty i drzewa są ważniejsze od historii?” — zapytałam go i w końcu zgodził się na prowadzenie badań archeologicznych na swoim terenie. Dom, w którym mieszka, jest naprawdę bardzo stary... to właściwie zamek. Ten człowiek ma mnóstwo ziemi i w końcu uznał, że może nam pozwolić trochę pomyszkować na małym kawałku.

Ostatnich słów Romy nie słuchałam już uważnie, gdyż dobiegły mnie dźwięki IV Koncertu fortepianowego Beethovena, który Pietro miał wykonać dzisiejszego wieczora. Zaczęłam się zastanawiać, czy iść na ten koncert. Za każdym razem, gdy Pietro grał publicznie, przeżywałam piekielne katusze. Wykonywałam w myślach każdy utwór, nuta po nucie, razem z nim. Modliłam się, żeby nigdzie się nie potknął. Tak jakby kiedykolwiek mu się to zdarzyło. On martwił się tylko tym, że może zaprezentować nieco niższą formę niż w czasie swego najlepszego wykonania.

— To bardzo interesujące, stare miejsce — powiedziała Roma. — Wydaje mi się, że sir William w duchu liczy na to, że znajdziemy tam coś naprawdę godnego uwagi.

Roma opowiadała dalej o miejscu, w którym zamierzała pracować, i o tym, co spodziewa się tam znaleźć. Od czasu do czasu wtrącała uwagi o ludziach mieszkających w rezydencji. Nie



śluchałam jej jednak uważnie. Skąd mogłam wiedzieć, że będą to ostatnie wykopaliska Romy i że powinnam zapamiętać jak najwięcej informacji o tym miejscu.

Śmierć! Unosi się nad nami, kiedy najmniej się jej spodziewamy. Zauważyłam, że potrafi uderzyć w to samo miejsce raz po raz. Moi rodzice zginęli tragicznie, ja zaś nigdy przedtem nie myślałam o śmierci.

Wróciliśmy z Pietrem do Paryża. Tamtego dnia nie wydarzyło się nic szczególnego, nie przypominam sobie żadnych ostrzegawczych sygnałów. Pietro miał grać tego wieczora tańce węgierskie i II Rapsodię. Był bardzo napięty i zdenerwowany, ale zawsze tak się czuł przed występem. Siedziałam w pierwszym rzędzie i Pietro cały czas wyczuwał moją obecność. Czasami miałam wrażenie, że gra tylko dla mnie, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, nigdy nie osiągniesz takiego poziomu jak ja. Zawsze byłaś tylko zręczną pianistką”. Tamtej nocy było podobnie.

Po koncercie Pietro poszedł do garderoby i dostał zawału. Nie umarł natychmiast, ale zostały nam tylko dwa dni. Nie odstępowałam go ani na sekundę i myślę, że miał tego świadomość, gdyż zarówno teraz, jak i wtedy, jego czarne, pałające oczy patrzyły na mnie z lekko drwiącym wyrazem. Gdy umarł, byłam wolna od więzów małżeńskich i mogłam go oplakiwać po wsze czasy.

Roma, jak na kochającą siostrę przystało, zostawiła wykopaliska i przyjechała na pogrzeb do Paryża. Uroczystości te były wielkim wydarzeniem. Muzycy z całego świata przysłali na moje ręce kondolencje, wielu przybyło osobiście, by złożyć hołd Piętrowi. Za życia nigdy nie był tak sławny, jak stał się po śmierci. Jakże by się tym rozkoszował!

Gdy skończył się rozgardiasz związany z pogrzebem, poczułam się nagle jak w ciemnej i pustej jaskini. Ogarnął mnie bezbrzeżny smutek.

Kochana Roma! Jakim ratunkiem była dla mnie w tamtych trudnych dniach! Udowodniła, że gotowa jest zrobić dla mnie wszystko i bardzo mnie tym wzruszyła. Pamiętam, że w przeszłości czułam się czasami wyobcowana, gdy Roma prowadziła z rodzicami nie kończące się rozmowy o archeologii. Ale to było dawno. To cudownie mieć rodzinę, wiedzieć, że istnieją więzy mocniejsze niż wszystko inne. To właśnie zawdzięczałam Romie.

— Jedźmy razem do Anglii — zaproponowała po pogrzebie. — Zabiorę cię na wykopaliska. Zobaczysz, że znaleźliśmy coś zupełnie wyjątkowego: najwspanialszą willę rzymską poza Verulamium.

Uśmiechnęłam się do niej z ogromną wdzięcznością.

— Na nic bym się nie przydała — protestowałam słabo. — Byłabym dla ciebie zawadą.

— Co za nonsens! — Była przecież starszą siostrą i postanowiła się mną zająć, niezależnie od tego, czy mi się to podobało czy nie. — Nie chcę słyszeć żadnych wymówek — jedziesz i już.

Tak więc pojechałam do Lovat Stacy, by ukoić żal po stracie Pietra. Gdy Roma przedstawiała mnie kolegom w bazie archeologicznej, naprawdę byłam z niej dumna, widząc szacunek, jaki wszyscy jej okazywali. Dla mnie jej bliskość była prawdziwym szczęściem. Potrzebowałam wtedy miłości, a ona mi ją dawała, chociaż jako osoba z natury powściągliwa, nie lubiła okazywać swoich uczuć. Z tak ogromnym zaangażowaniem opowiadała o rzymskich znaleziskach, że stopniowo mnie także to zaczęło interesować. Wszyscy jej koledzy byli takimi zapaleńcami, że nie sposób było nie zarazić się od nich entuzjazmem. Niedaleko rzymskiej willi stał mały wiejski domek, właściwie skromna chata. Sir William Stacy pozwolił Romie ją zająć i ja także tam zamieszkałam. Wnętrze było umeblowane bardzo skromnie, stały tam dwa łóżka, stół, krzesła i w zasadzie nic więcej. W pomieszczeniu na dole urządzono magazyn narzędzi — łopaty, widły, kilofy, kielnie i miechy. Roma była bardzo zadowolona z tego domku. Miała blisko do miejsca pracy, podczas gdy jej koledzy musieli zadowolić się kwaterami w odleglejszych punktach lub pokojami w lokalnej gospodzie.

Od razu zaprowadziła mnie do odkopanej willi i pokazała mozaiki na posadzce. Budziły one jej szczególny zachwyty. Ułożone były z białej kredy i czerwonego piaskowca w geometryczne wzory. Potem kazała mi podziwiać odkrytą przez nich łaźnię, która świadczyła o tym, że właścicielem willi musiał być bardzo zamożny Rzymianin. Składała się ona z tepidarium, ogrzanego pokoju, z którego przechodziło się do caldarium, czyli sali kąpeli gorących, i frigidarium — pomieszczenia do kąpeli zimnych. Roma potrafiła opowiadać o rzymskich łaźniach tak zajmująco, że słuchając jej, czułam, jak znowu wracam do życia.

Często chodziliśmy na spacer, podczas których jeszcze bardziej się do siebie zbliżyliśmy. Roma pokazała mi obóz Cezara w Folkenstone, byliśmy też w Sugar Loaf Hill i przy studni świętego Tomasza, gdzie pielgrzymi, zmierzający do kaplicy świętego Tomasza zatrzymywali się, by ugasić pragnienie. Pamiętam, jak wdrapywałam się na sam wierzchołek obozowiska Cezara, które miało wysokość około czterystu stóp. Nigdy nie zapomnę Romy stojącej tam z rozwianymi włosami, błyszczącymi z zachwyty oczami, kiedy pokazywała mi miejsca, w których prowadzili prace ziemne. Tamtego dnia powietrze było wyjątkowo przejrzyste. Patrzyłam na rozciągające się aż po horyzont równiny i wyobrażałam sobie czasy, gdy ziemie te należały do Galii Cezara.

Innym razem poszliśmy na wycieczkę do Richborough Castle, zdaniem Romy jednej z najwspanialszych budowli z czasów rzymskich w Anglii. Nazywała ten zamek Rutupiae.

— Gdy Klaudiusz przeprowadzał się z legionami z Boulogne, tu właśnie zorganizował główną bazę. Spójrz na te mury, jaka to potężna twierdza.

Roma oprowadzała mnie też po piwnicach służących do przechowywania wina, spichlerzach, ruinach świątyn i doprawdy nie mogłam nie dzielić jej radości z oglądania tych wszystkich cudów — resztek masywnego muru z kamienia portlandzkiego, wieży obronnej, bramy, lochów i podziemi.

— Powinnaś zająć się archeologią, oczywiście nie zawodowo, ale potraktować to jako hobby — powiedziała któregoś dnia, patrząc na mnie z nadzieją, że nie jest to tylko jej pobożne życzenie. Naprawdę wierzyła w to, że jeśli tylko się postaram, znajdę jeszcze satysfakcję w życiu, które tak mocno mnie doświadczyło. Miałam ochotę powiedzieć, że już sama jej obecność jest dla mnie wystarczającą przyjemnością. Chciałam, by wiedziała, że jej troska i miłość do mnie naprawdę bardzo mi pomogły, pozwoliły mi zapomnieć o samotności.

Jednak Romie strasznie trudno było mówić takie rzeczy. Gdybym próbowała jej podziękować za to, co dla mnie zrobiła, zaraz zawołałaby: „Nonsens”. Tak więc nie powiedziałam jej tego. Obiecałam sobie tylko, że w przyszłości poświęcę jej więcej czasu, bardziej się zaangażuję w jej pracę. Chciałam, by wiedziała, jak bardzo jestem szczęśliwa, że mam taką wspaniałą siostrę.

Roma uważała, że nic bardziej nie pomaga na smutki niż praca. Poprosiła mnie więc o pomoc przy rekonstrukcji potłuczonej płyty mozaikowej, którą znaleziono w rzymskiej willi. Było to bardzo trudne zajęcie i mój udział ograniczał się do podawania odpowiednich pędzelków i płynów do przemywania powierzchni dzieła. Mozaika była żółtawa, w kształcie dysku. Na powierzchni widoczna była jakaś scena, którą należało zrekonstruować, by odtworzyć oryginalny motyw. Prace musiały być wykonywane na miejscu z uwagi na delikatną materię zabytku, ale Roma powiedziała mi, że gdy skończą, mozaika na pewno znajdzie miejsce w British Museum. Asystując przy rekonstrukcji, byłam zafascynowana pieczołowitością i uwagą, z jaką traktowano zachowane fragmenty. Gdy spod rąk archeologów zaczął się wyłaniać pierwotny kształt znaleziska, poczułam, że przechodzi mnie dreszcz emocji.

Poznałam także samo Lovat Stacy — wielki dom, którego bryła dominowała nad całą okolicą, a właściciel był tak wspaniałomyślny, że pozwolił Romie i jej przyjaciółkom na prowadzenie wykopalisk na swojej ziemi.

Dotarłam tam pewnego dnia zupełnie niespodziewanie i piękno tego domu urzekło mnie całkowicie. Majestatyczna wieża przy bramie dumnie górowała nad okolicą, flankowana przez dwie wyższe, smuklejsze wieże na planie ośmiokąta. Patrząc na mury obronne tej szlacheckiej siedziby czułam emanującą z nich siłę i władzę. Po obu stronach drogi do bramy ciągnął się kamienny mur porośnięty mchem i bluszczem. Byłam oczarowana; poddałam się nieodpartemu urokowi tego miejsca i po raz pierwszy od śmierci Pietra, na kilka minut przestałam o nim myśleć. Chciałam jak najszybciej znaleźć się po drugiej stronie i zobaczyć, co kryje się za bramą. Skierowałam się w jej stronę, gdy nagle dostrzegłam wyrzeźbione na jej zwieńczeniu chimery — jadowite potwory o przerażającym wyglądzie — i zawahałam się. Miałam wrażenie, że mnie ostrzegają, żebym trzymała się od tego miejsca z daleka. Nie powinno się wchodzić na teren cudzej posiadłości tylko dlatego, że ktoś jest zafascynowany urodą miejsca.

Wróciłam do naszego domku pod wrażeniem tego, co widziałam.

— No tak, to Lovat Stacy. Dzięki Bogu, że nie wybudowali tego domu na miejscu willi.

— Co wiesz o tych Stacy? — zapytałam. — Czy to rodzina?

— Tak.

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś o ludziach, którzy mieszkają w takim domu.

— Mnie interesował głównie sir William, starszy dżentelmen. Jest lordem i panem tej posiadłości. Tylko on mógł dać nam pozwolenie na wykopaliska.

Kochana Roma. Niczego się od niej nie dowiedziałam. Interesowała ją tylko archeologia.

Wkrótce potem spotkałam Essie Elgin.

Gdy zaczynałam swoją edukację pianistyczną, posłano mnie do szkoły muzycznej i panna Elgin była jedną z moich nauczycielek. Jakież było moje zdziwienie, gdy pewnego dnia poszłam do miasteczka Lovat Mill, około mili od naszych wykopalisk, i na High Street spotkałam Essie. Przez kilka sekund patrzyłyśmy na siebie z niedowierzaniem, a potem ona odezwała się ze szkockim akcentem:

— No proszę, to naprawdę mała Caroline.

— Nie taka już mała — odpowiedziałam. — Dzień dobry, panno Elgin.

— Co ty tu porabiasz? — zapytała zdziwiona.

Gdy opowiadałam jej o Pietrze, kiwała smutno głową.

— Okropna tragedia — zmartwiła się. — Słyszałam go w Londynie, gdy grał tam ostatnim razem. Poszłam specjalnie na jego koncert. Co za mistrz!

Patrzyła na mnie ze smutkiem. Ze smutkiem pedagoga, który wie, że jego uczeń nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

— Zapraszam cię do siebie — powiedziała. — Nastawię wodę na herbatę i utniemy sobie pogawędkę.

Poszłyśmy więc i Essie opowiedziała mi, jak znalazła się w Lovat Mill. Całe życie marzyła, by mieszkać nad morzem, poza tym nie chciała jeszcze wychodzić za mąż, jak najdłużej pragnęła być niezależna. Miała młodszą siostrę, która mieszkała pod Edynburgiem i zapraszała ją do siebie. Essie sądziła, że może niedługo nadejdzie czas, by skorzystać z tego zaproszenia. Na razie jednak chciała do woli korzystać z tego, co nazywała swoimi ostatnimi latami wolności.

— Czy wciąż pani uczy?

Skrzywiła się.

— Widzisz, do czego to człowiek w życiu dochodzi, kochanie? Mam tu swój mały domek i jest mi dobrze. Daję lekcje w Lovat Mill. Niewielki to zarobek, ale odkąd uczę też panienki z dużego domu, nie narzekam.

— Z dużego domu? Ma pani na myśli Lovat Stacy?

— A cóżby innego? To nasz duży dom i dzięki Bogu są tam trzy dziewczynki, które mają się nauczyć grać na fortepianie.

Essie Elgin była urodzoną plotkarką. Rozumiała, że nie miałam ochoty rozmawiać o swojej karierze, z przyjemnością więc obgadywała mieszkańców wielkiego domu.

— Co za miejsce! Tam ciągle zdarzają się jakieś dramaty, mówię ci. A teraz, już wkrótce będziemy mieć wesele. To życzenie samego sir Williama. Chce widzieć tych dwoje jako męża i żonę. Dopiero wtedy będzie szczęśliwy.

— Jakich dwoje?

— Pana Napiera i pannę Edith... chociaż ona jest moim zdaniem za młoda. Może mieć najwyżej siedemnaście lat. Oczywiście, niektórzy w wieku siedemnastu lat... ale nie Edith... na pewno nie Edith.

— Edith jest jego córką?

— Tak o niej mówi, ale nie jest jego córką. To dość skomplikowane, tak naprawdę nie wiadomo, czy któraś z tych dziewcząt jest z nim spokrewniona. Edith jest wychowanką sir Williama. Jest w tej rodzinie od pięciu lat... to znaczy od śmierci jej ojca. Matka zmarła, gdy była niemowlęciem i wychowywała ją służba. Jej ojciec był przyjacielem sir Williama. Należała do niego posiadłość po drugiej stronie Maidstone... ale po jego śmierci wszystko sprzedano i majątek odziedziczyła Edith. Jest teraz bardzo bogata i dlatego... Nieważne, ojciec zostawił ją pod opieką sir Williama i zamieszkała w Lovat Stacy, gdzie wszyscy traktują ją jak jego córkę. A teraz sprowadził do domu Napiera, żeby się z nią ożenił.

— Napier to...?

— Syn sir Williama. Wgnany! Och, to historia w sam raz dla ciebie. Zaraz ci wszystko opowiem. Poza tym mieszka tam jeszcze Allegra. Słyszałam, że podobno też jest spokrewniona z sir Williamem. Sama mówi o nim, jak o swoim dziadku. Jest gwałtowna i trochę uderza jej do głowy woda sodowa. Ochmistrzynią w tym domu jest pani Lincroft, matka trzeciej dziewczynki, Alice. Mam więc trzy uczennice: Edith, Allegrę i Alice. Chociaż Alice jest tylko córką służącej, wolno jej uczestniczyć w lekcjach gry na fortepianie. Ma zadatki na wykształconą damę.

— A ten...Napier? — zapytałam. — Co za dziwne imię!

— To rodzinna tradycja. Z tym człowiekiem wiąże się jakaś tajemnicza historia. Nigdy nie mogłam się dowiedzieć, o co w niej naprawdę chodziło. Wiem tylko, że jego brat Be — aumont nie żyje... to kolejne dziwne imię w tej rodzinie. Został zastrzelony i oskarża się o to Napiera, który wkrótce po tym wyjechał z rodzinnego domu. Wrócił dopiero teraz, żeby ożenić się z Edith. Domyślałam się, że to warunek.

— Dlaczego go oskarżają?

— Miejscowi ludzie nie chcą rozmawiać na temat rodziny Stacy — powiedziała z żalem. — Boją się sir Williama. On potrafi być bardzo gwałtowny, a większość z nich mieszka na jego ziemi. Jest twardy jak stal, tak o nim mówią. Musi być taki, skoro wygnał Napiera. Chciałabym znać szczegóły tej historii, ale nie mogę o to zapytać dziewcząt.

— Ich dom zrobił na mnie ogromne wrażenie. Chociaż było w nim też coś zwodniczego. Z odległości wygląda bardzo pięknie, jednak gdy podeszłam bliżej bramy wjazdowej... och...

Essie zaśmiała się.

— Pozwoliłaś rozwinąć skrzydła swojej wyobraźni — stwierdziła.

Potem poprosiła, abym coś dla niej zagrała. Usiadłam przy fortepianie i nagle poczułam się jak za dawnych lat, gdy byłam młoda, zanim jeszcze wyjechałam za granicę, zanim poznałam Pietra, zanim zmarnowałam swoją szansę.

— Cudownie — powiedziała, gdy skończyłam. — Wciąż to samo znakomite dotknięcie. Masz jakieś plany?

Pokręciłam głową.

— Tak nie można, dziewczyno. Nie tędy droga. Musisz wrócić do Paryża, do szkoły i spróbować podjąć naukę w miejscu, w którym ją przerwałaś.

— W którym ją przerwałaś... przed ślubem?

Panna Elgin nie odpowiedziała. Może wiedziała, że chociaż rzeczywiście jestem utalentowaną pianistką, że mogłabym być dobrą nauczycielką, to jednak brakuje mi iskry bożej. Poświęciłam ją dla Pietra. Ale nie, to nieprawda, gdybym ją kiedykolwiek miała, nigdy nie wybrałabym małżeństwa i nie porzuciłabym dla niego kariery.

— Pomyśl o tym — powiedziała na koniec Essie. — I wpadnij do mnie jeszcze.

W drodze powrotnej do naszej chaty dużo myślałam o Essie, wspominałam przeszłość i snułam plany na przyszłość. Cały czas miałam jednak przed oczami obraz wielkiego domu, zamieszkanego przez tajemnicze postacie, będące dla mnie jedynie imionami, a mimo to wiodące intrygujące życie.

Doskonale pamiętam tamte dni. Przesiadywałam w chacie, obserwując, jak spod zręcznych palców konserwatorów wyłania się powoli oryginalna mozaika. Od czasu do czasu odwiedzałam Essie, wypijałam z nią filiżankę herbaty i spędzałam godzinkę lub dłużej przy fortepianie. Miałam wrażenie, że moja nauczycielka chce mnie ustrzec przed takim życiem, jakie sama wiodła. Rozumiała lepiej ode mnie, że nie będę usatysfakcjonowana taką pozycją społeczną, jaką ono daje.

— W sobotę jest ślub — oznajmiła któregoś dnia. — Masz ochotę zobaczyć?

Poszliśmy razem do kościoła na ślub Napiera i Edith. Szli pod rękę środkiem nawy; ona jasna i krucha, on szczupły i śniady, o niepokojąco błękitnych oczach. Siedziałyśmy z Essie z tyłu, a młoda para szła w stronę ołtarza przy dźwiękach marsza weselnego. Gdy nas mijali, ogarnął mnie dziwny niepokój. Może wziął się on stąd, że domyślałam się, jak bardzo byli niedobraną parą. Zupełnie do siebie nie pasowali. Panna młoda była taka młodziutka, taka delikatna i czyż na jej twarzy nie malował się lęk? Pomyślałam, że chyba się boi swojego przyszłego męża. Doskonale pamiętam dzień, gdy brałam ślub z Piętrzem. Jakże byliśmy wtedy szczęśliwi, śmiałyśmy się, przekomarzałyśmy się ze sobą, tak bardzo się wówczas kochaliśmy. Biedne dziecko, pomyślałam ze współczuciem. Pan młody także nie wydawał się szczęśliwy. Co wyczytałam z jego twarzy? Rezygnację, znudzenie... cynizm?

— Edith jest piękną panną młodą — powiedziała Essie. — Po miesiącu miodowym zamierza kontynuować lekcje muzyki. Takie jest życzenie sir Williama.

— Naprawdę?

— O, tak. Sir William bardzo kocha muzykę... teraz. Chociaż jakiś czas temu nie chciał nawet o tym słyszeć. Edith jest dość utalentowana. Żaden geniusz, ale dobrze sobie radzi z fortepianem i szkoda byłoby, gdyby przestała grać.

Po ceremonii Essie zaprosiła mnie na herbatę i znowu opowiadała mi o dziewczętach z Lovat Stacy i o lekcjach muzyki; Edith była dobrą pianistką, Allegra leniwą, a Alice pracowitą.

— Biedna mała Alice stara się jak może. Ona wie, jak wiele jej ofiarowano, i za wszelką cenę chce z tego skorzystać.

Roma przyznała rację Essie i namawiała mnie, abym wróciła do Paryża i podjęła studia muzyczne.

— Uważam, że powinnaś kontynuować przerwana naukę — powiedziała. — Chociaż nie jestem pewna, czy akurat Paryż jest najwłaściwszym miejscem. Po tym wszystkim, co się tam stało... — nerwowo obracała w palcach turkusowy naszyjnik, nie chcąc wspominać mojego małżeństwa. — Jeśli uważasz, że nie jesteś w stanie tam mieszkać, możemy wybrać inne miejsce.

— Och, Romo — zawołałam. — Jesteś dla mnie taka dobra. Nie umiem ci nawet powiedzieć, jak bardzo mi pomogłaś.

— Nonsens — zaprzeczyła szorstko.

— Zrozumiałam, jak to cudownie mieć siostrę.

— To normalne, że pomagamy sobie w ciężkich chwilach. A tak w ogóle, powinnaś mnie tu częściej odwiedzać.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam ją czule. Po kilku dniach wróciłam do Paryża. Niestety, już wkrótce okazało się, że nie była to mądra decyzja. Powinnam była wiedzieć, że nie dam rady żyć w miejscu, które było pełne wspomnień o Pietrze. Szybko zrozumiałam, jak inny jest Paryż bez niego i jak głupia byłam myśląc, że uda mi się zacząć wszystko od początku. Nic nie mogło być już takie samo, a ja swoją przyszłość mogłam budować tylko na fundamencie przeszłości. Pietro miał rację, gdy mówił, że nie można bezkarnie odepchnąć od siebie muzy, licząc na jej powrót, kiedy będzie nam potrzebna.

Spędziłam w Paryżu zaledwie trzy miesiące, gdy nadeszła wiadomość o zniknięciu Romy.

\* \* \*

To było zupełnie niezrozumiałe. Prace na wykopaliskach zostały ukończone. Archeologowie pakowali się, zamierzając wkrótce opuścić Lovat Mill. Roma nadzorowała ostatnie przygotowania do wyjazdu, który miał nastąpić następnego dnia rano. Wieczorem widziano ją po raz ostatni i nagle zaginął po niej wszelki ślad. Tak jakby rozplynęła się w powietrzu.

Jej zniknięcie było wielką tajemnicą. Nie zostawiła żadnego listu, po prostu przepadła bez wieści. Przyjechałam do Anglii zupełnie zdezorientowana, nieszczęśliwa i w głębokiej depresji. Wciąż miałam w pamięci moją kochaną siostrę, która była dla mnie dobra jak anioł i starała się ulżyć mi w smutku po stracie Pietra. W czasie tych kilku trudnych miesięcy, które spędziłam w Paryżu, ciągle pocieszałam się myślą, że mam Romę, z którą po ostatnich przejściach byłam mocno związana emocjonalnie.

Policja przesłuchała mnie i dowiedziałam się, że według jednej z przyjętych hipotez Roma mogła stracić pamięć i błąkała się po kraju. Inna znowu zakładała, że poszła się kąpać i utonęła, gdyż wybrzeże w miejscu, gdzie mieszkali, było zdradliwe i bardzo niebezpieczne. Osobiście skłaniałam się do pierwszej wersji wypadku, gdyż była bardziej optymistyczna. Jednak prawdę powiedziawszy nie umiałam sobie wyobrazić siostry w stanie całkowitej amnezji. Każdego dnia niecierpliwie wyczekiwałam na wieści. Niestety, nie było żadnych.

Jej przyjaciele zastanawiali się, czy Roma nie otrzymała niespodziewanie informacji o jakiejś tajnej wyprawie archeologicznej i nie wyjechała na przykład do Egiptu. Starłam się w to uwierzyć, chociaż doskonale wiedziałam, że moja odpowiedzialna i praktyczna siostra nigdy by tak nie postąpiła. Coś jednak musiało ją powstrzymać przed powiadomieniem mnie, co zamierza. Coś? Cóż innego mogłoby to być, jeśli nie śmierć?

Wmawiałam sobie, że mam obsesję śmierci, ponieważ w krótkim czasie straciłam rodziców i męża. Nie mogłam przecież stracić także Romy.

Gdy wróciłam do Paryża, czułam się tak bardzo nieszczęśliwa, że po kilku dniach spakowałam się i wyjechałam do Londynu. Wynajęłam kilkupokojowe mieszkanie w Kensington i dałam w prasie ogłoszenie, że uczę gry na fortepianie.

Chyba jednak nie byłam dobrą nauczycielką, gdyż za bardzo irytowało mnie przeciętniactwo. Miałam przecież kiedyś ambitne marzenia i, co bardzo ważne, byłam żoną Pietra Verlainé'a. Zupełnie nie byłam w stanie zarobić na swoje utrzymanie. Moje oszczędności topniały w zastraszającym tempie. Codziennie spodziewałam się wiadomości o Romie. Czułam się okropnie, siedząc z założonymi rękami i nie robiąc nic, aby ją odnaleźć. I nagle los dał mi szansę.

Essie przysłała mi list, że przyjeżdża do Londynu i chciałaby się ze mną spotkać.

Gdy tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że jest czymś podniecona. Panna Elgin uwielbiała snuć plany dotyczące losów innych ludzi, chociaż nie pamiętam, aby z podobnym zapałem planowała coś dla siebie.

— Opuszczam Lovat Mill — oznajmiła na wstępie. — Nie czuję się ostatnio najlepiej i chyba już czas, żebym przyjęła zaproszenie mojej siostry ze Szkocji.

— To daleko — powiedziałam.

— To prawda, kawał drogi, ale nie tylko o tym chciałam ci powiedzieć. Nie miałabyś ochoty tam pojechać?

— Pojechać do... — nie byłam pewna, czy dobrze ją zrozumiałam.

— Do Lovat Stacy. Uczyć tamtejsze dziewczęta. Posłuchaj mnie. Rozmawiałam z sir Williamem. Był troszeczkę rozczarowany, gdy go poinformowałam o swoim wyjeździe. Rozumiesz, on bardzo chce, by Edith kontynuowała naukę gry na fortepianie... pozostałe dziewczęta też. Przez rok przyzwyczał się do muzycznych wieczorów, które odbywały się w Lovat Stacy dość regularnie. Teraz, gdy mieszka tam młoda para, sir William tym bardziej chce, żeby muzyka ożywiła jego dom. Postanowił, że powinna z nimi zamieszkać jakaś dobra pianistka, która umiałaby im i ich gościom wieczory era na fortepianie, dodatkowo ucząc dziewczęta muzyki. zaproponował mi to, ale wtedy powiedziałam mu o swoich planach. Pomyślałam jednak o tobie i poinformowałam go, że znam żonę Pietra Verlaine'a, która sama jest znakomitą pianistką. Jeżeli zaakceptujesz tę propozycję, napisz do niego i na pewno się dogadacie.

— Poczekaj — zawołałam oszołomiona.

— Proszę, nie bądź bojaźliwą dziewczynką, która mówi: „Ależ to zbyt nagle”. To naprawdę wspaniała okazja i jeżeli natychmiast nie podejmiesz decyzji, stracisz ją. Sir William da ogłoszenie, że poszukuje nauczycielki dla dziewcząt. Bardzo się zapalił do tego pomysłu.

Nagle stanęły mi przed oczami dni spędzone w Lovat Mill: wykopaliska, mały domek, wspaniała posiadłość i tych dwoje, idących przez kościelną nawę. I oczywiście Roma... która prosiła, abym o niej nie zapomniała.

— Czy pani wierzy, że Roma nie żyje? — zapytałam nagle. Zmarszczyła czoło. Odwróciła głowę i odparła cicho:

— Ja... nie wierzę, że Roma mogłaby wyjechać, nic nikomu nie mówiąc.

— A zatem wygląda na to, że ktoś rzucił na nią zaklęcie... albo, że przebywa w miejscu, którego nie może nam zdradzić. Chciałabym ją odnaleźć... muszę ją odnaleźć.

Panna Elgin pokiwała głową.

— Nie powiedziałam sir Williamowi, że jesteś siostrą Romy — Jej zniknięcie bardzo go zdenerwowało. Słyszałam, jak mówił, że nie powinien się zgodzić na te wykopaliska. I tak było wokół tego dużo szumu, a gdy twoja siostra przepadła... — wzruszyła ramionami. — Nie mówiłam mu, że jesteś siostrą Romy Brandon, wspomniałam tylko, że znam Caroline Verlaine, wdowę po wielkim pianaście.

— A więc powinnam tam pojechać... incognito i nie wyjawiać nikomu swojego pokrewieństwa z Romą?

— Uczciwie mówiąc, nie jestem pewna, czy sir William chciałby cię zatrudnić, gdyby wiedział, że jesteś jej siostrą. Mógłby pomyśleć, że masz jeszcze jakiś inny powód, aby zamieszkać w Lovat Stacy niż uczenie muzyki.

— Jeżeli pojedę, tak właśnie będzie.

Chciałam się nad tym jeszcze zastanowić. Poszłyśmy z Essie na spacer do ogrodów Kensington, ulubionego mojego i Romy miejsca dziecinnych zabaw. W nocy przyśniła mi się siostra. Stała w okrągłej sadzawce, wyciągając do mnie ręce, a woda zalewała ją coraz wyżej i wyżej. Wołała: „Zrób coś, Caro!”.

Być może właśnie pod wrażeniem tego snu zdecydowałam, że pojadę do Lovat Stacy.

Meble sprzedałam właścicielce domu, od której wynajmowałam mieszkanie, fortepian oddałam do przechowalni i spakowałam walizki.

Wydawało mi się, że w końcu znalazłam cel w życiu. Pietro był stracony na zawsze, ale wciąż jeszcze miałam nadzieję, że odnajdę Romeę.



## Rozdział 2

Pociąg zatrzymał się w Dover Priory, gdzie wysiadało sporo pasażerów. W czasie postoju, który trwał około pięciu minut, dostarczono pocztę. Ostatni wysiadający przeszli już przez barierkę, gdy zauważyłam biegnącą po peronie kobietę, a tuż za nią dwunasto- lub trzynastoletnią dziewczynkę. Kobieta zobaczyła mnie przez otwarte okno, kiedy mijała nasz wagon. Zatrzymała się, otworzyła drzwi i już po chwili, popychając przed sobą dziewczynkę, weszła do mojego przedziału.

Ułożyły bagaże na wolnym siedzeniu i obrzuciwszy mnie ukradkowymi spojrzeniami, zasiadły naprzeciwko. Kobieta głośno westchnęła.

— Och, kochanie, jak te zakupy mnie wyczerpują. Dziewczynka nie odpowiedziała, ja zaś czułam, że moje współtowarzyszki podróży w dalszym ciągu badawczo mnie obserwują. Dlaczego? — zastanawiałam się. Czyżbym jakoś dziwnie wyglądała? Pociąg ruszył i wkrótce zauważyłam, że od Dover Priory zatrzymywał się często na małych stacyjkach. Wywnioskowałam więc, że pasażerowie mieszkają zapewne w tej okolicy i z pewnością dobrze się znają. Nic dziwnego, że ktoś obcy natychmiast budzi ich zainteresowanie.

W pewnym momencie jeden z pakunków spadł mi na nogę. Kobieta uznała to za doskonały pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

— Podróże pociągiem są takie męczące — powiedziała. — Człowiek brudzi się w nich niemilosiernie. Jedzie pani do Ramsgate?

— Nie. Wysiadałam w Lovat Mill.

— Naprawdę? My też. Dzięki Bogu, to już niedaleko... najwyżej dwadzieścia minut i będziemy na miejscu... zakładając oczywiście, że pociąg się nie spóźni. To dziwne, że jedzie pani akurat tam. Chociaż ostatnio wiele się u nas działo. To przez tych ludzi, no wie pani, co to odkryli rzymskie ruiny.

— Ach tak? — udałam zdziwienie.

— Mam nadzieję, że nie jest pani jedną z nich?

— Och, nie. Jadę do Lovat Stacy.

— Mój Boże. A zatem jest pani zapewne tą młodą damą, która ma uczyć dziewczynki muzyki.

— Zgadza się.

Kobieta wyglądała na zachwyconą.

— Gdy tylko panią zobaczyłam, od razu tak sobie pomyślałam. Mało tu obcych, jak się pani sama wkrótce przekona, a poza tym słyszeliśmy już, że pani dzisiaj przyjeżdża.

— Czy pani też mieszka w Lovat Stacy?

— Nie... skądże znowu. Jesteśmy z Lovat Mill... to bardzo niedaleko. Mój mąż jest pastorem. Przyjaźnimy się z rodziną Stacy. Dziewczynki przychodzą do męża na lekcje. Mieszkamy jakąś milę od dużego domu. Sylvia uczy się razem z nimi, nieprawdaż córeczko?

— Tak, mamusi — przytaknęła dziewczynka anemicznym głosem.

Pomyślałam, że mamusia najwyraźniej zarządza całym domem, nie wykluczając pastora.

Sylvia sprawiała wrażenie bardzo potulnej panienki, ale coś w kształcie jej podbródka i zarysie ust mówiło mi, aby nie wierzyć w tę potulność. Podejrzywałam, że gdy tylko jej matka się oddała, cała ta pokora znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Pastor zapewne poprosi, by dawała pani lekcje także naszej Sylvii, w tym samym czasie co dziewczętom z Lovat Stacy.

— Czy córka interesuje się muzyką? — zapytałam, uśmiechając się do Sylvii, która patrzyła na matkę.

— Z całą pewnością — odparła kobieta stanowczym tonem.

Sylvia posłała mi słaby uśmiech, odrzucając do tyłu warkocz. Spojrzałam na jej grube palce, które w niczym nie przypominały palców pianistki. Natychmiast wyobraziłam sobie, jak żalosne muszą być jej próby opanowania gry na fortepianie —

— Tak się cieszę, że nie ma pani nic wspólnego z tymi archeologami. Byłam przeciwna temu ich przyjazdowi.

— Nie pochwała pani tego typu odkryć?

— Odkryć! — oburzyła się. — Jaki jest pożytek z tych odkryć? Jeśli te ruiny miałyby dla nas jakieś znaczenie, nie byłyby przecież zakopane, nieprawdaż?

Jej zdumiewająca logika była w zupełnej sprzeczności z duchem, w którym mnie wychowywano. Jednak ta pewna siebie kobieta najwyraźniej oczekiwała ode mnie potwierdzenia. Wiedziałam, że jeśli nie chcę jej do siebie zrazić, a przeczuwałam, że może mi dużo powiedzieć na temat Lovat Stacy, powinnam jej przyznać rację. Uśmiechnęłam się więc z aprobatą, przeprasząc w duchu rodziców i Romę.

— Przyjechali tutaj... robiąc w całej okolicy ogromne zamieszanie. Na litość boską, nie można się było nigdzie ruszyć, żeby ich nie spotkać. Wszędzie były te ich wiadra, łopaty... kopali ziemię, całkowicie rujnując kilka akrów parku... I po co to wszystko? Żeby odkopać rzymskie ruiny! „Pełno ich wszędzie w całym kraju — powiedziała pastorowi. — Nie są nam tu do niczego potrzebne”. Jedna z nich dziwnie skończyła... a może to nie był koniec. Kto to wie. W każdym razie zniknęła.

Poczułam mrowienie na karku. Zrozumiałam, że muszę bardzo uważać, żeby nie zdradzić się, co łączy mnie z osobą, o której mówiła.

— Zniknęła? — zapytałam szybko, udając zdziwienie.

— No tak. To bardzo dziwna historia. Widziano ją rano, tego dnia, kiedy zniknęła, a potem wszelki ślad po niej zaginął.

— Dokąd mogła wyjechać?

— Wielu ludzi chciałoby to wiedzieć. Nazywała się... Sylvia, pamiętasz, jak ona się nazywała?

Sylvia splotła swoje łopatkowate palce z obgryzionymi paznokciami tak mocno, że aż zbieleły jej kostki. Przez chwilę myślałam, że jej napięcie może świadczyć, iż coś wie o zniknięciu Romy. Potem zrozumiałam, że paraliżował ją raczej strach przed matką, najwyraźniej bała się, iż może nie znać odpowiedzi na pytanie, które jej zadała.

Okazało się jednak, że umiała na nie odpowiedzieć.

— To była panna Brandon... Panna Roma Brandon.

— Właśnie — żona pastora pokiwała głową zadowolona. — To jedna z tych kobiet do ena wyzbytych kobiecości — wstrząsnęła się z oburzenia. — Wykopaliska! Dla mnie to coś nienaturalnego. A to, co ją spotkało, to prawdopodobnie kara za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Tak mówią ludzie. Cokolwiek jej się przydarzyło, spotkało ją to za wścibstwo. To klątwa. Jej koledzy powinni wyciągnąć z tego wnioski.

— Ale oni już stąd wyjechali? — zapytałam.

— Tak, tak. To się zdarzyło tuż przed ich wyjazdem. Oczywiście, musieli przez to zostać nieco dłużej. Moim zdaniem ona utopiła się podczas kąpieli. Pewnie wciągnęły ją prądy. Kąpiele to taki nieprzyzwyczajony zwyczaj. I łatwo można się utopić. Ludzie powinni być ostrożniejsi. Tutejsi mieszkańcy uważają, że to zemsta jednego z tych rzymskich bogów lub ducha właściciela starożytnego willi. Może nie spodobało im się, że naruszono ich spokój i postanowili wziąć odwet. Pastor i ja usiłowaliśmy powiedzieć tym archeologom, że to, co robią, nie ma sensu, ale i tak kara, jaka na nich spadła, jest okrutna.

— Czy spotkała pani tę... kobietę, która zniknęła?

— Czy ją spotkałam? Och, nie. Nie spotykaliśmy się z tymi ludźmi, chociaż wiadomo mi, że rodzina Stacy była im dość przychylna. Sir William jest nieco dziwnym człowiekiem. Wie pani, to bardzo szacowna rodzina i oczywiście jesteśmy z nimi zaprzyjaźnieni. Ludzie naszego pokroju trzymają się razem w takich małych społecznościach, jak ta tutaj. Z uwagi na dziewczęta, widzimy się niemal codziennie. A przy okazji, nie jestem pewna, czy usłyszałam pani nazwisko.

— Nazywam się Caroline Verlaine.

Obserwowałam ją z niepokojem, zastanawiając się, czy skojarzy moją osobę z Romą. Chociaż Essie zapewniała mnie, że sir William nie wie, że jestem jej siostrą, obawiałam się, czy prasa nie napisała czegoś na temat naszego pokrewieństwa. Roma była przecież szwagierką Pietra, a on był sławnym artystą. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiłam. Moje nazwisko nic nie mówiło żonie pastora.

— Słyszałam, że jest pani wdową. Prawdę powiedziawszy, spodziewałam się kogoś dużo starszego.

— Owdowiałam rok temu.

— To bardzo, bardzo smutne. — Przerwała na chwilę, aby dać wyraz swojemu współczuciu. — Ja nazywam się Rendall... a to jest oczywiście panna Rendall, moja córka.

Skłoniłam lekko głowę i uśmiechnęłam się.

— Słyszałam, że ma pani wiele dyplomów.

— Tak, to prawda, mam dyplomy.

— To musi być bardzo przyjemne. Spuściłam głowę, by ukryć uśmiech.

— Allegra to niesforna dziewczyna, takie jest moje zdanie. Pastor mówi, że ona nie jest w stanie skupić się na żadnym problemie dłużej niż kilka sekund. To duży błąd, że pozwolili jej na naukę. Poza wszystkim, jest tylko dzieckiem służącej... To niesmaczne. Zresztą dom jest bardzo dziwny i dziwni są jego mieszkańcy... właściwie wcale nie są ze sobą spokrewnieni. Nie rozumiem też, dlaczego sir William kazał uczyć tę małą Alice Lincroft. Ale to dla odmiany bardzo spokojna dziewczynka. Chociaż uważam, że nie powinno się robić żadnego wyjątku. A ona jest traktowana na równi z innymi... Pozwoliliśmy Sylvii dołączyć do ich towarzystwa. — Kobieta wzruszyła ramionami. — Sytuacja jest bardzo trudna, ale skoro sir William tak zdecydował, co możemy zrobić?

Sylvia w napięciu przysłuchiwała się wywodom matki. Biedna mała! Najwyraźniej była jednym z tych dzieci, które odzywają się tylko wtedy, gdy są o to proszone. Po raz kolejny poczułam wdzięczność dla naszych rodziców.

— Kim jest Alice Lincroft?

— To córka gospodyni. Muszę powiedzieć, że pani Lincroft jest nader wyniosłą osobą. Służyła już w tej rodzinie przed swoim ślubem. Była kimś w rodzaju osoby do towarzystwa lady Stacy, potem wyjechała i wróciła ponownie, będąc już wdową... Wróciła z Alice. Dziecko miało wtedy nie więcej niż dwa latka... Tak więc dziewczynka prawie całe życie mieszka w Lovat Stacy. Oczywiście, nie byłoby to możliwe, gdyby nie była taka spokojna. Alice nie sprawia żadnych kłopotów, to nie to, co Allegra. Jeżeli zaś o nią chodzi, to na — prawdę jakaś straszliwa pomyłka. Któregoś dnia będą z tą dziewczyną kłopoty. Często powtarzam to pastorowi i on uważa podobnie.

— A co się stało z lady Stacy?

— Zmarła wiele lat temu... jeszcze przed powrotem pani Lincroft.

— Zdaje się, że będę miała jeszcze jedną uczennicę. Pani Rendall posłała mi wymuszony uśmiech.

— Edith Cowan, a właściwie teraz Edith Stacy. Muszę przyznać, że to zadziwiająca historia. Mężatka... biedactwo.

— Dlatego że wyszła za mąż? — zdziwiłam się.

— Za mąż! — parsknęła kobieta. — Powinna pani wiedzieć, że to bardzo osobliwy związek. Tak właśnie powiedziałam pastorowi i wciąż to będę powtarzać. Dla mnie, oczywiście, jasne jest, dlaczego sir William doprowadził do tego.

— Sir William? — Nie bardzo rozumiałam. — Czy młodzi nie mieli w tej sprawie nic do powiedzenia?

— Młoda damo, gdyby pomieszkała pani w Lovat Stacy chociaż jeden dzień, z pewnością zorientowałaby się pani, że jest tam tylko jedna osoba, która decyduje o wszystkim, i że tą osobą jest sir William. Wziął Edith na wychowanie, a teraz postanowił sprowadzić na powrót do domu Napiera i pożenić ich. — Pani Rendall ściszyła głos. — Niebawem pani tam zamieszka i prędzej czy później sama się pani zorientuje w sytuacji. Tylko pieniądze Cowanów mogły skłonić sir Williama do zawezwania Napiera do domu.

— Czyżby? — chciałam, aby mówiła dalej, ale pani Rendall zorientowała się chyba, że trochę się zagalopowała i zamilkła. Wyprostowała się, zacisnęła usta, dłonie złożyła na kolanach i wyglądała zupełnie jak anioł zemsty.

Pociąg kołysał się monotonnie, ja zaś próbowałam wymyślić jakiś pretekst, który skłoniłby żonę pastora do dalszych niedyskrecji. W pewnej chwili Sylvia poruszyła się niespokojnie.

— Już prawie dojeżdżamy, mamusiu.

— A więc jesteśmy — zawołała pani Rendall, zrywając się energicznie i zbierając paczki z półki. — Och, kochanie, doprawdy nie jestem pewna, czy te wełniane skarpetki mają odpowiedni wzorek dla córki pastora.

— Jestem przekonana, że tak, mamusiu. Przecież to ty je wybierałaś.

Przez chwilę przyglądałam się dziewczynce z uwagą. Czyżbym wyczuła w jej głosie ślad ironii? Jednak matka zdawała się tego nie zauważać.

— Proszę, weź to, kochanie.

Wstałam także i zdjęłam swoje walizki. Widziałam, że pani Rendall lustruje je wzrokiem, tak jak przedtem mnie.

— Jestem pewna, że ktoś po panią wyjdzie — powiedziała i pchnęła lekko córkę, wychodząc za nią na peron. Po chwili odwróciła się do mnie.

— Oczywiście, widzę panią Lincroft. — Machnęła ręką i zawołała dość ostro. — Pani Lincroft! Młoda dama, której pani szuka, jest tutaj.

Wysiadłam z wagonu i stanęłam wyczekująco, postawiwszy swoje dwie walizki na peronie. Żona pastora skinęła mi na pożegnanie głową i odkloniła się wyniośle idącej w moim kierunku osobie, a następnie udała się w stronę wyjścia.

— Pani Verlaine? — zapytała wysoka, szczupła kobieta, w wieku trzydziestu kilku lat. Kiedyś była zapewne bardzo ładna, ale teraz przypominała zasuszony między stronicami książki kwiat. Na głowie miała duży, słomkowy kapelusz z woalką, wiązany pod brodą. Widoczna pod pastelowym tiulem twarz była bardzo szczupła, nawet mizerna. Przyglądała mi się wielkimi, bladoniebieskimi oczami. Ubrana była na szaro, z wyjątkiem błękitnej bluzki, która podkreślała kolor jej oczu. Na pierwszy rzut oka wyglądała na osobę bardzo łagodną.

Przedstawiłam się.

— Ja jestem Amy Lincroft — powiedziała. — Gospodyni w Lovat Stacy. Na zewnątrz czeka bryczka. Pani bagaże zaraz zostaną zawiezione do domu.

Zawołała tragarza, któremu udzieliła wskazówek i już po pięciu minutach wychodziłyśmy ze stacji.

— Widziałam, że zawarła pani znajomość z żoną pastora.

— Tak, to dość dziwne, ale od razu domyśliła się, kim jestem.

— Być może to spotkanie wcale nie było przypadkowe. Wiedziała, że przyjeżdża pani akurat tym pociągiem i chciała panią poznać jako pierwsza.

— Jeżeli tak, to pochlebia mi, że zechciała podjąć taki wysiłek.

Wsiadłyśmy do bryczki i pani Lincroft ujęła w ręce lejce.

— Mieszkamy dobre dwie mile stąd — poinformowała mnie. — Właściwie prawie trzy. — Zauważyłam, że ma bardzo delikatne dłonie i długie, szczupłe palce. — Mam nadzieję, że lubi pani wieś.

Powiedziałam jej, że do tej pory mieszkałam wyłącznie w miastach i do wsi niewątpliwie będę musiała się przyzwyczaić.

— W dużych miastach?

— Wychowałam się w Londynie. Potem wyjechałam z mężem za granicę, a kiedy zmarł, wróciłam do Londynu.

Pani Lincroft milczała. Sama była wdową, więc pewnie wspominała swojego męża. Zaczęłam się zastanawiać, jak mógł wyglądać i czy była z nim szczęśliwa. Miałam przeczucie, że nie.

Bardzo różniła się od żony pastora, która w czasie podróży nie przestawała mówić i w krótkim czasie zasypała mnie całą masą informacji. Pani Lincroft wydawała się przy niej bardzo skrytą osobą.

Podczas jazdy wspomniała coś mgliście na temat Londynu, gdzie krótko mieszkała, a potem zmieniła temat. Opowiadała mi o wschodnich wiatrach, które są typowe dla nadmorskiego klimatu tej okolicy.

— Czasami wieją bardzo mocno. Mam nadzieję, że nie jest pani wrażliwa na chłód. Na szczęście tylko patrzeć, jak będzie wiosna, która tutaj jest cudowna. Podobnie zresztą jak lato.

Zapytałam ją o moje uczennice i pani Lincroft potwierdziła to, co już słyszałam. Miałam uczyć jej córkę, Allegrę i Edith, czyli panią Stacy.

— Pani Stacy i Alice to bardzo pilne uczennice. Allegra też się stara, ale czasami ponosi ją temperament, może jest też zbyt skłonna do figli. Ale myślę, że polubi je pani wszystkie.

— Nie mogę się już doczekać, kiedy je poznam.

— Zapewne już wkrótce, bo one także bardzo chciałyby się z panią spotkać. Wiała łagodna bryza i w powietrzu czułam słony zapach morza. Nieopodal drogi rozpoznałam rzymskie ruiny, przy których pracowała Roma.

— To są bardzo świeże wykopaliska — poinformowała mnie pani Lincroft. — Mieliśmy tu grupę archeologów, którym sir William zezwolił na prowadzenie prac. Potem zresztą bardzo tego żałował. Przybywały tu tłumy ludzi, aby przyjrzeć się ruinom, a poza tym zdarzył się pewien niepokojący wypadek. Może już pani o tym słyszała? Swego czasu wiele o tym pisano. Jedna osoba z ekipy archeologów zaginęła... w tajemniczych okolicznościach i do dziś nie wiadomo, co się z nią stało.

— Pani Rendall wspominała mi o tym.

— Wtedy wszyscy bardzo interesowali się tą sprawą i tylko o niej rozmawiano. Ludzie modlili się nawet... To nas bardzo poruszyło. Widziałam raz tę kobietę, która zaginęła. Przyszła na rozmowę z sir Williamem.

— A więc zniknęła — powtórzyłam. — Czy domyśla się pani, co mogło się z nią stać?

— Nie mam pojęcia — potrząsnęła głową. — To była taka miła, młoda dama. Nie rozumiem, jak mogła zrobić coś takiego.

— Co... takiego?

— Po prostu wyjść i nikomu nie powiedzieć ani słowa. Myślę, że tak właśnie się stało.

— Ależ ona nie zrobiłaby tego. Powiedziałyby coś swojej siostrze.

— Och... nie wiedziałam, że miała siostrę.

Zaczerwieniłam się. Jakaż ja byłam głupia. Jeżeli nie będę ostrożniejsza, wszystko się wyda.

— Albo bratu czy rodzicom — próbowałam ratować sytuację.

— Tak, to prawda — zgodziła się pani Lincroft. — Z pewnością tak powinna zrobić. To bardzo tajemnicza sprawa.

Zaniepokoiłam się, że wykazałam zbyt wiele zainteresowania sprawą zniknięcia Romy i na wszelki wypadek zmieniłam temat.

— Wydaje mi się, że czuję morze.

— O tak, zaraz je pani ujrzy. Zresztą nasz dom także.

Faktycznie, już po chwili zobaczyłam Lovat Stacy i ten widok ponownie mnie oczarował. Monumentalna brama wjazdowa wydała mi się równie wspaniała, jak za pierwszym razem. Podziwiałam zdobiące ją płaskorzeźby, gzymsy i doskonałe łuki.

— Jakie to piękne — wykrzyknęłam.

Moja towarzyszka wyglądała na zadowoloną. Ja zaś czułam coraz większe podniecenie. Wielki dom przyciągał mnie, ale jednocześnie budził niepokój. Boczne wieże obronne z blankami i machikułami zdawały się przestrzegać każdego, kto nieopatrznie przekroczył bramę i wszedł do środka. Oczami wyobraźni widziałam już na nich groty napiętych strzał i kusz, gotowych zaatakować wrogów tego domu.

Pani Lincroft zauważyła, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie siedziba rodu Stacy i uśmiechnęła się.

— My, mieszkając tu, przywykliśmy już do tego widoku i traktujemy to otoczenie jako coś zupełnie naturalnego.

— Ciekawa jestem, jak tu się mieszka.

— Niedługo sama się pani o tym przekona.

Byłyśmy już na zwirowej alejce, otoczonej z obu stron porośniętym mchem murem, która wiodła prosto do bramy wjazdowej. Gdy przejeżdżałyśmy pod jej łukiem, czułam, jak serce biło mi mocno z wrażenia. W bramie zauważyłam drzwi do pomieszczenia strażniczego, gdzie dawniej stali wartownicy, sprawdzający ludzi wjeżdżających na teren posiadłości. Zastanawiałam się, czy teraz też ktoś nas stamtąd obserwuje.

Pani Lincroft wjechała bryczką na brukowany dziedziniec i zatrzymałyśmy się.

— Są tu dwa dziedzińce — poinformowała mnie. — Niższy i wyższy. — Wyciągnęła rękę w kierunku zamykających go, czterech wysokich ścian. — Tam mieszka głównie służba — ciągnęła dalej. — Ruchem głowy pokazała mi sklepienie przejście, przez które widać było wiodące w górę kamienne schody. — Pokoje rodziny Stacy rozmieszczone są wokół górnego dziedzińca.

— Ileż tu miejsca — powiedziałam.

— Dopiero się pani przekona, jak wielki jest ten dom — zaśmiała się. — Tam są stajnie. Proszę wysiąść, odprowadzę bryczkę, a potem pójdziemy do domu i przedstawię panią członkom rodziny. Bagaże pewnie wkrótce przyjadą, a my tym czasie napijemy się herbaty. Zaczniemy od sali muzycznej, gdzie czekają na panią dziewczęta.

Zostałam sama na dziedzińcu. Wokół panowała głęboka cisza i niezmacony spokój. Zastanawiałam się, jak stare mogą być otaczające mnie mury. Czteryście, może nawet pięćset lat? Podniosłam głowę i zobaczyłam na ścianie płaskorzeźby dwóch strasznych chimer, rzucających mi groźne spojrzenia. Gotyckie ornamenty na ołowianych rynnach wydawały się niesłychanie delikatne przy tych groteskowych stworach. Dębowe drzwi nabijane były olbrzymimi gwoździami. Przyglądając się wychodzącym na dziedziniec oknom o ołowiowych szybach, myślałam o ludziach, którzy tu mieszkają.

Gdy stałam, całkowicie zafascynowana miejscem, w którym się znalazłam, ponownie ogarnęło mnie to samo, trudne do wytłumaczenia uczucie lęku. Nie wiedziałam dlaczego, ale nagle miałam

ochotę uciekać, wracać do Londynu i wysłać rozpaczliwy list do mojego nauczyciela muzyki, z prośbą, by dał mi jeszcze jedną szansę. Być może winę za mój ponury nastrój ponosiły te siejące grozę stwory na ścianach. Może sprawiła to panująca tam cisza, a może przytłaczająca atmosfera minionych wieków, która zrodziła w moim sercu obawę, że zostanę wciągnięta w jakieś zamierzone historie. Wyobraziłam sobie Romę, wchodzącą przez tę bramę i przemierzającą dziedziniec, aby zobaczyć się z sir Williamem i zapytać go, czy park i drzewa są dla niego ważniejsze niż starożytność. Biedna Roma. Czy gdyby jej wtedy odmówił, byłaby jeszcze z nami?

Wydawało mi się, że ten dom żyje swoim własnym życiem, podobnie jak kamienne płaskorzeźby. Czyżbym dostrzegła jakiś cień w oknie nad drugą bramą? Pani Lincroft powiedziała, że są tam pokoje rodziny Stacy. Być może moje uczennice były ciekawe, jak wygląda ich nowa nauczycielka, i postanowiły przyjrzeć mi się po kryjomu.

Nigdy dotąd nie byłam w tak starym domu. Tłumaczyłam sobie, że to zapewne cel, w jakim tu przybyłam, sprawił, że ogarnął mnie tak ponury nastrój.

— Romo — wyszeptałam. — Gdzie jesteś?

Wydawało mi się, że chimery za moimi plecami śmieją się ze mnie złośliwie. Coś mi mówiło, bym stąd uciekała, bo jeśli zostanę, spotka mnie tu nieszczęście. Miałam przeczucie, że tajemnica zniknięcia Romy w jakiś sposób łączy się z tym domem.

To zupełna niedorzeczność, upominałam samą siebie, usiłując zachowywać się racjonalnie jak Roma. Jakże śmiałyby się, słysząc moje obawy. Pietro zaś, o którym ciągle myślałam, uznałby to za bardzo romantyczne.

Wreszcie pojawiła się pani Lincroft i na jej widok mój zły nastrój prysnął.

Przecież przyjechałam tu głównie po to, by zarobić na życie i tylko przy okazji będę się starała znaleźć jakiś ślad Romy. Odetchnęłam z ulgą i postanowiłam traktować całą sytuację w sposób bardziej praktyczny i konkretny.

Pani Lincroft poprowadziła mnie przez drugą bramę, nad którą wyryto w kamieniu inskrypcję.

— Z trudem daje się odczytać — powiedziała moja przewodniczka, widząc, że przyglądam się napisowi. — „Bojaźń Boża i Honor Króla”.

— Szlacheckie sentymenty — zauważyłam.

— Proszę uważać na stopnie — uśmiechnęła się. — Miejscami są bardzo zniszczone.

Po dwunastu schodkach weszliśmy na górny dziedziniec. Był obszerniejszy, otoczony wysokimi ścianami z szarego kamienia. Biegnące po nich rynny ozdabiał podobny ornament jak niżej.

— Tędy, proszę — wskazała drogę pani Lincroft i otworzyła ciężkie drzwi.

Znalazłyśmy się w ogromnym, szerokim na sześćdziesiąt stóp holu o pięknym sklepieniu. Były tam cztery wielkie okna, ale ołowiowe szyby słabo przepuszczały światło i mimo wczesnego popołudnia w pomieszczeniu panował półmrok. W jednym końcu holu, na szerokim podium stał olbrzymi fortepian, w drugim zbudowano galerię dla muzyków. Obok galerii była klatka schodowa i dwa łukowato sklepione przejścia wiodące w głąb domu. Na białych ścianach wisiała kolekcja broni, a u podnóża schodów stała pięknie wypolerowana zbroja.

— Obecnie prawie nie używamy tego holu — objaśniła pani Lincroft. — Kiedyś urządzano tu bale i koncerty. Ale od śmierci pani Stacy i jej... Odkąd pani nie żyje, sir William rzadko pozwala sobie na rozrywkę. Czasami wydaje się tu uroczyste przyjęcia... ale teraz jest młoda pani i będziemy to robić częściej. Planujemy różne koncerty.

— Czy mam rozumieć, że ja...?

— Tak myślę.

Próbowałam wyobrazić sobie siebie, siedzącą przy fortepianie na podium. Już słyszałam w duchu szyderyczy śmiech Pietra. „A więc nareszcie jesteś koncertującą pianistką. Można

powiedzieć, że ta gratka trafiła ci się przez kuchenne drzwi... A dokładniej przez zamkową bramę”.

Pani Lincroft skierowała się w stronę schodów. Ruszyłam za nią, a gdy oparłam dłoń na drewnianej poręczy, zobaczyłam wyrzeźbione na niej smoki i inne budzące grozę, fantastyczne stwory.

— Jestem pewna — powiedziałam — że na świecie nigdy nie było zwierząt podobnych do tych. — Pani Lincroft posłała mi przemiły uśmiech. — Zastanawiam się — ciągnęłam dalej — czemu mieszkańcom tego domu tak bardzo zależy, by przerazić swoich gości. Ludzie, którzy chcą zastraszyć innych, z reguły sami są pełni lęku. Może to jest właściwa odpowiedź. Naprawdę muszą się czegoś bać... stąd te potwory z piekła rodem.

— Z pewnością miało to odstraszyć ewentualnych napastników.

— Jestem pewna, że w inny sposób można by osiągnąć dużo lepszy efekt. Proszę spojrzeć, na przykład na te długie cienie... one także, podobnie jak wyrzeźbione monstra, które są zbyt fantastyczne, żeby się ich bać, stwarzają atmosferę grozy.

— Jest pani bardzo wrażliwa na nastroje. Zapewne wolałaby pani, by ten dom nie był nawiedzany przez duchy. Jest pani przesadna?

— Zwykle każdy temu zaprzecza, dopóki nie zostanie wystawiony na próbę. A wtedy okazuje się, że większość z nas wierzy jednak w przesady.

— O miejscu takim jak to, gdzie od stuleci ludzie żyją w tych samych ścianach, krąży pełno różnych opowieści. Wy — starczy, że służący zobaczy swój własny cień, a już gotów jest przysięgać na wszystkie świętości, że widział ducha w prześcieradle. Nietrudno o to w takim domu.

— Nie sądzę, bym miała się bać własnego cienia.

— Pamiętam, jak się czułam, gdy przyjechałam tu po raz pierwszy. Stałam w tym właśnie holu, trzęsąc się ze strachu — wzdygnęła się na samo wspomnienie tamtej chwili.

— Okazało się pewnie, że strach ma wielkie oczy.

— W porę... znalazłam w tym domu... swoje miejsce. — Znowu zadrżała, jakby strząsała z siebie złe wspomnienia. — Myślę, że najpierw pójdziemy do sali muzycznej. Poproszę, żeby podano nam tam herbatę. Pewnie z przyjemnością napiłaby się pani czegoś ciepłego.

Szłyśmy galerią, w której wisały portrety przodków. Moją uwagę przyciągnęły wspaniałe tkaniny na ścianach. Zainteresowały mnie przedstawione na nich sceny i postanowiłam, że później obejrzę je dokładniej.

— Przedstawiam wam panią Verlaine — powiedziała pani Lincroft, otwierając jakieś drzwi.

Weszłam za nią do przestronnego pokoju, w którym czekały moje trzy uczennice. Tworzyły bardzo malowniczą grupę: jedna z dziewcząt siedziała na parapecie w niszy okiennej, druga przy stole, a trzecia stała odwrócona plecami do kominka.

Ta siedząca przy oknie wstała i ruszyła w moją stronę. Natychmiast ją rozpoznałam. Przypomniałam sobie, jak szła wzdłuż kościelnej nawy, prowadzona pod rękę przez pana młodego. Sprawiała wrażenie osoby bardzo nieśmiałej. Domyśliłam się, że wciąż czuje się niepewnie w roli pani tego domu. Rzeczywiście, wyglądała tak dziecinnie, że trudno było uwierzyć, że jest tu gospodynią.

— Miło mi panią poznać — powiedziała na przywitanie.

Mówiła tak, jakby wiele razy ćwiczyła tę kwestię. Wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją uścisnęłam. Trzymając przez kilka sekund jej delikatną i wątlą dłoń, poczułam dla niej współczucie.

— Cieszymy się bardzo, że pani już przyjechała — dodała dalej w ten sam, wystudiowany sposób.



Miała włosy koloru dojrzałej pszenicy. Były one iście królewską ozdobą. Niesforne loki wily się na białym czole i karku, i był to jedyny żywiolowy akcent w całej jej postaci.

Powiedziałam, że cieszę się ze swojego przyjazdu tutaj i nie mogę się już doczekać, kiedy zaczniemy pracę.

— Ja też bardzo chciałabym już zacząć naukę z panią — odrzekła uprzejmie i słodko się uśmiechnęła. — Allegro! Alice!

Allegra, która grzała się przy kominku, zbliżyła się do mnie energicznym krokiem. Jej grube, kręcone, czarne włosy były związane na karku czerwoną wstążką. Miała bladą cerę i czarne oczy, które patrzyły na mnie śmiało, a może nawet odrobinę wyzywająco.

— A więc będzie nas pani uczyć muzyki — powiedziała.

— Mam nadzieję, że macie na to ochotę — odparłam trochę szorstko, pamiętając słowa pani Rendall, że z tą dziewczyną mogę mieć kłopoty.

— A powinnam?

Więc jednak to była prawda.

— Jeśli chcesz się nauczyć grać na fortepianie, to zapewne tak.

— Nie jestem pewna, czy mam ochotę uczyć się czegośkolwiek... a już najmniej tego, czego mogą mnie nauczyć nauczyciele.

— Gdy dorosisz i zmądrzejesz, być może zmienisz zdanie.

Mój Boże, pomyślałam, to zły znak, że tak szybko dałam się sprowokować do słownej przepychanki.

Odwrociłam się, aby spojrzeć na trzecią dziewczynę, która siedziała przy stole.

— Alice, przywitaj się z panią Verlaine — poleciła pani Lincroft.

Jej córka posłusznie podeszła do mnie i ukloniła się. Wydawało mi się, że jest w tym samym wieku co Allegra. Obie mogły mieć po dwanaście, trzynaście lat, chociaż Alice była drobniejsza i wyglądała na trochę młodszą. Rzuciła się w oczy jej schludność, którą podkreślał jeszcze biały fartuszek zawiązany na szarej sukni z gabardyny. Miała poważną jak na swój wiek twarz i długie, jasnokasztanowe włosy, które opadały na plecy, przytrzymywane niebieską opaską.

— Alice z pewnością będzie pilną uczennicą — zapewniła mnie jej matka.

— Będę się starała — potwierdziła dziewczynka, uśmiechając się niepewnie. — Ale Edith... to znaczy pani Stacy... jest naprawdę wspaniała.

Spojrzałam na Edith, która zaczerwieniła się gwałtownie.

— Mam nadzieję, że pani Verlaine będzie podobnego zdania — powiedziała.

— Zamówiłam na górę herbatę — wtrąciła pani Lincroft. — Pomyślałam, że zechce pani tu zostać...

— Prosimy bardzo — zwróciła się do mnie Edith. — Chciałabym jeszcze z panią porozmawiać.

Zauważyłam, że dziewczynki były trochę speszzone, jakby wciąż jeszcze nie przywykły do traktowania Edith jako pani tego domu.

Herbatę podano w brązowym glinianym dzbanie, a mleko w porcelanowym kubeczku, podobnym do tego, którego używano w naszym rodzinnym domu. Służąca przykryła stół obrusem i ustawiła tacę z ciastkami oraz chleb i masło.

— Może powiecie pani Verlaine, czego się do tej pory nauczyłyście — zaproponowała pani Lincroft.

— Chętnie się tego dowiem.

— Czy to prawda, że rekomendowała panią panna Elgin? — zapytała Allegra.

— Zgadza się.

— A więc była pani jej uczennicą.

— Tak.

Dziewczyna kiwała głową z uśmiechem, jakby znajdowała coś niestosownego w fakcie, że byłam kiedyś uczennicą. Zaczynałam rozumieć, że Allegra lubiła wprawiać ludzi w zakłopotanie. Mało mnie to w zasadzie obchodziło, gdyż najbardziej interesowała mnie Edith. I wcale nie dlatego, że ta młodziutka osóbką była panią tego domu, ale dlatego że dojrzałam w niej artystyczną duszę. Czułam to, widząc, jak się zmienia, gdy mówi o muzyce. Jej twarz zaczynała wtedy promieniować ciepłym blaskiem, nabierała pewności siebie.

Weszła służąca, aby powiedzieć, że sir William prosi panią Lincroft.

— Dziękuję, Jane. Powiedz panu, że już idę. Alice, gdy skończycie herbatę, pokażesz pani Verlaine jej pokój.

— Tak, mam — przytaknęła dziewczynka.

Po wyjściu pani Lincroft atmosfera w salonie zmieniła się. Zastanawiałam się później, dlaczego tak się stało. Pani Lincroft sprawiała wrażenie kobiety niezwykle delikatnej, chociaż stanowczej. Nie sądziłam jednak, że ma taki wpływ na te młode dziewczęta, zwłaszcza na pełną temperamentu Allegrę.

— Spodziewaliśmy się kogoś starszego od pani — oznajmiła Allegra, gdy tylko zostałyśmy same. — A pani wcale nie wygląda na wdowę.

Trzy pary oczu bacznie mi się przyglądały.

— Owdowiałam zaledwie w kilka lat po wyjściu za mąż — wyjaśniłam cierpliwie.

— Na co zmarł pani mąż? — wypytywała dalej Allegra.

— Może pani Verlaine nie chce o tym mówić — zauważyła taktownie Edith.

— Co za nonsens! — wypaliła Allegra. — Wszyscy lubią mówić o śmierci.

Spojrzałam na nią, unosząc ze zdziwieniem brwi.

— To prawda — upierała się Allegra. — Popatrzcie na panią Cook. Za każdym razem, gdy ktoś ją poprosi, a nawet i bez tego, opowiada z najdrobniejszymi detalami o śmierci swojego nieodżałowanego, tak nazywa zmarłego męża. Mam wrażenie, że po prostu tym żyje. To bzdura, że ludzie nie lubią mówić o śmierci, moim zdaniem uwielbiają to.

— Być może pani Verlaine odczuwa to inaczej niż pani Cook — zauważyła Alice, której głos był bardzo dziecinny i niepewny. Biedactwo, pomyślałam o niej. Jako córka osoby nadzorującej służbę nie mogła się równać z pozostałymi dziewczętami, chociaż pozwalano jej razem z nimi uczyć się muzyki.

— Mój mąż zmarł na atak serca — zwróciłam się do niej. — To może się zdarzyć w każdym wieku. Oczywiście, niektórzy są na to szczególnie narażeni. Przytrafia się to ludziom, którzy dużo pracują, przeżywają stresy...

— Może powinnyśmy zmienić temat — zaproponowała Edith. — Czy lubi pani uczyć i jak wielu uczniów pani miała?

— Bardzo lubię uczyć, pod warunkiem że uczniowie odwzajemniają mój wysiłek... W przeciwnym razie nie znajduję w tym żadnej przyjemności. Mam już w tym spore doświadczenie.

— Jak powinni to odwzajemniać? — zapytała Allegra.

— Czy powinni pokochać grę na fortepianie? — dopytywała się Edith.

— Właśnie tego oczekuję — potwierdziłam. — Jeżeli kochasz muzykę, jeżeli chcesz przekazać innym tę przyjemność, jaką muzyka daje tobie, będziesz grała wspaniale i będziesz czerpała z tego radość.

— Nawet jeśli ktoś nie ma talentu? — nieśmiało zapytała Alice.

— Jeśli ktoś nie ma talentu, musi dużo pracować i rozwijać swoje umiejętności. Osobiście wierzę, że każdy od urodzenia obdarowany jest muzyczną wrażliwością. Proponuję, abyśmy zaczęły naukę już od jutra. Posłucham, jak gracie i zobaczymy, która z was ma prawdziwy talent.

— Czemu pani tu przyjechała? — Allegra kontynuowała zadawanie bezpośrednich pytań. — Czym zajmowała się pani wcześniej?

— Dawałam lekcje.

— A czy starzy uczniowie nie będą za panią tęsknić?

— Nie miałam ich tak wielu.

— No dobrze, ale my jesteśmy tylko trzy. Poza tym to nie jest zbyt szczęśliwe miejsce dla ludzi.

— Co masz na myśli?

Allegra spojrzała porozumiewawczo na pozostałe dziewczęta.

— Niedawno byli tu tacy, co prowadzili wykopaliska w naszym parku. To byli...

— Archeologowie — pośpieszyła z pomocą Alice.

— Właśnie. Ludzie mówią, że nie powinno się zakłócać spokoju zmarłym. Umarli odeszli i nie życzą sobie, by ktoś odkopywał ich groby czy domostwa. Ludzie mówią też, że zmarli rzucają klątwę, jeżeli ktoś zakłóca im spokój. Czy pani w to wierzy?

— Nie, to przesady. Rzymianie budowali przepiękne domy i jestem pewna, że chcieliby, żebyśmy wiedzieli, jak byli zdolni, zaawansowani technologicznie.

— Czy pani wie — zapytała Alice — że Rzymianie ogrzewali domy za pomocą rur, przez które przepływała gorąca woda? Powiedziała mi to ta młoda pani, która nie żyje. Bardzo lubiła, kiedy zadawałyśmy jej pytania na temat wykopalisk.

— Alice zawsze stara się być dla każdego miła — powiedziała Allegra. — To dlatego, że jest córką naszej gospodyni i wydaje jej się, że powinna tak postępować.

Zmarszczyłam brwi na taką obcesowość i spojrzałam na Alice przyjaźnie, aby ją utwierdzić, że dla mnie takie sprawy nie mają najmniejszego znaczenia.

— A więc, aby sprawić przyjemność... archeologom, udawałyście zainteresowanie wykopaliskami?

— Ależ my naprawdę się tym interesowałyśmy — upierała się Alice. — Panna Brandon dużo nam opowiadała o Rzymianach, którzy żyli tu przed wiekami. Ale kiedy usłyszała o klątwie, przestraszyła się. Niestety, ta klątwa jednak ją dopadła.

— Powiedziałaś, że panna Brandon się przestraszyła?

— Odniosłam takie wrażenie. Powiedziała mi: „Nasza praca to zakłócanie spokoju zmarłym. Nie dziwi mnie, że mogą spaść na nas ich klątwy”.

— Zapewne miała na myśli plotki, jakie ludzie powtarzają.

— Myślę, że jednak się tym przejmowała — wtrąciła Allegra. — To podobnie jak z wiarą. Na ludzi z Biblii spadały klątwy, ponieważ nie wierzyli. Może więc to działa także w drugą stronę, to znaczy, może panna Brandon zginęła, ponieważ wierzyła.

— Uważasz, że jeżeli nie wierzyłaby w klątwę, nie zginęłaby? — zapytałam.

Przez moment w sali muzyki panowała cisza.

— Dopiero wtedy, gdy panna Brandon zaginęła, pomyślałam o tym, że się bała — powiedziała Alice. — Łatwo to sobie wyobrazić, gdy wydarzy się coś takiego.

Alice bez wątplenia była mądrą dziewczynką. Trochę przeszkadzała mi jej uległość, ale może to właśnie świadczyło o jej rozsądku. Wyobraziłam sobie, jak traktowała ją Allegra, gdy były same. Zapewne często spotykały ją w życiu przykrości — była w sytuacji osoby, której ofiarowano dach nad głową i na pozór te same przywileje, co dwóm pozostałym dziewczynkom, w zamian za wykonywanie drobnych prac służebnych i konieczność akceptowania lekceważącego stosunku ze strony tych, którzy uważali się za coś lepszego. Czułam sympatię dla Alice i miałam wrażenie, że odwzajemnia mi się tym samym.

— Alice ma wybujałą wyobraźnię — oświadczyła drwiącym tonem Allegra. — Pastor Rendall powtarza to za każdym razem, gdy czyta jej wypracowania.

Alice zaczerwieniła się.

— To bardzo pozytywna ocena — oświadczyłam, uśmiechając się do dziewczynki. — Bardzo się cieszę, że będę cię uczyć gry na fortepianie.

Wszedł lokaj z informacją, że moje bagaże zaniecono do żółtego pokoju, w którym mam mieszkać.

— Czy chciałaby pani pójść tam teraz? — zapytała Alice, gdy tylko mu podziękowałam.

— Bardzo chętnie.

Dziewczynka wstała, a ja wywnioskowałam, że do obowiązków wyższej rangą służby, do której zaliczała się Alice, należało odprowadzanie gości do ich pokoi.

— Pozwoli pani, że wskażę jej drogę — zaproponowała mi uprzejmie i skierowała się do wyjścia.

— To miejsce od wielu lat jest twoim domem — zagadnęłam ją po drodze, chcąc nawiązać rozmowę.

— Tak naprawdę nie pamiętam żadnego innego. Mama przyjechała tu ze mną, gdy miałam dwa lata.

— Ta siedziba zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

— To wspaniały dom, naprawdę. Nigdy nie chciałabym się stąd wyprowadzić.

— Kto wie, może zmienisz zdanie, gdy dorosniesz. Poślubisz kogoś, kto będzie dla ciebie ważniejszy niż pobyt tutaj.

Alice zatrzymała się na schodach i spojrzała na mnie przestraszonym wzrokiem.

— Mam nadzieję, że wolno mi będzie tu pozostać i być osobą do towarzystwa dla Edith.

Westchnęła i ruszyła w górę schodów. Wyczułam w jej głosie ton rezygnacji i natychmiast wyobraziłam ją sobie najpierw jako młodą damę, później dojrzałą kobietę, a wreszcie starszą panią, nie będącą ani członkiem rodziny ani nie należącą do służby, o której przypominano sobie w trud — eh chwilach. Mała Alice, gotowa na każde zawołanie, nikomu niepotrzebna, chyba że trzeba wykonać jakieś nieprzyjemne obowiązki.

Dziewczynka odwróciła się nagle i uśmiechnęła do mnie.

— Ja naprawdę niczego więcej nie oczekuję — wzruszyła ramionami. — Kocham ten dom. Jest tu tyle interesujących rzeczy.

— Nie wątpię.

— Tak — powiedziała z zapałem. — W jednym z pokoi nocował król. Prawdopodobnie był to Karol I, który przybył tu w czasie wojny domowej. Myślę, że bał się jechać do zamku w Dover i dlatego postanowił zatrzymać się tutaj. Znajduje się tam teraz apartament nowożeńców. Podobno tam straszy, ale pan Napier się tym nie przejmuje. Inni ludzie boją się duchów. Edith także. Ona jest wręcz przerażona... ale Edith często się boi. Pan Napier uważa, że dla własnego dobra powinna zmierzyć się z tym, co ją przeraża. Musi się nauczyć odwagi.

— Chętnie dowiem się czegoś więcej na ten temat — powiedziałam w nadziei, że opowie mi o Napierze i jego młodziutkiej żonie, ale Alice zaczęła mi opisywać ich apartament.

— To jeden z największych w tym domu. Przecież królowi należało oddać najwspanialsze pomieszczenie, nieprawdaż? Jest tam ceglany kominek, który bardzo podoba się pastorowi. Pastor bardzo lubi stare rzeczy... stare domy, stare meble... wszystko, co jest stare.

Szłyśmy galerią, bardzo podobną do tej na dole i w pewnym momencie Alice zatrzymała się przed jakimiś drzwiami.

— Mama wybrała ten pokój dla pani. Nazywamy go żółtym, z powodu zasłon i dywanów. Poza tym narzuta na łóżku też jest żółta. Proszę spojrzeć.

Otworzyła drzwi i odsunęła się na bok. Gdy weszłam do środka, najpierw zobaczyłam stojące na parkiecie walizki, a zaraz potem żółte kotary w olbrzymich oknach, a także dywan i narzutę w

takim samym kolorze. Łóżko było zwieńczone baldachimem, wspartym na czterech filarach. Pokój był bardzo wysoki, a z sufitu zwisał wspaniały żyrandol. Pomimo dużych okien we wnętrzu panował półmrok, gdyż tutaj też, tak jak i w innych pomieszczeniach, szyby z ołowiowego szkła pochłaniały większość światła dziennego. Pomyślałam, że to naprawdę wspaniały apartament dla kogoś, kto został tu zatrudniony jedynie do nauki muzyki. Jak w takim razie musiał wyglądać ten, który zajmował Napier i w którym nocował król?

— Tu obok jest niewielkie pomieszczenie, które służy jako toaleta. Może go pani też używać jako garderobę. Czy pomóc się pani rozpakować?

Podziękowałam jej za pomoc, gdyż chciałam zrobić to sama.

— Proszę zobaczyć, jaki piękny stąd widok — powiedziała Alice i podeszła do okna. Stałam obok niej. Za doskonale utrzymanymi trawnikami widać było jodłowy zagajnik, a dalej białe klify morskiego nabrzeża.

— Podoba się pani? — odwróciła się i spojrzała na mnie.

— Uważam, że jest niezwykle malowniczy.

— Jest wspaniały, jak wszystko tutaj. Chociaż okoliczni ludzie mówią, że ten dom jest przeklęty.

— Dlaczego? Czy z powodu tej młodej kobiety, która zginęła w tajemniczych okolicznościach, gdy...

— Myśli pani o kobiecie, która prowadziła te wykopaliska? Ona tak naprawdę nie miała nic wspólnego z tym domem.

— Ale znałaś ją, a ona pracowała bardzo blisko rezydencji.

— Nie myślałam o niej.

— A więc zdarzyło się coś jeszcze?

— Gdy zginął starszy syn sir Williama, wszyscy mówili, że to z powodu tego przekleństwa.

— Myślałam, że Napier jest jego jedynym synem.

— Napier jest młodszym synem sir Williama. Tamten nazywał się Beaumont. Mówiono na niego Beau. To do niego pasowało, bo wie pani, on był bardzo piękny. A potem zginął... Napier musiał opuścić dom i nie było go tu aż do czasu, gdy przyjechał poślubić Edith. Sir William nigdy nie przebolewał śmierci starszego syna, podobnie jak straty lady Stacy.

— W jaki sposób zginął? Czy to był wypadek?

— To mógł być wypadek. Ale niekoniecznie — Alice położyła palec na ustach. — Mama prosiła mnie, abym nigdy z nikim o tym nie rozmawiała.

Słyszając to, nie chciałam jej o nic pytać, ale dziewczynka sama mówiła dalej.

— Moim zdaniem, właśnie dlatego ludzie nazywają ten dom nieszczęśliwym. Mówią, że jest nawiedzany... przez Beau. Nie wiem tylko, czy mają na myśli prawdziwego ducha, który krąży tu nocami, czy chodzi im raczej o to, że mieszkańcy tego domu nie mogą zapomnieć o Beau. Ale w obu wypadkach możemy mówić o nawiedzeniu. Mama mogłaby się na mnie rozgniewać, gdyby dowiedziała się, że rozmawiałam o tym z panią. Proszę jej nic nie mówić i zapomnieć o wszystkim, dobrze?

Patrzyła na mnie prawie błagalnie i wyglądała na tak przejętą, że oczywiście obiecałam jej nikomu o tym nie wspominać i w ogóle wyrzucić to ze swojej pamięci.

— Mamy dziś znakomitą widoczność — zmieniła temat. — Nie da się, co prawda, dostrzec wybrzeża Francji, ale jeśli ma pani dobry wzrok, może pani zobaczyć Goodwin Sands. To znaczy, nie tyle same piaski, ile zakopane w nich wraki statków. — Wyciągnęła przed siebie rękę, a ja spojrzałam w tamtym kierunku.

— Widzę coś, co wygląda jak sterczące patyki.

— To właśnie to... nic więcej stąd nie widać. To są maszty statków, pochwyconych przez piaski. Pewnie słyszała pani o tych piaskach. Ruchome piaski... Statki wpadają w nie jak w pułapkę i nie mogą się wydostać. Tkwią tam jak w żelaznym uścisku... Powoli toną w lotnych piaskach.

— To okropne! — zawołałam.

— Prawda? Te maszty sterczą tam ku przestrodze. Gdy powietrze jest czyste, widać je wyraźnie. Na morzu pływa latarniowiec, aby ostrzegać inne statki przed niebezpieczeństwem. Będzie pani mogła zobaczyć w nocy, jak błyska światłami. Niestety, piaski nadal chwytają nowe ofiary.

Odwrociłam się od okna.

— Pewnie chce się pani rozpakować — stwierdziła Alice. — Przypuszczam, że będzie pani jadła z mamą i ze mną. Zapytam mamę, o której godzinie jest najbliższy posiłek. Myślę, że potem będzie chciał się z panią zobaczyć sir William. Przyjdę tu za godzinę.

Wyszła, zostawiając mnie samą. Zaczęłam wyjmować rzeczy z toreb, rozmyślając o pani Lincroft, jej córce Alice, o Allegrze, która zapewne będzie sprawiała sporo kłopotów, o bladziutkiej Edith, młodej małżonce Napiera, i o duchu Beau, chłopca, który zginął w wypadku i, jak wierzą tutejsi ludzie, wciąż nawiedza to miejsce.

Wysłuchiwałam się w szum morskich fal, pamiętając o masztach sterczących wśród zdradliwych piasków.

\* \* \*

Po piętnastu minutach wszystko było już rozpakowane. Zdażyłam się też odświeżyć i byłam gotowa do dalszych zajęć. Rozejrzałam się po pokoju, zwracając uwagę na szczegóły, których wcześniej nie zauważyłam. Żółte brokatowe tkaniny, wiszące na ścianach, wyglądały na bardzo stare, o czym świadczyły liczne przetarcia. W rogu pokoju zauważyłam alkowę, do której prowadziło łukowate przejście, a na ścianach kinkiety ze świecami. Jeszcze raz podeszłam do okna, chcąc nasycić wzrok malowniczym widokiem iglastego zagajnika i morskiego wybrzeża. Próbowałam też wypatrzeć maszty zasypanych statków, ale tym razem były niewidoczne.

Miałam jeszcze trzy kwadransy do przyjścia Alice, postanowiłam więc pospacerować po ogrodzie.

Włożyłam płaszcz i przypominając sobie drogę, wyszłam na górny dziedziniec. Minęłam sklepienie przejście i zbiegłam po kamiennych stopniach. Znalazłam się na szerokim tarasie, prowadzącym na trawniki obsadzone kwiatami, które zapewne wspaniale wyglądały późną wiosną i latem. Tu i ówdzie zauważyłam skalne ogródki z białymi gęsiówkami i niebieskimi żagwinami. Widok był zachwycający.

Wokół prawie nie było drzew, z wyjątkiem kilku niskich cisów, które wyglądały na bardzo stare, jakby rosły tu od wieków. Liczne krzewy forsycji obsypane już były żółtymi kwiatami, które wyglądały jak promienie słońca. Jest wczesna wiosna, pomyślałam, więc dopiero za kilka tygodni ten ogród zachwyci mnie pełnią barw.

Klucząc między krzakami, doszłam do niewielkiej bramy porośniętej bluszczem. Przeszłam na drugą stronę i znalazłam się w kwadratowym ogrodzie, otoczonym kamiennym murem. Pośrodku połyskiwała niewielka sadzawka, porośnięta liliami wodnymi, nad którą stały dwie drewniane ławki. Miejsce to oczarowało mnie i wyobraziłam sobie natychmiast, że latem będę tu przychodzić w przerwach między lekcjami. Chociaż zamierałam codziennie ćwiczyć z każdą z dziewcząt, to układając w myślach wstępny plan zajęć, przewidywałam, że będę mieć trochę czasu dla siebie. Wspominano jeszcze, że mam grać dla sir Williama. Czego się mogę po tym spodziewać?

Wyobraziłam sobie, jak siedzę przy fortepianie na podium i daję koncert dla zgromadzonej publiczności.

Pospacerowałam trochę po ogrodzie i wróciłam na taras. Gdy przechodziłam znowu przez kamienną bramę, mój wzrok zatrzymał się na koszmarnych chimerach i pomyślałam, że łatwo mogę zgubić drogę.

Wracając na górny dziedziniec, zatrzymałam się przy stajniach. Kamienne bloki, służące kobietom do wsiadania na konie, były bardzo zniszczone, co wskazywało, że używano ich od wieków. Zatrzymałam się przy nich na chwilę i wtedy właśnie zauważyłam Napiera Stacy. Wychodził właśnie ze stajni, prowadząc konia za uzdę. Poczułam się dziwnie skrępowana, że zaskoczył mnie na wędrowce po posiadłości i najchętniej usunęłabym się z pola jego widzenia. Niestety, było już na to za późno, bo Napier także mnie zobaczył.

Zatrzymał się zdziwiony, jakby zastanawiając się, kto śmiał wejść do jego królestwa. Wysoki, szczupły, stał na szeroko rozstawionych nogach; wojowniczy i pełen arogancji. Zrobiło mi się żal delikatnej i kruchej Edith, która poślubiła takiego człowieka. Biedne dziecko, pomyślałam. Czuję, że go nie lubię. Patrzyłam na jego grube, ciemne brwi, wysoko uniesione nad budzącymi strach, błękitnymi oczami i zastanawiałam się, skąd wzięły się takie oczy w ciemnej twarzy tego mężczyzny. Miał dość długi nos, lekko zadarty i zbyt wąskie usta. Wyglądał, jakby szydził sobie z całego świata. Tak, z pewnością nie wzbudził mojej sympatii.

— Dzień dobry — odezwałam się pierwsza zaczepnie, co wydawało mi się najwłaściwszą postawą w kontaktach z takim człowiekiem.

— Nie pamiętam, abym miał przyjemność... — ostatnie słowo wymówił z wyczuwalną drwiną, dając do zrozumienia, że myśli coś wręcz odwrotnego, a zresztą może tak mi się tylko wydawało.

— Jestem nauczycielką muzyki. Dopiero przyjechałam.

— Nauczycielka muzyki? — Uniósł w górę grube brwi. — A tak, pamiętam. Coś o tym słyszałem. A więc przyszła pani na inspekcję stajni?

Rozgniewał mnie tym stwierdzeniem.

— Nie miałam zamiaru tu przychodzić — rzuciłam sucho. — Znalazłam się tu przypadkowo.

Zakołysał się lekko i spojrzał na mnie jakoś inaczej. Nie byłam pewna, czy to dobrze czy źle.

— Nie widziałam w tym nic złego, planując spacer po okolicy — dodałam.

— Czy ktoś mówił, że jest coś złego w takim niewinnym postanowieniu?

— Myślałam, że może pan... — dalej brnęłam w tych niezręcznych wyjaśnieniach. Zauważyłam, że go to bawiło, tak, najwyraźniej bawiło go moje zmieszanie.

— Myślałam, że może ma pan coś przeciwko temu — dokończyłam twardo.

— Nie przypominam sobie, abym powiedział coś takiego.

— A więc, skoro tak, będę kontynuować spacer.

Ruszyłam przed siebie, usiłując wyminąć od tyłu jego konia. W ułamku sekundy Napier znalazł się przy mnie. Chwytał mnie brutalnie za ramię i pociągnął w bok, dosłownie w tej samej chwili, gdy koń z całej siły wierzgnął tylną nogą. Oczy Napiera płonęły, a jego twarz wyrażała wściekłość.

— Dobry Boże, co pani wyprawia?

Spojrzałam na niego z oburzeniem. Wciąż ścisnął mnie za ramię, jego twarz była tak blisko mojej, że wyraźnie widziałam białka oczu i błysk mocnych, białych zębów.

— Co pan...

— Moja dobra kobieto — przerwał mi ostro. — Czy nie wie pani, że nie wolno podchodzić do konia od tyłu? Mógł panią zabić uderzeniem kopyta... A w najlepszym wypadku ciężko zranić.

— Nie wiedziałam...

Puścił moje ramię i poklepał konia po zadzie. Jego twarz powoli się uspokajała. Cóż za uprzejmość, pomyślałam. Bardziej interesuje się koniem niż wścibską nauczycielką muzyki!

Po chwili znowu spojrzął na mnie.

— Radzę nie spacerować w pobliżu stajni bez opieki, panno...

— Pani — sprostowałam z godnością. — Nazywam się Verlaine. — Spodziewałam się, iż wiadomość o tym, że jestem mężatką, zrobi na nim wrażenie, ale puścił to mimo uszu.

— Na Boga, proszę tu więcej nie przychodzić, jeżeli zamierza się pani tak głupio zachowywać. Koń słysząc ruch z tyłu, wierzga w samoobronie. Nigdy więcej niech pani tego nie robi.

— Domyślam się, że mi pan przypomina, bym panu podziękowała.

— Przypominam, by wykazywała pani w przyszłości więcej zdrowego rozsądku.

— Jest pan bardzo miły. Dziękuję, że uratował mi pan życie... chociaż odbyło się to w taki sposób.

Zauważyłam, że się uśmiechnął, ale nie miałam ochoty dłużej przebywać w jego towarzystwie. Poszłam dalej i dopiero po kilku krokach zauważyłam, że cała się trzęsę.

Wciąż czułam na ramieniu jego silny uścisk i spodziewałam się, że siniaki jeszcze długo będą mi przypominały o tym incydencie. Skąd mogłam wiedzieć, że ten jego wściekły koń zamierza wierzgnąć? Zdrowy rozsądek, dobrze mu tak mówić. Na szczęście są tu tacy, którzy bardziej interesują się ludźmi niż końmi. Przypomniałam sobie wyraz jego twarzy, gdy patrzył na swojego konia, a potem całkowitą zmianę, gdy spojrzął na mnie! Nie lubiłam go. Pamiętałam Edith, gdy szła trzymając go pod rękę wzdłuż kościelnej nawy. Bała się go. Co to musiał być za mężczyzna, by tak przerazić tę dziewczynę? Mogłam się tylko domyślać i miałam nadzieję, że nie będę musiała zbyt często spotykać pana Napiera Stacy. Najchętniej w ogóle wyrzuciłabym go ze swojej pamięci. Pietro na pewno by nim gardził. Ta jego buńczuczność... męskość, a nawet samczość... z pewnością by go irytowała. Filistyn, tak by go określił Pietro, stworzenie o duszy pozbawionej muzyki.

Muszę czym prędzej wyrzucić go ze swoich myśli, to pewne.

Bez trudu udało mi się znaleźć drogę do mojego pokoju. Podeszłam do okna i spojrzałam na morze. Jednak zamiast szarozielonej wody wciąż widziałam przeszywające, błękitne oczy Napiera Stacy.

A potem przyszła pani Lincroft i powiedziała, że sir William prosi mnie do siebie.

\* \* \*

Gdy tylko zobaczyłam sir Williama, od razu dostrzegłam podobieństwo między nim a Napierem. Te same niebieskie, przenikliwe oczy, długi, jastrzębi nos, wąskie usta. Przede wszystkim zaś identyczny wyraz twarzy, oznaczający wyzwanie dla całego świata, świadczący o niezachwianej pewności siebie, a nawet arogancji.

Po drodze pani Lincroft uprzedziła mnie, że sir William jest częściowo sparaliżowany na skutek ataku apopleksji, który przeżył rok temu. Poruszanie się sprawiało mu ogromne trudności. Powoli różne fakty zaczynały mi się układać w logiczną całość i zrozumiałam, że choroba ojca była jednym z powodów, dla których pozwolono Napierowi wrócić do domu.

Sir William siedział na krześle, a w zasięgu jego ręki leżała laska, której gałka wyłożona była lapis lazuli. Miał na sobie wytworny szlafrok z granatowym aksamitnym kołnierzem i takimi samymi mankietami. Było coś tragicznego w widoku tego wysokiego, postawnego mężczyzny unieruchomionego chorobą. W przeszłości zapewne był tak samo silny i męski jak jego syn. Okna zasłaniały na wpół zasunięte, grube aksamitne zasłony, zaś sir William siedział zwrócony do nich plecami, jakby unikając nawet tej odrobiny światła, które przez nie wpadało. Podłogę pokrywał gruby dywan, doskonale tłumiący odgłos moich kroków. Pokój umeblowany był ciężkimi



meblami: wielki, stojący zegar z pozłacanego brązu, inkrustowane biurko, stoły i krzesła, wszystko to sprawiało dość przygnębiające wrażenie.

— Sir Williamie, przedstawiam panu Caroline Verlaine — oznajmiła pani Lincroft spokojnym głosem.

— Ach tak, pani Verlaine. — Jego drżący i niepewny głos wydał mi się wzruszający. Zdawałam sobie sprawę, prawdopodobnie po spotkaniu z jego synem, jak wielkie spustoszenie poczyniła w tym człowieku choroba. — Zechce pani usiąść.

Pani Lincroft natychmiast ustawiła mi krzesło na wprost sir Williama, tak blisko, że domyśliłam się, iż jego wzrok także był bardzo słaby.

— Ma pani bardzo dobre kwalifikacje — powiedział, gdy tylko usiadłam. — Bardzo mnie to cieszy. Uważam, że pani Stacy jest obdarzona pewnym talentem. Chciałbym, aby go rozwijała. Sądzę, że nie miała pani jeszcze okazji, by to stwierdzić...

— Nie — potwierdziłam. — Ale zdążyłam już porozmawiać z dziewczętami.

— Gdy tylko dowiedziałem się, kim pani jest, natychmiast się panią zainteresowałem.

Serce zabiło mi mocniej. Jeżeli dowiedział się, że jestem siostrą Romy, z pewnością domyślił się, po co tu przyjechałam.

— Nigdy nie miałem szczęścia być na koncercie pani męża — mówił dalej — ale wiele słyszałem o jego niezwykłym talencie.

Oczywiście, chodziło mu o Pietra. Jestem zbyt nerwowa.

— Był wielkim pianistą — potwierdziłam, usiłując ukryć emocje, jakie wciąż odczuwałam, wspominając męża.

— Z pewnością pani Stacy nie jest aż tak utalentowana.

— Bardzo niewielu spośród żyjących pianistów mogłoby się z nim równać — powiedziałam z dumą.

Sir William pochylił głowę w szacunku dla Pietra.

— Od czasu do czasu poproszę panią, aby zagrała pani coś dla mnie — mówił dalej. — To będzie należało do pani obowiązków. Podobnie jak gra dla naszych gości.

— Rozumiem.

— Teraz chciałbym usłyszeć, jak pani gra.

Pani Lincroft natychmiast pojawiła się u mego boku.

— Fortepian jest w sąsiednim salonie — powiadomiła mnie. — Znajdzie pani tam również utwory, które wybrał sir William.

Odśloniła ciężką kotarę, za którą ukryte były drzwi. Otworzyła je, a ja podążyłam za nią. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam po wejściu do pokoju, był olbrzymi fortepian. Instrument był otwarty, a na stojaku przygotowano nuty. Salon umeblowany był takimi samymi meblami jak pokój, w którym przyjął mnie sir William. Tu również panował półmrok.

Podeszłam do fortepianu i spojrzałam na nuty. Było to „Dla Elizy” Beethovena. Znałam ten utwór na pamięć i uważałam, że to jedna z najpiękniejszych kompozycji, jaką kiedykolwiek stworzono.

Pani Lincroft kiwnęła głową, a ja zasiadłam do fortepianu i zaczęłam grać. Ogarnęło mnie wzruszenie, gdyż muzyka ta przypomniła mi Pietra i nasz dom w Paryżu. Pamiętam, co mówił o tym utworze: „Romantyczny... wciągający... tajemniczy. Grając go, nie sposób się pomylić. Jednocześnie łatwo można się zasugerować, że jest się wielkim pianistą”.

Grałam więc, muzyka uspokajała mnie i zupełnie zapomniałam o tym starym mężczyźnie, siedzącym w sąsiednim pokoju, podobnie jak o tym młodym, którego spotkałam przy stajni. Tak właśnie działała na mnie muzyka. Są we mnie dwie osoby: muzyk i kobieta. Ta druga jest praktyczna, może trochę nieśmiała w wyzwaniach rzucanych życiu. Już raz została zraniona i nie

chciała doświadczyć tego ponownie. Skrywała więc swoje uczucia i emocje, bojąc się ich i udając, że w ogóle nie istnieją.

Natomiast moja natura muzyka jest przepelniona emocjami i uczuciami. Za każdym razem, gdy gram, doznaję wrażenia, jakbym przenosiła się do innego świata, jakbym dostępowała łaski zrozumienia czegoś, co nie jest przeznaczone dla zwykłych ludzi. Gdy grałam, czułam, że ten pokój, przez długi czas ciemny i smutny, stał się ponownie pełny życia, że zagościło w nim coś, za czym od dawna wszyscy tęsknili. Niewiarygodne, to prawda, ale muzyka nie należy do naszego codziennego świata. Wielcy muzycy czerpią swoje inspiracje z boskiego natchnienia... i chociaż nie uważam się za wybitną postać, bez wątpienia jestem muzykiem.

Skończyłam grać i czary ustały. Czułam, że zagrałam „Dla Elizy” tak dobrze jak nigdy dotąd. Gdyby mój mistrz mógł mnie usłyszeć, na pewno byłby ze mnie zadowolony.

W pokoju obok panowała kompletna cisza. Wciąż siedziałam przy fortepianie, czekając na jakiś znak. Ponieważ jednak nic się nie działo, uniosłam kotarę na drzwiach i zajrzałam do salonu. Sir William spoczywał z zamkniętymi oczami na krześle, przechylony do tyłu. Pani Lincroft, która stała tuż za oparciem, podeszła do mnie na palcach.

— To było bardzo piękne — wyszeptala. — Pan był głęboko wzruszony. Czy trafi pani sama do swojego pokoju?

Potaknęłam i wyszłam. Po drodze zastanawiałam się, czy to muzyka tak mocno podziałała na sir Williama. W każdym razie pani Lincroft uznała, że lepiej będzie, jeżeli przy nim zostanie. Jakimż oparciem jest dla niego ta kobieta, jej oddanie to coś więcej niż wypełnianie obowiązków zwykłej gospodyni! Nic dziwnego, że pan Stacy pragnie się jej odwdzięczyć, zapewniając Alice możliwość pobierania nauk wspólnie z pozostałymi dziewczętami.

Rozmyślając o sir Williamie, pani Lincroft i oczywiście o Napierze Stacy, usiłowałam przypomnieć sobie drogę powrotną do swojego pokoju, co wcale nie okazało się łatwe. Dom był wprost nieprawdopodobnie duży i wydawało mi się, że wiele korytarzy, a także klatek schodowych, jest do siebie bardzo podobnych. Po pewnym czasie nie miałam już cienia wątpliwości, że się zgubiłam.

Podeszłam do jakichś drzwi i otworzyłam je, zastanawiając się, czy przechodząc dalej, trafię do tej części domu, gdzie mieszkam. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam po wejściu do środka, był dzwonek na służbę. Pomyślałam, że najprościej będzie, jeśli zadzwonię i poczekam, aż przyjdzie ktoś, kto pomoże mi znaleźć drogę powrotną.

Rozglądając się po wnętrzu, poczułam nagle, że jest w nim coś dziwnego. Była to jakaś wyreżyserowana naturalność, wrażenie, że jego mieszkaniec przed chwilą stąd wyszedł. Na stole leżała otwarta książka. Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że był to klaser ze znaczkami. Obok na krześle ktoś położył szpicrutę. Na ścianach wisiały obrazy, przedstawiające żołnierzy różnych formacji. Moją uwagę zwrócił wiszący nad kominkiem portret młodego mężczyzny. Gdy przyjrzałam mu się lepiej, zauważyłam, że było to dzieło bardzo wysokiej klasy. Przedstawiony mężczyzna miał kasztanowe włosy, zdumiewająco błękitne oczy, długi, jastrzębi nos i zniewalający uśmiech. Był to z całą pewnością jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich widziałam w życiu. Oczywiście domyśliłam się, kogo przedstawiał. Pięknego brata Napiera, który zginął w młodym wieku i w którego pokoju właśnie się znajdowałam. Poczułam lęk, gdyż zdałam sobie sprawę, że nie powinnam tu wchodzić. Nie potrafiłam jednak oderwać oczu od twarzy na płótnie. Obraz namalowano w ten sposób, że oczy mężczyzny zawsze podążały za patrzącym. Gdy oddalałam się od niego, cofając się w stronę drzwi, błękitne oczy uważnie mnie obserwowały, wydając się raz smutne, to znowu wesołe.

— Ha, ha — usłyszałam nagle za plecami skrzekliwy chichot, który przyprowadził mnie o ciarki na plecach. — Szuka pani Beau?

Odwróciłam się i przez chwilę miałam wrażenie, że widzę przed sobą dziewczynkę. Dopiero później zauważyłam, że osoba ta wcale nie była młoda. Miała około siedemdziesięciu lat. Ubrana była w dziewczęcą, błękitną batystową sukienkę, a wokół nadgarstka miała przewiązaną satynową szarfę w tym samym kolorze. Siwe włosy spięte były po obu stronach przedziałka w kucyki, ozdobione błękitnymi kokardami. Plisowana spódniczka bardziej pasowałaby do Edith niż do stojącej przede mną staruszki.

— Tak — powtórzyła jakby nieśmiało. — Szuka pani Beau. Wiem o tym, więc proszę nie zaprzeczać.

— Jestem nową nauczycielką muzyki — wyjaśniłam.

— Wiem. Wiem o wszystkim, co dzieje się w tym domu. Ale to nie zmienia faktu, że szuka pani Beau.

Przyjrzałam się jej dokładniej. Miała drobną twarz w kształcie serca, malutki nosek, przypominający nos kota. Domyśliłam się, że w młodości była niezwykle piękna. Musiała też być bardzo kobieca, co niewątpliwie zdecydowała się podkreślać nawet w podeszłym wieku. Świadczyła o tym suknia i kokardy. Jej błękitne oczy patrzyły na mnie z pewną złośliwością, błyszcząc wśród siatki zmarszczek jak dwa topazy.

— Właśnie przyjechałam — wyjaśniałam dalej. — Próbowałam...

— Znaleźć Beflu — dokończyła moje zdanie. — Wiem, że właśnie pani przyjechała i chciałam się z panią spotkać. Oczywiście, słyszała już pani o Beau. Wszyscy o nim słyszeli.

— Byłabym wdzięczna, gdyby powiedziała mi pani, z kim mam przyjemność.

— Naturalnie, naturalnie. Jaka ze mnie zapominalska — zachichotała. — Myślałam, że może wie pani, kim jestem... skoro słyszała pani o Beau. Jestem Sybil Stacy, siostra Williama. Mieszkam w tym domu od urodzenia, dużo widziałam i wiem dokładnie, co tu się dzieje.

— Jest więc pani w doskonałej sytuacji. Spojrzała na mnie ostro.

— Jest pani wdową — powiedziała. — A więc jest też pani kobietą doświadczoną. Poślubiła pani tego słynnego pianistę, nieprawdaż? I on umarł. To bardzo smutne. Śmierć jest smutna. My też mieliśmy śmierć w tym domu...

Usta zaczęły jej drżeć i myślałam, że zaraz się rozplacze. Ale ona nagle się rozpogodziła, zmieniając nastrój tak szybko, jak dziecko.

— Ale teraz wrócił Napier. Ożenił się z Edith i niedługo będą mieli dzieci. To wszystko zmieni na lepsze. Dzieci zawsze przynoszą radość. — Spojrzała na portret. — Może wtedy Beau odejdzie.

Jej twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej.

— On nie żyje, prawda? — zapytałam delikatnie.

— Zmarli nie zawsze odchodzą. Czasami decydują się zostać. Nie są w stanie oderwać się od tych, z którymi żyli. Zdarza się, że to miłość ich zatrzymuje... albo nienawiść. Beau wciąż tu jest. Nieszczęśnik, nie może spocząć w pokoju. Życie było dla niego takie łaskawe. Miał wszystko. Urodę, wdzięk, błyskotliwą inteligencję. Gdy grał na fortepianie, słuchaczom płynęły łzy po policzkach. Beau miał naprawdę wszystko. A więc to zrozumiałe, że wcale nie chciał opuszczać tego życia, które było tak doskonałe.

— Być może tam znalazł jeszcze większą doskonałość.

Pokręciła głową i zaczęła wiercić stopą, tak jak robią to małe dzieci.

— To byłoby niemożliwe — powiedziała zagniewanym tonem. — Beau nigdzie nie byłby szczęśliwsza niż tu... ani na ziemi, ani w niebie. Jak pani myśli, dlaczego musiał umrzeć?

— Być może dlatego, że nadszedł jego czas — zasugerowałam. — To się zdarza... kiedyś i teraz. Młodzi Judzie umierają. — Jak Pietro, Roma, pomyślałam i poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

— Jakież on był piękny — westchnęła staruszka. Wzniosła oczy, patrząc na portret tak, jakby przedstawiał wizerunek boga. — To on... za życia. Wygląda identycznie. Nigdy nie zapomnę tego dnia. Krew... krew...

Jej twarz znowu się zmarszczyła.

— Proszę o tym nie myśleć. Jeszcze teraz mocno to pani przeżywa.

Podeszła do mnie i zauważyłam, że w jej błękitnych oczach nie było już cienia smutku. Dostrzegłam w nich natomiast jakąś chytrą.

— Spisano oświadczenie dotyczące jego śmierci. Lekarz nalegał. Powiedział, że to nie była wina Napiera. Bawili się pistoletami... jak to chłopcy. „Ręce do góry, bo będę strzelał” — zawołał Napier. A Beau odpowiedział: „Dosięgnę cię pierwszy”. Tak przynajmniej twierdził Napier. Nikt inny tego nie widział. Bawili się w zbrojowni. Beau sięgnął po swój pistolet, ale Napier wypalił pierwszy. Powiedział później, że nie mieli pojęcia, iż broń może być nabita. Niestety okazało się, że była.

— To straszny wypadek.

— Wszystko się potem zmieniło.

— Ale to był wypadek.

— Szybko wyrabia sobie pani opinię. Przepraszam, ale nie dosłyszałam pani nazwiska...

— Verlaine.

— Będę teraz pamiętać. Nigdy nie zapominam nazwisk. Nigdy też nie zapominam twarzy. A więc, jest pani bardzo pewna swego. Nie było tu pani wtedy. Skąd więc ta pewność, co się wydarzyło?

— Oczywiście, nie wiem wszystkiego — powiedziałam — ale mogę sobie z łatwością wyobrazić dwóch chłopców, bawiących się bronią. Łatwo wtedy o wypadek. Takie sytuacje niejednokrotnie się już zdarzały.

— Napier był zazdrosny o Beau — wyszeptala konspiracyjnym tonem staruszka. — Wszyscy o tym wiedzieli. Nie mogło być inaczej. Beau był taki przystojny, taki uzdolniony. Lubił rywalizować z Napierem.

— A zatem wcale nie był taki wspaniały — stwierdziłam dość ostro. Sama nie rozumiałam, dlaczego bronie Napiera. Powinam raczej być po stronie tamtego chłopca, zamiast tłumaczyć zachowanie aroganckiego mężczyzny, którego poznałam przy stajni.

— To taka chłopięca gra. On był jeszcze bardzo dziecinny — A Napier, to zupełnie inny charakter.

— To znaczy?

— Trudny. Wszystko robił po swojemu. Zawsze miał własne zdanie. Nie chciał się uczyć grać na fortepianie.

— Czy w tym domu zawsze przywiązywano wagę do muzyki?

— Ich matka pięknie grała. Tak dobrze jak pani. Tak, słyszałam pani grę. Miałam wrażenie, że to Isabella do nas wróciła. Mogła być wspaniałą pianistką. Tak o niej mówiono. Ale gdy wyszła za mąż, jej kariera się skończyła. William sobie tego życzył. Chciał, aby grała tylko dla niego. Pani to rozumie, prawda?

— Nie — zaprzeczyłam z przekonaniem. — Moim zdaniem powinna kontynuować naukę. Gdy ktoś jest obdarzony talentem, nie powinien go marnować.

— Isabella też tak uważała. Bardzo cierpiała z tego powodu.

Ogarnęło mnie współczucie dla tej kobiety, chociaż znałam ją tylko z opowieści. Wyrzekła się kariery artystycznej w imię małżeństwa... podobnie jak ja.

Cały czas czułam na sobie przenikliwy wzrok dziwnej staruszki.

— Zdradzę pani sekret — powiedziała nagle, kierując spojrzenie na portret. — To ja go namalowałam.

— A więc jest pani artystką.

Złożyła ręce na plecach i pokiwała głową.

— To fascynujące! — dodałam.

— O, tak! To moje dzieło.

— Czy pozował pani przed śmiercią?

— Pozował! On nigdy mi nie pozował. Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł zmusić Beau do pozowania. I po co miałby mi pozować? Znałam go doskonale. Widziałam go oczyma duszy... tak jak widzę go teraz. Nie musiał mi pozować. Maluję tylko tych, których znam.

— To duża sztuka.

— Chciałaby pani zobaczyć inne moje portrety?

— Z przyjemnością.

— Isabella była świetną pianistką, ale nie jedyną artystką w tym domu. Przejdźmy do mojego apartamentu. Całe życie w nim mieszkam. Był czas, gdy myślałam, że się stąd wyprowadzę. Miałam wyjść za mąż... — Skrzywiła usta jak do płaczu. — Ale nic z tego nie wyszło... Mieszkam więc tu nadal. To jest mój dom i trzymam tam swoje obrazy...

— Tak mi przykro — powiedziałam.

— Być może panią też kiedyś namaluję — uśmiechnęła się do mnie. — Ale muszę panią dobrze poznać. Wtedy będę wiedziała, jak zrobić pani portret. Proszę za mną.

Ta drobna, niewysoka kobieta zaczynała mnie fascynować. Zgrabnie odwróciła się i pobiegła przed siebie, a ja z trudem nadążałam za migającymi mi przed oczami czarnymi, satynowymi pantofelkami. W jej uśmiechu było coś łobuzerskiego. Zachowywała się jak pełna werwy, mała dziewczynka, co w połączeniu z pooraną zmarszczkami twarzą czyniło ją niezwykle intrygującą, a nawet powiedziałabym, tajemniczą. Byłam bardzo ciekawa, co znajdzie w jej pokoju i czy rzeczywiście była autorką wiszącego nad kominkiem portretu Beau.

Szłyśmy po schodach i przemierzałyśmy nie znane mi korytarze. W pewnym momencie staruszka spojrzała przez ramię.

— Teraz już chyba na dobre straciła pani orientację. Zgodziłam się z nią, ale wyraziłam nadzieję, że uda mi się na czas wrócić do swojego pokoju.

— Na czas — powtórzyła szeptem. — Być może. Ale czas to nie wszystko. Mówią, że czas leczy rany, ale to nieprawda. Nic nie odpowiedziałam, nie chcąc wdawać się z nią w tego typu dyskusję.

Wreszcie dotarłyśmy do zajmowanej przez nią części domu. Rozradowana pokazała mi trzypokojowy apartament mieszczący się w potężnej wieży.

— Pokoje tworzą zamknięte koło — zakreśliła dłonią krąg powietrza. — Można chodzić w kółko, jeden pokój prowadzi do następnego i może pani zawsze wrócić do punktu wyjścia. Czy to nie jest niezwykle? Ale przede wszystkim chciałabym pokazać pani moją pracownię. Okna wychodzą na północ. Dla malarza najważniejsze jest światło. Zapraszam do środka, pokażę pani swoje prace.

W pomieszczeniu, do którego weszłyśmy, okna były znacznie większe niż w pozostałych partiach budynku. Północne światło rzeczywiście operowało silnie i Sybil Stacy wyglądała w nim na swoje siedemdziesiąt lat. Kokardy i błękitna, dziewczęca sukienka z szarfą podkreślały jeszcze siatkę zmarszczek na jej twarzy, wypuklały też brązowe plamy na kościstych dłoniach. Pokójumeblowano bardzo skromnie. Ściany zawieszono obrazami, a w kącie stały nie oprawione płótna. Na stole leżała paleta, obok rozstawiono sztalugi, na których zauważyłam nie dokończony portret trzech dziewcząt. Staruszka spostrzegła, że przyglądam się tej pracy.

— Aha — powiedziała konspiracyjnym tonem. — Proszę podejść bliżej.

Stanęłyśmy przed obrazem, który przedstawiał złotowłosą Edith, Allegrę z gęstymi, czarnymi lokami i schludnie ubraną Alice, której długie, kasztanowe włosy podtrzymywała biała przepaska. Czułam, że Sybil czeka na moją reakcję.

— Poznaje je pani?

— Oczywiście. Podobieństwo jest doskonale uchwycone.

— Są bardzo młode — stwierdziła kobieta. — Ich twarze niewiele jeszcze mówią.

— Młode... niewinne... niedoświadczone...

— Nic nie można z nich wyczytać — powtórzyła. — Ale ktoś, kto je zna, dostrzec może to, co starają się ukryć przed światem. Nie sądzi pani, że na tym właśnie polega talent artysty? Zobaczyć to, co ludzie za wszelką cenę usiłują ukryć.

— Być może właśnie to sprawia, że ludzie boją się artystów.

— Że ich unikają — zaśmiała się wysokim, dziewczęcym głosem. Poczulałam się niepewnie. Czyżby usiłowała odgadnąć także moje sekrety? Czy domyślała się burzliwych dziejów mojego małżeństwa? A może przejrzała moje plany, dotyczące odnalezienia śladów Romy?

— Wszystko zależy od tego — powiedziałam — czy ktoś ma coś do ukrycia.

— Nie uważa pani, że każdy ma coś do ukrycia? To może być nawet drobiazg... ale zwykle jest to coś bardzo osobistego. Starsi ludzie są dużo bardziej interesujący niż młodzi. Natura to wielki artysta. Wymalowuje ludziom na twarzach opowieści, które pragnęliby ukryć.

— Natura oddaje także przyjemne strony ich życia.

— Jest pani optymistką. Widzę to. Jest pani bardzo podobna do tej młodej kobiety, która przyjechała tu na... wykopaliska.

— Podobna do... — zaczęłam z duszą na ramieniu.

— William nie chciał się zgodzić, aby tutaj kopano, ale ona bardzo nalegała. Nie dałaby mu spokoju, więc w końcu zrezygnował. Przyszli tu, szukając pozostałości po Rzymianach.

— Spotkała ją pani?

— O, tak. Chciałam wiedzieć, co się dzieje.

— Czy to ta sama kobieta, która nagle zniknęła?

Pokiwała głową.

— Wie pani dlaczego? — zapytała.

— Nie.

— Naruszyła spokój zmarłych. Oni tego nie lubią.

— Kto?

— Zmarli, którzy tu kiedyś mieszkali. Nie odeszli stąd na zawsze... wrócili.

— Myśli pani o Rzymianach?

— Umarli — powiedziała. — Są tu cały czas. — Podeszła do mnie i wyszeptała: — Moim zdaniem Beau nie jest zadowolony, że Napier wrócił. Wiem, że tak jest. Powiedział mi to.

— Beau... powiedział pani!

— W snach. Byliśmy bardzo blisko ze sobą. To był mój malutki chłopczyk. Mogłam mieć takiego synka, jak on. Doskonale go sobie wyobrażałam... byłby podobny do Beau. Wszystko było dobrze, dopóki Napier nie wrócił. William miał rację, że go stąd odesłał. Dlaczego miałby zostać, skoro Beau odszedł. To nie byłoby uczciwie. Ale teraz wrócił i źle się stało. Proszę chwilę poczekać.

Podeszła do płócien ustawionych pod ścianą i wyjęła jedno z nich. Odwróciła je i to, co zobaczyłam, przeraziło mnie. Był to portret mężczyzny, przedstawionego w całej postaci, o twarzy zniekształconej wściekłością, haczykowatym nosie, zmrużonych oczach i ustach wykrzywionych w okrutnym grymasie. Rozpoznałam w nim Napiera.

— Poznaje pani? — zapytała.

— Ależ on tak nie wygląda — upierałam się.

— Namalowałam go zaraz po tym, jak zamordował swojego brata.

Poczułam oburzenie. W imieniu tamtego chłopca, przekonywałam się w duchu. Sybil patrzyła na mnie z uśmiechem.

— Widzę, że jest pani po jego stronie. Nie zna go pani jednak. To zły człowiek. Był zazdrosny o brata, o pięknego Beau. Chciał mieć to, co miał on... a więc go zabił. To do niego podobne. Wiem o tym. Inni też wiedzą.

— Jestem pewna, że są i tacy...

— Skąd u pani ta pewność? — przerwała mi. — Co pani może o tym wiedzieć? Myśli pani, że skoro William pozwolił mu wrócić i poślubić Edith... William to twardy mężczyzna. Wszyscy mężczyźni w tej rodzinie byli twardzi... oprócz Beau. Beau był piękny i dobry. I dlatego musiał zginąć. — Odwróciła twarz. — Proszę mi wybaczyć. Przeżywam to wciąż na nowo. Nigdy tego nie zapomnę.

— Rozumiem. Bardzo dziękuję, że pokazała mi pani te obrazy. Ale na mnie już czas. Muszę wrócić do siebie, bo Alice zapewne na mnie czeka.

— Mam nadzieję, że któregoś dnia uda mi się pokazać pani resztę prac.

— Będę bardzo wdzięczna.

— Spotkamy się niebawem? — zapytała, prosząc jak dziecko.

— Jeżeli tylko mnie pani zaprosi.

Pokiwała głową z zadowoleniem i pociągnęła za sznurek dzwonka. Po chwili weszła służąca i odprowadziła mnie do pokoju.

Alice rzeczywiście na mnie czekała.

— Chciałam tylko potwierdzić, że zje pani dziś kolację z mamą i ze mną. Przyjdę po panią o siódmej.

— Dziękuję.

— Wygląda pani na zmęczoną. Jak przebiegła rozmowa z sir Williamem?

— Myślę, że dobrze. Grałam dla niego i mam wrażenie, że mu się podobało. Ale potem nie mogłam trafić do swojego pokoju i spotkałam pannę Stacy.

Alice uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Ona jest trochę... dziwna. Mam nadzieję, że nie wprowadziła pani w zakłopotanie.

— Zaprosiła mnie do swojej pracowni.

— To do niej niepodobne — Alice wyglądała na zaskoczoną. — Widziała pani jej obrazy?

— Widziałam portret pani Stacy, twój i Allegry.

— Naprawdę? Nie wiedziałam, że nas maluje. Jak się pani podobał?

— Znakomicie uchwycone podobieństwo.

— Chciałabym go zobaczyć.

— Z pewnością będzie chciała ci go pokazać.

— Czasami zachowuje się trochę dziwnie. To dlatego, że nie miała szczęścia w miłości. A przy okazji, nie zauważyła pani niczego szczególnego w naszych imionach?

— W waszych imionach?

— W imionach pani uczennic.

— Edith, Alice i Allegra. Może Allegra brzmi dziwnie.

— No tak. Ale mam na myśli wszystkie trzy razem. Pochodzą z pewnego wiersza. Bardzo lubię poezję, a pani?

— Niektóre wiersze, tak. Skąd zatem są te imiona?

— Z wiersza Longfellowa. Mogę pani zacytować fragment? Znam to na pamięć.

— Oczywiście.

Alice stanęła przede mną z rękami założonymi do tyłu i mrużąc oczy recytowała:

*Siedzę w gabinecie i widzę w świetle lampy  
Poważną Alice, wesołą Allegrę  
I złotowłosą Edith.  
Słyszę szepty, a zaraz potem zapada cisza:  
Ja jednak wiem, patrząc w ich roześmiane oczy,  
Że zamawiają się i planują  
Mnie czymś zaskoczyć.*

Gdy skończyła, spojrzała na mnie z uśmiechem. — Rozumie pani? Wesoła Allegra, złotowłosa Edith i ja, poważna Alice. To właśnie my.

— I naprawdę planujecie kogoś czymś zaskoczyć? Wciąż uśmiechała się niewinnie.

— Wydaje mi się, że każdy z nas może kogoś kiedyś zaskoczyć, nie uważa pani?



### *Rozdział 3*

Kolację zjadłam w towarzystwie pani Lincroft i Alice. Pani Lincroft sama przygotowywała posiłki w kuchni przylegającej do jej niewielkiego apartamentu, składającego się z salonu i sypialni.

— W czasach, gdy rodzina Stacy prowadziła bardziej aktywne życie towarzyskie, było to rozwiązanie korzystniejsze, a ja przyzwyczaiłam się i teraz też często sama gotuję — wyjaśniła mi. — Nie sprawiam kłopotów służbie, a poza tym lubię gotować. Będzie mi bardzo miło, jeżeli zechce pani ze mną jadać. Alice zwykle zapraszana jest przez sir Williama, ale od czasu do czasu będzie także nam towarzyszyć. Panią zapewne także spotka zaszczyt spożywania posiłków z rodziną.

Kolacja była bardzo smaczna i upłynęła w miłej atmosferze. Alice w milczeniu przysłuchiwała się naszej rozmowie, a ja utwierdzałam się w przekonaniu, że jest bardzo poważną dziewczynką.

Pani Lincroft opowiadała mi o chorobie sir Williama i o tym, jak bardzo się zmienił od ataku apopleksji, który przeżył rok temu.

— Lady Stacy często grywała dla niego na fortepianie. Wydaje mi się, że gdy pan Napier wrócił do domu, sir Williamowi przypomniały się dawne czasy i zapragnął, aby dom znowu rozbrzmiewał muzyką.

Jakże mocno musiał kochać swoją żonę, skoro po jej śmierci przez wiele lat nie mógł słuchać muzyki, która tak boleśnie mu ją przypominała.

— Sytuacja powoli zmienia się na lepsze — kontynuowała pani Lincroft. — Niewątpliwie powodem tego jest małżeństwo pana Napiera i Edith. — Uśmiechnęła się. — Ten dom wkrótce powróci do normalności. Cieszę się też, że pan Napier od razu po powrocie zajął się zarządzaniem majątkiem. To bardzo energiczny człowiek, a poza tym świetny jeździec. Wszędzie jeździ konno. Ma pieczę nad całą posiadłością i doskonale sobie daje radę. Nawet sir William musiał to przyznać.

Słuchałam jej z zainteresowaniem, ale w pewnej chwili pani Lincroft uznała, że nie powinna wtajemniczać mnie tak szczegółowo w sprawy rodziny Stacy.

— Dołożyć pani jeszcze ciasta? — zapytała, zmieniając temat.

Podziękowałam, chwając wyborne wypieki.

— Jeździ pani konno? — zapytała.

— Obie z siostrą nauczyłyśmy się jazdy konnej, ale jeździłyśmy dość rzadko. Mieszkając w Londynie, nie ma się wielu możliwości, by się w tym doskonalić. Na prowincji to co innego. Poza tym nasze zainteresowania poszły w zupełnie innym kierunku.

— Czy pani siostra także jest muzykiem?

— Och, nie... nie... — Przez chwilę milczałam, nie wiedząc, co powiedzieć. Tak łatwo mogłabym się zdradzić. Zastanawiałam się, jaka byłaby reakcja pani Lincroft, gdyby się dowiedziała, że jestem siostrą kobiety, która zaginęła tu w tajemniczych okolicznościach.

— Nasz ojciec był profesorem. Siostra pomagała mu w pracy naukowej.

— Pochodzi pani z bardzo wykształconej rodziny — zauważyła.

— Moi rodzice mieli bardzo nowoczesny stosunek do kształcenia dzieci i dopilnowali, abyśmy zdobyły tak gruntowną wiedzę, jakbyśmy były chłopcami. Może stało się tak dlatego, że nie mieli synów. Kto wie, jak potoczyłyby się nasze losy, gdybyśmy miały braci.

— Chciałabym zdobyć takie wykształcenie, jak pani i siostra — odezwała się nagle Alice. — Pewnie wolałaby pani być teraz z nią niż z nami.

— Moja siostra nie żyje — odparłam szybko. Zauważyłam, że Alice miała zamiar mnie o coś zapytać, ale pani Lincroft spojrziała na nią wymownie i dziewczynka Powstrzymała się.

— Tak mi przykro — powiedziała jej matka. — To bardzo smutne.

Zapadła pełna współczucia cisza. Przerwałam ją pytając, czy dziewczynki dobrze sobie radzą na koniach.

— Panu Napierowi bardzo zależy, żeby Edith dużo jeździła. Co rano wyjeżdżają wspólnie na przejażdżki. Na pewno zrobiła ogromne postępy.

— Wręcz przeciwnie — wtrąciła Alice. — Jeździ coraz gorzej, bo się boi.

— Boi się? — zdziwiłam się.

— Edith jest bojaźliwa, a pan Napier chce na siłę nauczyć ją odwagi — wyjaśniła Alice. — Moim zdaniem Edith powinna raczej truchtać na starym, poczciwym Silverze niż dosiadać tego wspaniałego konia, który wybrał dla niej pan Napier.

Pani Lincroft ponownie zgromiła córkę spojrzeniem, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy jej powaga i małowówność nie wynikają z tego, że jest zdominowana przez matkę.

Gdy skończyłyśmy kolację, spędziłam jeszcze godzinkę w towarzystwie pani Lincroft, rozmawiając o tym i owym. Potem skorzystałam z jej sugestii, że miniony dzień był dla mnie bardzo męczący i udałam się do swojego pokoju. Położyłam się do łóżka, ale długo nie mogłam zasnąć. Natłok wrażeń z całego dnia spowodował, że pomimo zmęczenia, nie byłam śpiąca. Niepokoiłam się, czy podołam czekającym mnie obowiązkom. Uspokoiliam się dopiero, gdy doszłam do wniosku, że jeśli dobrze rozplanuję sobie pracę, z pewnością uda mi znaleźć nawet czas na wypoczynek.

\* \* \*

Następnego dnia przyniesiono mi śniadanie do pokoju. Właśnie zabierałam się do jedzenia, gdy zapukała Edith, pytając, czy może wejść.

Wyglądała bardzo ładnie w granatowym stroju do konnej jazdy i czarnym kapelusiku.

— Wybierasz się na przejażdżkę? — zapytałam. Zauważyłam, że wzdrygnęła się na moje pytanie. Z całą pewnością nie należała do osób, które umieją ukrywać uczucia.

— Jeszcze nie teraz — powiedziała — ale później mogę nie mieć czasu, by się przebrać. Chciałabym porozmawiać z panią o naszej nauce.

— Oczywiście.

— Mogłybyśmy też wybrać się razem z wizytą na plebanię, gdzie uczą się dziewczęta. Powinna się pani zorientować w rozkładzie ich lekcji, by ułożyć własny plan. Mam nadzieję że nie będzie pani zawiedziona moją grą.

— Nie sędzę. Mam wrażenie, że doskonale radzisz sobie z fortepianem.

— Uwielbiam grać. To... to pomaga mi, gdy jestem... — po chwili dokończyła nieprzekonująco — trochę nie w humorze.

— To świetnie. Jeżeli masz trochę czasu, chętnie posłucham, jak grasz.

Poszłyśmy do sali przeznaczonej na lekcje muzyki, w której stał koncertowy fortepian.

Edith wykonała kilka utworów, a potem trochę rozmawiałyśmy. Szybko się zorientowałam, że sporo umie, i że ma zadatki na dobrą uczennicę — pracowitą i gorliwą. Co do talentu, był on dość wąty, ale nie można go było nie dostrzec. Edith z pewnością mogła czerpać ogromną przyjemność z gry na fortepianie, wiedziałam jednak, że nigdy nie będzie wielką pianistką. W zasadzie tego się właśnie spodziewałam i wiedziałam już, jak będę z nią pracować.

Dziewczyna była bardzo ożywiona i miała ochotę na rozmowę o muzyce.

— Wie pani — mówiła z przejęciem — to jedyna rzecz, w której jestem dobra.

— I mam nadzieję, że będziesz znakomita, jeśli nad sobą popracujesz.

Edith uśmiechnęła się zadowolona i zaproponowała, abyśmy razem udały się na plebanię.

— To niedaleko stąd, tylko piętnaście minut drogi piechotą. Jeżeli nie ma pani ochoty na spacer, możemy wziąć bryczkę.

Powiedziałam, że z przyjemnością się przejdę i od razu wyruszyliśmy.

— Pan Jeremy Brown ma dzisiaj lekcje z dziewczętami. To nasz wikary — wyjaśniła, lekko się przy tym rumieniąc, co, jak zauważyłam, dość często jej się zdarzało.

— Czy był też twoim nauczycielem?

Uśmiechnęła się i pokiwała głową. A zaraz potem zrobiła się smutna.

— Oczywiście, odkąd... wyszłam za męża, nie chodzę już na lekcje. Pan Brown to bardzo dobry nauczyciel. — Westchnęła. — Czuję, że go pani polubi, podobnie zresztą jak pastora.

Plebania mieściła się w budynku z szarego kamienia, stojącym tuż obok kościoła.

Pani Rendall przywitała się ze mną, jak ze starą znajomą i powiedziała, że zaraz zaprowadzi mnie do pastora. Spojrzała przy tym pytająco na Edith. Zauważyłam, że ludzie często nie wiedzieli, czy mają ją traktować jak dorastającą panienkę czy jak zamężną kobietę.

— Proszę się mną nie przejmować — szybko powiedziała Edith. — Pójdę do klasy i przyłączę się na chwilę do lekcji.

Pani Rendall wzruszyła ramionami w sposób wskazujący na to, że uważa jej zachowanie za nieco dziwne. Nie skomentowała tego jednak, tylko zaprosiła mnie do gabinetu pastora.

Był to uroczy pokój o wysokich oknach, wychodzących na dobrze utrzymany trawnik, biegnący aż do kościelnego dziedzińca. Z daleka widać było nawet nagrobki. Pomyślałam, że w świetle księżyca musi to wyglądać niesamowicie. Nie miałam zbyt wiele czasu na kontemplację, gdyż pastor, widząc nas, zerwał się z krzesła na powitanie. Na czoło miał nasunięte okulary, które kiwały się niepewnie. Rzadkie, siwe włosy, zaczesane do tyłu, przykrywały łysinę na czubku głowy. Wyglądał na człowieka zupełnie innego niż jego energiczna żona, oderwanego od spraw tego świata, czym natychmiast wzbudził moją sympatię.

— To wielbny Arthur Rendall — oznajmiła pani Rendall ceremonialnie. — Arthurze, to pani Verlaine.

— Jestem zaszczycony... zaszczycony — powtarzał pastor, patrząc jednak nie na mnie, ale szukając czegoś gorączkowo na blacie biurka.

— Arthurze, są na czole — burknęła jego żona i dopiero wtedy zorientowałam się, o co chodzi.

— Dziękuję, kochanie, dziękuję. — Sięgnął po okulary, nałożył je na nos i spojrzał na mnie.

— To wielka przyjemność gościć panią tutaj — powiedział. — Ogromnie się cieszę, że sir William zdecydował się kontynuować muzyczną edukację dziewcząt.

— Chciałabym się zorientować, jak ułożyć ich zajęcia. Nie powinny się na siebie nakładać z innymi lekcjami.

— Oczywiście, popracujemy nad tym wspólnie — uśmiechnął się przyjaźnie.

— Proszę usiąść — zaproponowała pani Rendall. — Doprawdy Arthurze, jak możesz pozwolić, aby pani Verlaine tak długo stała. Jestem pewna, że wielbny zechce porozmawiać z panią o Sylvii. Moim zdaniem, ona także powinna kontynuować naukę gry na fortepianie.

— Myślę, że nie będzie z tym najmniejszego kłopotu — powiedziałam.

Gdy pastor podał mi godziny, w których odbywały się lekcje, zdecydowaliśmy, że ja także będę uczyć dziewczęta na plebanii. Był tu całkiem dobry fortepian, na którym Edith, Alice i Allegra grały już uprzednio. Oczywiście, będą mogły także ćwiczyć do woli w Lovat Stacy, a Sylvia naturalnie na miejscu. Wszystkim bardzo to pasowało.

— Doprawdy nie wiem, jak poradziłbym sobie bez mojej drogiej żony — powiedział pastor, gdy pani Rendall wyszła z gabinetu. — To taka wspaniała gospodyni — wyjaśnił, chcąc być może wytłumaczyć swoje całkowite poddanie się woli żony.

Gdy ustaliliśmy już terminy zajęć, pastor zaczął mi opowiadać o okolicznych zabytkach, wspominając najnowsze odkrycia rzymskich ruin.

— Często przychodziłem na teren tych wykopalisk — powiedział — i zawsze miło mnie tam przyjmowano. — Mówiąc to, spojrział niepewnie w stronę drzwi, a ja przypomniałam sobie zdanie jego żony na ten temat i natychmiast się domyśliłam, że musiały to być sekretne wizyty. — Prawdę powiedziawszy, zawsze wierzyłem, że w naszej okolicy można znaleźć coś ciekawego. Przecież już dawno odkopano amfiteatr, a tego typu budowle stawiano zwykle w pobliżu miasta... zatem należało się spodziewać, że w jego sąsiedztwie mogą się znajdować także inne ruiny.

To przypomniało mi Romę i serce zaczęło mi szybciej bić.

— Czy spotkał pan może tę młodą kobietę, która zginęła w tajemniczych okolicznościach?

— Och, mój Boże, co za okropne wydarzenie... i niesamowite zarazem! Wie pani, wcale nie zdziwiłoby mnie, gdyby okazało się, że wyjechała gdzieś bardzo daleko... za granicę... Może jakiś projekt...

— Ale gdyby rzeczywiście w grę wchodził jakiś inny projekt, to czy nie byłoby to już wiadome? Przecież nie pojechałaby tam sama. Musiałaby zostać zorganizowana ekspedycja. Takimi rzeczami zajmuje się zwykle British Museum... — Przerwałam, zdając sobie sprawę, że powiedziałam już za dużo.

— Widzę, że jest pani świetnie zorientowana w temacie. Znacznie lepiej niż ja.

— Z pewnością nie. Ale muszę powiedzieć, że to zniknięcie bardzo mnie poruszyło.

— To była taka rzeczowa, młoda dama — powiedział pastor. — To, co się stało, zupełnie do niej nie pasuje.

— Przypuszczam, że z racji swoich zainteresowań, wielokrotnie pan z nią rozmawiał. Czy myśli pan, że to była kobieta, która mogłaby...?

— Odebrać sobie życie? — Pastor wyglądał na zdziwionego. — Może raczej wypadek. Niewykluczone. Ale jak dla mnie, to nie był typ ofiary. Osobiście wątpię. Moim zdaniem wyjechała gdzieś daleko. Jakiś nagły telefon... Brak czasu, by zostawić wiadomość...

Zrozumiałam, że pastor wyrobił już sobie zdanie na temat tajemniczego zniknięcia Romy. Czulałam, że nie powiedziałaby mi nic więcej na jej temat, z przyjemnością więc przyjąłam zaproszenie na krótki spacer wokół kościoła.

Wyszliśmy z domu i minąwszy ogród, weszliśmy na ścieżkę między nagrobkami, prowadzącą do kościoła. Pastor z dumą pokazywał mi oryginalne witraże, które zostały ufundowane przez rodzinę Stacy, najbardziej wpływowych właścicieli ziemskich w tej okolicy.

Podeszliśmy do ołtarza, abym mogła lepiej się przyjrzeć wspaniałym płaskorzeźbom wykonanym w drewnie.

— Są naprawdę unikalne — poinformował mnie pastor.

Na ścianie w pobliżu ołtarza zauważyłam tablicę pamiątkową, ponad którą umieszczono figurę, przedstawiającą młodego człowieka w długich szatach i ze złożonymi dłońmi.

Napis głosił:

*Odszedł, ale nie został zapomniany  
Beaumont Stacy.  
Zszedł z tego świata...*

— To bardzo smutna historia, bardzo smutna — powiedział pastor, widząc, że usiłuję odczytać napisany rzymskimi cyframi rok ufundowania tablicy.

— Zmarł bardzo młodo — stwierdziłam.

— W wieku dziewiętnastu lat. To była tragedia. Został zastrzelony przez swojego brata... to straszny wypadek. Chłopak był niezwykle piękny. Wszyscy byliśmy z niego dumni. Ale to stara historia, a teraz, gdy Napier wrócił do domu, na pewno szczęście znowu zawita w Lovat Stacy.

Osobiście wcale nie byłam o tym przekonana, ale pastor niewątpliwie należał do grona niepoprawnych optymistów. Chociaż spędziłam w Lovat Stacy zaledwie jeden dzień, wyraźnie wyczułam panującą tam atmosferę melancholii, wspomnienie minionej tragedii.

— Cóż za potworna sytuacja dla jego brata.

— To wielki błąd... obarczać go winą. I skazać na wygnanie z rodzinnego domu. — Pastor potrząsnął ze smutkiem głową. Ale zaraz potem się rozpromienił. — Na szczęście wrócił już do nas z powrotem.

— Ile lat miał... Napier, gdy to się stało?

— Około siedemnastu, mam wrażenie. Był dwa lata młodszy od brata. I zupełnie inny. Beaumont był czarujący, cudowny, wszyscy go kochali. I nagle... Tak to jest, gdy pozwala się chłopcom na zabawy bronią. Łatwo wtedy o nieszczęście. Biedny Napier, było mi go szczerze żal. Ostrzegałem sir Williama, że obarczanie go winą za ten nieszczęśliwy wypadek fatalnie wpłynie na jego psychikę. Ale nie słuchał mnie. Po prostu nie mógł patrzeć na Napiera i chłopak musiał wyjechać.

— To straszna tragedia. Można by oczekiwać, że po stracie jednego syna, ojciec mocniej pokocha tego drugiego.

— Sir William dosłownie szalał na punkcie Beaumonta i Napier przypominał mu swoją obecnością o stracie ukochanego syna.

— To naprawdę dziwna historia — zadumałam się. Nie mogłam oderwać oczu od posągu tego cudownego młodzieńca, składającego dłonie w geście modlitwy i wznoszącego oczy do nieba.

— Bardzo się ucieszyłem, gdy dotarły do mnie wieści, że Napier wraca do domu. A teraz jest mężem Edith Cowan i tworzą szczęśliwą rodzinę. W pewnym momencie wydawało się, że sir William planował uczynić Edith swoją spadkobierczynią. Gdyby się tak stało, nie obyłoby się bez protestów. Obecna sytuacja jest zdecydowanie szczęśliwsza. Edith będzie po nim dziedziczyć... dzięki małżeństwu z Na — pierem.

Pastor wydał mi się podobny do dobrej wróżki, która za sprawą czarodziejskiej różdżki czyni ludzi szczęśliwymi.

Naszą rozmowę przerwało przybycie służącej, która powiadomiła pastora, że czeka na niego kościelny z jakąś pilną sprawą. Ja miałam ochotę zostać jeszcze chwilę i obejrzeć dokładniej wnętrze.

— Zna pani drogę powrotną. Moja żona przygotowała skromny poczęstunek. Później chciałbym przedstawić pani Jeremiego Browna, wikarego, który udziela lekcji dziewczętom.

Gdy zostałam sama, wróciłam jeszcze do niszy, gdzie znajdował się posąg Beaumonta i zadumałam się nad losem młodzieńca zastrzelonego u progu dorosłego życia. Chociaż tak naprawdę moje myśli krążyły wokół Napiera, napiętnowanego za śmierć brata. Czy to możliwe, aby rodzice aż tak go znienawidzili? Chyba że podejrzewali... Nie, to z pewnością był nieszczęśliwy wypadek.

Po wyjściu z kościoła poszłam na cmentarz. Byłam ciekawa, czy znajdę tam grób Beaumonta. Z pewnością rodzina Stacy ma tam okazałe mauzoleum.

Rozejrzałam się i po chwili moją uwagę zwrócił wspaniały grobowiec, dużo większy niż wszystkie pozostałe. Otaczało go ogrodzenie z kutego żelaza, poprzez które dojrzałam wyryte w

kamieniu nazwisko Stacy. W rogach umieszczono figury czterech aniołów z obnażonymi mieczami) broniących tego miejsca przed intruzami. Wstępu broniła też zamknięta na kłódkę brama, jednak przez metalowe pręty można było odczytać napisy na płycie nagrobnej. Na końcu długiej kolumny z imionami, nazwiskami, datami urodzin i śmierci członków rodziny znajdował się Beau — mont Stacy.

Stojąc tam myślałam też o Isabelli Stacy, matce Beau i Napiera, w której pokoju grałam wczoraj na fortepianie. Ona także nie żyła, ale jej imienia nie znalazłam wśród innych zmarłych. Jak to możliwe, aby nie była pochowana w rodzinnym grobowcu?

Jeszcze raz uważnie przestudiowałam całą listę. Obeszłam ogrodzenie dookoła, ale nigdzie nie znalazłam śladu wskazującego, że Isabella spoczywała w tym miejscu. Zapraǳnęłam dowiedzieć się, gdzie znajduje się jej grób i dlaczego nie leży tutaj.

W drodze powrotnej na plebanię uświadomiłam sobie ze zdziwieniem, że sprawy dotyczące tych obcych mi jeszcze do wczoraj ludzi, w których świat właśnie wkraczałam, interesowały mnie tak samo, jak tajemnicze zniknięcie Romy.

\* \* \*

Pani Rendall czekała na mnie w holu plebanii.

— Zastanawiałam się już, co się z panią stało — oświadczyła na mój widok. — Powiedziałam nawet pastorowi, że powinniśmy pani poszukać.

— Chciałam zostać dłużej w kościele i obejrzeć go dokładnie sama — wyjaśniłam szybko.

— Sama! — pani Rendall wydawała się zaskoczona, ale pochlebilo jej moje zainteresowanie kościołem. — Mam nadzieję, że podobały się pani nasze witraże. To jedne z najpiękniejszych w całym kraju.

Powiedziałam, że rzeczywiście wydały mi się wyjątkowo piękne. Dodałam też, że byłam na cmentarzu i oglądałam grobowiec rodziny Stacy. Czy lady Stacy nie jest tu pochowana? Nigdzie nie mogłam znaleźć o niej wzmianki.

Pani Rendall spojrzała na mnie przestraszona, co wydawało mi się zupełnie do niej niepodobne.

— To dopiero! — powiedziała dość szorstko — Prawdziwy z pani detektyw.

Zaniepokoiłam się. Czyżby nabrała podejrzeń, że mój przyjazd tutaj nie był podyktowany wyłącznie chęcią znalezienia posady nauczycielki muzyki?

— W sposób naturalny interesuję się wszystkim, co dotyczy rodziny Stacy — skwitowałam chłodno jej uwagę.

— Jestem przekonana, że będzie to z korzyścią dla pani — odparła. — Mogę powiedzieć tylko tyle: lady Stacy rzeczywiście nie jest pochowana w rodzinnym grobowcu. Wie pani zapewne, że samobójcy nie są grzebani w poświęconej ziemi.

— Samobójcy! — wykrzyknęłam zdziwiona.

Pani Rendall pokiwała ze smutkiem głową, ale zaraz potem jej usta skrzywiły się z dezaprobatą.

— Zabiła się wkrótce po śmierci Beaumonta. To była wielka tragedia. Poszła do lasu z pistoletem... i odebrała sobie życie w taki sposób, jak zginął jej syn... Tylko że ona sama zadała sobie śmierć.

— To przerażające.

— Nie mogła żyć bez Beaumonta. Uwielbiała tego chłopca. Moim zdaniem to nieszczęście odebrało jej rozum.

— A zatem to była podwójna tragedia.

— Od tamtej pory w rodzinie Stacy wszystko się zmieniło. Beaumont i lady Stacy zginęli, a Napier wyjechał na drugi koniec świata. To on był za wszystko obwiniany.

— Ale to przecież nieszczęśliwy wypadek.

— On zawsze był nieznośny. Niegrzeczny chłopak... tak różny od brata. Poza tym, zachowanie reszty rodziny świadczyło o tym, że nie wierzyli w nieszczęśliwy wypadek. Krwi nie zmywa się jednak tak łatwo, jak wody, a sir William nie chciał, żeby na jego rodzinie ciążyło oskarżenie o zbrodnię. Choć w pewnym momencie wydawało się nam, że wydziedziczy Napiera. Jednak wszystko zakończyło się dobrze. Napier wrócił, poślubił Edith, czego życzył sobie sir William i najwyraźniej stara się zadowolić ojca... oczywiście w imię ogromnego spadku.

— Mam nadzieję, że będzie szczęśliwy — powiedziałam. — Wiele musiał w życiu wycierpieć. Cokolwiek zrobił, miał wtedy tylko siedemnaście lat i kara, jaka go za to spotkała, wydaje mi się doprawdy okrutna.

— Jednak gdyby Beau żył, Napier niczego by nie odziedziczył. O tym także należy pamiętać — podsumowała pani Rendall.

Właściwie poczułam się tym stwierdzeniem oburzona w imieniu Napiera. Doprawdy nie rozumiałam, skąd wzięła się u mnie tak silna chęć bronięcia kogoś, kto zrobił na mnie podczas pierwszego spotkania wybitnie niekorzystne wrażenie. Mogłam to wytłumaczyć jedynie moim głębokim poczuciem sprawiedliwości. Uznałam też, że sir William był bezdusznym ojcem i zapalałam do niego taką samą niechęcią jak do jego syna.

Nic jednak nie powiedziałam. Pani Rendall zaproponowała, abyśmy poszły do klasy i spotkały się z panem Jeremym Brownem.

Pokój przeznaczony do nauki był dość długim i stosunkowo niskim pomieszczeniem. Podobnie jak w rezydencji Stacy tu także szyby w oknach wykonane były ze szkła ołowiowego i chociaż pięknie wyglądały, przepuszczały do wnętrza niewiele światła.

Pani Rendall wtargnęła do klasy bez pukania, co prawdopodobnie leżało w jej zwyczaju. Przy długim stole siedziały pochylone nad swoimi notatkami cztery znane mi już uczennice. Miejsce u szczytu stołu zajmował młody, jasnowłosy mężczyzna o delikatnej urodzie.

— Przyprowadziłam panią Verlaine, która chciałaby pana poznać — zagrzmiała żona pastora. Jeremy Brown zerwał się z miejsca i ruszył w naszą stronę.

— Oto nasz wikary, pan Jeremy Brown — przedstawiła go pani Rendall.

Podaliśmy sobie dłonie. Zauważyłam, że nauczyciel czuł wyraźny respekt przed groźną panią pastorową.

— Czym się dzisiaj zajmujecie? — zapytała pani Rendall.

— Łaciną i geografiją.

Na stole leżały rozłożone mapy i zeszyty, w których dziewczęta zapisywały lekcje. Zwróciłam uwagę, że Edith wyglądała na wyjątkowo szczęśliwą i promienną. Odkąd przyjechałam, po raz pierwszy była w tak dobrym nastroju.

— Pani Verlaine chciałaby sprawdzić, jak dziewczęta radzą sobie z grą na fortepianie. Czy mogą wychodzić z lekcji Po kolei? — zapytała, zwracając się do mnie.

— To znakomity pomysł — zgodziłam się. — Oczywiście, jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu.

— Ależ tak... jak najbardziej — potwierdził szybko wikary. Spojrzałam na Edith i zobaczyłam w jej oczach zachwyt.

Jak łatwo rozszyfrować młodych ludzi, którzy sami zdradzają się ze swoimi uczuciami! Byłam pewna, że między Edith a Jeremym Brownem istniała jakaś bardzo nieśmiała, romantyczna skłonność.

Jak zauważyła pani Rendall, byłam dobrym detektywem.

\* \* \*

W ciągu kilku następnych dni wypracowałam sobie mniej więcej stały plan zajęć. Posiłki jadałam zwykle z panią Lincroft, a dość często towarzyszyła nam Alice. Lekcje muzyki odbywały się zarówno w domu, jak i na plebanii, co było nawet wygodniejsze, gdyż mogłam umawiać się z dziewczętami w trakcie ich zajęć z pastorem lub wikarym. Dodatkowo uczyłam też Sylwię, która nie przejawiała za grosz talentu, ale widać było, że bardzo się stara. Prawdopodobnie bała się matki, która postawiła sobie za punkt honoru, by jej córka grała na fortepianie.

Praca z dziewczętami zapowiadała się interesująco, gdyż każda z nich obdarzona była zupełnie inną osobowością. Zauważyłam też, że gdy są wszystkie razem, dzieje się z nimi coś wyjątkowego. Nie umiałabym jednak powiedzieć, czy wynikało to z nich samych, czy ze szczególnego rodzaju relacji, jakie między nimi panowały. Usiłowałam to sobie wytłumaczyć ich powikłanymi i niecodziennymi losami. Jedynie Sylvia była w miarę zwyczajną dziewczynką, jeżeli nie liczyć wpływu, jaki miała na nią dominująca osoba matki.

Allegra i Alice wyruszały codziennie o wpół do dziewiątej rano na plebanię, gdzie o dziewiątej rozpoczynały lekcje. W niektóre dni tygodnia ja także przychodziłam na plebanię godzinę po nich. Czasami towarzyszyła mi Edith, która, jak mi mówiła, chciała trochę pospacerować po śniadaniu. Ja jednak wiedziałam, że to nie spacer sprawiał jej taką przyjemność. Nasze wspólne przechadzki dały mi okazję, aby lepiej poznać młodszą panią Stacy.

Była to bardzo miła dziewczyna, łagodna i z natury naiwna. Bardzo szybko wyczułam, że miała ochotę uczynić ze mnie swoją powiernicę. Nie miałam nic przeciwko temu, ale za każdym razem, gdy była bliska wyjawienia mi czegoś bardzo osobistego, z niewiadomych przyczyn wycofywała się w ostatniej chwili.

Podejrzywałam, że nie chciała zdradzić się ze swoimi problemami, obawiając się, że mógłby się o nich dowiedzieć jej mąż, którego najwyraźniej się bała. Jednak na plebanii za każdym razem, gdy spotykała Jeremy'ego Browna, zachodziła w niej kolosalna zmiana. Była radosna jak dziecko, które ukradkiem robi coś zakazanego, ale absolutnie nie może się temu oprzeć. Obserwując ich, upominałam sama siebie, że być może za bardzo interesują mnie sprawy innych. Ale przecież przyjechałam po to, by dowiedzieć się, co stało się z Romą i musiałam się zorientować, jacy ludzie żyli w jej otoczeniu. Chociaż z drugiej strony, co mogłyby mieć wspólnego z Romą uczucia łączące Edith i młodego wikarego? Nie, to czysty nonsens, tłumaczyłam sobie, to w ogóle nie powinno mnie interesować...

Niemniej jednak chęć poznania panujących tam stosunków była zbyt silna, bym mogła ją lekceważyć. Poza tym szczerą i otwartą Edith mogła być moim najlepszym źródłem informacji.

Pewnego dnia zaproponowała, że pokaże mi Walmer i Deal, dwa bliźniacze miasteczka nadmorskie, leżące w odległości kilku mil od siebie, niedaleko Lovat Mill. Pomysł bardzo mi się spodobał i postanowiłyśmy wyruszyć z samego rana, jak tylko dziewczęta pójdą na plebanię.

Był cudowny kwietniowy poranek. Morze mieniło się wszystkimi odcieniami szmaragdu, a w powietrzu czuć było lekką bryzę. Krzewy janowca otaczały złote aureole kwiatów, a pod żywopłotami kwitły już gdzieśdziedzie dzikie fiołki. Te wyraźne oznaki budzącej się wiosny, zapach rozpułchnionej sokami roślin ziemi i ciepło słonecznych promieni sprawiły, że byłam w niezwykle radosnym nastroju. Brzemienne pąki na gałęziach drzew i krzewów wiele obiecywały i czułam, jak ogarnia mnie wiosenna gorączka. Powietrze rozbrzmiewało szczebiotem i trelami jaskółek, pokrzewek i gajówek. Nie było natomiast słyhać krzyku mew, który kojarzył mi się z chłodem i deszczową pogodą.

— One przylatują na brzeg, gdy zanosi się na sztorm — wyjaśniła mi Edith. — Ich nieobecność zwiastuje piękną pogodę.



Gdy powiedziałam jej, że nigdy jeszcze nie widziałam tak wielu janowców w jednym miejscu, Edith zapytała mnie, czy znam stare przysłowie mówiące, że gdy kwitną janowce, zbliża się pora pocałunków.

— To oczywiście żart — dodała z czarującym uśmiechem. — Chodzi o to, że w różnych częściach Anglii te krzewy kwitną w zasadzie przez cały rok.

Widziałam, jak bardzo była przejęta i zadowolona, że może mi pokazać okolicę. Byłam jej za to wdzięczna, gdyż czułam się prawdziwym mieszkańcem. Przyrodę podziwiałam jedynie w londyńskich i paryskich parkach. To jednak, co widziałam tutaj, zrobiło na mnie ogromne wrażenie.

Edith zatrzymała bryczkę i powiedziała, że z tego miejsca można zobaczyć mury obronne zamku Walmer.

— W tej okolicy znajdowały się trzy zamki, w odległości kilku mil od siebie — wyjaśniła. — Do naszych czasów dotrwały tylko dwa. Trzeci, Sandow, jest już tylko ruiną. Zabrało go wdzierające się w ląd morze. Za to Deal i Walmer wciąż są w doskonałym stanie. Z lotu ptaka widać, że zostały zbudowane na planie róży Tudorów. To nie są wielkie budowle... fortyfikacje służyły tylko do obrony wybrzeża i statków przyplływających do Downs, które leży cztery mile od Goodwins.

Przez dłuższą chwilę przyglądałam się murom obronnym zamku Walmer, zwanego też Strażnicą Pięciu Portów, a potem skierowałam swój wzrok na otwarte morze.

— Szuka pani pewnie wraków statków na Goodwins — domyśliła się Edith. — Dzisiaj jest dobra pogoda i można je zobaczyć. O, tam... — Wyciągnęła rękę, a ja patrząc we wskazanym kierunku, także dostrzegłam ich maszty, wyglądające z tej odległości jak cienkie patyczki.

— Ludzie nazywają te piaski Pożeraczami Statków — powiedziała Edith i wzdrygnęła się. — Widziałam je kiedyś z bliska. Mój... mąż zabrał mnie tam. Uważa, że powinnam przełamać strach, jaki we mnie budzą. Oczywiście, ma rację — dodała nieprzekonującym tonem.

— A więc już tam byłaś!

— Tak... On... on powiedział, że we właściwym czasie można tam się czuć bezpiecznie.

— I jak to miejsce wygląda z bliska?

— Jest zupełnie opuszczone — powiedziała, przytykając oczy. — Gdy jest przyływ, piaski są całkowicie zalane wodą. Nawet najwyższe miejsca są około ośmiu stóp pod powierzchnią morza. W ogóle ich nie widać. Dlatego właśnie są takie niebezpieczne. Proszę sobie wyobrazić tych biednych żeglarzy, którzy wypłynęli tam kiedyś, nie spodziewając się, że osiem stóp niżej znajdują się te straszliwe piaski, które tylko czekają, żeby ich połknąć.

— A kiedy ty je widziałaś? — dopytywałam się.

— Gdy był odpływ. — Czułam, że boi się o tym mówić, ale z drugiej strony, najwyraźniej nie może się powstrzymać. — Tylko wtedy można je oglądać. Gdy są zalane wodą, niczego nie widać, można się tylko domyślać, że tam są. Wtedy na pewno bałabym się jeszcze bardziej. Nie sądzi pani, że bardziej lękamy się tego, czego nie widzimy, niż rzeczy, które możemy zobaczyć?

— Masz rację — powiedziałam. — To prawda.

— Był więc odpływ i widziałam te piaski. Wyglądały pięknie... takie czyste i złociste... Leciutko pomarszczone od przepływu fal. Widziałam też głębokie doły wypełnione wodą, tak głębokie, że nie było widać dna. Piaski przemieszczały się, gdy na nie patrzyliśmy, tworzyły dziwne kształty, niektóre przypominały potwory... z pazurami... czekające tylko, aby złapać ofiarę, która nieopatrznie się tam zapędziła i pochłonąć ją. Nad naszymi głowami krążyły mewy. Ich krzyki brzmiały tak żalobnie, proszę pani. To przerażające, opuszczone i smutne miejsce. Ludzie mówią, że na tych piaskach straszy. Rozmawiałam kiedyś z człowiekiem, który pływa na latarniowcu. Mówił mi, że gdy odbywa wartę, słyszy czasami rozpaczliwe krzyki, dobiegające od

strony piasków. Podobno to krzyki mew, ale on nie jest tego wcale pewny. Zdarzały się tam potworne rzeczy, więc możliwe, że...

— To naturalne, że takie miejsca rozbudzają wyobraźnię ludzi mieszkających w tej okolicy.

— Zapewne, ale piaski to także coś więcej. Są takie okrutne — Mój mąż powiedział, że im bardziej ktoś stara się z nich wydostać, tym prędzej go wciągają. Gdy pojawiła się tu latarnia morska, żeglarze mówili, że to dla nich wielkie dobrodziejstwo. Uwierzyłyby mi pani, gdyby mogła je zobaczyć.

— I bez tego ci wierzę.

Edith ściągnęła lekko lejce i koń ruszył w dalszą drogę. Myślałam o tym, jak bardzo musiała się opierać, gdy Napier postanowił ją zabrać na piaski Goodwins. Zapewne szydził z jej tchórzostwa i chociaż twierdził, że chce nauczyć ją odwagi, w gruncie rzeczy czerpał sadystyczną przyjemność ze znęcania się nad swoją żoną.

Moje rozmyślenia przerwała Edith. Chcąc zmienić temat, zaczęła opowiadać, że gdy była bardzo mała, ojciec często zabierał ją ze sobą do Lovat Stacy. W tamtych czasach to miejsce wydawało jej się prawdziwym rajem.

— Wszystko tam było takie ekscytujące — mówiła. — Oczywiście Beau żył jeszcze wtedy.

— Dobrze go pamiętasz?

— O tak, o Beau nie można zapomnieć. Był jak książę... książę w lśniącej zbroi. Miałam kiedyś książkę z obrazkiem, na którym namalowany był piękny książę i Beau bardzo mi go przypominał. Miałam wtedy cztery lata, a on sadzał mnie na kucyka, chcąc, żebym się z nim oswoiła. Czasami sadzał mnie też na dużego konia i mówił: „Nie ma się czego bać, Edith. Przy mnie nie musisz się niczego bać”.

Biedna Edith, nie mogła mi wyraźniej dać do zrozumienia, że porównywała obu braci.

— A więc lubiłaś Beau — stwierdziłam.

— Wszyscy go lubili. Był taki miły... nigdy się nie złościł. — Edith zmarszczyła brwi. A więc Napier często wpadał w złość, pomyślałam, denerwowała go jej dziecinna jeszcze natura i brak doświadczenia.

— Beau ciągle się śmiał — mówiła dalej. — Był bardzo wesoły. Wydawało mi się, że miał około dziesięciu stóp wzrostu, byłam przy nim taka mała. Pamiętam, że przez pewien czas nie mogłam odwiedzać Lovat Stacy, a potem wszystko się już zmieniło.

— A więc kiedy tu bywałaś, poznałaś także swojego przyszłego męża.

— O, tak. Ale on nigdy nie zwracał na mnie uwagi. Prawie go nie pamiętam. Gdy ojciec przyprowadził mnie tam po długiej przerwie miałam zresztą wrażenie, że wieki minęły od naszej poprzedniej wizyty, żadnego z nich nie było już w Lovat Stacy. Wszystko się zmieniło. Wtedy poznałam Alice i Allegrę. — Miałaś się przynajmniej z kim bawić.

— Tak — powiedziała z pewnym ociąganiem. — Tata martwił się o mnie. Miał suchoty i wiedział, że długo już nie pożyje. Umówił się z sir Williamem, że gdy umrze, jego przyjaciel zaopiekuje się mną i pozwoli mi mieszkać w Lovat Stacy.

— A więc zostałam panią tego domu i zapewne jesteś z tego bardzo dumna.

— Zawsze kochałam to miejsce — odparła.

— Masz zatem szczęście, że tak wspaniale ułożyło się twoje życie.

Byłam zła na siebie za tę bezsensowną uwagę. Widziałam przecież wyraźnie, że Edith nie była ani szczęśliwa, ani zadowolona ze swojego małżeństwa.

Zjechaliśmy w dół, bliżej morskiego brzegu, gdzie fale cierpliwie obmywały kamienistą plażę.

— Tu właśnie wylądował Juliusz Cezar — powiedziała Edith i zatrzymała bryczkę.

— Wybrzeże musiało wtedy wyglądać dość podobnie. Oczywiście, nie było tych zamków. Bardzo jestem ciekawa, co sobie pomyślał, gdy po raz pierwszy zobaczył Anglię.

— Jednego możemy być pewne: nie miał zbyt wiele czasu, aby podziwiać okolicę — zażartowałam.

Przed nami rozciągało się miasteczko Deal, z równymi szeregami domów, schodzących niemal do samego morza, gdzie u nabrzeża cumowało wiele statków i łodzi.

Edith wyjaśniła mi, że żółte małe stateczki zwane lugierami, używane były do przewożenia paliwa dla wielkich statków zakotwiczonych w Downs.

Pojechałyśmy w kierunku portu, mijając po drodze zamek w Deal. Zbudowany na planie centralnym, zamknięty murem obronnym z czterema bastionami w narożach, bramą oraz mostem zwodzonym, stał otoczony głęboką fosą porośniętą trawą.

Na nabrzeżu w ten kwietniowy poranek życie toczyło się bardzo pracowicie. Przypłynęło właśnie kilka rybackich łodzi i rozpoczął się handel rybami. Rozpoznałam wśród nich sole, zębaczę i dorsze. Jeden rybak niósł więcierze na homary, inny naprawiał rozerwaną sieć. Zapach świeżych ryb mieszał się ze słonym, morskim powietrzem.

Edith chciała zrobić w mieście zakupy. Pojechałyśmy więc do gospody w centrum, gdzie zostawiła bryczkę, a potem zaproponowała mi, żebym obejrzała miasto, dopóki nie wróci ze sklepów.

Czułam, że chce być sama, więc zgodziłam się na jej propozycję. Przez godzinę spacerowałam po labiryncie wąskich uliczek o uroczych nazwach: Złota, Srebrna, Delfinów, aż wreszcie zawędrowałam nad morze, w miejsce, gdzie znajdowały się ruiny zamku Sandown. Posiedziałam trochę na przybrzeżnych skałach, tworzących w jednym miejscu naturalną alkwę i patrzyłam z tamtego miejsca na maszty pochłoniętych przez piaski statków.

Gdy wróciłam do gospody, Edith jeszcze nie było. Nie chcąc spóźnić się na umówioną godzinę, przyszłam kilka minut za wcześniej. Postanowiłam poczekać na zewnątrz, gdzie ustawiono właśnie wiklinowe fotele. Słońce przygrzewało coraz mocniej, a ja czułam się wyjątkowo zrelaksowana.

W pewnej chwili zauważyłam Edith. Był z nią Jeremy Brown. Natychmiast domyśliłam się, że pewnie poprosiła mnie o towarzystwo, by odwrócić podejrzenia, iż spotyka się z młodym wikarym.

Właśnie mieli się pożegnać, gdy Edith mnie zobaczyła. Wydawało mi się, że była zaskoczona i zmieszana.

Podniosłam się i podeszłam do nich.

— Przyszłam nieco przed czasem — powiedziałam tonem usprawiedliwienia. — Bałam się, że nie znając okolicy, źle obliczę czas i wołałam wrócić wcześniej.

— Pastor postanowił dzisiaj sam poprowadzić lekcję — odwzajemnił mi się wyjaśnieniami wikary, uśmiechając się rozbrajająco. — Robi to od czasu do czasu. Ja zaś miałem trochę czasu i postanowiłem wykonać stąd kilka telefonów.

Pomyślałam, że przecież nie musi mi się tłumaczyć, co robi ze swoim czasem.

— Wpadliśmy na siebie przypadkiem — powiedziała szybko Edith, czerwieniąc się przy tym, jak ktoś, kto nie przywykł do mówienia nieprawdy.

— To bardzo miłe spotkanie. — Zauważyłam, że Edith nie miała przy sobie żadnych zakupów, ale być może zdążyła je już odnieść do bryczki.

— Powinna pani skosztować naszego jabłecznika — zaproponowała Edith. — Jest doprawdy wyśmienity.

Spojrzała prosząco na wikarego.

— Ja właściwie też jestem spragniony. Świetnie, napijmy się więc razem. — Uśmiechnął się do mnie. — Mam nadzieję, że pani też ma ochotę na jabłecznik. Jest bardzo słaby.

Z przyjemnością przyjął ich zaproszenie. Słońce wciąż przygrzewało, a ponieważ w ogródku przed gospodą było zacisznie i ciepło, postanowiliśmy wypić jabłecznik na zewnątrz.

Gdy Jeremy Brown poszedł zamówić napoje, Edith uśmiechnęła się do mnie przeprasząco. Udawałam, że nie rozumiem jej spojrzenia, nie chcąc, aby pomyślała, iż wysnułam jakieś daleko idące wnioski z jej spotkania z wikarym.

Nasz towarzysz wrócił po chwili, a tuż za nim pojawił się kelner z trzema wielkimi kuflami. Popijaliśmy orzeźwiający trunek, wystawiając się na pierwsze wiosenne promienie słońca. Powiedziałam im, gdzie byłam, jak bardzo podobało mi się miasteczko. Potem dopytywałam się o różne szczegóły dotyczące łodzi i statków, które widziałam na przystani. Okazało się, że wikary bardzo dużo wie na temat historii tej okolicy; jest to typowe u osób, które są przybyszami. Opowiedział nam o przemyśle, jakim parali się kiedyś tutejsi rybacy. Pływali łodziami z olbrzymimi żaglami. Dzięki temu z łatwością umykali statkom celnym i bezpiecznie dopływali do brzegu z kontrabandą: alkoholem, jedwabiem i tytoniem. Wiele starych knajpek i zajazdów w tej okolicy do tej pory ma tajne pomieszczenia w piwnicach, gdzie składano towar z przemytu do czasu, aż poborcy akcyzy przestawali węszyć i można było nim handlować.

Słuchając takich opowieści, miło spędzaliśmy czas, grzejąc się leniwie w słońcu. Edith wprost promieniała radością, szczebiotała i śmiała się bez przerwy, ukazując nie znaną mi zupełnie stronę swojego charakteru.

Czemu nie jest taka na co dzień? — zastanawiałam się. Już po chwili dane mi było poznać odpowiedź. Usłyszeliśmy stukot końskich kopyt na brukowanym podwórzu i dobrze znany głos.

— Będę z powrotem za jakąś godzinę.

Słyszając to, Edith zbieła jak papier, a mnie serce zaczęło szybciej bić.

Podniosła się ze swojego miejsca, a moment później w polu naszego widzenia pojawił się Napier.

Zobaczył nas od razu.

— Cóż za niespodzianka — odezwał się, omiatając chłodnym spojrzeniem Edith. — Niespodziewana przyjemność. — Po chwili zauważył także i mnie. — Jest tu także pani Verlaine...

— Przyjechałyśmy tu razem z pańską żoną — powiedziałam zimno, nie wstając z miejsca. — Potem spotkałyśmy pana Browna. — Dopiero później zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwie poczułam potrzebę wyjaśniania czegośkolwiek temu człowiekowi.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w tak wesołym przyjęciu.

— To jest... — zaczęła Edith histerycznie. — To nie jest przyjęcie. Tak się akurat zdarzyło...

— Pani Verlaine już mi powiedziała. Z przyjemnością wypiję w państwa towarzystwie kufel jabłecznika, jeżeli można. — Spojrzał na mnie. — Jest wyśmienity. Ale z pewnością wie już pani o tym.

Przywołał jednego z kelnerów, którzy wyglądali jak mnisi, ubrani w długie ciemne szaty, przepasane sznurami i zamówił napój.

Usiadł naprzeciw mnie, mając z jednej strony Edith, a z drugiej wikarego. Nie miałam wątpliwości, że zauważył ich zakłopotanie i zastanawiałam się, czy domyśla się, co jest tego powodem.

— Jestem zaskoczony, widząc pana tutaj — zwrócił się do Jeremy'ego Browna. — Zawsze mi się wydawało, że jest pan niezwykle zapracowaną osobą. A tu, proszę, siedzi pan na słoneczku przed gospodą, sącząc jabłecznik... to bardzo miła forma pracy, nie uważa pani? — zapytał mnie.

— Wszyscy od czasu do czasu potrzebujemy odrobiny relaksu. Należy się to każdemu po dobrze wykonanej pracy.

— To prawda... jestem pewien, że pani na to zasługuje. Ale, muszę przyznać, jestem nieco zdziwiony, widząc państwa relaksujących się tutaj razem. Jak się pani podoba okolica?

— Fantastyczna — odpowiedziałam lakonicznie.

— Pani Verlaine była dzisiaj aż w Sandown — dodał wikary.

— Co takiego? Sama?

Jeremy zaczerwienił się, a Edith spuściła oczy.

— Musiałam zrobić zakupy...

— No tak. I pani Verlaine nie miała zapewne ochoty zwiedzać naszych sklepów. Bo i po co? O ile mi wiadomo, mieszka pani w Londynie, więc z pewnością nie znalazłaby pani u nas nic godnego uwagi. Edith to co innego. Bez przerwy krąży po okolicy, aby... — przerwał na moment i uśmiechnął się do Edith i wikarego — ...odwiedzać sklepy. Co kupiłaś tym razem, kochanie?

Edith wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

— W zasadzie nie znalazłam tego, czego szukałam.

— Doprawdy? — udawał zdziwionego i znowu spojrzął na wikarego.

— T...tak. Chciałam sobie dobrać parę... wstążek.

— Aha — pokiwał głową Napier. — Rozumiem.

— Trudno jest dobrać odpowiednie kolory — próbowałam pomóc Edith.

— Szczególnie w takich małych miasteczkach — powiedział.

Pomyślałam, że wie, po co tak naprawdę przyjechała tu Edith i jest wściekły. Ale czy naprawdę był wściekły? Czy w ogóle go to obchodzi? A może raczej chce ich wprowadzić w zakłopotanie? I dlaczego tak czepia się tego, że mieszkałam w Londynie? Czemu ma pretensje do mnie?

— A co pani myśli o naszym jabłeczniku? — zapytał.

— Jest naprawdę bardzo dobry.

Napier przechylił kufel i wysączył resztę napoju.

— Nie będę państwu dłużej przeszkadzał, muszę jeszcze coś załatwić. Nie przyjechałyście konno?

— Wzięłyśmy bryczkę — wyjaśniła Edith.

— No tak, oczywiście. Przecież musisz gdzieś zapakować wszystkie zakupy. A pan? — zwrócił się do wikarego.

— Ja także przyjechałem bryczką.

— Doskonale. Pomoże pan zawieść zakupy mojej żonie. Chociaż wasze spotkanie było oczywiście przypadkowe.

Przez dłuższą chwilę czułam na sobie jego wzrok.

— *Au revoir* — powiedział i odszedł.

Siedzieliśmy przy stole milcząc. Nie mieliśmy już ochoty o niczym rozmawiać.

W drodze powrotnej Edith była bardzo zdenerwowana i aż dwa razy o mało się nie wywróciłyśmy.

Co za nieprzyjemna sytuacja, pomyślałam. Było mi bardzo żal tej dziewczyny, której życie nie szczydziło problemów. Jak sobie poradzi z tymi, które właśnie nadciągają? Chciałam ją przed nimi ochronić, ale nie miałam pojęcia jak.

\* \* \*

Siedziałam w saloniku na plebanii i przysłuchiwałam się, jak Allegra ćwiczy gamy na fortepianie.

Szło jej to opornie, przede wszystkim dlatego, że wcale jej nie zależało, by uczyć się muzyki. Edith miała przynajmniej cień talentu, Sylvia bała się swoich rodziców, a Alice była z natury pracowita. Allegra pozbawiona była tych motywacji i nie widziała powodu, dlaczego miałaby się przykładać do nauki.

Uderzyła w klawisze, wydobywając z nich ostatnie akordy finału i odwróciła się do mnie, uśmiechnięta od ucha do ucha.

— Powie pani sir Williamowi, że jestem beznadziejnym przypadkiem i odmawia pani dalszego uczenia mnie?

— Ależ ja wcale nie uważam, że jesteś beznadziejnym przypadkiem. Nie zamierzam też rezygnować z lekcji z tobą.

— Jeżeli tak, to chyba tylko dlatego, że boi się pani, czy zostanie wtedy wystarczająco dużo pracy dla nauczycielki muzyki.

— To nieprawda.

— To dlaczego sądzi pani, że nie jestem beznadziejna?

— Bo nie ma przypadków beznadziejnych. Twój jest ciężki, to prawda, ale nie beznadziejny.

— Pani jest zupełnie inna niż panna Elgin.

— Czy uważasz, że powinnam być taka sama? — Obie uczycie muzyki.

Zniecierpliwiona wzruszyłam ramionami i ustawiłam na podstawce nowe nuty.

— Proszę! — powiedziałam.

Allegra wciąż się do mnie uśmiechała. Uroda tej dziewczyny miała w sobie coś prowokacyjnego. Ciemne, niemal czarne włosy, wielkie, szaroniebieskie oczy pod pięknie zarysowanymi, jaskółczymi brwiami, obramowane długimi rzęsami tworzyły tak harmonijną całość, że Allegra mogła uchodzić za wybitną piękność. Piękność tak niepokojącą, że trzeba się było mieć na baczności. Dziewczyna była świadoma swojej urody i podkreślała ją krwistoczerwonymi koralami, długimi i cienkimi, które zawieszono na jej szyi wyglądały jak ostre kolce.

— Nie powinna się pani do niej upodabniać, bo jest pani zupełnie inna — stwierdziła ze śmiechem. — Pani umie żyć.

— Nie wydaje mi się, aby panna Elgin nie umiała.

— Pani wie, co chcę powiedzieć. Ja też chcę korzystać z życia. Myślę, że będę podobna do mojego ojca.

— Twojego ojca?

Znowu się zaśmiała. Był to gardłowy, szyderczy śmiech, który już kiedyś u niej słyszałam.

— Nikt jeszcze nie opowiedział pani szokującej historii moich urodzin? Zna pani mojego ojca. To Napier Stacy.

— Chcesz powiedzieć, że on...

Figlarnie kiwała głową, ciesząc się z konsternacji, w jaką wprawiły mnie jej słowa.

— Dlatego właśnie tu mieszkam. Sir William nie mógł wyrzucić swojej rodzonej wnuczki, nieprawdaż? — Na moment jej drwiący uśmiech zniknął i w oczach pojawił się lęk. — Nigdy tego nie zrobi. Niezależnie od tego, co sobie o mnie myśli. Jestem przecież jego wnuczką.

— Jeśli Napier Stacy rzeczywiście jest twoim ojcem, masz rację.

— Zabrzmiało to tak, jakby miała pani jakieś wątpliwości. Nie powinna ich pani mieć, gdyż Napier sam przyznał się do ojcostwa.

— W takim razie to na pewno jest prawda.

— Jestem dzieckiem nieślubnym. — Wypowiedziała to słowo bardzo wolno, jakby napawając się dźwiękiem każdej sylaby. — A moja matka... chce pani o niej posłuchać? Była pół-Cyganką i pracowała tutaj... w kuchni. Wydaje mi się, że jestem do niej bardzo podobna, może tylko włosy miała ciemniejsze od moich... bardziej cygańskie. Odeszła stąd, gdy się urodziłam. Nie mogła mieszkać w takim domu. — Allegra zaczęła śpiewać dość niskim, trochę ochrypłym głosem:

— Odjechała z taborem pstrokatych Cyganów, hej!

Patrzyła na mnie z ciekawością, sprawdzając, jaki efekt wywarły jej słowa. Musiała czuć się usatysfakcjonowana, gdyż rewelacje o kolejnych grzechach młodości Napiera rzeczywiście zrobiły na mnie duże wrażenie.

— Mam w sobie krew cygańską, ale także rodziny Stacy. Nigdy nie wyrzeknę się piernatów z gęsiego puchu ani pantofelków na wysokich obcasach, chociaż jeszcze nie pozwalają mi ich nosić. Ale już niedługo przyjdzie na nie czas, a także na klejnoty i bale. Nigdy nie opuszczę Lovat Stacy.

— Cieszę się, że lubisz swój dom — powiedziałam chłodno. — A teraz spróbuj zagrać ten utwór. Jest bardzo łatwy. Zaczynj wolno i spróbuj wczuć się w muzykę.

Skrzywiła usta i odwróciła się do fortepianu. Oczywiście, w ogóle nie skupiła się na tym, co gra. Myślni była zupełnie gdzie indziej. Podobnie zresztą jak ja. Po raz kolejny zadumałam się nad losem Napiera, tego niedobrego chłopca, który sprowadził na swoją rodzinę tyle nieszczęść.

\* \* \*

— Często się zastanawiam — powiedziała nagle Allegra, gdy piłyśmy z dziewczętami herbatę w klasie — co się stało z tą zaginioną kobietą?

Słyszac to, omal nie upuściłam filiżanki. Często sama starałam się prowokować ludzi do mówienia o Romie, ale czułam się zaskoczona, gdy sami nawiązywali do jej zniknięcia.

— Z jaką kobietą? — zapytałam udając, że nie wiem kogo ma na myśli.

— Z tą, która przyjechała tu na wykopaliska — wyjaśniła Allegra. — Ostatnio prawie się o tym nie mówi.

— Był czas — dodała Sylvia — gdy cała okolica tym żyła.

— To zrozumiałe. Nieczęsto ludzie znikają bez śladu — powiedziałam ostrożnie. — A wy co o tym myślicie?

— Moja mama uważa, że oni zaaranżowali to, żeby zrobić szum wokół wykopalisk. Niektórzy ludzie lubią sensacje — stwierdziła Sylvia.

— Po co mieliby to robić? — zapytałam.

— Żeby czuć się ważnymi.

— Ale przecież tego nie dałoby się długo ukrywać. Jakie korzyści mogłoby to przynieść tej kobiecie?

— Tak uważa moja mama — powtórzyła Sylvia.

— Alice napisała o tym wypracowanie — powiedziała Edith.

Alice zaczerwieniła się i spuściła oczy.

— Bardzo dobra praca — dodała Allegra. — Włosy zjeżyły nam się na głowie, gdy ją czytałyśmy. Czy pani zjeżyły się kiedyś włosy na głowie?

Powiedziałam, że nie pamiętam takiej sytuacji.

— Pani Verlaine bardzo mi przypomina pannę Brandon — oświadczyła Alice.

Serce zadrżało mi z niepokoju.

— W czym ją przypominam? — zapytałam szybko.

— Jest pani bardzo precyzyjna w swoich wypowiedziach, a to bardzo rzadka cecha — wyjaśniła Alice. — Większość ludzi powiedziałaby: „Nie, nigdy nie zjeżyły mi się włosy na głowie”, albo: „Tak, zjeżyły mi się” i na potwierdzenie tego usłyszałybyśmy jakąś mrozącą krew w żyłach historii. Pani zaś odpowiedziała bardzo precyzyjnie, że nie przypomina sobie takiej sytuacji. Panna Brandon też była bardzo dokładna. Mówiła, że tego wymaga od niej jej zawód.

— Mam wrażenie, że dużo z nią rozmawiałaś.

— Wszystkie od czasu do czasu z nią rozmawialiśmy — powiedziała Alice. — Pan Napier także. To, co robiła, bardzo go interesowało. Panna Brandon często pokazywała mu różne rzeczy.

— Tak, to prawda — wtrącała Sylvia. — Moja mama też to zauważyła.  
— Twoja mama zawsze wszystko zauważa... a zwłaszcza to, co jest nieprzyjemne — stwierdziła Allegra.  
— A co było nieprzyjemnego w tym, że pan Napier interesował się rzymskimi ruinami? — zapytałam zdziwiona.  
Dziewczęta milczały, chociaż Allegra otworzyła usta, aby coś powiedzieć.  
— To dobrze, że ktoś interesuje się historią Rzymian — szybko zaczęła mówić Alice. — Wiedziała pani o tym, że Rzymianie mieli katakumby?  
— Tak.  
— Oczywiście, że wie! — zawołała Allegra. — Pani Verlaine wie bardzo dużo.  
— Istne labirynty podziemnych przejść — ciągnęła Alice rozmarzonym głosem. — Chrześcijanie ukrywali się tam przed swoimi wrogami, którzy nie byli w stanie ich wytropić.  
— Ona na pewno napisze o tym wypracowanie — stwierdziła Allegra.  
— Nie mogłabym o tym pisać, bo nigdy nie widziałam tych katakumb.  
— Ale o zniknięciu panny Brandon napisałaś — przypomniała jej Edith. — To było fantastyczne opowiadanie. Powinnaś je przeczytać pani Verlaine.  
— Było tam o rozgniewanych bogach, którzy w coś ją zamienili — próbowała mi je streścić Sylvia.  
— Bo oni tak robili, wie pani o tym — podchwyciła z zapalem Allegra. — Tych, którzy ich obrazili, zamieniali w gwiazdy i drzewa, byki i krzaki, a więc pannę Brandon z pewnością też w coś zamienili.  
— W co ją zamienili w twoim opowiadaniu? — zapytałam.  
— To bardzo dziwne, ale Alice nie chciała nam tego powiedzieć — wyjaśniła Edith. — Napisała, że bogowie zemścili się na niej i zamienili ją w coś, ale nie zdradziła nikomu w co.  
— Pozostawiłam to wyobraźni czytającego — tłumaczyła Alice. — Możecie zamienić pannę Brandon w co tylko chcecie.  
— To bardzo dziwne uczucie — stwierdziła Allegra. — Wyobrażam sobie, że panna Brandon jest w coś zamieniona, ale nie wiem w co.  
— Och... to fascynujące! — wykrzyknęła Sylvia.  
— Nawet twoja mama nie wie, w co ona się zamieniła — drażniła się Allegra. — A jeżeli zamieniła się w panią Verlaine?  
Cztery pary oczu spojrzały na mnie jednocześnie.  
— Pomyślmy tylko — Allegra świetnie się bawiła, rozwijając ten wątek — pani Verlaine jest do niej nawet podobna.  
— W jakim sensie? — zapytałam.  
— Na przykład w sposobie mówienia. Ale coś...  
— Mam wrażenie — wtrącała się Edith — że wprawiamy panią Verlaine w zakłopotanie.

\* \* \*

Zorientowałam się, że Edith garnie się do mnie i najwyraźniej dobrze się czuje w moim towarzystwie. W pewnym sensie to zrozumiałe, że znalazła we mnie bratnią duszę. Mimo że była dużo młodsza, a ja miałam za sobą doświadczenia małżeńskie, coś nas łączyło. Jej młodość i nieumiejętność sprostania sytuacji życiowej, w jakiej się znalazła, wzruszały mnie i miałam szczerą ochotę jakoś jej pomóc.

Pewnego popołudnia zagadnęła mnie, czy lubię jeździć konno. Powiedziałam, że nie mam w tym zbyt dużej praktyki, a ona zapytała, czy nie chciałabym pojeździć razem z nią.



— Ale ja nawet nie mam odpowiedniego stroju — broniłam się.

— Mogę pani coś pożyczyć. Mamy podobne figury.

Byłam od niej wyższa i nie tak szczupła, ale Edith upierała się, że jeden z jej kostiumów z pewnością będzie na mnie pasował.

Była rozczulająca w swoim dziecinnym entuzjazmie. Dlaczego? Oczywiście wiedziałam, skąd wziął się ten zapał do konnych przejażdżek. Chciała zwiększyć swoje umiejętności, a do tego — trzeba praktyki. Mogła ćwiczyć ze mną, aby później, gdy wyjedzie ze swoim mężem, czuć się pewniej w siodle.

Mimo pewnych obaw uległam jej namowom i poszliśmy wybrać dla mnie jakiś strój do konnej jazdy. Udało nam się dopasować długą spódnicę, oliwkowy żakiet i czarny kapelusik.

— Wygląda pani bardzo elegancko — wykrzyknęła zachwycona, a ja także byłam zadowolona ze swojego odbicia w lustrze. — Tak się cieszę. — Jej oczy płonęły z podniecenia. — Będziemy często razem wyjeżdżać, prawda?

— Wiesz przecież, że jestem tu po to, żeby uczyć was muzyki.

— Ale przecież nie cały czas. Musi pani mieć trochę relaksu. — Edith złożyła dłonie, jak do modlitwy. — Och, tak się cieszę, że pani przyjechała.

Zaskoczyło mnie, że jest to dla niej aż takie ważne. I to z pewnością nie dlatego, że zapalała do mnie jakąś wyjątkową sympatią. Raczej wyczuła, że interesują mnie ludzie, wierzyła w moją wiedzę o świecie i być może chciała mi się zwierzyć ze swoich problemów. Biedna Edith, pamiętam jak żałośnie wyglądała w dniu ślubu z Napierem.

Udałyśmy się do stajni, gdzie jeden z koniuszych miał wybrać dla nas konie.

Wyjaśniłam mu od razu, że jestem w zasadzie początkująca.

— Skończyłam wprawdzie szkółkę konnej jazdy w Londynie, ale potem jeździłam tylko okazjonalnie.

— A zatem powinna pani dosiąść Honey. Jest taka łagodna, jak jej imię. A dla pani Stacy najlepsza będzie Venus.

Edith nerwowo potrząsnęła głową, życząc sobie konia tak samo łagodnego, jak Honey.

— Mój mąż lubi, gdy jeżdżę na Venus — wyjaśniła, gdy wyjeżdżaliśmy już ze stajni. — Jego zdaniem Sugar-Plum — mówiąc to, poklepała delikatnie pysk konia — jest dobra dla dzieci, które dopiero zaczynają naukę. Ale ja czuję się na niej najbezpieczniej.

— A zatem to będzie przyjemna wycieczka.

— Będzie taka na pewno, bo pani ze mną jedzie. Czasami mam wrażenie, że nigdy nie będzie ze mnie dobry jeździec. Obawiam się, że mój mąż się mną rozczaruje.

— Przecież jazda konna to jeszcze nie wszystko, nie uważasz?

— Tak... tak. Też tak myślę.

— Wybierz jakąś trasę. Lepiej się tu orientujesz.

— Pojedziemy w stronę Dover. To przepiękna okolica. Na tle nieba rysuje się sylwetka zamku, a w dole widać przystań.

— Brzmi zachęcająco — powiedziałam.

Dzień był naprawdę piękny. Jechaliśmy przez pola pełne żółtych pierwiosnków i kwitnących fioletowo pokrzyw.

— Proszę się obejrzeć. Stąd widać ruiny rzymskiej willi — powiedziała Edith.

Spojrzałam za siebie i faktycznie zobaczyłam teren wykopalisk. Znowu pomyślałam o Romie.

— Mam nadzieję, że kiedyś się dowiemy, co stało się z tą kobietą — westchnęła Edith. — To doprawdy przerażające... że można tak... po prostu zniknąć. Zastanawiam się, czy był ktoś... kto chciał usunąć ją ze swojej drogi.

— Nie wydaje mi się — zaprzeczyłam gwałtownie. Ruszyliśmy dalej, trzymając się trasy biegnącej nad morzem.

Morze miało kolor przejrzyste zielony, a na niebie nie pojawiła się najmniejsza nawet chmurka. Powietrze było tak czyste, że widziałam zarys francuskiego wybrzeża.

— Jak tu pięknie — zachwyciłam się.

Gdy byliśmy już niedaleko Dover, Edith pokazała mi ręką dom przy drodze, o którym mówiono, że był nawiedzony przez ducha.

— Gdy w pobliżu rozlega się tętent końskich kopyt, pojawia się dama w szarym stroju. Podobno uciekała z domu i chciała zatrzymać przejeżdżający powóz. Niestety, woźnica jej nie zauważył i wpadła pod koła. Uciekała od swojego męża, który zamierzał ją otruć.

— Myślisz, że wyjdzie, gdy usłyszysz nasze konie?

— To się dzieje w nocy. Najgorsze rzeczy zdarzają się w nocy, nie sądzi pani? Chociaż podobno ta archeolog wyszła z domu w biały dzień.

Nie odpowiedziałam. Przypomniało mi się, jak stałyśmy z Romą niedaleko tego miejsca, gdzie właśnie dojeżdżałyśmy, i patrzyłyśmy na wspaniały zamek w Dover, klucz i strażnicę Anglii, jak go określano. Stał w tym miejscu już osiemset lat, opierając się czasowi i broniąc wyspy przed nieprzyjacielem. Zbudowany z szarego kamienia, istne arcydzieło architektury, wznosił się dumnie na porośniętym trawą wzgórzu. Najwyższa była prostokątna wieża obronna Keep, usadowiona nad samym kanałem La Manche. Dalej widać było Constable's Tower, do której dostępu bronił most zwodzony i spuszczana krata, średniowieczne półokrągłe wieżyczki w narożach, głęboka, potrójna fosa, potężne skarpy i grube mury, wszystko to sprawiało tak majestatyczne wrażenie, że nie sposób było oderwać oczu.

— Jest potężny, prawda? — zapytała Edith. — Taki groźny.

— Wspaniały — dodałam.

— Ta wieża z łukowato sklepioną bramą to Peverel's Tower, zaś od strony północno — wschodniej wznosi się Avranches Tower. Zbudowano na niej platformę dla łuczników, z której razili nieprzyjaciela strzałami. W wieży św. Jana są zapadnie oraz platformy, z których wylewano na atakujących stopiony ołów i wrzący olej. — Mówiąc to, otrząsnęła się ze zgrozy. — To przerażające, ale zarazem fascynujące — dodała.

Ja też mogłam coś pokazać Edith. Były to pozostałości po rzymskiej latarni morskiej, starszej oczywiście niż sam zamek. Pamiętałam, że Roma nazywała ją Pharos.

— Tak — potwierdziła Edith — nie zapominajmy, że to przecież było terytorium rzymskie.

— Czyż nie była nią cała Anglia?

— Owszem, ale tutaj właśnie Rzymianie pojawili się najpierw. Proszę tylko pomyśleć! Ta latarnia morska chroniła ich statki podczas morskich podróży. — Zaśmiała się trochę nerwowo. — Przed pojawieniem się tych archeologów wcale nie interesowałam się rzymskimi czasami. Być może zaciekało mnie to, ponieważ wykopaliska prowadzone były na terenie naszego parku.

Umilkła, gdyż zauważyłyśmy u podnóża wzniesienia jeźdźca, który galopował w naszym kierunku. Rozpoznałam go sekundę lub dwie wcześniej niż Edith, która, jak już wcześniej zauważyłam, była krótkowidzem. Mogłam więc obserwować zmiany, jakie w niej zaszły, gdy dostrzegła, kim jest ów mężczyzna.

Zbladła jak papier, ale zaraz potem na jej twarz wyplłynął głęboki rumieniec.

Napier zdjął kapelusz i przywitał nas głośnie.

— Cóż za nieoczekiwany honor!

— Och! — wyrwało się Edith i był to bez wątpliwości okrzyk przerażenia. Czułam, że Napier też to tak odebrał i w odpowiedzi posłał jej drwiące spojrzenie.

— Na czym to jeździmy? — zapytał. — Czy to Stary Dobbin ze szkółki dla dzieci?

— To... to jest Sugar — Plum.

— Pani Verlaine, co za niespodzianka. Czemu nie powiedziała mi pani, że lubi jeździć konno? Znalazłbym pani godniejszego wierzchowca.

— Nie wiem, czy dałabym radę go dosiąść. Żaden ze mnie jeździec. Ten jest dla mnie w sam raz.

— Ależ skąd. Namawiałbym panią do jazdy na prawdziwym koniu.

— Nie wiem, czy mnie pan dobrze zrozumiał. Bardzo rzadko jeżdżę konno.

— Zatem powinna to pani jak najszybciej nadrobić. To olbrzymia przyjemność. Sport, a zarazem miły sposób spędzania czasu.

— Pana zdaniem. Inni być może wolą spędzać czas po swojemu.

Edith była wyraźnie zdenerwowana. Cała jej pewność siebie uleciała jak mydlana bańka.

Droga powrotna nie była już przyjemnym wałęsaniem się po okolicy. Napier bynajmniej nie zamierzał prowadzić swojego konia stępą po polnych drózkach. Powiodł nas cwałem przez łąki, rychło zmieniając go w galop. Nasze konie poszły w ślad za jego, a ja, mocno zaniepokojona, zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam się po prostu zatrzymać i jechać własnym tempem. Widziałam, że Edith, biała z przerażenia, kurczowo trzymała cugle i rosła we mnie coraz większa niechęć do tego człowieka, który doprowadzał ją do tak żalospnego stanu.

Gdy byliśmy już blisko nawiedzonego domu, w którym pojawiała się szara dama, Napier odwrócił się, sprawdzając, jak zachowa się Edith. Dziewczyna trzymała się bardzo blisko mnie i widać było, że się boi. Ogarnęła mnie złość na jej męża. Przecież doskonale zdawał sobie sprawę z jej reakcji, a mimo to świadomie się nad nią znęcał. Zmuszał ją do jazdy na koniu, którego się bała. Byłam pewna, że znienacka ruszał wtedy galopem, a ona, półżywa ze strachu, starała się dotrzymać mu tempa.

Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. Być może pojawiła się pod wpływem opowieści o szarej damie, którą mąż zamierzał otruć. A jeśli Napier także chce się pozbyć Edith? Jeżeli właśnie po to zmusza ją do konnych wycieczek? Może poprowadzić ją w takie miejsca, które stanowią zagrożenie dla nerwowego i niedoświadczzonego jeźdźcy. A potem wystarczy tylko spiąć znienacka konia ostrogami, zmuszając go do galopu i czekać, co stanie się, gdy żona straci nagle kontrolę nad swoim wierzchowcem...

Co za okropne przypuszczenia, pomyślałam.

Ruszyłam szybciej do przodu, zrównując się z Napierem.

— Mogłaby być z pani świetna amazonka, wystarczy tylko trochę praktyki — powiedział. — Ale pani, śmiem przypuszczać, jest świetna we wszystkim, czego się podejmie.

— Ta opinia bardzo mi pochlebia.

— Proszę... Poczekajcie na mnie — usłyszeliśmy z tyłu wołanie Edith.

Sugar-Plum stał przy żywopłocie i spokojnie skubał soczyste liście. Edith, szarpiąc lejce, usiłowała zmusić go do jazdy, ale zwierzę nic sobie z tego nie robiło. Wyglądało na to, że wstąpił w niego jakiś złośliwy duch i zamierzał dręczyć Edith zupełnie tak samo, jak jej mąż.

Napier odwrócił się z uśmiechem.

Biedna Edith, była purpurowa z wysiłku. Naprawdę nienawidziłam tego człowieka.

— Chodź tu, Sugar-Plum — zawołał.

Zwierzę zostawiło smakowite liście i potulnie potruchtowało w stronę wzywającego je głosu, jakby chciało powiedzieć: popatrzcie, jaki jestem posłuszny.

— Naprawdę nie powinnaś dosiadać tej chabety — powiedział Napier. — Zdecydowanie lepsza byłaby Venus.

Edith wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozpląkać. Nie cierpię go, pomyślałam. To sadysta. Najwyraźniej znajduje przyjemność w dręczeniu tej małej. Zdaje się, że wyczuł, co o nim myślę.

— Dla pani też znajdę coś lepszego, chociaż wiem, że jest pani temu przeciwna. Honey niewiele może z siebie dać, jest przyzwyczajona, że jeżdżą na niej dzieci.

To nie był już przyjemny poranek. Poczułam ulgę, gdy w oddali zobaczyłam Lovat Stacy.

\* \* \*

To dziwne, ale niechęć do Napiera Stacy wywołała u mnie potrzebę dbania o swój wygląd zewnętrzny, co od śmierci Pietra niemal zupełnie mnie nie interesowało. Przyłapałam się nawet na tym, że zastanawiałam się, czy mogę się podobać komuś takiemu jak on. Kobieta, która pierwszą młodość miała już za sobą i którą wczesne wdowieństwo uczyniło życiowo doświadczoną. Byłam wysoka, szczupła, miałam jasną, lecz zdrową karnację, którą Pietro porównywał do kwiatu magnolii. Krótki, lekko zadarty nos i duże, ciemne oczy, które pod wpływem gniewu lub chwili zapomnienia w muzyce, robiły się niemal czarne, a także gęste, kasztanowe włosy — to wszystko składało się na całkiem atrakcyjną i pociągającą całość. Można powiedzieć, że patrząc w lustro, czułam się raczej zadowolona. Umiałam też dobrać stroje i kolory, by jeszcze podkreślić swoją urodę.

Myślałam o tym wszystkim, ubierając się w jasnofioletową suknię, w którym to kolorze było mi wyjątkowo do twarzy, i szary płaszcz. Wybierałam się na spacer, by zastanowić się spokojnie nad kilkoma sprawami, na przykład nad moją sytuacją w Lovat Stacy. Nie poproszono mnie więcej o granie dla sir Williama ani dla jego gości, a lekcje muzyki z dziewczętami nie były zbyt obciążające czasowo. Niepokoiłam się więc, że moi chlebodawcy mogą uznać, iż nie zapracowuję na swoją pensję. Co prawda pani Lincroft poinformowała mnie, że stan zdrowia sir Williama bardzo się ostatnio pogorszył i z rozrywkami towarzyskimi należy poczekać, aż poczuje się lepiej. A wtedy z pewnością będę miała więcej obowiązków.

Staralam się nie myśleć zbyt wiele o Napierze Stacy, którego uważałam za wyjątkowo paskudną postać. Zastanawiałam się natomiast, dlaczego tak źle traktował swoją młodą żonę. Nieustannie myślałam też o Romie. Pragnęłam przyspieszyć poszukiwania, które mogłyby mi pomóc odpowiedzieć na pytanie, co się z nią stało. Jednocześnie bałam się wzbudzić podejrzania ludzi, wśród których się obracałam. Nie chciałam, by domyślili się, co tak naprawdę było powodem mojego przyjazdu do Lovat Stacy.

To właśnie wspomnienie Romy zawiodło mnie tamtego dnia do rzymskich ruin. Spacerowałam po nich, przywołując w pamięci siostrę, której obraz był tak żywy, że niemal czułam jej obecność. Miejsce było zupełnie opuszczone. Zdawałam sobie sprawę, że odkrycie Romy nie miało tak wielkiej wagi jak inne wykopaliska na terenie Anglii. Gdy minęło początkowe zainteresowanie, niewielu ludzi wybierało się tutaj, aby je obejrzeć. Minęłam pomieszczenia łazienkowe z pozostałościami hypokaustum, które służyło do ogrzewania willi. Pamiętałam, z jaką dumą Roma pokazywała mi te urządzenia.

Roma, wyszeptałam. Gdzie jesteś?

Stała mi przed oczami jak żywa, z oczami pałającymi entuzjazmem, z falująca piersią, na której połyskiwał oryginalny naszyjnik.

Nie mogłam uwierzyć, że wyjechała, nie mówiąc mi, dokąd się wybiera. Jedynym wytłumaczeniem była śmierć.

Śmierć! wyszeptałam. Przypomniało mi się dziesiątki różnych scen z naszego dzieciństwa. Kochana, sumienna Roma, nigdy nie żywiła do nikogo urazy i jej jedynym grzechem była litościwa tolerancja wobec tych, którzy nie podzielali jej miłości do archeologii.

Postanowiłam odwiedzić domek, w którym mieszkała podczas prac przy wykopaliskach, gdzie i ja zatrzymałam się, będąc u niej z wizytą po śmierci Pietra. Na szczęście nie spotkałam wtedy

nikogo z ludzi, z którymi mieszkałam w Lovat Stacy. Miałam nadzieję, że oni też mnie wówczas nie widzieli. Gdyby tak było, z pewnością już bym to wiedziała. Ale gdy mieszkałam tu z Romą, po okolicy kręciło się wielu przyjezdnych, którzy chcieli zwiedzić wykopaliska.

Domek wydał mi się jeszcze bardziej zapuszczony niż poprzednio. Pchnęłam drzwi, które okazały się otwarte, i weszłam do środka.

Moim oczom ukazał się znajomy pokój ze stołem, na którym rekonstruowano mozaiki. Na podłodze leżało kilka pędzelków, oskard, łopata i wiadro. W rogu zauważyłam stary piecyk olejowy, na którym Roma sporadycznie gotowała posiłki i kocioł, w którym trzymała parafinę.

To właśnie stąd moja siostra wyszła pewnego dnia i ślad po niej zaginął.

Gdzie jesteś, Romo, gdzie?

Usiłowałam wyobrazić sobie, dokąd mogła pójść. Może na spacer? Jednak Roma nigdy nie zażywała spacerów dla same — go spacerowania, zawsze musiała mieć powód, aby przemieszczać się z jednego miejsca na drugie. Zatem pływanie? Bardzo rzadko jednak miała czas na takie przyjemności.

Co zatem stało się owego dnia, gdy po spakowaniu swoich rzeczy wyszła z domu?

Czułam, że odpowiedź znajduje się gdzieś w pobliżu.

Po skrzypiących schodach weszłam na górę. Otworzyłam ciężkie drzwi prowadzące do małego pomieszczenia, za którym było drugie, podobnej wielkości. Tam właśnie nocowałam na składanym łóżku, przez ścianę z Romą, która zajmowała pierwszy pokój.

Po naszych składanych łóżkach nie było już śladu. Byłam pewna, że Roma przygotowała je do wyniesienia, zanim opuściła domek.

Nagle zrobiło mi się zimno. Kamienne ściany budynku były bardzo grube i wewnątrz panował przejmujący chłód.

Nie chciałam jednak jeszcze stamtąd wychodzić. Bardzo silnie czułam obecność Romy i myślałam o niej intensywnie, patrząc przez malutkie okienko na znajdujące się nieopodal wykopaliska. Praca pochłaniała ją całkowicie, mówiła o niej bez przerwy, nawet myjąc się lub przygotowując posiłki. O czym mogła myśleć tamtego dnia? O wyjeździe? Czy snuła jakieś nowe plany?

Zamknęłam oczy. Widziałam ją bardzo wyraźnie. Gdzie? Dlaczego?

Nagle usłyszałam na dole jakiś hałas. Zamarłam i poczułam mróz na plecach. Przypomniały mi się słowa Allegry: „Czy zjeżyły się pani kiedyś włosy na głowie?” Dom ten stał na kompletnym odludziu i przeraziłam się, że może mnie spotkać taki sam los jak Romę.

Najwyraźniej słyszałam czyjeś kroki. Trzasnęła deska w podłogę. Z całą pewnością ktoś chodził po domu.

Spojrzałam na okno. Było tak małe, że nie mogłabym tamtędy uciec. Ale dlaczego właściwie tak panikuję? Cóż w tym strasznego, że jeszcze ktoś postanowił zajrzeć do tego opuszczonego domu?

Zaczęłam nasłuchiwać. Czy mój strach był wynikiem nadmiernie rozwiniętej wyobraźni, czy to może duch Romy ostrzegł mnie, że jestem w niebezpieczeństwie?

I wtedy usłyszałam skrzypienie schodów. Ktoś wchodził na górę. Postanowiłam sprawdzić, kto to, i schowawszy drżące ręce do kieszeni płaszcza ruszyłam w stronę drzwi.

Ledwo zdążyłam do nich podejść, gdy ktoś pchnął je z tamtej strony i stanął w nich Napier. Wydał mi się nagle bardzo duży, za duży na to niewielkie pomieszczenie. Uśmiechał się do mnie, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że mnie przestraszył.

— Widziałem, jak wchodziła pani do tego domu — wyjaśnił po chwili. — Zastanawiałem się, co też może tu panią interesować. — Ponieważ nie odpowiedziałam, ciągnął dalej. — Wydaje mi się, że mój widok panią zaskoczył.

— To prawda — powiedziałam, usiłując zapanować nad swoimi nerwami. Byłam zła, że dałam się ponieść imaginacji i w dodatku nie potrafiłam tego ukryć. Ten człowiek najwyraźniej lubił znęcać się psychicznie nad słabszymi. Widząc, że wchodzę do opuszczonego domu, zakradł się tam po kryjomu, chcąc napędzić mi stracha.

— Sądziła pani, że nikogo więcej nie interesują skarby naszej przeszłości? — zapytał drwiąco.

— Wręcz przeciwnie. Mam pełną świadomość, jak wiele osób się tym interesuje.

— Ale nie rodzina Stacy. Wie pani, że mój ojciec nie chciał się na początku zgodzić na prowadzenie tych wykopalisk?

— Ale zmienił zdanie?

— Zdołano mu to wyperswadować. Tak więc zgodził się... W imię dobra kultury... odstąpił od swojego filisterstwa.

— Co za szczęście dla potomności, że pana ojciec dał się przekonać.

— Triumf wiedzy nad ignorancją — podsumował z błyskiem w oczach.

— Dokładnie.

Wykonałam ruch, jakbym zamierzała wyjść z pokoju. Napier jednak nie ruszył się z miejsca i gdybym chciała opuścić pomieszczenie, musiałabym się koło niego przeciskać. Zawahałam się więc, nie chcąc utwierdzić go w przekonaniu, że wciąż myślę, jak stąd uciec.

— Po co pani tu przysła? — zapytał.

— Z ciekawości, jak sędzę.

— Jest pani bardzo dociekliwą osobą.

— Nie bardziej niż większość ludzi.

— Moim zdaniem — kontynuował — dociekliwość czasami może okazać się szkodliwa. Chociaż z drugiej strony, zdecydowanie uważam ją za cnotę.

— Cnoty doprowadzone do skrajności mogą okazać się występkami.

— Absolutnie się z panią zgadzam. Czy wie pani, że w tym domu mieszkała główna organizatorka tych wykopalisk?

— Czyżby? — zdziwiłam się.

— To ta kobieta, która zaginęła w tajemniczych okolicznościach.

— Co się z nią stało?

— Nie jestem zwolennikiem teorii, że jakiś rzymski bożek okrutnie się zezłościł i zmiotł ją z powierzchni ziemi. A pani?

Zrobił krok w moją stronę.

— Przypomina mi pani tamtą kobietę.

Patrzył mi prosto w oczy i nagle pomyślałam, że wie. Wie, po co tu przysłałam. Przecież nietrudno było dowiedzieć się, że żona Pietra Verlaine'a jest siostrą Romy. Prawdopodobnie pisali o tym w gazetach. Może nawet domyślił się już, że przyjechałam tu, aby dowiedzieć się, co stało się z Romą. Może...

Dziesiątki podobnych myśli przelatowało mi przez głowę w tym opuszczonym domu. Byliśmy tu sami: ja i człowiek, który zabił swojego brata.

— Przypominam... ją panu? — powtórzyłam pytająco, usiłując ukryć drżenie głosu.

— Nie jest pani do niej podobna fizycznie. Trudno byłoby określić ją jako piękną kobietę. — Słyszając to, zaczerwieniłam się. — Oczywiście, nie chciałem przez to powiedzieć... — uniósł w górę ręce, jakby zakłopotany. Dał mi tym do zrozumienia, że pomyślałam, że on uważa mnie za piękną kobietę. Co za poniżenie. — Ona wyglądała na osobę pracującą z charyzmą.

— Rozumiem, ja również sprawiam takie wrażenie?

— Tego nie powiedziałem. Chciałem tylko podzielić się z panią wrażeniem, że bardzo mi ją pani przypomina.

— Dobrze ją pan znał?

— Jej charyzma była łatwo zauważalna. Nie trzeba się było z nią zaprzyjaźniać, aby to zauważyć.

— Co się z nią stało? — zapytałam powtórnie.

— Pyta pani o moje przypuszczenia?

— Jeżeli nie istnieje nic więcej.

— Dlaczego sądzi pani, że mógłbym mieć do zaoferowania coś więcej niż domysły?

— Znał pan tę kobietę. Rozmawiał z nią. Być może wyczuł pan, jakiego rodzaju była człowiekiem...

— Albo jest — sprostował. — Nie ma podstaw, aby mówić o niej w czasie przeszłym. Nie mamy pewności, że nie żyje. Myślę raczej, że wyruszyła na następną wyprawę. Niemniej jednak to tajemnicza sprawa. Być może pozostanie już taka na zawsze. Na świecie spotykamy wiele nie wyjaśnionych zagadek. A ten przypadek... może być ostrzeżeniem, aby pozostawić przeszłość w spokoju.

— Jestem pewna, że zignoruje go każdy archeolog.

— Po tonie głosu domyślam się, że pani ma podobne zdanie. Sądzi pani, że należy badać przeszłość?

— Czyż nie przyznał pan sam, że praca archeologów jest bardzo cenna?

Napier uśmiechnął się tym swoim irytującym uśmiechem, który coraz bardziej mnie denerwował.

— Pan tak nie uważa?

— Tego nie powiedziałem. Nie miałem zresztą na myśli archeologów. Wydaje mi się, że ma pani obsesję na punkcie tej kobiety. Zapytałem panią tylko, czy należy badać przeszłość. Przeszłość ma każdy człowiek. To nie jest dziedzina przynależna tylko tym, którzy rozgrzebują ziemię.

— Sądzę, że przeszłość każdego człowieka, to jego prywatna sprawa. Tylko przeszłość historyczna powinna być badana i poznawana.

— A kto, pani zdaniem, tworzy tą przeszłość historyczną, jeśli nie ludzie właśnie? Może będę impertynentem, co mi zresztą wielu zarzuca, ale jestem przekonany, że pani, podobnie zresztą jak ja, pragnęłaby zapomnieć o swojej przeszłości. Widzę, że nie myliłem się... uważa mnie pani za człowieka co najmniej niedelikatnego. Nie powinienem był mówić takich rzeczy, to nie jest dobrze widziane w społeczeństwie, tak bardzo ceniącym sobie dobre maniery. Powinienem się ograniczyć do: „Piękny mamy dziś dzień, nieprawdaż? Wiatr jest dużo cieplejszy niż wczoraj”. Później przedyskutowalibyśmy pogodę, jaka panowała na przestrzeni ostatnich kilku tygodni, nie rozmawiając o niczym istotnym. Tak naprawdę, moglibyśmy równie dobrze w ogóle się do siebie nie odzywać. A więc nie pochwała pani szczerości.

— Szybko dochodzi pan do konkluzji. Jeśli zaś mówimy o szczerości, z moich doświadczeń wynika, że ludzie, którzy się za takich uważają, zwykle rezerwują to określenie dla własnych wypowiedzi i ocen. Jeżeli zdarza im się spotkać kogoś podobnie otwartego i wyrażającego się szczerze na ich temat, traktują to jako bezczelność lub nawet chamstwo.

Napier zaśmiał się wesoło.

— Udowodnię pani, że mnie to nie dotyczy. Mogę rozmawiać z panią bardzo szczerze o swojej przeszłości. Zastanówmy się, co mogła pani już usłyszeć na mój temat? Wiem. Zamordowałem własnego brata. O tym na pewno pani wie.

— Słyszałam, że to był wypadek.

— Tak się o tym mówi w sposób dyplomatyczny.

— Nie miałam zamiaru być w stosunku do pana dyplomatyczna. Mówiłam to, co myślę. Słyszałam, że był to tragiczny wypadek. Wiem, że takie rzeczy się zdarzają. I chociaż są bardzo bolesne, nie powinno się ich w nieskończoność przypominać.

— To nie był jednak zwykły wypadek. Zginął dziedzic majątku, przystojny, czarujący, ukochany. Zastrzelony przez swojego brata, który dziedziczy po jego śmierci, a przy tym nie jest ani przystojny, ani czarujący i niezbyt kochany.

— Zatem, być może, powinien spróbować się takim stać.

Napier zaśmiał się głośno, a w jego głosie zabrzmiała taka gorycz, że moja niechęć do niego nieco osłabła. Pomyślałam sobie, że złe cechy jego charakteru są być może odpowiedzią dla świata, który tak okrutnie go traktował. Poczułam dla niego współczucie.

— Nikogo nie powinno się winić za coś, co stało się przypadkowo — powiedziałam łagodnie.

— Dlaczego jest pani taka pewna, że stało się to przypadkowo? — zapytał podchodząc jeszcze bliżej i nie spuszczać ze mnie wzroku. Jego błękitne oczy lśniły na ogorzałej twarzy.

— Bo przecież tak było — upierałam się.

— Tego typu stwierdzenie w ustach tak wrażliwej młodej damy zaiste mi schlebia.

Rozchyliłam płaszcz, aby spojrzeć na przypięty do sukni zegarek.

— Widzę, że jest już wpół do czwartej — stwierdziłam, postępując krok w kierunku drzwi. Napier ani drgnął, wciąż tarasując przejście na schody.

— Wie pani zadziwiająco dużo na temat naszej rodziny. A ja wciąż niewiele wiem o pani.

— Jestem zdziwiona słysząc, że to pana interesuje. A jeśli chodzi o moją wiedzę na temat rodziny Stacy, to nie wykracza ona poza to, co usłyszałam od pana. Przyjechałam tu w charakterze nauczycielki muzyki, a nie biografą czy rodzinnego dokumentalisty.

— Jaka szkoda, że tak nie jest. Może powinienem zasugerować to mojemu ojcu. Cóż to byłaby za kronika w pani wydaniu! Śmierć brata w wyniku strzelaniny, a nawet tajemnicze zniknięcie młodej kobiety archeologa. Co za rzeczy tu się zdarzały!

— Zawodowo zajmuję się wyłącznie muzyką.

— Ale interesuje się pani tym wszystkim, co dotyczy losów tutejszych ludzi. Fascynuje panią historia tej zaginionej kobiety... tylko dlatego, że tu właśnie zaginęła.

— Nie...

— Nie? Czyżby interesowała się pani jej zniknięciem niezależnie od miejsca, w którym by to nastąpiło?

— Tajemnice zawsze są intrygujące.

— Zgadzam się, że znacznie bardziej niż jakaś strzelanina, za którą nie kryją się żadne niejasne powody.

— Wypadki zdarzają się bez powodów. Zdarzają się ot tak.

— A więc jest pani głęboko przekonana, że to był wypadek. Być może wkrótce zmieni pani zdanie, słuchając, co pewni ludzie mają na ten temat do powiedzenia.

Ten człowiek coraz bardziej mnie zadziwiał. Nie rozumiałam, dlaczego tak się przejmuję moim zdaniem. Nagle prze — szła mi ochota na opuszczenie tego domu. Chciałam stać tam i rozmawiać z nim. W dziwny sposób przypominał mi pietra, który także czasami nie mógł pogodzić się z krytycznymi sądami na temat swojej gry, co doprowadzało go do rozpaczki.

— Wiele lat spędziłem z dala od tego miejsca. Mieszkałem u kuzyna w Australii. Proszę mi więc wybaczyć, jeśli braknie mi angielskiej dyplomacji. Chciałbym opowiedzieć pani swoją wersję... wypadku. Zechce pani tego wysłuchać?

Pokiwałam głową.

— Proszę sobie wyobrazić dwóch chłopców... no, prawie mężczyzn. Beaumont miał niemal dziewiętnaście lat, ja skończyłem siedemnaście. Wszystko, czego się dotknął, było wspaniałe,



czego zaś ja, co najmniej podejrzane. Bardzo prosty podział ról. On był białą owcą, ja czarną. Tylko że czarne owce stają się czasami zawzięte, wiedzą bowiem, że są czarne, ponieważ to ludzie kazali im w to wierzyć... A więc ta czarna owca robiła się coraz czarniejsza, aż pewnego dnia schwyciła za pistolet i zabiła swojego brata.

Lepiej bym się czuła, gdyby Napier okazał chociaż cień emocji, ale mówił to tak spokojnym, zimnym głosem, że zaczęłam się zastanawiać, czy to rzeczywiście był wypadek.

— To zdarzyło się tyle lat temu... — zaczęłam delikatnie.

— Pewne wydarzenia pamięta się przez całe życie. Pani mąż nie żyje. Był bardzo sławnym pianistą. Jak pani sama zauważyła, jestem filistrem, człowiekiem pozbawionym ogłady, ale nawet ja słyszałem o pani mężu. Pani też ma wielki talent. — Patrzył na mnie badawczo i dodał nie bez złośliwości: — To musiała być prawdziwa idylla.

Gdy to mówił, myślałam o Pietrze. O tym, jak często w jego oczach widziałam furję, wywołaną najmniejszą nawet krytyką pod adresem jego geniuszu, o tym, ile razy szydził ze mnie... Pomyślałam, że ten człowiek musiał domyślać się, jak wyglądało moje małżeństwo i z całą premedytacją usiłował zniszczyć wspomnienia, jakie mi pozostały z tamtego okresu. To świadczyło, że był jednak okrutny i lubował się w destrukcji. Próbował okaleczyć moje marzenia, znajdował przyjemność w ranieniu Edith. Mnie także mógł zranić, szydząc z mojego małżeństwa.

— Może nie powinienem tego mówić — dodał, jakby znał moje myśli lub moją przeszłość, w której często rozbrzmiewał drwiący śmiech Pietra. — Być może przypomniałem pani coś, o czym wołałaby pani zapomnieć.

Tym razem jego głos był miękki, niemal delikatny, ale dla mnie było to bardziej przykre niż szyderstwo, ponieważ wydawało mi się, że wynika to z cynicznych przesłanek.

— Naprawdę muszę już iść. Powinam się przygotować do lekcji — powiedziałam.

— Odprowadzę panią do domu — zaoferował się Napier.

— Ależ... to całkowicie zbyteczne.

— I tak wracam do domu. Oczywiście, nie chcę się narzucać i możemy iść tam osobno, jeśli tak sobie pani życzy.

— Nie widzę powodu, dla którego miałabym sobie tego nie życzyć.

— Bardzo pani dziękuję. — Skłonił się z lekko drwiącym uśmiechem. — Naprawdę cieszę się z całego serca.

Odsunął się wreszcie od drzwi. Schodząc po schodach, czułam dziwne napięcie. Peszyła mnie świadomość, że Napier jest tak blisko mnie. Nie byłam pewna, czy moje zdenerwowanie wynikało tylko z faktu, że opowiedział mi o tym, jak zastrzelił swojego brata. Miałam wrażenie, że wręcz się tym szczycił. Czy jednak na pewno? Nie umiałam odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ten człowiek był dla mnie zagadką. Co mnie to jednak obchodziło? A może jednak obchodziło? Był tu przecież w tym samym czasie, co Roma. Znał ją, rozmawiał z nią. „Pani mi ją bardzo przypomina” — powiedział.

Odetchnęłam z ulgą, gdy wyszliśmy z domku.

Przechodziliśmy właśnie koło wykopalisk, gdy Napier niespodziewanie znowu zaczął mówić o Romie.

— Niewiele wiemy o jej rodzinie. Rodzice zginęli podobno w wypadku w czasie podróży służbowej.

— O kim pan mówi?

— O naszej zaginionej damie, oczywiście. Zdziwiłaby się pani, gdyby pewnego dnia się odnalazła. To bardzo dobry pomysł, by skupić uwagę ludzi na wykopaliskach. Przychodzą tutaj nie dlatego, że interesują ich rzymskie ruiny, ale aby zobaczyć miejsce, gdzie zniknęła ta kobieta.

— Nie powinien pan chyba podejrzewać jej o takie manipulacje. Jestem pewna, że nie zasługuje na to.

— Skąd ta pewność?

— Nie sądzę, by tacy ludzie mogli zrobić coś takiego.

— Ma pani złote serce i wierzy w dobre intencje ludzi. Cóż za szczęście mieć taką osobę koło siebie.

Weszliśmy na teren wykopalisk i Napier zaczął mi o nich opowiadać. Zdziwiło mnie, że tak wiele wie o rzymskich czasach. Dużo mówił o mozaice na posadzce. Uważał, że jej kolory znakomicie się zachowały i nie ma sobie równej w całej Anglii.

— Mozaikom tego typu dobrze robi olej lniany i promienie słońca — niewiele myśląc pospieszyłam z wyjaśnieniami, które usłyszałam kiedyś od Romy. — Kolory mogłyby być jeszcze jaskrawsze, gdyby były wystawione na operowanie słońca w tropikach.

— Cóż za wiedza! — wykrzyknął.

Kolejny fałszywy krok. Ten mężczyzna działał na mnie w szczególny sposób. Przyglądał mi się z uśmiechem, błyskając białymi zębami.

— Nie jest pani czasami archeologiem incognito? Uśmiechnęłam się też, ale dość niepewnie.

— Czy wysłano tu panią z tajną misją? — ciągnął Napier. — Może wykrada się pani nocą z naszego domu i podkopyje się pod jego fundamenty?

Znowu zaczęłam się zastanawiać, czy on wie? A jeśli tak, jak to wykorzysta? Przecież zabił swojego brata. Co może wiedzieć o zniknięciu Romy?

— Gdyby miał pan chociaż podstawową wiedzę o archeologii, zorientowałby się pan, że niewiele się na tym znam. Dość powszechnie wiadomo, że olej lniany i słońce pomagają w restauracji barw.

— Nie tak znowu powszechnie. Nie miałem o tym pojęcia. Ale może jestem wyjątkowo źle wyedukowany.

Przed naszymi oczami pojawiła się rezydencja Lovat Stacy, rysująca się majestatycznie na tle błękitnego nieba.

— Moja rodzina ma niewątpliwie jedną cechę wspólną z Rzymianami — powiedział Napier. — Wiedzą, jak wybrać najlepsze miejsce na postawienie domu.

— Widok jest naprawdę zachwycający — przyznałam.

— Cieszę się, że podziela pani moje zdanie.

— Musi pan być dumny z tego, że należy do takiego domu.

— Wolałbym powiedzieć, że ten dom należy do nas. Proszę pomyśleć, jakie opowieści mogłyby snuć te cegły, gdyby umiały mówić. Jest pani romantyczną osobą. — Znowu przypomniał mi się Pietro. Romantyczność pod przykrywką światowego obycia. — Ale całe szczęście, że te cegły nic nam nie powiedzą — kontynuował Napier. — Ich opowieści mogłyby nas zaszokować. Ale pani i tak wierzy, że ludzie są dobrzy, nieprawdaż?

— Przynajmniej próbuję, dopóki nie udowodni się im czegoś wręcz przeciwnego.

— Filozof i muzyk w jednej osobie. Co za kombinacja!

— Śmieje się pan ze mnie.

— Czasami przyjemnie jest się pośmiać. Ale nie mogę mieć nadziei, że pani szlachetna ocena będzie dotyczyła także mojej osoby. Gdy do kogoś przyłgnie piętno bestii, nawet najmilszy filozof musi to zaakceptować.

— Piętno bestii — powtórzyłam jak echo.

— Tak o mnie mówiono, gdy zabiłem brata — Napier przyłożył rękę do czoła. — Jest tutaj, proszę pani. Każdy to widzi. Pani też może to zobaczyć. A jeśli nie, zaraz go pani pokażą palcem.

— Nie powinien pan tak mówić. Przemawia przez pana... gorycz.

— Przeze mnie? — Spojrzał na mnie i uśmiechnął się smutno. — Nie, jestem po prostu realistą. Sama pani zobaczy. A gdy do człowieka raz przylgnie takie piętno, tylko cud może je usunąć.

Spokojna morska toń odbijała promienie słoneczne, które skrzyły się jak diamenty, rozrzucone tam ręką olbrzyma. W oddali majaczyły maszty na Goodwin Sands.

Szliśmy dalej w milczeniu.

Pożegnaliśmy się na dziedzińcu, a ja poszłam prosto do swojego pokoju, głęboko poruszona tym spotkaniem.

\* \* \*

Tego samego dnia późnym popołudniem wygospodarowałam pół godziny czasu, by pójść do ogrodów. Już wcześniej dokładnie je zwiedziłam i chociaż mój podziw wzbudzały rozległe tarasy i klomby, ulubionym miejscem pozostał mały, zamknięty ogród, który polubiłam pierwszego dnia pobytu. Jedną ze ścian porastały jasnozielone pnącza dzikiego wina, które na jesieni zapłoną płamą szkarłatu. Wewnątrz tych kamiennych ścian panował niemal medytacyjny nastrój, którego tak bardzo potrzebowałam, by zebrać myśli. Napier Stacy zburzył mój spokój bardziej, niż chciałam to przyznać nawet przed samą sobą.

Usiadłam na ławce nad niewielką sadzawką porośniętą liliami wodnymi i dopiero po dłuższej chwili spostrzegłam, że nie jestem sama.

Na drugim końcu ogrodu, obok dużego krzewu stała nieruchomo panna Stacy, której nie zauważyłam wchodząc. Być może dlatego, że ubrana była w zieloną suknię, zlewającą się z kolorytem liści. Dziwnie się poczułam, uświadamiając sobie, że obserwowała mnie przez dłuższą chwilę, gdy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z jej obecności.

— Dzień dobry — przywitała mnie wesoło. — Wiem, że to pani ulubione miejsce. — Skierowała się w moją stronę, figlarnie kiwając palcem. Włosy miała przewiązane zielonymi wstążkami, dokładnie w takim samym kolorze jak suknia.

Musiała poczuć na sobie moje spojrzenie, bo natychmiast podniosła rękę i dotknęła lekko fryzury.

— Zawsze staram się dobierać właściwe dodatki do swoich strojów. Do każdej sukni mam przygotowany zestaw wstążek.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, spodziewając się być może, że pochwalę jej zaradność. Ruchy i głos panny Stacy były bardzo młodzieńcze i dopiero gdy podeszła zupełnie blisko, zauważyłam brązowe plamy na dekolcie i dłoniach oraz głębokie zmarszczki wokół oczu. Wyglądała chyba na jeszcze starszą, niż naprawdę była.

— Zmieniła się pani, odkąd widziałam panią po raz pierwszy — oznajmiła.

— Tak? Czy to możliwe w tak krótkim czasie?

— Jaki tu spokój — powiedziała, siadając obok mnie na ławce. — To uroczy, mały ogródek, prawda? Pani też tak myśli, bo inaczej nie przyszłaby pani tutaj. Sprawia wrażenie całkowicie odizolowanego od reszty świata, ale tak nie jest, zgadza się pani ze mną?

— Oczywiście.

— Wiem, że zdaje sobie pani z tego sprawę. Jest pani bardzo inteligentna. Założę się, że wie pani bardzo dużo na różne tematy, nie tylko o muzyce.

— Dziękuję bardzo.

— I... cieszę się, że pani tu przyszła. Zdecydowałam się namalować pani portret.

— To bardzo miło z pani strony.

— Och, to może nie być takie miłe — zaśmiała się. — Niektórzy artyści są niemili. A przynajmniej tak myślą o nich ich modele... ponieważ malują to, co widzą, a to nie zawsze jest tym samym, co pozujący chcieliby zobaczyć.

— Bardzo jestem ciekawa, co pani zobaczy we mnie.

— Jeszcze nie teraz... Muszę trochę poczekać — pokiwała głową.

— Spotkałyśmy się zaledwie jeden raz.

— Ależ ja ciągle panią widuję. Muszę powiedzieć, że bardzo się panią interesuję — dodała, śmiejąc się.

Klasnęła w dłonie, jak mała dziewczynka, która chce zatrzymać dla siebie jakiś sekret. Niewątpliwie była kolejnym członkiem tej rodziny, który wprawiał mnie w zakłopotanie.

— Dzisiaj też panią widziałam — powiedziała. Pokiwała kilka razy głową, jak mandaryn. — Z Napierem.

Na szczęście nie miałam skłonności do czerwienienia się, nic nie zdradziło więc mojego zakłopotania.

— Spotkaliśmy się przypadkowo... w rzymskich ruinach — wyjaśniłam może zbyt skwapliwie, bo przecież nie musiałam się przed nikim tłumaczyć.

Panna Stacy znowu kiwnęła kilka razy głową.

— Bardzo się pani interesuje tymi ruinami.

— To chyba naturalne. Są naszym narodowym dziedzictwem kulturowym.

— Tak, ale niektórzy przedstawiciele naszego narodu interesują się nim bardziej niż inni. Zgodzi się chyba pani ze mną — przyglądała mi się chytrze spod pomarszczonych powiek.

— To naturalne.

Wstała i znowu klasnęła w dłonie.

— Chciałabym pani pokazać nieco inne ruiny... które są tu, na miejscu. Pójdzie pani ze mną?

— Ruiny? — zdziwiłam się.

Zacisnęła usta i skinęła głową.

— Proszę za mną. — Wyciągnęła do mnie rękę i nie pozostało mi nic innego, jak podać jej swoją. Jej dłoń była zimna i bardzo miękka. Puściłam ją tak szybko, jak tylko mogłam.

— Tak, mamy tu własne ruiny. Powinna je pani zobaczyć, skoro interesuje się pani naszą rodziną.

Podeszłyśmy do kutej w metalu bramy w kącie ogrodu. Panna Stacy otworzyła ją i stała przez chwilę nieruchomo, przypominając mi wróżkę z bajki. Na jej twarzy malowało się podniecenie spiskowca. Ciekawe, dlaczego w tym domu wszystko jest takie dziwne, pomyślałam.

— Ruiny — usłyszałam, jak mamrocze pod nosem. — Tak, można to nazwać ruinami. Oczywiście, nie rzymskimi. Ale dlaczego rodzina Stacy nie ma mieć własnych ruin, skoro mają je Rzymianie.

Przeszłam przez bramę i panna Stacy zamknęła ją za nami. Minęła mnie, wskazując drogę i uśmiechając się jak mała, figlarna dziewczynka.

Poprowadziła mnie przez porośniętą krzakami część ogrodu, której nie znałam. Po chwili znalazłyśmy się w małym lasku jodłowym.

Szłyśmy ścieżką między gęsto rosnącymi, zielonymi drzewami, a ja zastanawiałam się, czy siostra sir Williama nie jest bardziej szalona, niż mi się to na początku wydawało.

W końcu jednak zobaczyłam cel naszej wyprawy. Była to biała wieża zbudowana na planie koła.

— Proszę za mną do środka — zawołała panna Stacy. — To są nasze ruiny.

Weszłam za nią do wnętrza i zobaczyłam, że w środku wieża była wypalona przez ogień skorupą. Dach też był częściowo zniszczony i przez dziury widać było niebo.

— Co to jest? — zapytałam.

— Skorupa — odpowiedziała mi nabożnym tonem. — Wypalona skorupa.

— Kiedy miał miejsce ten pożar?

— Nie tak dawno. Zaraz po przyjeździe Napiera.

— Co się tu mieściło?

— To była mała świątynia w lesie... piękna świątynią poświęcona Beaumontowi.

— Rodzaj pomnika?

— Jaka pani mądra. To rzeczywiście był pomnik, pomnik Beau. Po jego śmierci mój brat zbudował tę świątynię, aby móc tu przychodzić... tak jak inni z rodziny... i w ciszy, w otoczeniu natury, wspominać Beaumonta. Stała tu przez wiele lat, aż do czasu...

— Gdy strawił ją pożar — dokończyłam.

— Gdy Napier wrócił do domu — wyszeptala, podchodząc do mnie bliżej.

— Jak powstał pożar?

— Ze złości. Nie... nie ze złości... Z niegodziwości.

— Uważa pani, że ktoś spalił ją umyślnie? Dlaczego? Jaki miałby powód?

— Z nienawiści do Beau. Nie mogli znieść, że był taki piękny i dobry. Dlatego.

— Sugeruje pani, że...

Zawahałam się, a ona dodała ponagłajaco:

— Niech pani dokończy. Co sugeruję?

— Że ktoś podpalił ją celowo. Ale któż to mógł zrobić? Nie widzę żadnego logicznego wyjaśnienia.

— Wielu rzeczy pani nie widzi. Powinam pani powiedzieć... by panią ostrzec.

— Ostrzec?

Znowu to głupie kiwanie głową.

— Napier spalił tę świątynię, gdy wrócił do domu. Był zazdrosny, że przychodzimy tu i myślimy o Beaumencie. Pozbył się więc jej... tak samo, jak przedtem pozbył się Beau.

— Skąd ta pewność? — zapytałam niemal ze złością.

— Dobrze to pamiętam. Był już wieczór... tak, było zupełnie ciemno. Poczulałam dym z okien mojego pokoju. Pierwsza zauważyłam, że coś się pali. Z początku nie wiedziałam, skąd leci ten dym. Dopiero potem się zorientowałam... pobiegłam... rzuciłam się do zagajnika, gdzie stała świątynia i zobaczyłam, jak trawi ją ogień. To było straszne. Zwołałam ludzi, ale było już za późno, żeby ją uratować. Więc pozostała tylko ta wypalona skorupa.

— To musiało być bardzo przyjemne miejsce.

— Przyjemne! Było po prostu piękne. Takie spokojne i ciche. I był tam mój najmilszy Beau. Tego właśnie nie mógł znieść Napier. Dlatego ją spalił.

— Ale nie ma przecież żadnych dowodów — zaczęłam, ale zaraz przerwałam. Dodałam szybko: — Muszę jeszcze dzisiaj coś zrobić, zatem proszę mi wybaczyć, ale już pójdę.

— Mam wrażenie, że chciała go pani bronić — powiedziała i zaśmiała się. — Mówiłam, że zacznie pani brać jego stronę.

— W mojej naturze nie leży branie czyjejkolwiek strony, staram się zawsze być obiektywna — stwierdziłam chłodno.

— Ale przecież tak często robimy rzeczy, które rzekomo nie leżą w naszej naturze — powiedziała panna Stacy. — Jest pani wdową. Ja w pewnym sensie też. — Jej twarz wydała mi się nagle starsza i pełna smutku. — Rozumiem to. A on... jak by to powiedzieć, niektórych ludzi pociąga nikczemność.

— Naprawdę, nie rozumiem pani, a poza tym muszę już iść i popracować. Dziękuję za pokazanie mi tych... ruin.

Odwróciłam się i odeszłam szybkim krokiem. Rozmowa z panną Stacy była nie tylko niesmaczna, ale także krępująca.

\* \* \*

Dwa dni później zdarzyło się coś jeszcze bardziej niepokojącego.

Szukając Edith, poszłam do salonu muzycznego, gdzie zwykle odbywały się nasze lekcje i właśnie miałam otworzyć drzwi, gdy usłyszałam za nimi podniesiony i zdenerwowany głos Edith. Cofnęłam się o krok i wtedy pani Stacy wykrzyknęła:

— A jeżeli tego nie zrobię, powiesz wszystkim! Och... jak możesz!

W zdumienie wprawiło mnie nie tylko ewidentne znaczenie tych słów, ale przede wszystkim rozpaczliwy ton, jakim zostały wypowiedziane.

Zawahałam się, niepewna, co powinnam zrobić. Bez względu na wszystko nie zamierzałam odgrywać roli szpicla. Mieszkałam w tym domu tak krótko, że być może odbierałam niektóre wydarzenia zbyt dramatycznie. Chociaż dziewczęta, które uczyłam, okazały się doroślejsze, niż mi się na początku wydawało, wciąż traktowałam je jak dzieci.

To właśnie uprzytomniłam sobie bardzo wyraźnie, stojąc wtedy pod drzwiami sali do muzyki. Później bardzo żałowałam, że nie wykazałam więcej odwagi i nie weszłam do środka.

Odeszłam więc pośpiesznie, starając się nie robić hałasu.

Edith klóciła się z kimś, kto najwyraźniej jej groził.

Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powtórzyć, że cały czas traktowałam ją i jej koleżanki jak dzieci.

Pół godziny później miałam z Edith lekcję. Grała tak źle, jak jeszcze nigdy.

Oczywiście domyślałam się, co było powodem jej rozdrażnienia i kiepskiej formy.

## Rozdział 4

Siedziałam przy fortepianie w saloniku obok apartamentu sir Williama i grałam dla niego „Dla Elizy” oraz nokturny Chopina. Czułam, że daję z siebie wszystko, gdyż znajdowałam się w miejscu, które należało kiedyś do osoby kochającej muzykę. Oczywiście Pietro śmiałyby się ze mnie i moich przesądów. Powiedziałaby z pewnością, że prawdziwy artysta nie potrzebuje żadnej specjalnej atmosfery, aby dobrze grać.

Obraz Pietra szybko jednak zbladł i całkiem się rozplynął, a ja zaczęłam rozmyślać o Isabelli, matce Napiera, która uwielbiała muzykę i być może byłaby wielką pianistką, gdyby nie poświęciła swojej kariery dla dobra małżeństwa. Tak, byliśmy do siebie bardzo podobne. Ale ona miała dwóch synów, z których jednego kochała dużo bardziej niż drugiego, a gdy jej ukochane dziecko zmarło, wzięła pistolet i poszła do lasu...

Po godzinie skończyłam i stanęłam w drzwiach apartamentu sir Williama. Pani Lincroft, która mu towarzyszyła, skinęła głową i poprosiła, bym weszła do środka.

— Proszę usiąść. Sir William chciałby z panią porozmawiać — powiedziała, wstając i kierując się do wyjścia. — Zostawię państwa samych.

— Przypomniało mi się — zaczął sir William — jak kiedyś grywała na tym fortepianie moja żona. Chociaż sądzę, że nie była tak doskonałą pianistką jak pani.

— Być może nie miała takiej praktyki.

— Tak, bez wątpienia. Jej obowiązki tutaj...

— Rozumiem.

— Co sądzi pani o swoich uczennicach?

— Pani Stacy ma pewien talent.

— Raczej marny, prawda?

— Powiedziałabym, że wystarczający. Z pewnością znajduje przyjemność w graniu.

— No tak. A inne dziewczęta?

— Także mogą grać... stosownie do swoich możliwości.

— To dobrze. To bardzo dobrze.

Zapadła cisza i pomyślałam, że może mój chlebodawca zasnął i powinnam po cichutku wyjść z pokoju.

Już miałam to zrobić, gdy nagle sir William się odezwał.

— Mam nadzieję, że dobrze się tu pani czuje. Zapewniłam go, że niczego mi nie brakuje.

— Jeżeli potrzebowałaby pani czegoś, proszę dać znać pani Lincroft. Ona tu wszystkim zarządza.

— Dziękuję.

— Poznała już pani moją siostrę?

— Tak.

— Zapewne wydała się pani dziwna.

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć, ale sir William mówił dalej.

— Biedna Sybil, gdy była bardzo młoda, przeżyła nieszczęśliwą miłość. Miała wyjść za mąż i nagle wydarzyło się coś, co pokrzyżowało jej plany. Od tego czasu bardzo się zmieniła. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy zaczęła brać udział w życiu rodzinnym, ale nigdy nie można na niej całkowicie polegać. Prześladowają ją pewne urojenia. Pewnie rozmawiała już z panią o naszych sprawach. Z każdym o tym rozmawia. Nie powinna pani brać jej opowieści zbyt poważnie. i

— To prawda, spotkałyśmy się dwa razy i wspominała o różnych wydarzeniach.

— Tak właśnie myślałem. Śmierć mojego syna bardzo nią wstrząsnęła. Jak zresztą nami wszystkimi. W jej przypadku jednak...

Głos mu zadrżał. Z pewnością przypomniał sobie ten straszny dzień, gdy zginął Beaumont, a jego żona wzięła pistolet i poszła do lasu. Podwójna tragedia. Doprawdy, bardzo mu współczułam. Współczułam nawet Napierowi.

— Teraz, po ślubie mojego syna, będziemy prowadzić nieco aktywniejsze życie towarzyskie. Jak już wspominałem, byłbym rad, gdyby zechciała pani grać dla naszych gości.

— Z prawdziwą przyjemnością. Czy ma pan jakieś sugestie odnośnie do repertuaru?

— Zdecyduję później. Moja żona miała zwyczaj grać dla gości...

— Tak, wiem — powiedziałam ciepło.

— Teraz pani wystąpi w tej samej roli i to będzie tak, jakby...

Umilkł, a po chwili dotknął ręką dzwonka. Pani Lincroft pojawiła się tak szybko, że z pewnością nie ruszała się na krok spod drzwi.

Zrozumiałam, że powinnam już odejść.

\* \* \*

Powoli zaczynałam się budzić do życia. Nie czułam się jeszcze szczęśliwa, ale coraz bardziej interesowało mnie to, co działo się dookoła. Rodziła się także we mnie żarliwa ciekawość, której głównym obiektem był Napier Stacy. Podobnie jak w Paryżu, gdy centrum mojego wszechświata stanowił Pietro. Tam jednak kierowała mną miłość, tu zaś nienawiść. No, może to za mocne słowo. Niechęć. Jednej rzeczy byłam absolutnie pewna. Wiedziałam, że moje uczucia dla tego człowieka nigdy nie będą letnie. Niechęć łatwo mogła się przerodzić w nienawiść. Rozumiałam, że bardzo cierpiał z powodu tego tragicznego wypadku, ale to nie dawało mu prawa, aby maltretować swoją młodziutką żonę. Był człowiekiem, który sam czując się zraniony, znajdował satysfakcję w krzywdzeniu innych i tego właśnie nie mogłam mu wybaczyć. Powinnam jednak być mu wdzięczna, że zdołał ze mnie wykrzesać jakieś emocje. Nawet jeśli były negatywne.

W ciągu ostatnich tygodni nie myślałam już tak często o Pietrze. Zdarzało się, że nie wspominałam go nawet przez kilka godzin. Byłam tym zaskoczona i przerażona, gdyż wydawało mi się, że zdradzam pamięć o swoim mężu.

Pewnego popołudnia, gdy miałam trochę więcej wolnego czasu, postanowiłam pójść na spacer. Chciałam przemyśleć zmiany, jakie zaobserwowałam w swoim zachowaniu. Nogi same zaniosły mnie nad morze. Świeciło słońce i wiał orzeźwiający wiatr. Z przyjemnością wdychałam krystalicznie czyste powietrze.

Zastanawiałam się, co powinnam ze sobą zrobić. Przecież nie zostanę na zawsze w Lovat Stacy. I tak moja pozycja tu nie była zbyt mocna. Miałam co prawda trzy uczennice, ale żadna z nich, może z wyjątkiem Edith, nie miała za grosz talentu. A ona założyła już rodzinę i kto wie, czy niedługo nie będzie miała dzieci. Chociaż ta myśl wydała mi się zupełnie absurdalna. Napier jako ojciec... i to ojciec dzieci Edith! Ale przecież są małżeństwem, więc czemu nie. Kiedy zaś Edith urodzi dziecko, czy będzie jeszcze potrzebowała lekcji muzyki? Miałam grać dla gości sir Williama, ale przecież nikt nie zatrudnia pianistki, aby od czasu do czasu umilała towarzyskie spotkania. Tak, moja pozycja w Lovat Stacy była bardzo niepewna i w każdej chwili mogłam zostać zwolniona. I co wtedy? Byłam sama jak palec. Nie miałam pieniędzy, nie byłam już młoda. Czyż nie powinnam jakoś zaplanować swojej przyszłości? Skąd jednak mogę wiedzieć, jak powinna wyglądać? Kiedyś wierzyłam w Pietra i w to, że będziemy razem aż do śmierci. I co? Życie ułożyło mi się zupełnie inaczej. Nikt nie może przewidzieć swoich losów. Ale przecież



mądrzy ludzie robią plany na przyszłość, aby jak te głupie stare panny, nie zostać bez oliwy do lampek.

Ruszyłam w dół ścieżką prowadzącą na piaszczystą plażę. Przede mną wznosił się biały klif, przesłaniający mi widok na Lovat Stacy.

Nagle usłyszałam rozpaczliwy krzyk mewy, a zaraz potem głośne nawoływanie.

— Proszę pani, proszę pani! Dokąd pani idzie? Obejrzałam się i zobaczyłam biegnącą w moją stronę Alice, której kasztanowe włosy rozwiewał wiatr.

Stała przede mną czerwona od wysiłku, z trudem łapiąc oddech.

— Zobaczyłam, że schodzi pani nad morze — wyrzuciła z siebie jednym tchem. — Wołałam, aby panią powstrzymać. To bardzo niebezpieczne.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

— Naprawdę — powtórzyła stanowczo — to bardzo niebezpieczne. Proszę spojrzeć. — Wyciągnęła przed siebie rękę. — Jesteśmy w małej zatoczce. Morze zaraz tu wpłynie... i jeszcze przed przyływem nie będzie się można stąd wydostać.

Skrzyżowała ręce na plecach i spojrzała na morze.

— Rozumie pani, na czym polega niebezpieczeństwo? Morze mogłoby panią odciąć od lądu. Tu można przychodzić tylko w czasie odpływu.

— Dziękuję za ostrzeżenie.

— Teraz jest jeszcze w miarę bezpiecznie, ale za jakieś dziesięć minut wszystko się zmieni. Chodźmy tędy.

Wspięłyśmy się z powrotem na górę i gdy okrążyłyśmy skałę klifową, zobaczyłam, że nadchodzi przyływ. Alice miała rację. Za chwilę ta część plaży zostanie całkowicie odcięta.

— Widzi pani.

— Tak, widzę.

— To naprawdę jest niebezpieczne. Zdarzało się, że tonęli tu ludzie.

— Zastanawiam się, czy nie to właśnie przytrafiło się Ro... tej kobiecie archeolog.

— Tak, to może wyjaśnić zagadkę jej zniknięcia. Widzę, że bardzo się pani nią interesuje.

— Czy to nie jest interesujące, gdy ktoś zaginie bez śladu?

— No tak. — Podała mi rękę, gdy wspinałyśmy się na kolejną skałkę. — To rzeczywiście może być odpowiedź. Przyszła tutaj i utonęła. Ma pani chyba rację.

Patrzyłam na wodę i widziałam, jak zalewa coraz większe obszary plaży. Roma nie była dobrą pływaką. Fale mogły znieść ją do morza.

— Ale przecież jej ciało powinno zostać wyrzucone na brzeg.

— Tak — przyznała Alice. — Ale nie wtedy, gdy zabierze je morze. Ludzie powinni być ostrożniejsi. Szczególnie, jeśli nie znają dobrze okolicy.

— Postaram się bardziej uważać — obiecałam i zauważyłam, że uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Chce pani kontynuować spacer w samotności? — zapytała.

— A masz ochotę przejść się ze mną?

— Jeśli pani nie przeszkadzam, to z przyjemnością.

— Oczywiście, że nie.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie, a ja poczułam rosnącą sympatię do tej rozsądnej dziewczynki. Współczułam jej wiedząc, że Allegra robiła wszystko, by Alice nie zapomniała, jaką pozycję w tym domu zajmuje jej matka.

— Widzi pani te śliczne, błękitne kwiatki? To przetacznik, a tam bluszcz ziemny. Pan Brown uczy nas botaniki; chodzi z nami na spacer i pokazuje rośliny, o których nam opowiada. To bardzo dobry pomysł, nieprawdaż?

— Wspaniały.

— Edith bardzo lubi botanikę. Jestem pewna, że tęskni za nią i chciałaby czasami wziąć udział w naszych lekcjach. Ale jako mężatka nie może za często przychodzić na plebanię i uczyć się. Widzi pani tego ptaszka? To jerzyk. Lubię tu przychodzić o zmierzchu. Wtedy mogę obserwować sowy. Pan Brown opowiadał nam o nich. Wydają dźwięki podobne do zardzewiałego kołowrotka i polują na polach na ćmy.

— Widzę, że ty także lubisz lekcje biologii.

— O, tak, ale bardziej mi się podobało, gdy Edith była z nami. Myślę, że panu Brownowi także. Słyszając to, przypomniałam sobie niezręczną sytuację w Deal, której byłam świadkiem.

— Mewy lecą w kierunku lądu — oznajmiła Alice. — To znaczy, że na morzu będzie sztorm. Zawsze przylatują wtedy całymi setkami. Kiedy je widzę, myślę o żeglarzach, płynących na statkach.

Nagle zaczęła śpiewać wysokim, dziewczęcym głosem:

*Panie, usłysz nas, gdy Ciebie błagamy  
o opiekę dla tych, co na morzu.*

— To musi być straszne uczucie, gdy człowiek się topi — powiedziała drżąc. — Podobno ci, co się topią, przypominają sobie przed śmiercią całe swoje życie. Czy pani zdaniem, to prawda?

— Nie wiem i nie mam ochoty tego sprawdzać.

— No tak, a ludzie, którzy utonęli, nie mogą nam już nic powiedzieć. Chyba że wrócą... Ale ludzie mówią, że wracają tylko ci, którzy giną gwałtowną śmiercią. Nie mogą znaleźć spokoju. Wierzy w to pani?

— Nie — powiedziałam stanowczo.

— Służba uważa, że Beaumont wraca tu po śmierci.

— To niemożliwe.

— Ale oni w to wierzą. Mówią też, że pojawia się teraz częściej niż przed przyjazdem Napiera.

— Dlaczego?

— Bo jest zły na niego, że tutaj wrócił. To Napier wysłał go na tamten świat i Beau życzy sobie, by trzymał się z daleka od tego domu.

— Myślałam, że Beaumont miał dobry charakter. Ale jeżeli chce ukarać brata za coś, co było wypadkiem, to chyba się myliłam.

— Ma pani rację — powiedziała wolno Alice. — Ale może musi się tak zachowywać. Kto wie, czy ludzie, którzy giną w taki sposób, nie muszą straszyć innych. Myśli pani, że tak jest?

— Myślę, że to kupa nonsensów.

— A co pani powie o światłach w spalonej kaplicy? Ludzie mówią, że to nawiedzone miejsce. I rzeczywiście pojawiają się tam światła. Sama widziałam.

— To tylko twoja wyobraźnia.

— Nie sądzę. Mój pokój znajduje się na samej górze, tuż nad salą muzyczną. Mam doskonały widok z okien. Naprawdę widziałam te światła. — Ponieważ milczałam, mówiła dalej. — Nie wierzy mi pani. Sądzi pani, że to moja wyobraźnia. Jeżeli zobaczę te światła jeszcze raz, pokażę je pani. Chyba że pani nie chce.

— Jeżeli naprawdę je widziałaś, powinnam je zobaczyć.

— Zobaczysz pani.

— Muszę przyznać, że jestem zdziwiona, słysząc twoje opowieści. Wydawało mi się, że jesteś bardziej racjonalna.

— Ależ jestem. Jeżeli jednak dzieje się coś szczególnego, nie byłoby chyba racjonalnie zaprzeczać temu?

— Racjonalne postępowanie polega na znalezieniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się dzieje.

— Dlatego, że Beaumont nie może spoczywać w spokoju.

— Albo ktoś chce komuś napędzić stracha. Z chęcią przyjrę się temu światłu choćby dlatego, aby dowiedzieć się, co jest jego źródłem.

— Pani naprawdę jest bardzo racjonalna — przyznała Alice.

Zgodziłam się z nią i nie rozwijałam dalej tego tematu. Drogę powrotną do domu spędziłyśmy na rozmowie o muzyce i muzykach.

\* \* \*

— Muszę powiedzieć — oświadczyła pani Rendall — że to bardzo niekorzystna okoliczność. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiliśmy... jestem doprawdy zaskoczona. A jeżeli chodzi o pastora...

Jej nalane policzki trzęsły się z oburzenia, gdy prowadziła mnie ścieżką do drzwi plebanii. Byłam umówiona na lekcję z Sylwią, w czasie gdy Allegra i Alice uczyły się z wikarym.

Pani Rendall narzekała jeszcze przez kilka minut, zanim zdążyłam się zorientować, w czym tkwi problem.

— To taki dobry wikary... naprawdę nie mam pojęcia, jak on sobie wyobraża pracę na tym barbarzyńskim łądzie. Czasami dużo pożyteczniejszą robotę można wykonać w domu. Moim zdaniem już czas, by niektórzy z młodych zapaleńców to zrozumieli.

— Czy dobrze zrozumiałam, że pan Brown zamierza odejść?

— Dokładnie tak. Nie mam pojęcia, co zrobimy. Proszę sobie wyobrazić, że ten młody człowiek postanowił wyjechać do jakiejś wioski w Afryce i uczyć pogan. To dopiero przyjemność. Powiedziałam mu, że ani chybi skończy jako danie obiadowe.

— Domyślałam się, że poczuł powołanie.

— Powołanie, bzdura! Powinien czuć powołanie, aby uczyć tu, na miejscu. Czemu chce wyjeżdżać tak daleko? Powiedziałam mu: „Jeżeli nie zjedzą pana kanibale, to na pewno zabije pana upał”. Nie owijałam niczego w bawelnę.

Pomyślałam o tym cichym, młodym mężczyźnie... i Edith. Zastanawiałam się, czy ta nagła decyzja o wyjeździe miała jakiś związek z jego uczuciami do pani Stacy. Bardzo im obydwójgu współczułam. Byli jak dzieci, schwyte w pułapkę własnych emocji.

— Prosiłam pastora, aby przemówił mu do rozsądku. Nie jest łatwo znaleźć dobrego wikarego, a mój mąż jest bardzo przepracowany. Poradziłam mu, żeby poprosił o pomoc biskupa. Powinien uświadomić panu Brownowi, że jego obowiązkiem jest praca tutaj...

— Czy pan Brown ma wielką ochotę wyjechać?

— Ochotę! Ten młody idiota wbił sobie to do głowy. Powiem pani, że odkąd powiadomił pastora o swojej decyzji, z każdym dniem staje się coraz bardziej ponury. Nie mam zielonego pojęcia, co go skłoniło do tak głupiego kroku. Pomimo że pastor... i ja... uczyliśmy go, jak być pożytecznym dla innych.

— I nie mogliście mu tego wyperswadować?

— Ja będę jeszcze próbować — oświadczyła stanowczo.

— A pastor?

— Moja droga, jeżeli mnie się nie uda, to nie uda się już nikomu.

Co stanie się z Edith? — pomyślałam, wchodząc na plebanię.

Gdy widziałam ją rano, zauważyłam, że była bardzo strapiona. Grając Schumanna, ciągle się myliła, a nawet fałszowała.

Biedna Edith, taka młoda i tak gorzko doświadczona przez życie. Bardzo pragnęłam jakoś jej pomóc.

\* \* \*

Gdy skończyłam grać dla sir Williama, pani Lincroft powiadomiła mnie, że pan chciałby zamienić ze mną kilka słów.

Usiadłam tuż przy nim i dowiedziałam się, że ustalił już datę przyjęcia, na którym miałam wystąpić.

— Będzie pani grała przez mniej więcej godzinę utwory, które ja sam wybiorę. Powiadomię panią o repertuarze odpowiednio wcześniej, żeby zdążyła je pani przećwiczyć, jeśli zaistnieje taka potrzeba.

— Byłabym bardzo wdzięczna.

— Moja żona zwykle się denerwowała przy takich okazjach — pokiwał głową ze zrozumieniem. — Chociaż potem była z siebie zadowolona. Nigdy jednak nie odważyłaby się występować publicznie. Gra dla rodziny to zupełnie co innego.

— Każdy się trochę denerwuje, gdy ma wystąpić przed publicznością. Nawet mój mąż, który...

— Pani mąż był geniuszem.

Powiedziawszy to, zamknął oczy, co było dla mnie sygnałem, że powinnam odejść. Pani Lincroft uprzedziła mnie, że sir William bardzo szybko się męczy. Lekarz prosił, by zostawiać go w całkowitym spokoju po pierwszych oznakach wyczerpania.

Wstałam więc i wyszłam z salonu. Tuż za drzwiami spotkałam panią Lincroft, która posłała mi uśmiech pełen wdzięczności. Miałam wrażenie, że zdążyła mnie już polubić i zaakceptować, co naturalnie sprawiało mi przyjemność.

\* \* \*

Muzyczny wieczorek był oczywiście wielkim wydarzeniem w Lovat Stacy.

Dziewczęta były bardzo podniecone i bez przerwy o tym rozmawiały.

— Będzie znowu tak jak kiedyś... zanim przyszłam na świat — rozmarzyła się Allegra.

— A więc — stwierdziła trzeźwo Alice — powinnyśmy się dokładnie dowiedzieć, jak było wtedy, kiedy nas tu jeszcze nie było.

— Nie, wcale nie — zaperzyła się Allegra. — Nie wszystko będzie tak samo. Na fortepianie będzie grać pani Verlaine, a nie lady Stacy. I nikt nikogo nie zastrzeli, nie popełni samobójstwa ani też nie narobi kłopotów cygańskiej służącej.

Udawałam, że tego nie słyszę.

Młode damy były bardzo podekscytowane i chociaż nie otrzymały pozwolenia na wzięcie udziału w wieczornym przyjęciu, sir William zgodził się, aby między dziewiątą a dziesiątą zeszły do holu i wysłuchały mojego występu.

Otrzymały z tej okazji nowe stroje i to dodatkowo zwiększało ich radość.

Ja postanowiłam, że założę suknię, której nie nosiłam od śmierci Pietra. Miałam ją na sobie tylko raz, podczas jego ostatniego koncertu. Wyjątkowa kreacja na wyjątkowe okazje. Uszyta była z aksamitu w kolorze czerwonego wina i miała długą, powłóczystą spódnicę oraz dopasowany stanik, z lekko opadającymi ramiączkami. Z przodu ozdabiała ją sztuczna, bladofioletowa

orchidea, tak wspaniale wykonana, że wyglądała jak prawdziwa. Pietro wypatrył ją w oknie jednego z butików na Rue St. Honore i natychmiast ją dla mnie kupił.

Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś założę tę suknię. Trzymałam ją w kufrze i nie miałam odwagi na nią spojrzeć, aż do tamtego dnia. Wywoływała z pamięci zbyt wiele bolesnych wspomnień. Kiedy jednak się dowiedziałam, że mam grać dla gości sir Williama, pomyślałam, iż doda mi ona pewności siebie, której tak bardzo potrzebowałam.

Otworzyłam kufer i wyjęłam ją spod warstw bibułki, a następnie drżącymi rękami rozprostowałam i ułożyłam na łóżku. Przymknęłam oczy i zobaczyłam Pietra, wchodzącego na podium i kłaniającego się dumnie publiczności. Szybko przebiegł wzrokiem miejsca w pierwszym rzędzie, a gdy mnie znalazł, uśmiechnął się z zadowoleniem wiedząc, że będę dzieliła jego triumf, na którym zależało mi tak mocno jak jemu. Jednocześnie w jego oczach mogłam odczytać bolesny wyrok: Ty nigdy nie odniesiesz takiego sukcesu.

Oddając się tym wspomnieniom, zapragnęłam nagle otulić ciało miękkim aksamitem i zapłakać.

Może powinnam schować tę suknię z powrotem do kufra, zapomnieć o niej i przygotować sobie coś innego?

Ale nie. Właśnie, że ją założę i nic mnie od tego nie odwiedzie.

Gdy tak rozmyślałam, drzwi do mojego pokoju otworzyły się bezszelestnie i stanęła w nich panna Stacy.

— A więc tu pani jest — powiedziała, podchodząc do łóżka. — Jaka piękna! Czy to pani suknia?

Kiwnęłam głową.

— Nie przypuszczałam, że ma pani coś tak wytwornego.

— Nosłam takie suknie... kiedyś.

— Kiedy żył jeszcze pani słynny mąż.

Przytaknęłam.

— Pani oczy dziwnie błyszczą. Jakby zamierzała się pani rozplakać.

— Ależ skąd — zaprzeczyłam. — Miałam na sobie tę suknię podczas jego ostatniego koncertu — dodałam, aby wytłumaczyć swoje emocje.

— Ja też cierpiałam — powiedziała i w jej głosie wyczułam współczucie. — Z podobnego powodu... w pewnym sensie. Rozumiem panią.

Podeszła bliżej i dotknęła aksamitu.

— Cudownie wyglądałyby w pani włosach wstążki w podobnym kolorze — oświadczyła. — Ja też zamówię sobie nową aksamitną suknię. Oczywiście, nie w tym kolorze... błękitną. Prawda, że będzie mi w niej do twarzy?

— Bez wątpienia.

Panna Stacy pokiwała głową i wyszła. Byłam pewna, że do błękitnej sukni dobierze sobie błękitne kokardy, które wepnie we włosy.

\* \* \*

Kilka dni później sir William nagle zaniemógł. Pani Lincroft nie opuszczała jego apartamentów przez cały dzień i noc, a gdy wreszcie ją spotkałam, powiedziała mi, że czuje się już lepiej.

— Musimy bardzo uważać — wyjaśniła mi. — Następny atak mógłby mieć fatalne skutki.

Widziałam, że była głęboko przejęta. Sir William miał wielkie szczęście, że jego gospodyni mogła w razie potrzeby stać się wykwalifikowaną pielęgniarką.

Gdy powiedziałam jej o tym, nie potrafiła ukryć wzruszenia.

— Nigdy nie zapomnę, ile dobrego zrobił dla mojej córki.

— Czy z uwagi na stan zdrowia sir Williama przyjęcie zostanie przełożone?

— Ależ nie. Wyraźnie powiedział, że nie chce niczego odwoływać. Przygotowania idą pełną parą. Wezwał nawet pana Napiera i zobowiązał go, aby wszystkiego dopilnował. — Zmarszczyła brwi. — Niepokoiłam się o niego, bo panicz potrafi wyprowadzić sir Williama z równowagi. Taki już jest. Wie o tym i stara się trzymać z daleka od ojca. Ale tym razem... wszystko skończyło się dobrze.

— To przykre... — zaczęłam.

— Najgorsze są właśnie rodzinne — powiedziała. — Chociaż, mam nadzieję, że czas... — głos się jej załamał. — Wierzę, że gdy przyjdą na świat dzieci... Sir William bardzo chciałby mieć wnuki.

\* \* \*

Rozległo się pukanie do drzwi mojego pokoju i po chwili weszła Alice.

— Pan Napier chciałby się z panią zobaczyć — oznajmiła z poważnym uśmiechem. — Czekam w bibliotece.

— Teraz?

— Powiedział, że kiedy będzie pani wygodnie.

— Dziękuję, Alice.

Nie spieszyła się z wyjściem. Chciałam przed pójściem do biblioteki poprawić fryzurę, ale wołałam nie robić tego przy niej. Alice była bardzo bystra i szybko wyciągała wnioski ze swoich obserwacji.

— Cieszy się pani ze swojego występu? — zapytała.

— W pewien sposób, na pewno.

Ukradkiem przyglądałam się w lustrze swojemu odbiciu. Koniecznie powinnam uczesać włosy. Najlepiej byłoby upiąć je wysoko na czubku głowy, aby dodały mi wzrostu, a także pewnej dostojności. Krytycznie oceniłam również suknię, którą miałam na sobie. Wołałabym tę lawendową z białym pasem. Była o wiele bardziej twarzowa. Kupiłam ją w małym sklepiku przy Rue de Rivoli. Pietro lubił, gdy ubierałam się wytwornie. Oczywiście stać nas było na to, gdy zyskał sławę, ale ja i przedtem umiałam tak dobrać stroje, aby podkreślały moją urodę... w przeciwieństwie do Romy.

Jeszcze raz obrzuciłam spojrzeniem swoją gabardynową, brązową suknię. Krój był dobry i wyglądałam w niej korzystnie, ale to nie było to. Gdybym wcześniej wiedziała, że Alice przyjdzie do mnie z taką wiadomością!

Nie mogłam się już przebrać, ale mimo wszystko postanowiłam upiąć włosy. Alice wciąż mi asystowała, nie zamierzając wyjść z pokoju.

— Wygląda pani... na bardzo zadowoloną — stwierdziła po chwili.

— Zadowoloną?

— A nawet, powiedziałabym, szczęśliwą.

Oczywiście, nie potrafiłam ukryć swojego podniecenia, chociaż było to raczej napięcie osoby szukającej się do wal — ki. Tak bowiem przygotowywałam się na spotkanie z Napie — rem.

Alice pokazała mi drogę do biblioteki. Byłam już tam kiedyś i pamiętam olbrzymie wrażenie, jakie zrobiła na mnie dębowa boazeria. Drewniane panele przedstawiały klasyczne podziały architektoniczne, arkady podzielone pilastrami, zwieńczone fryzem i gzymsem. Rzeźbiony w drewnie sufit, ozdobiony herbami rodu Stacy, nie miał sobie równych w całym domu.

Na jednej ze ścian wisiał olbrzymi, niezwykle piękny gobelin, tkany wełną i jedwabiem na płócienną osnowie, który już wcześniej urzekł mnie nie tylko mistrzostwem wykonania. Niezwykle oryginalny był także temat, przedstawiający lądowanie Juliusza Cezara na wybrzeżach Anglii. Pani Lincroft, która pokazywała mi uprzednio bibliotekę, powiedziała, że prace nad tą tkaniną rozpoczęto wkrótce po wybudowaniu domu. Potem pozostawiono ją nie ukończoną na blisko sto lat. Dopiero jedna z kobiet z rodziny Stacy, która została odprawiona z królewskiego dworu za złe prowadzenie i musiała resztę życia spędzić w Lovat Stacy, odnalazła ten gobelin i dokończyła go, wypełniając sobie czas na wygnaniu. W domu takim jak ten bez przerwy napotyka się ślady wydarzeń, które dają poczucie więzi z historią.

Wzdłuż pozostałych trzech ścian stały rzędy książek. Wiele tomów oprawionych było w cielecą skórę. Te ze złoceniami i tłoczonymi napisami przechowywane były za szkłem. Drewnianą podłogę i głębokie parapety okienne przykrywały kosztowne, perskie dywany, zaś centralne miejsce zajmował olbrzymi dębowy stół i skórzane fotele.

Wewnątrz panował nastrój wielkiej powagi. Wyobrażałam sobie, że tu właśnie, na przestrzeni kilku stuleci, toczyły się ważne, rodzinne narady. Nie miałam też wątpliwości, że w tej oto bibliotece odbyło się przesłuchanie Napiera po tym, jak zastrzelił swojego brata.

Otworzyłam drzwi i od razu go zauważyłam. Siedział przy stole i na mój widok wstał.

— To pani — powiedział.

Jego oczy były wyjątkowo błękitne, co nie zwiastowało niczego przyjemnego. Podejrzywałam, że dołoży wszelkich starań, aby najbliższy kwadrans zamienić w kłopotliwą dla mnie rozmowę.

— Proszę usiąść — dodał jedwabistym głosem, który tylko mnie upewnił, że szykuje jakiś atak. — Domyśla się pani zapewne, że chciałbym porozmawiać o zbliżającym się koncercie. Stroiciele zapewnili mnie, że fortepian na dole w holu jest bez zarzutu, mam więc nadzieję, iż będzie pani zadowolona. Nie mam wątpliwości, że pani występ będzie dla nas wszystkich wielkim przeżyciem.

— Dziękuję.

Co za uprzejmość, pomyślałam. Gdzie chowa to żądło?

— Czy dawała już pani wcześniej koncerty?

— W zasadzie... nie.

— Rozumiem. Nie miała pani ambicji, by występować publicznie?

— Miałam — przyznałam. — Nawet wielkie ambicje. — Uniósł ze zdziwienia brwi, dodałam więc prędko: — Które, jak widać, okazały się za małe.

— Chce pani powiedzieć, że nie osiągnęła wystarczającej klasy?

— Prawdopodobnie.

— A więc pani ambicje rzeczywiście nie były zbyt duże.

— Wyszłam za mąż — rzuciłam zimno.

— Ale to niczego nie wyjaśnia. Jestem pewien, że geniusz nawet po ślubie pozostaje geniuszem.

— Nigdy nie twierdziłam, że jestem geniuszem.

— Rozumiem, że porzuciła pani karierę dla małżeństwa. Pani mąż miał jednak więcej szczęścia. Udało mu się osiągnąć sukces.

Przygryzłam wargi, aby powstrzymać cisnące mi się na usta słowa. Bałam się, że natychmiast zdradzę swoje wzburzenie.

Jak ja nienawidziłam tego człowieka!

— Wybrałem już dla pani repertuar. Mam nadzieję, że się pani spodoba. To wspaniałe utwory... i nie wątpię, że zagra je pani doskonale.

Nie odpowiadałam. Znowu ogarnęła mnie fala wspomnień. Pietro, jego egoizm, mój żal do niego, poświęcenie, jakie mu ciągle wypominałam.

Czemu ten mężczyzna z takim okrucieństwem o tym wszystkim mi przypominał! Nie miałam ochoty dłużej przebywać w jego towarzystwie. Wzięłam do ręki leżące na stole nuty.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziałam zimno.

Rzuciłam okiem na tytuły. Tańce węgierskie. II Rapsodia. To właśnie Pietro grał podczas swojego ostatniego koncertu!

Nagle poczułam, że brakuje mi powietrza. Tego już naprawdę było za wiele.

Odwrociłam się. Gobelin z Juliuszem Cezarem falował przed moimi oczami. Podbiegłam do drzwi i z ulgą je za sobą zamknęłam.

A więc wiedział, pomyślałam. Świadomie wybrał te utwory. Chciał grać na moich emocjach, drażnił się ze mną, podstępnie wywołał najboleńsze wspomnienia. Robił to wszystko dla własnej zabawy, jak chłopiec, który wpuszcza do miski dwa pająki i obserwuje ich zachowanie.

W taki sam sposób znęcał się nad Edith. Teraz zaś postanowił poigrać sobie ze mną. Niewątpliwie interesował się mną. Ale dlaczego? Czyżby znaczyło to, że wie więcej, niż się spodziewam?

Zadał sobie trud, aby dowiedzieć się, co Pietro grał tamtego wieczora. Najprawdopodobniej pisano o tym koncercie w gazetach.

Jak dużo ten człowiek jeszcze o mnie wie?

\* \* \*

W dniu poprzedzającym przyjęcie Alice powiedziała mi, że Edith źle się poczuła i leży w łóżku. Postanowiłam ją odwiedzić.

Był to ten sam apartament, w którym podczas wojny domowej zatrzymał się Karol I. Reprezentacyjną komnatę zajmował Napier. Stało tam olbrzymie łóżko z niebieskim aksamitnym baldachimem, podtrzymywany przez cztery kolumny rzeźbione w roślinne motywy. W głowie i nogach łóżka umieszczono złożone figury. Mebel był wykonany niezwykle starannie, jak przystało na sypialnię nowożeńców. Jednak już drzwi wiodące do następnego pomieszczenia, w którym nocował król, wyglądały na mniej dopracowane.

Tam właśnie znajdowała się teraz sypialnia Edith. Jej łóżko także zwieńczone było baldachimem wspartym na kolumnach, a ponieważ stało na podwyższeniu, wchodziło się do niego po drewnianych schodkach. Pokój ten najprawdopodobniej pochodził z czasów wojny domowej, chociaż umeblowanie wyglądało na późniejsze i odznaczało się wyszukaną elegancją.

Po raz pierwszy byłam w apartamentach Napiera i Edith. Czułam się nieco skrępowana, myśląc o tej parze i zastanawiając się, jak wygląda ich pożycie małżeńskie, gdzie strach stykał się z pogardą.

W sypialni Edith moją uwagę zwróciła toaletka przyścienna z wysokim lustrem w złożonych ramach oraz sekretarzyk z drewna satynowego i honduraskiego mahoniu, ozdobiony żłobionymi kolumnienkami. Moim zdaniem był to najbardziej elegancki pokój w całym domu.

Nie rozglądałam się po nim dłużej niż kilka sekund, gdyż celem mojej wizyty była chora Edith.

Siedząc w przeładowanym ozdobami łóżku wyglądała jak mała przestraszona dziewczynka ze złotymi warkoczami, spływającymi z ramion.

— O, jak dobrze, że pani przyszła, czuję się tak... okropnie.

— Co się stało, Edith?

— Chodzi o jutrzejszy wieczór. Mam wystąpić w roli gospodyni przed tymi wszystkimi, przerażającymi mnie ludźmi. Nie zniosę tego.



— Dlaczego tak cię przerażają? To tylko goście.

— Ale nie wiem, co mam im powiedzieć. Tak bym chciała tam nie iść — patrzyła na mnie z nadzieją, że pomogę jej znaleźć pretekst, który uchroniłby ją przed udziałem w przyjęciu.

— Przywykniesz do tego typu oficjalnych spotkań. Nie ma więc powodu, abyś unikała tego pierwszego. I tak będziesz musiała stawić czoło następnym. Jestem pewna, że z czasem to polubisz.

— Pomyślałam, że może pani... może pani mogłaby... zrobić to za mnie.

— Ja? — zdumiałam się. — Ależ ja nawet nie biorę udziału w przyjęciu. Będę jedynie grała dla gości.

— Pani zrobiłaby to znacznie lepiej niż ja.

— Dziękuję ci bardzo, ale nie jestem panią tego domu. Pracuję tu tylko.

— Pomyślałam, że może porozmawiałaby pani z Napierem.

— Sądzisz, że mogłabym zająć twoje miejsce? Przecież wiesz, że jest to absolutnie niemożliwe.

— Tak, domyślam się — westchnęła Edith. — Tak bardzo chciałabym czuć się lepiej. Jestem pewna, że Napier posłucha pani.

— Jeżeli już ktoś miałby rozmawiać z twoim mężem uważam, że powinnaś to zrobić ty.

— Nie — zaoponowała Edith, zasłaniając oczy dłonią. — Napier zwrócił na panią uwagę... a jemu nieczęsto się to zdarza.

Zaśmiałam się, ale natychmiast ogarnęła mnie zatrwajająca niepewność. Zainteresował się moją osobą. Dlaczego?

— Powinnaś wstać i pójść na długi spacer. Przestań się zamartwiać. Gdy będzie już po wszystkim, sama się zdziwisz, że tak to przeżywałaś.

Edith odsłoniła oczy i spojrzała na mnie z nadzieją. Jakie z niej było dziecko! Najwyraźniej jednak moje słowa do niej trafiły.

— Postaram się — obiecała.

\* \* \*

W głównym holu panowała kompletna cisza. Wszystko było już przygotowane do koncertu; brakowało tylko kwiatów, które służba miała przynieść z oranżerii. Zapewne będą to tulipany i goździki, pomyślałam. Na podwyższeniu stał olbrzymi fortepian, niżej rzędy krzesel. Wnętrze przypominało salę koncertową... dość specyficzną, co prawda, że zbroją rycerską u podnóża szerokich schodów oraz kolekcją broni i herbami szlacheckimi rodziny Stacy na ścianach.

Ja też tam byłam, w aksamitnej sukni koloru czerwonego wina, w której wyglądałam dokładnie tak samo jak tamtego fatalnego wieczora.

Nie, jednak nie tak samo. Tym razem nie miałam zasiadać wśród publiczności. Moje miejsce było na podwyższeniu, przy fortepianie.

Podeszłam do instrumentu i usiadłam na taborecie. Nie wolno mi myśleć o Pietrze, powtarzałam sobie, on nie żyje. Gdyby słuchał mojego występu, paraliżowałby mnie zapewne strach, że się potknę, że zasłużę sobie na jego krytykę. Cały czas myślałabym o nim, o tym, że jego uszy wychwycą każdą fałszywą nutę, zawahanie... wiedziałabym też, że chociaż trzyma za mnie kciuki, to jednocześnie ma nadzieję, iż mój występ nie będzie tak dobry jak jego.

Zaczęłam grać. Nie próbowałam wcześniej tych utworów, bojąc się, że za dużo będzie mnie to kosztowało. Ale teraz pozbyłam się obaw i doznawałam tego samego uczucia podniecenia, jakie zapewne towarzyszyło kompozytorowi podczas ich tworzenia. Pod moimi palcami rodziła się muzyka, która brzmiała tak wspaniale, jakby pochodziła z innego świata. Znowu znaczyła dla mnie tyle, ile w czasach, zanim poznałam Pietra.

Gdy skończyłam, wspomnienie męża wróciło ze zdwojoną siłą. Widziałam go, jak kłaniał się publiczności. Wyglądał na dziwnie zmęczonego, a nawet wyczerpanego, co nigdy mu się nie zdarzało bezpośrednio po koncercie, a przynajmniej nie wtedy, gdy stał jeszcze na podwyższeniu. To zwykle przychodziło później, gdy byliśmy już sami. Była to jednak już zapowiedź tego, co miało się wkrótce zdarzyć.

Pamiętam, jak leżał bezwładnie na fotelu w swojej garderobie... Pietro... któremu nie było dane nigdy więcej zagrać.

Nagle usłyszałam za sobą ciche kasznięcie. Przez moment pomyślałam, że to Pietro wrócił, że siedzi tu i śmieje się ze mnie. Jeżeli coś mogło sprawić, że jego duch powróciłby na ziemię, to na pewno była to muzyka.

Odwróciłam się i zobaczyłam pannę Stacy, która siedziała na krześle w jednym z tylnych rzędów. Ubrana była w bladoróżową sukienkę, a we włosach miała kokardy w identycznym kolorze.

— Wślizgnęłam się tutaj, gdy pani grała — wyjaśniła. — To było doprawdy cudowne.

Nip nie odpowiedziałam, a ona mówiła dalej.

— Ta muzyka przypominała mi stare czasy. Chociaż Isabella zwykle bardzo się denerwowała. Pani zaś jest taka spokojna. A po koncercie zamykała się w swoim pokoju i płakała. Nigdy nie była zadowolona ze swojej gry i wiedziała, że byłoby ją stać na więcej, gdyby tylko mogła się dalej uczyć. Gdy tak siedziałam tutaj, słuchając pani gry, zastanawiałam się, czy muzyka może wywoływać duchy zmarłych. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak kiedyś. Przypuśćmy, że dusza Isabelli nie zaznała spokoju. Przypuśćmy, że ona by wróciła... hol jest przygotowany tak samo, jak wtedy, gdy tu grywała. Tylko ktoś inny siedzi przy fortepianie. Czy to nie jest dziwne? Wierzy pani, że duchy mogą wracać?

— Jeżeli istnieją, czemu nie. Ale ja w to nie wierzę.

— To niebezpieczne wyznanie. One mogą wszystko słyszeć.

Nie odpowiedziałam. Zamknęłam wieko fortepianu. Tak, to rzeczywiście doskonała okazja dla duchów, pomyślałam. Szczególnie dla Pietra.

\* \* \*

Odbicie, które widziałam w lustrze, upewniło mnie, że wszystko jest w porządku: aksamitna suknia i orchidea. Tak, ten strój był dla mnie idealny. Pietro nigdy mi tego co prawda nie powiedział, ale mogłam to odczytać w jego oczach.

Stał za moimi plecami, opierał dłonie na moich ramionach i przyglądał się nam w lustrze. Ten obraz wyrył się w mojej pamięci na zawsze.

— Jesteś... mnie godna — powiedział w końcu z właściwą sobie szczerością. Zaśmiałam się i przyznałam, że w takim razie muszę naprawdę wyglądać świetnie.

Pojechaliśmy razem na koncert, a ja zajęłam miejsce na widowni.

Ale czemu wspominał to po raz nie wiem który. Tego wieczora nie wolno mi o nim myśleć. Zaczęłam gimnastykować palce. Wiedziałam, że są wystarczająco giętkie i sprawne. A nawet coś więcej, czułam w nich jakąś niezwykłą, magiczną siłę, której nikt nie był mi w stanie odebrać, nawet duch Pietra.

Byłam zadowolona, że nie musiałam brać udziału w przyjęciu. Pani Lincroft oświadczyła mi co prawda, że jej zdaniem Napier nie dopełnił swoich obowiązków, nie zapraszając mnie na kolację, co według niej powinien był uczynić. Była pewna, że sir William życzyłby sobie tego. Ja jednak wolałam ograniczyć się tylko do gry na fortepianie, czego nie omieszkałam jej powiedzieć.

— Rozumiem — zgodziła się po chwili namysłu. — Nie chce się pani rozpraszać przed koncertem.

Bardzo byłam ciekawa zaproszonych gości. Czy będą to znajomi Napiera czy sir Williama? Raczej starego pana Stacy, bo jego syn, po wielu latach spędzonych w Australii, nie miał tu chyba wielu przyjaciół. Ciekawe, jak on się musi czuć z powrotem w domu po tak długiej nieobecności? Pomyślałam, że tego wieczora jest w sytuacji trochę podobnej do mojej. W pewien sposób ja też żyłam na wygnaniu i nagle muszę zasiąść przy fortepianie i zagrać dla publiczności. Powtarzałam sobie, że moi słuchacze nie będą tak krytyczni, jak ci, dla których grywał Pietro. Nie powinnam się więc niczego obawiać.

Punktualnie o dziewiątej wieczorem zeszłam na dół do głównego holu. Sir William siedział już na krześle. Przywiozła go pani Lincroft, ubrana w długą, popielatą, szyfonową spódnicę i błękitną bluzkę. Nie brała udziału w przyjęciu, zaliczając się, podobnie jak ja, do służby wyższej kategorii.

Sir William skinął na mnie, prosząc, bym do niego podeszła. Chciał mi powiedzieć, że bardzo żałuje, iż nie wzięłam udziału w uroczystej kolacji. Wyjaśniłam, dlaczego wołałam zostać sama przed koncertem, a mój chlebodawca, słysząc to pokiwał ze zrozumieniem głową.

Po chwili pojawił się też Napier z Edith, która wyglądała naprawdę ślicznie, chociaż była bardzo spięta. Uśmiechnęłam się do niej uspokajająco.

Goście szybko zajęli swoje miejsca, a ja usiadłam do fortepianu.

Najpierw, dokładnie tak, jak było to na koncercie Pietra, zagrałam Tańce węgierskie. Gdy tylko moje palce dotknęły klawiszy i wydobyły z nich magiczne dźwięki, momentalnie zapomniałam o tremie, poddając się rozkoszy, jaką sprawiała mi muzyka. Przed moimi oczami pojawiały się cudowne obrazy, które wyobraźnia podsuwała mi, inspirowana wykonywanymi kompozycjami. Ogarnął mnie wspaniały nastrój, czułam się naprawdę szczęśliwa. Nieważne było, że gram dla obcych ludzi w wielkopańskim domu. Nie pamiętałam nawet, że straciłam Pietra. Nie istniało dla mnie nic, poza muzyką.

Kiedy skończyłam, rozległa się burza oklasków. Uśmiechnęłam się w stronę publiczności i skinęłam lekko głową, dziękując za aplauz. Zauważyłam, że sir William był bardzo wzruszony. Napier, wyprostowany jak struna, klaskał razem z innymi, a siedząca obok niego Edith wyglądała na niemal szczęśliwą. Na końcu holu dostrzegłam Allegrę i Alice. Pierwsza podskakiwała radośnie na swoim miejscu, druga z powagą biła mi brawo. Czułam, że bardziej cieszą się z mojego sukcesu niż z doznań muzycznych, jakich im dostarczyłam.

Oklaski ucichły i zaczęłam grać Rapsodię. Był to ulubiony utwór Pietra. Muzyka ta zawsze wprowadzała mnie do świata barw i dawała ogromną radość. Grając ją, przeżywałam, podobnie jak Pietro, dziesiątki różnych emocji, zapominając o całym świecie. Tym razem, gdy zabrzmiał ostatni akord, wiedziałam, że nigdy przedtem nie zagrałam tej kompozycji równie dobrze.

Wstałam i ukloniłam się, słuchając oklasków.

Pierwszy podeszedł do mnie Napier.

— Mój ojciec pragnie coś pani powiedzieć — oświadczył. Poprowadził mnie do sir Williama. W oczach starego człowieka lśniły łzy.

— Nie wiem, jak mam to wyrazić. Grała pani wspaniale. Nie spodziewałem się... takiego szczęścia.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję.

— Mam nadzieję, że zgodzi się pani grywać dla nas częściej te utwory. Przypominało mi to... — umilkł; nie kończąc zdania.

— Rozumiem.

— Nasi goście czekają, aby pani pogratulować.

— Chciałabym zaraz potem pójść do swojego pokoju.

— Oczywiście. Jest pani wyczerpana. To zrozumiałe.

Napier nie spuszczał ze mnie wzroku, jednak nie byłem w stanie odczytać jego myśli.

— Triumf — wyszeptał wreszcie.

— Dziękuję.

— Mam nadzieję, że podobał się pani mój dobór utworów.

— Był wspaniały.

Uklonił się i zrobił miejsce innym, którzy podeszli, by powiedzieć, jak bardzo podobała im się moja gra. Wspominali mojego męża i chociaż nie wszyscy mieli okazję być na jego koncertach, znali go jako genialnego pianistę. Kątem oka zauważyłam, że trzymająca się nieco na uboczu panna Stacy sprawiała wrażenie osoby nawiedzanej, jakby rzeczywiście skontaktowała się z duchami, których spodziewała się na moim koncercie. Pani Lincroft dyskretnie poleciła Allegrze i Alice udać się do pokoju na górze, a i ja wkrótce zrobiłam to samo.

\* \* \*

Zamknęłam za sobą drzwi do pokoju i podeszłam do lustra. Nie mogłam oderwać wzroku od swojego odbicia. Włosy wydawały mi się ciemniejsze niż zwykle, oczy błyszczały, a karnacja barwy kwiatu magnolii mocno odcinała się od aksamitnej sukni w kolorze wina burgundzkiego.

— Udało się — wyszeptałam. — Pietro, zrobiłam to.

W wiejskiej rezydencji. Dla niewykształconej publiczności. Co oni wiedzą o muzyce?

— Kochają ją!

Też coś! Podobałaby im się także Essie Elgin. Tak samo by ją oklaskiwali. To tylko gimnastyka, droga Caro.

Marzyłam tylko o tym, by być z Piętrzem, klócić się z nim... nic więcej, tylko być z nim razem.

Policzki mi płonęły. Poczułam, że brakuje mi powietrza i niewiele myśląc wyszłam z pokoju i kuchennymi schodami zbiegłam na dół do ogrodów.

Była upalna czerwcową noc. Na niebie wisiał olbrzymi księżyc, któremu niewiele brakowało do pełni. Po chwili znalazłam się już w moim ulubionym ogrodzie za kamiennym murem i usiadłam na ławce. Przepęniała mnie bolesna tęsknota do minionych czasów, gdy siadywaliśmy z Piętrzem w ogródkach paryskich kawiarni i rozmawialiśmy o muzyce. Pragnęłam mieć Pietra i muzykę, tak jak to było kiedyś. Zdawałam sobie sprawę, że nie byliśmy idealną parą. Powinnam być bliżej niego, on z kolei powinien okazywać mi więcej szacunku. Powinnam lepiej o niego dbać i nie pozwalać mu na szydzenie ze mnie.

Ukryłam twarz w dłoniach i zapłakałam, tęskniąc do przeszłości i marząc, aby dane mi było przeżyć ją jeszcze raz.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, ale nagle usłyszałam jakiś szmer na ławce. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że ktoś siedzi obok mnie.

— Mam nadzieję, że nie przestraszyłem pani — usłyszałam głos Napiera.

Odsunęłam się od niego. Był ostatnią osobą, którą chciałam spotkać. Podniosłam się z miejsca, ale zdążył schwycić mnie mocno za nadgarstek.

— Proszę zostać — powiedział.

— Nie słyszałam, kiedy pan przyszedł.

— Była pani zatopiona w myślach — wyjaśnił. Zaniepokoiłam się, że zobaczył ślady łez na moich policzkach, które pewnie jeszcze nie zdążyły obeschnąć.

Wydawał mi się jakiś inny, łagodniejszy. Powinnam mieć się na baczności.

— Widziałem, jak pani tu szła i postanowiłem poprosić o chwilę rozmowy — powiedział.

— Pan... mnie widział?

— Tak, goście mojego ojca porządnie mnie już wynudzili.

— Mam nadzieję, że pan im tego nie powiedział.

— W każdym razie nie używałem zbyt wielu słów.

— Jest pan...

— Proszę się nie krępować. Jeżeli chodzi o mnie, nie musi pani uważać na słowa. Wydaje mi się zresztą, że wiem dokładnie, co pani myśli.

— Myślę więc, że jest pan trochę... nieokrzesany.

— A czego się można spodziewać po człowieku z taką przeszłością. Ale zostawmy mnie. Pani jest osobą dużo bardziej interesującą. Czy możemy porozmawiać poważnie?

— Proszę zacząć.

— Pani i ja mamy ze sobą coś wspólnego. Zdaje sobie pani z tego sprawę.

— Nie mam pojęcia, co to mogłoby być.

— A zatem nie myślała pani o tym poważnie. Chodzi mi oczywiście o naszą przeszłość. O to, co powinniśmy zostawić za sobą. Dziś wieczór pani... — Podniósł nagle rękę i z zadziwiającą delikatnością dotknął mojego policzka. — Oplakuje pani swojego geniusza. To do niczego nie prowadzi. Ten człowiek nie żyje. Musi pani o nim zapomnieć. Musi pani zacząć nowe życie. Kiedy pani to zrozumie?

— A pan?

— Ja także mam o czym zapomnieć.

— Ale nic pan nie robi w tym kierunku.

— A pani?

— Tak. Tak.

— Czyżby dziś wieczór?

— Chodzi mi o utwory, które grałam.

— Wiem, wybrałem je świadomie.

— Wiedział pan.

— Przeczytałem w gazecie. Repertuar jego ostatniego koncertu.

— Jak pan mógł właśnie to mi zaproponować!

— Dzięki temu dziś wieczór zrobiła pani krok, aby przemóc swój smutek. Nie wiedziała pani? Spojrzała pani w twarz prawdziwemu życiu. Mogę przysiąc, że od śmierci męża nigdy nie grała pani tych utworów.

— Nie, aż do dzisiejszego dnia.

— Teraz będzie je pani mogła wykonywać częściej. To znak, że wszystko idzie w dobrą stronę.

— Wybrał je pan dla mojego dobra?

— Nie uwierzy mi pani, jeśli potwierdzę. Łatwiej byłoby pani przyjąć, że zrobiłem to, by panią zranić.

— Wierzę, że powinnam uwierzyć, w to co powiedział mi pan dziś wieczór.

Napier przysunął się bliżej. Sama nie wiedziałam, czy chcę, by wrócił na swoje miejsce, czy aby pozostał tak blisko. Nie rozumiałam, co się z nim dzieje... i ze mną. Był jakiś inny, ale ja też czułam, że stało się ze mną coś niepokojącego. Nie byłam siebie pewna. Wiedziałam, że nie powinnam dłużej z nim zostać. Jakies zło czaiło się przy nas tamtej nocy... może powinnam winić za to księżyc... może ogród... może jego.

— Dlaczego... dziś wieczorem? — zapytał.

— Bo wydaje mi się, że dziś wieczorem... mówi pan prawdę.

Napier znowu uniósł dłoń i pomyślałam, że chce mnie dotknąć. Powstrzymał się jednak.

— Wybrałem te utwory świadomie. Chciałem, żeby je pani zagrała, gdyż znacznie lepiej jest stawić czoło życiu, niż od niego uciekać.

- A czy pan też to robi? Pokiwał głową.
- Czy właśnie dlatego przypomina pan wszystkim o tym, że zastrzelił pan brata?
- Widzi pani, jednak coś nas łączy. Musimy uciec przed przeszłością.
- Dlaczego miałabym przed nią uciekać?
- Bo jeżeli pani tego nie robi, pograży się pani w smutku. Stworzy pani idealny obraz przeszłości, w który będzie pani wierzyła coraz mocniej, zapominając, jak było naprawdę.
- Skąd pan może wiedzieć, jak było naprawdę?
- Wiem o pani sporo.
- Naprawdę? Skąd?
- Sama mi pani powiedziała.
- Mam wrażenie, że bardzo się pan mną interesuje.
- To prawda. Czyżby dotychczas pani tego nie zauważyła?
- Wydawało mi się, że nie jestem godna pańskiej uwagi.
- Napier zaśmiał się drwiąco.
- Widzę, że podoba się pani to miejsce.
- Przyznałam mu rację.
- A co sądzi pani o ludziach, którzy tu mieszkają?
- Ludzie zawsze mnie interesują.
- Ale musi pani przyznać, że jesteśmy... wyjątkowi.
- To naturalne, że od czasu do czasu spotyka się wyjątkowych ludzi.
- Czy знаła pani przedtem kogoś, kto zabił brata?
- Nie.
- Czy to nie czyni mnie wyjątkowym?
- Każdemu może się przydarzyć wypadek.
- Obstaje więc pani przy tym, że to był wypadek?
- Jestem o tym przekonana.
- Powinienem teraz ująć pani dłoń... i... — Wziął moją rękę i podniósł ją w górę. — Powinienem ją ucałować z wdzięczności dla pani. — Jego pocałunek był delikatny i nieśmiały.
- Szybko wyrwałam mu dłoń.
- Czy powinienem? — zapytał.
- Oczywiście, że nie. Nie ma powodu, aby czuł pan dla mnie wdzięczność. To, co się stało, ma absolutnie logiczne wytłumaczenie. Był to wypadek.
- Czy zawsze kieruje się pani w życiu taką żelazną logiką?
- Staram się.
- Okazuje pani współczucie temu, kto na to zasługuje.
- Czy widzi pan w tym coś niewłaściwego?
- Wie pani, że wysłano mnie do Australii... do kuzyna mojego ojca. Nie mógł na mnie patrzeć... oczywiście ojciec... po tym wypadku. Moja matka popełniła samobójstwo. Podobno nie mogła znieść śmierci mojego brata. A więc dwie ofiary, obie zginęły przeze mnie. Rozumie pani. Zbyt boleśnie wszystkim o tym przypominałem. Pojechałem więc do tego kuzyna, który mieszka osiemdziesiąt mil na północ od Melbourne. Myślałem, że zostanę tam już do końca życia.
- I pogodził się pan z tym.
- Nigdy. Tu było moje miejsce. Gdy tylko pojawiła się szansa powrotu, nie wahałem się ani chwili. Przystąpiłem na propozycję ojca.
- Jest więc pan tutaj i wszystko dobrze się skończyło.

— Czy naprawdę tak pani uważa? — Znowu przysunął się do mnie. — Jakie to nieprawdopodobne, że siedzę z panią w ogrodzie, w blasku księżyca i rozmawiamy. Wiem, że ma pani na imię Caroline. Ten geniusz nazywał panią Caro.

— Skąd pan to wie?

— Przeczytałem w gazecie. Napisano w niej, że gdy weszła pani do garderoby, powiedział: „Wszystko będzie dobrze, Caro...”.

Poczułam, że drżą mi wargi.

— Pan świadomie usiłuje...

— Zranić panią? Chcę tylko, abyś zmierzyła się z tym... Caro. Gdy stawisz temu czoło, przestanie to być dla ciebie problemem. Oboje to właśnie musimy zrobić.

Jego głos dziwnie się załamywał. Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że rozłożył ręce, jakby chciał prosić mnie o pomoc. Pragnęłam mu odpowiedzieć, że powinniśmy pomóc sobie nawzajem. Nie mogłam tego sobie wytłumaczyć, ale wierzyłam mu. Byłam też szczęśliwa, że jestem razem z nim w tym ogrodzie zalanym światłem księżyca.

Wziął mnie za rękę. Tym razem nie wyrwałam się. Patrzyliśmy na siebie i zrozumiałam, że między nami coś się rodzi, uczucie, któremu żadne z nas nie może się oprzeć.

Nagle przestraszyłam się własnych emocji... i jego.

Wstałam.

— Zmarzłam trochę. Powinam chyba wrócić już do domu.

Napier bardzo się zmienił. Zniknęła cała jego arogancja. A może to ja jej nie chciałam widzieć i oszukiwałam samą siebie? Kto wie, czy nie była to wina księżycowego blasku?

Jednego tylko byłam pewna: że powinnam się trzymać z daleka od tego człowieka.

## Rozdział 5

Po kolacji z Alice i jej matką poszłam do swojego pokoju. Chciałam przygotować się do lekcji na następny dzień. Od tamtego wieczora, kiedy koncertowałam dla gości sir Williama, ani razu nie widziałam Napiera. Im dłużej myślałam o naszej rozmowie w ogrodzie, tym trudniej przychodziło mi uwierzyć w to, co się wtedy wydarzyło. Byłam wyczerpana po koncercie, a Napier zdawał sobie z tego sprawę. Nie wolno mi było ani na chwilę zapominać, że to mąż Edith, a poza tym być może także podrywacz. Allegra była tego najlepszym świadectwem. Jak mogłam być taka naiwna? Co prawda, w porę odeszłam, ale myśląc o tym później, zrozumiałam, że byłam gotowa sama się okłamywać. Zastanawiałam się, czy Napier wspominając nasze spotkanie, bardzo się ze mnie naśmiewał.

To pewne, muszę zrobić wszystko, żeby nie myśleć więcej o tym mężczyźnie i skoncentrować się wyłącznie na pracy.

Usłyszałam pukanie i do pokoju weszła Alice. Wyglądała na poruszoną i dziwnie przestraszoną.

— Prosiła mnie pani, żebym powiedziała... Widziałam światło w kaplicy. Miałam pani powiedzieć...

— Gdzie? — zapytałam, podchodząc do okna.

— Zobaczysz je pani lepiej z mojego pokoju. Proszę, chodźmy.

Wspięłyśmy się po kręconych schodach na górę. Pokój Alice był mały, ale bardzo przyjemny. W oknach wisiały gustowne zasłony, łóżko zasłane było perkalową kapą, schludność wnętrza oddawała w pełni charakter jego lokatorki. Alice poprowadziła mnie do okna i stanęła obok, patrząc w dal, na ciemną plamę zagajnika.

— Światło można było zobaczyć też z dołu, ale stąd widać wyraźnie, że wydobywa się z kaplicy.

Była pełnia i księżyc zalewał zimnym światłem całą okolicę. Powietrze stało nieruchomo, bez najmniejszego podmuchu wiatru.

— Co za spokojna, jasna noc — powiedziałam.

— Właśnie w taką noc duchy lubią spacerować — wyszeptła Alice.

Spojrzałam na nią: szare oczy miała szeroko otwarte i czułam, że drży.

— Boisz się?

— Sama nie wiem. Chyba tak... jeżeli widziałam ducha Beau.

— Nie widziałas żadnego ducha — uspokoiliam ją. — Nie ma się czego obawiać.

— Ale jeżeli... to on przyszedł?

— Umarli nie spacerują po ziemi. Jestem tego pewna.

— Ale jeżeli są niezadowoleni... jeżeli nienawidzą kogoś z żyjących... jeżeli ten ktoś podłożył ogień w kaplicy...

— Alice, dajesz się ponieść swojej wyobraźni.

— Ale tam widać światło.

— Może tylko ci się wydawało.

— Widziałam je kilka razy. W kaplicy naprawdę pojawia się światło. To nie jest wytwór mojej wyobraźni.

— Może ktoś przechodził drogą.

— Droga jest za daleko. Poza tym światło padało dokładnie z miejsca, gdzie znajduje się kaplica... Można je stąd zobaczyć. Porusza się wewnątrz kaplicy, a potem gaśnie. Odkąd pan Napier wrócił do domu, widziałam je kilkakrotnie.



— Można to wyjaśnić na wiele sposobów. Choćby tym, że spotykają się tam jacyś ludzie.

— Ma pani na myśli kochanków?

— To może być każdy. Dlaczego nie kochankowie?

— To niesamowite, straszne miejsce. A poza tym znajduje się na prywatnym terenie i jeżeli nawet ktoś by się tamtędy przemykał, nie powinien zdradzać swojej obecności, prawda? Proszę spojrzeć! Tam! Widzę je!

Alice miała rację. Rzeczywiście, ja też widziałam tam światło. Wyglądało to tak, jakby ktoś postawił w oknie kapliczki świeczkę.

Patrzyłam w tamtą stronę i siłą woli musiałam opanować drzenie. Kto palił tam światło? Kto poszedł w nocy do wypalonych ruin, aby udawać ducha? Postanowiłam rozwiązać tę zagadkę.

— To duch Beau — wyszeptła Alice.

— Nie, nie...to absurd. Ale ktoś może udawać ducha.

— Kto mógłby? Kto... śmiałyby?

— Czy poszłabyś tam ze mną? — zapytałam Alice.

Odskoczyła ode mnie jak oparzona.

— Och, nie! On... mógłby się zdenerwować. Mógłby nas skrzywdzić. Mógłby...

— Kto?

— Beau.

— Nie wierzę w to. Beau nie żyje. A ten, kto pali światło w kaplicy, z pewnością jest żywym człowiekiem. Chcę się dowiedzieć, kto tam jest. Ty nie chcesz?

Alice na moment opuściła oczy, ale szybko spojrzała mi w twarz.

— Tak, chcę, ale może nas za to spotkać coś strasznego.

— Na przykład co?

— Możemy się zamienić w kamienie. On może nas zamienić w posągi, takie jak te stojące na ołtarzu. Zawsze mi się wydawało, że to byli kiedyś żywi ludzie.

— Daj spokój, Alice! — wykrzyknęłam.

— Wiem, że jestem niemądra — zaśmiała się nerwowo — ale tak się boję. — Złapała mnie za rękę, najwyraźniej sądząc, że zamierzam pójść do kapliczki sama. — Niech pani tam nie idzie! Proszę... błagam!

Zrobiło mi się przyjemnie, że tak się o mnie boi.

— Alice, to jest sprawa, którą należałoby wyjaśnić. Nikt nie ma prawa straszyć innych.

— Tak, ale proszę tam nie iść. Ktoś powinien pani towarzyszyć. Proszę, nie teraz.

— Dobrze. Ale pamiętaj, że nie wierzę w tę opowieść o duchach. Jestem przekonana, że jeżeli przyjrzymy się temu bliżej, znajdziemy logiczne wytłumaczenie tej historii.

— Tak pani myśli?

— Jestem tego pewna.

— Co za ulga.

— A teraz, Alice, powinnaś zapomnieć o tym świetle.

— Dobrze — westchnęła. — Inaczej nie będę mogła zasnąć.

— Masz jakąś dobrą książkę do czytania?

— Czytam „Evelinę”. To fascynująca powieść o młodej damie, która wchodzi w dorosłe życie.

Uśmiechnęła się, a ja odetchnęłam z ulgą. Najwyraźniej upiorne wizje wywołane pojawieniem się światła w kaplicy powoli przestawały ją dręczyć.

— Jej problemy są mi bardzo bliskie — powiedziała — chociaż wiem, że nigdy mi nie będzie dane żyć w takim środowisku. Allegra wciąż mi przypomina, że jestem tylko córką służącej, która żyje w wielkopańskim domu i ma szansę korzystać z niektórych przywilejów szlacheckiej rodziny.

— Nie powinnaś się tym przejmować, Alice. Liczy się tylko to, jaka jesteś naprawdę.

- Tak pani myśli?
- Jestem o tym głęboko przekonana. A teraz wracaj do „Eveliny” i nie myśl więcej o tym dziwnym świetle, którego tajemnicę na pewno wkrótce poznamy.
- Nie lubi pani tajemnic, prawda?
- Któż nie chciałby ich poznać?
- Wielu ludziom na tym nie zależy. Być może są podobni do mnie i wolą zawierzyć wyobraźni. Ale pani lubi wiedzieć. Na przykład, co się stało z panną Brandon.
- Jestem pewna, że nie ja jedna chciałabym to wiedzieć.
- Ale moim zdaniem nikt się nie dowie, co naprawdę się z nią stało.
- Nie możemy przewidzieć, co zostanie odkryte, a co nie.
- Możliwe. — Alice zamyśliła się. — I pewnie dlatego życie jest takie ekscytujące. Zgodziłam się z nią i pożegnawszy się, wróciłam do swojego pokoju.

\* \* \*

W gruncie rzeczy zagadkowe światło interesowało mnie dużo bardziej, niż dałam po sobie poznać. Nie miałam wątpliwości, że ktoś udawał ducha. Ktoś chciał, by ludzie uważali kapliczkę za miejsce nawiedzone. Być może po to, by podtrzymać pamięć o Beaumencie Stacy. Jakby było to potrzebne! Jednak już po chwili uznałam, że to zbyt proste wyjaśnienie. Bardziej prawdopodobne wydawało mi się, że sztuczka z nawiedzaniem kaplicy miała wywołać bunt przeciwko powrotowi Napiera do domu.

Jakież to głupie, dziecinne, żalodne i mściwe! Poczulałam, że ogarnia mnie złość, większa niż usprawiedliwiałaby to zaistniała sytuacja.

Bez wątplenia Napier miał wrogów — i to nie powinno mnie dziwić.

Zamknęłam za sobą drzwi i podeszłam do okna. Światło księżyca przypomniało mi o tamtej nocy, kiedy spotkałam w ogrodzie Napiera. Ten człowiek naprawdę pragnął odciąć się od swojej przeszłości, a ktoś chciał mu w tym przeszkodzić. Kto mógł pójść do zagajnika i zapalić światło w kaplicy, aby ludzie wierzyli, że piękny brat Napiera jest niezadowolony z powrotu swojego zabójcy? Dziecinada. Jednak wystarczyło, by ludzie pamiętali o tej historii.

Patrzyłam na zagajnik. Alice miała rację; z piętra, na którym mieszkałam, nie było widać ruin kaplicy.

Budynek został zniszczony przez pożar wkrótce po tym, jak Napier przyjechał do Lovat Stacy. Kto mógł podłożyć ogień? Czy była to ta sama osoba, która teraz „nawiedza” ruiny, paląc w oknie świeczkę?

Miałam ogromną ochotę złapać owego „ducha” na gorącym uczynku. Położyłoby to kres tym dziecinnym sztuczkom. Poza tym chciałam też wiedzieć, jaki byłby Napier, gdyby nie musiał już dłużej obawiać się przeszłości. Prawdopodobnie niewiele by się zmienił, odpowiedziałam sobie sama. Z powodu kilku minut spędzonych razem w ogrodzie, kiedy to zdecydowanie straciłam właściwy sobie rozsądek, byłam gotowa dostrzec w tym mężczyźnie wszystkie te cechy, których bez wątplenia nigdy nie miał.

— Instynkt macierzyński, droga Caro — powiedziałby Pietro. Kiedyś naśmiewał się tak ze mnie, gdy martwiłam się o niego. Godzinami błąkał się wtedy w deszczu po ulicach Paryża, przeżywając jakąś krytyczną uwagę pod swoim adresem.

— Nie myśl, że chcę cię zniechęcić, Caro. Ale powinnaś to robić bardziej dyskretnie. Martw się o mnie, ale tak, abym tego nie odczuwał. Musisz być dyskretna. Wyrażaj subtelniej swoją troskę, abym nie musiał jej znosić. Nie cierpię kobiet nadmiernie narzucających się z opieką.

Odejdź, Pietro. Zostaw mnie samą. Pragnę o tobie zapomnieć, uciec od ciebie.

W odpowiedzi usłyszałam jego drwiący głos. Nigdy, Caro. Nigdy.

Ale nagle w ułamku sekundy zapomniałam o Pietrze, widząc na trawniku przed domem wyłaniającą się z krzaków jakąś ciemną postać. Przez chwilę stała w świetle księżyca i wtedy poznałam, że była to Allegra.

Pobiegła szybko w kierunku domu, chowając się w cieniu żywopłotów i zniknęła w bramie. Allegra? Czy to ona była tym duchem, który straszył w kaplicy?

\* \* \*

Obserwowałam ją pilnie, gdy męczyła się, grając na fortepianie etiudę Czernego.

— Doprawdy, Allegro! — westchnęłam.

Skrzywiła się, zmarszczyła brwi i grała dalej, jeszcze bardziej fałszując.

Gdy skończyła, uśmiechnęła się krzywo i złożyła ręce na kolanach. Westchnęłam po raz drugi. Wtedy dziewczynka wybuchnęła śmiechem.

— Mówiłam pani, że nic z tego nie będzie.

— Nie starasz się. Nie potrafisz, czy nie chcesz?

— Naprawdę próbuję — powiedziała bez przekonania.

— Allegro, czy byłaś kiedyś po zapadnięciu zmroku w zagajniku?

Spojrzała na mnie przestraszona i odwróciła głowę.

— Ależ skąd. Nie... miałabym odwagi. Wie pani, że tam straszy?

— Wiem, że ktoś pali tam światło.

— Tak, widziałam je kilka razy.

— Domyślasz się, czyja to robota?

— Och... tak. Tak mi się wydaje.

— No więc?

— Mówią, że to duch wujka Beau.

— Naprawdę? Kto tak mówi?

— Niemal wszyscy.

— A co ty o tym sądzisz?

— Co mam sądzić?

— Może ktoś chce nas oszukać?

— O, nie, wcale tego nie powiedziałam.

— Ale tak myślisz.

— Nie rozumiem — powiedziała, patrząc na mnie zaniepokojona.

— Wczoraj w nocy też świeciło się tam światło, Alice mi je pokazała. A trochę później widziałam, jak wchodziłaś do domu.

Allegra zacisnęła usta i spuściła oczy.

— Przyznajesz, że wychodziłaś wczoraj wieczorem? Pokiwała głową.

— A więc...

— Myśli pani, że to ja...?

— Myślę, że ktoś robi głupie kawały i sir William na pewno nie byłby zadowolony, gdyby się o tym dowiedział.

— Powiem pani, gdzie byłam wczorajszej nocy — wydawała się bardzo zaniepokojona. — Pożyczyłam sobie szarfę pani Lincroft i zostawiłam ją na plebanii. Musiałam po nią wrócić, bo gdyby pani Lincroft zauważyła, że jej nie ma, powiedziałyby o tym dziadkowi. Poszłam więc, żeby ją przynieść.

— Widziałaś pastora albo panią Rendall?

— Nie, widziałam tylko Sylwię.  
— Dlaczego nie mogłaś zabrać jej dziś rano, gdy byłaś tam na lekcji?  
— Pani Lincroft mogłaby zauważyć, że jej nie ma. Powiedziała mi kiedyś, że jeśli pożyczę coś bez jej zgody, poskarży się dziadkowi. To szkarłatna szarfa — dodała. — Ja bardzo lubię ten kolor. Przewróciłam stronę w zeszycie z nutami.  
— Spróbujmy teraz to — powiedziałam.  
Nie uwierzyłam w tę historię z szarfą i postanowiłam to sprawdzić.

\* \* \*

Sylwię widywałam najrzadziej i nie miałam wielu okazji, aby ją lepiej poznać. Robiła na mnie wrażenie dość sprytnej osóбки, chociaż w zasadzie nie mogłabym powiedzieć, czym zasłużyła sobie na taką opinię. Prawdopodobnie irytowało mnie, że w obecności swojej matki zachowywała się jak skromnisia, a zmieniała się w normalną dziewczynkę, gdy pani Rendall przy niej nie było. Tłumaczyłam sobie, że to niesprawiedliwie z mojej strony. Biedne dziecko! Każdy czuł respekt przed tą wzbudzającą przestach kobietą, a co dopiero miałaby powiedzieć osoba, która była całkowicie na nią skazana, czyli jej własna córka.

Sylvia bardzo się przykładła do nauki gry na fortepianie i widziałam, że daje z siebie wszystko. Nie miała za grosz talentu, ale pilnie wykonywała wszystkie ćwiczenia.

— Czy widziałas wczoraj wieczorem Allegrę? — zapytałam, gdy skończyłyśmy lekcję.

— Allegrę? Dlaczego...

— Czy była tu wczoraj? — nalegałam. — Spróbuj sobie przypomnieć. Muszę to wiedzieć.

Sylvia z uwagą oglądała swoje poobgryzane paznokcie. Miałam wrażenie, że rozpaczliwie usiłuje podjąć decyzję, co odpowiedzieć.

— Pamiętałabyś przecież, gdybyście się wczoraj wieczorem widziały, mam rację?

— No tak — powiedziała w końcu. — Rzeczywiście przyszła na plebanie.

— Czy często przychodzi tu po zmroku?

— Właściwie... nie.

— Co powiedzieli twoi rodzice, gdy ją zobaczyli wieczorem?

— Oni... nie wiedzieli.

— Zatem była to sekretna wizyta?

— No, tak, chodziło o szarfę. Bo wie pani, Allegra pożyczyła ją od pani Lincroft, bez jej wiedzy. Bała się, że wszystko się wyda i pani Lincroft poskarży się sir Williamowi. Przybiegła więc tu, żeby ją wziąć. Wpuściłam ją do środka i nikt o tym nie wiedział.

A więc jednak to była prawda. Jeżeli zaś Allegra była wieczorem na plebanii, nie mogła być w tym samym czasie w kaplicy i straszyc.

Wszystko wskazywało na to, że będę musiała poszukać gdzie indziej odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie.

Po obiedzie Alice odeszła do swoich obowiązków. Zostałam sama z panią Lincroft.

— Proszę jeszcze trochę posiedzieć — poprosiła. — Zrobię pani kawę.

Zgodziłam się i obserwowałam, jak krząta się po kuchni.

— Lubię przygotowywać ją sama — powiedziała. — Mam szczególne wymagania, jeśli chodzi o kawę i herbatę.

Była bardzo elegancką kobietą. Miała na sobie długą, popielatą, plisowaną spódnicę i bardzo kobiecą bluzkę z szyfonu w tym samym kolorze, zapinaną na ozdobne, różowe guziczki. Poruszała się bezszelestnie i z wielką gracją. Patrząc na nią myślałam, że kiedyś musiała być bardzo piękna.

Zresztą, wcale nie tak dawno temu. Wciąż była atrakcyjną, dojrzałą kobietą. Zastanawiałam się, jak też wyglądał jej zmarły mąż, pan Lincroft.

Gdy kawa już się zaparzyła, postawiła ją na mosiężnej tacy na stoliku i usiadła obok mnie.

— Mam nadzieję, że będzie pani smakowała. Ktoś, kto tak długo mieszkał w Paryżu, musi się znać na dobrej kawie. Jakież wspaniałe życie musiała pani wraz z mężem tam prowadzić!

Przyznałam, że faktycznie, było nam tam bardzo dobrze.

— To straszne owdowieć tak młodo!

— O tak, pani wie coś o tym.

— Owszem... — Miałam nadzieję, że usłyszę jakieś zwierzenia, ale pani Lincroft należała do tych nielicznych kobiet, które nie lubiły mówić o sobie. — Spędziła już pani z nami kilka tygodni i mam nadzieję, że czuje się pani tu jak w domu.

— Też tak sędzę.

— Poznała też pani już całą rodzinę. A tak przy okazji, jak pani zdaniem wygląda Edith?

— Myślę, że wygląda całkiem dobrze.

— Tak, chociaż ostatnio trochę się zmieniła. Nie zauważyła pani? Moim zdaniem wszystko wskazuje na to, że będzie mieć dziecko.

— Och!

— Wskazują na to pewne znaki — mam nadzieję, że się nie mylę. To by wszystkich tu uszczęśliwiło. Jeśli byłby chłopiec... Bardzo chciałabym, aby to był chłopiec... sir William na pewno by wyzdrowiał.

— Ja też uważam, że byłoby to wielkie szczęście.

— Wszystko by się zmieniło — pani Lincroft uśmiechnęła się. — Wreszcie wszyscy zapomnieliby o przeszłości. Dlatego modlę się o chłopca, podobnego do Beaumonta. Jestem pewna, że sir William nazwałby go tak samo. Gdybyśmy mieli w tym domu małego Beaumonta, wszyscy zapomnieliby o duchu tamtego.

— Uważam, że już dawno powinno się o nim zapomnieć.

— To dlatego, że wszyscy tak kochali tego chłopca. Może gdyby był mniej przystojny, mniej czarujący, byłoby łatwiej. Jedynym sposobem, aby o nim zapomnieć, jest zastąpienie ducha żyjącym Beau, wnukiem sir Williama.

— Ależ jest przecież Allegra!

— To córka Napiera! Ona tylko przypomina sir Williamowi o tym niefortunnym wydarzeniu.

— To przecież nie jej wina.

— Oczywiście. Ale jej obecność nie pozwala mu o tym zapomnieć. Mam wrażenie, że sir William zastanawiał się nawet, czy nie należałoby jej gdzieś wysłać.

— Wygląda na to, że lubi wysłać stąd ludzi — wypaliłam. Pani Lincroft spojrzała na mnie zimno. Domyślałam się, że uważała na wysoce niestosowne krytykowanie sir Williama.

— Powinna pani zrozumieć, że obecność Allegry jest dla niego niesłychanie bolesna.

— Jeżeli daje jej to odczuć, sprawia tym dziewczynce wielką przykrość.

Znowu nie powstrzymałam się przed krytyką.

— Allegra zawsze była dzieckiem sprawiającym kłopoty — rzuciła pani Lincroft ostro. — Być może dla jej własnego dobra powinna była wychowywać się poza Lovat Stacy.

— Trzeba zrozumieć jej trudną sytuację. Matka ją opuściła, ojca właściwie nie znała, a na dodatek dziadek nie może znieść jej obecności.

Pani Lincroft wzruszyła ramionami.

— Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy — powiedziała. — Niełatwo znaleźć kontakt z takim dzieckiem jak Allegra.

Gdyby była choć trochę podobna do Alice... — spojrzała na mnie wyczekująco. — Czy uważa pani, że moja córka jest... grzeczna?

— Uważam, że jest czarującą dziewczynką — powiedziałam szczerze. — Inteligentną i dobrze ułożoną.

Na usta pani Lincroft powrócił na chwilę uśmiech.

— Gdyby tylko Allegra była taka jak Alice — westchnęła. — Niestety, obawiam się, że to dziecko ma zbyt długie ręce. — Słyszac to, natychmiast przypomniała mi się historia z szarfą. — To nic groźnego — ciągnęła pani Lincroft — ale zauważyłam, że lubi pożyczać sobie cudze rzeczy bez pytania i nie widzi w tym nic niestosownego, o ile uda jej się to odłożyć w porę na miejsce.

— Wygląda na to, że boi się swojego dziadka.

— Oczywiście. Podobnie jak Edith. Ta z kolei jest zbyt potulna. To nie jest wada, ale pani Stacy jest przy tym bardzo nerwowa, wszystkiego się boi. Drży ze strachu przed burzą, przed błyskawicami... lęka się kogokolwiek urazić. Myślę, że dziecko dobrze jej robi.

— Jak pani sądzi, skąd pochodzi to światło w kaplicy? — zapytałam nagle.

— Ach, to — wzruszyła ramionami. — Służba ciągle o tym mówi. Moim zdaniem robi to ktoś, kto nie chce, aby zapomniano o przeszłości.

— Ale dlaczego?

— Może ktoś nienawidzi Napiera? Albo chce się zemścić.

— Może to zemsta za spalenie kaplicy?

— Pamiętam, że to światło pojawiło się, zanim kaplica spłonęła. Chociaż faktycznie, natychmiast po tym, jak wrócił Napier.

— A co myśli o tym Napier?

Pani Lincroft spojrzała na mnie dość wymownie.

— Pani z pewnością wie to równie dobrze, jak ja.

A więc ta kobieta wiedziała, że Napier się mną interesował, a mnie również nie był obojętny. Nie chciałam dalej rozwijać tego tematu. Wspomniałam, że bardzo lubię tutejsze ogrody i dalsza rozmowa upłynęła w miłej atmosferze na dyskusji o kwiatach, które były jej pasją.

Słońce już zaszło, a ja zbliżałam się do końca męczącej lekcji z Allegra, gdy weszła Alice.

— Pomyślałam, że przyjdę trochę wcześniej na lekcję — oświadczyła.

Usiadła przy oknie, czekając, aż skończymy.

— Znowu tam jest! — zawołała nagle. — Widzę światło w kaplicy!

Allegra zerwała się od fortepianu i pobiegła do Alice. Ja ruszyłam za nią.

— Znowu to światło — powtórzyła Alice. — Widziałam je. Poczekajcie chwilę. O, teraz! Jest! I rzeczywiście widać było światło. Paliło się przez moment, a potem zgasło.

— Widziała je pani? — upewniała się Alice.

— Tak, widziałam.

— Nikt nie może powiedzieć, że coś mi się przywidziało.

Potrząsnęłam głową, nie odrywając wzroku od ciemnej plamy zagajnika. Zobaczyłyśmy je znowu, drżący płomyk przez chwilę migotał i zrobiło się ciemno.

Słyszałam, jak Allegra ciężko oddycha. Byłam jej winna przeprosiny, że podejrzewałam ją o udawanie ducha i zabawy ze światłem. Nie miałam już najmniejszych wątpliwości, że to nie ona.

\* \* \*

W końcu podjęłam decyzję, że muszę poznać prawdę. Pewnej nocy wymknęłam się więc z domu i pobiegłam na przelaj przez trawniki do jodłowego zagajnika.

Zatrzymałam się na jego skraju, zdyszana i pełna obaw. Poczułam, że ogarnia mnie nagle nieodparta chęć zrezygnowania z tej wyprawy. W nocy wszystko wyglądało strasznie i tajemniczo. Niespodziewanie opuściła mnie odwaga i zdrowy rozsądek, który w dzień nie pozwalał mi nawet myśleć o błakających się po ziemi duchach. Pomysł, by pójść do kaplicy i sprawdzić, co naprawdę się tam dzieje, wydał mi się bardzo ryzykowny. Stałam więc pod drzewem i wpatrywałam się niezdecydowana w rozciągającą się przede mną ciemność.

To na pewno do niczego nie doprowadzi, przekonywałam samą siebie. Przecież duchy nie zjawiają się na zawołanie. Oczywiście, doskonale wiedziałam, że to tylko wymówka.

Dlaczego więc nie wrócę do domu i nie poproszę pani Lincroft lub Alice, aby mi towarzyszyły. Prawda, mogą się dziwić, dlaczego tak bardzo zależy mi na udowodnieniu, że ktoś wprowadza ludzi w błąd, udając ducha. Dobrze pamiętam uwagę pani Lincroft na temat Napiera. Nagle przyszła mi do głowy pewna straszna myśl. A jeżeli Roma zajrzała pewnej nocy do kaplicy? Jeżeli zobaczyła coś, czego nie powinna była widzieć? Moim ciałem wstrząsnął dreszcz. To bardzo prawdopodobne, że moja sceptyczna siostra mogła zapragnąć rozwiązać zagadkę nawiedzanej kaplicy.

— Duchy! — jakbym słyszała jej zdecydowany głos. — Co za nonsens!

Jednak chcąc dostać się do kaplicy, Roma musiałaby wejść nielegalnie na teren należący do sir Williama, bo jego zgoda na wykopaliska nie obejmowała ogrodów. Oczywiście Roma nie należała do osób, które uzależniają swoje plany od czyjejkolwiek zgody. Ale duchy! Nie sądziłam, by mogła się tym aż tak przejąć.

— Co światło w kaplicy może mieć wspólnego z archeologią? — zapytałaby natychmiast.

Z duszą na ramieniu wkroczyłam wreszcie do zagajnika. Po chwili zobaczyłam przed sobą czarne ruiny kaplicy. Podeszłam bliżej i dotknęłam dłonią zimnego kamienia. Tylko zajrzę do środka i zaraz wracam, obiecywałam sobie. Przecież nie będę tu czekać do rana. Następnym razem przyjdę tu z kimś i wtedy zostaniemy dłużej. Allegra lub Alice z pewnością zgodzą się mi towarzyszyć.

Nagle usłyszałam jakiś szept. To na pewno wiatr porusza gałęziami drzew, próbowałam się uspokoić, ale doskonale wiedziałam, że powietrze stało nieruchomo, bez najmniejszego powiewu morskiej bryzy. To, co słyszałam, to były bez wątpienia głosy dochodzące z wnętrza kaplicy. Poczułam, że uginają się przede mną kolana.

Instynkt nakazywał mi ucieczkę, ale wiedziałam, że jeśli to zrobię, będę sobą pogardzać. Byłam bliska odkrycia tajemnicy i nie mogłam tak po prostu w ostatniej chwili stchórzyć.

Uspokajając się w duszy i nasłuchując, skierowałam się w stronę wypalonego otworu, w którym kiedyś znajdowały się drzwi do kaplicy.

Znowu usłyszałam głosy, wyraźnie dwa, jeden wysoki, piskliwy, drugi dużo niższy... które szeptem prowadziły ze sobą rozmowę.

I nagle wszystko zrozumiałam. Tych dwoje nie przyszło tu, aby straszyć ludzi. Wybrali to miejsce, bo chcieli schować się przed światem i pobyć ze sobą.

— Nie możesz jechać — rozpoznałam głos Edith.

— Kochanie, to jedyny sposób. Gdy wyjadę, zapomnisz o mnie. Musisz zrobić wszystko, by być szczęśliwa...

Nie chcąc być dłużej nieproszonym świadkiem tego wzruszającego spotkania dwojga kochanków, szybko zawróciłam w stronę trawników.

Edith wybrała zrujnowaną kaplicę na miejsce schadzki ze swoim ukochanym. To zapewne jedno z ich ostatnich spotkań, gdyż Jeremy Brown miała za kilka dni wyjechać do Afryki.

Przemykałam się bezszelestnie między drzewami, zastanawiając się, czy nie znalazłam jednak rozwiązania zagadki z duchami. Kaplica była po prostu azylem dla pary zakochanych. Czy zapalali

tam światło, aby ludzie trzymali się od tego miejsca z daleka? Prawdę powiedziawszy, szczerze w to wątpiłam, komu przyszedłoby bowiem do głowy podejrzewać Edith o niewierność?

Dotarłam już prawie na skraj zagajnika, gdy nagle, jak spod ziemi, wyrosła przede mną czyjaś postać. Gwałtownie odskoczyłam do tyłu i przez moment dałam się zwieść absurdalnej myśli, że mam przed sobą ducha Beaumonta.

Dopiero w następnej sekundzie rozpoznałam Napiera i poczułam olbrzymią ulgę.

— Przepraszam, jeżeli panią przestraszyłem.

— Byłam zaskoczona przez chwilę, to prawda.

— Wygląda pani tak, jakby zobaczyła ducha. Podobno jeden taki przechadza się nocą po zagajniku.

— Nie wierzę w duchy.

— Ale przed chwilą była pani skłonna uwierzyć, proszę przyznać.

— Może przez sekundę.

— Rozumiem, że jest pani trochę rozczarowana. Chciała się pani spotkać twarzą w twarz z duchem... mojego brata, bo to on tu straszy.

— Jeśli spotkałabym go, z pewnością zapytałabym, co u licha tu robi.

— Jest pani odważna. — Napier uśmiechnął się. — Sama nocą w zagajniku. I jeszcze ma pani ochotę przekomarzać się z duchem. Odważyłaby się pani pójść do ruin kaplicy i powtórzyć to, co powiedziała pani przed chwilą?

— Oczywiście.

— Sprawdźmy więc pani odwagę.

Jego oczy lśniły w zimnym blasku księżyca, a na ustach błąkał się cyniczny uśmiech. Zastanawiałam się, jak by zareagował na widok Edith i Jeremy'ego Browna w opustoszałej kaplicy. Chociaż dużo bym dała, żeby poznać odpowiedź na to pytanie, wiedziałam, że nie mogę pozwolić, by ich tam zastał. To tylko dwoje niewinnych dzieci, rozpaczliwie starających się znaleźć wyjście z sytuacji, która ich zaskoczyła i przerosła ich oczekiwania. Świadczyła o tym dobitnie decyzja wikarego, by opuścić Anglię. Poczułam, że za wszelką cenę muszę chronić ich sekret.

— Niestety muszę panu odmówić — powiedziałam.

Spojrzał na mnie drwiąco. Dobrze, niech posądzi mnie o tchórzostwo, pomyślałam. Nie dbam o to, a być może uda mi się uratować Edith.

— No tak, kto wie, co mogłaby pani tam odkryć? — zapytał z przekąsem.

— Nie obawiam się duchów.

— A więc dlaczego nie chce pani tam pójść... ze mną?

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę trawnika, ale Napier nie dał za wygraną. Chwycił mnie za ramię.

— Pani się czegoś boi — oświadczył. — Proszę się przyznać.

— Po prostu jest mi zimno.

— Boi się pani przeziębic?

Korciło mnie, aby zostawić go i uciąć tę nie prowadzącą do niczego dyskusję, ale bałam się, że może pójść sam do kaplicy i zaskoczyć tych dwoje. A do tego nie mogłam dopuścić. Stałam więc bez ruchu na skraju zagajnika, on obok mnie i oboje patrzyliśmy na ciemną bryłę domu.

— Nie powinna się pani bać, nikt nie ma powodów do strachu — powiedział cicho. — On wrócił po to, aby rozprawić się ze mną.

— Co za bzdury.

— Wręcz odwrotnie. Dla kogoś, kto wierzy w duchy, to bardzo logiczne. To ja sprawiłem, że musiał opuścić ten dom. Nie może się więc pogodzić, że tu wróciłem. Bardzo proste.



— Znowu wraca pan do przeszłości — powiedziałam z wy — mówką w głosie. — Powinno się o niej zapomnieć.

— Czy można zapomnieć o niej tak na zawołanie? Pani to potrafi?

— Wiem, że to trudne, ale należy próbować.

— Powinna mi pani dać dobry przykład.

— Ja?

— Pani, która ma tak wiele do zapomnienia... podobnie jak ja. — Zrobił krok w moją stronę. — Prawda, że wiele nas łączy?

— Wiele? — zapytałam zdziwiona. — Powiedziałabym raczej, że prawie nic.

— Czyżby... rzeczywiście? Wykażę wielką odwagę i pozwolę sobie nie zgodzić się z panią.

— Moim zdaniem nie wymaga to od nikogo jakiejś nadzwyczajnej odwagi.

— Ale jeżeli będę chciał udowodnić, że mam rację, pani musi wykazać wiele tolerancji.

— Dlaczego?

— Abym miał szansę panią o tym przekonać, będzie pani narażona na znoszenie mojego towarzystwa.

— Doprawdy trudno mi uwierzyć, że chciałby pan spędzać czas w moim towarzystwie.

— Niestety, znowu muszę się z panią nie zgodzić.

— Nie rozumiem.

— To bardzo proste. Interesuje mnie pani.

— To niezwykle.

— Jestem przekonany, że inni też się panią interesowali. Jedna osoba na pewno. Myślę o pani genialnym mężu.

— Nie życzę sobie, aby pan tak o nim mówił. Pietro rzeczywiście był geniuszem, ale pan nie powinien z tego drwić, gdyż...

— Brak mi tych wszystkich zalet, jakimi on był obdarzony. To chciała pani powiedzieć. Jak żałośnie muszę wyglądać w pani oczach, gdy mnie pani z nim porównuje.

— Nawet przez myśl mi nie przeszło, aby porównywać pana z moim mężem.

Moje zdenerwowanie rosło. O co mu chodziło? Czyżby zalecał się do mnie w tak przewrotny sposób? Przypomniała mi się scena z francuskiej farsy, którą oglądaliśmy kiedyś z Piętrzem. Żona Napiera spotykała się ze swoim ukochanym w jednej części zagajnika, a jej mąż uwodził mnie w tym czasie tuż obok.

Powinnam go była zostawić i wrócić do domu. Ale jeśli pójdzie do kaplicy... Wiedziałam, że była to tylko wymówka. Może wolałam z nim zostać. Może ten człowiek bardziej mnie fascynował, niż odpychał.

Usiłowałam przekonać samą siebie, że skomplikowane relacje uczuciowe tych dwojga młodych ludzi nie powinny mnie w ogóle obchodzić. Jednak z drugiej strony, bardzo współczułam Edith i wiedziałam, że nie przeżyłaby tego, gdyby Napier znalazł ją w kompromitującej sytuacji z kochankiem. Chociaż nie dbał o jej uczucia, kto wie, jakby się zachował w roli zdradzanego męża? A jeżeli posunąłby się do zakwestionowania ojcostwa dziecka, którego spodziewała się Edith... ten dom mógłby być świadkiem następnej tragedii.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli powiedziałem coś niestosownego — usłyszałam nagle jego głos, zaskakująco miękki i czuły. — Miałem siedemnaście lat, gdy zastrzeliłem brata, czego nie mogła przeżyć moja matka. Zostałem wysłany na drugi koniec świata. Życie tam jest zupełnie inne niż tutaj. Bardziej prymitywne. Nie przywykłem tam do towarzystwa takich dam jak pani.

— A pańska żona?

— Edith to jeszcze dziecko — powiedział z lekceważeniem w głosie.

— To prawda, że jest bardzo młoda. Wszyscy kiedyś tacy byliśmy i jak widać, z tego się wyrasta.

— Nie mamy wspólnych zainteresowań — dodał z przekonaniem.

Przypomniałam sobie, że już kiedyś mi o tym mówił. Z przerażeniem pomyślałam, że on porównuje nas obie i daje mi do zrozumienia, że woli mnie. Ciekawe, jak zabiegał o względy matki Allegry, tej dzikiej Cyganki.

— Jest pan niecierpliwy. W małżeństwie przez lata kształtuje się wspólne upodobania — oświadczyłam sucho.

— Ma pani dość idealistyczne wyobrażenie o małżeństwie. To chyba dlatego, że pani związek był taki udany, nie mylę się?

— Owszem — wycedziłam. — Bardzo udany.

Znowu wyczułam w jego głosie kpinę.

— Żałuję, że nie spotkałem pani... wcześniej...

— Czemu?

— Mógłbym zobaczyć, jak to małżeństwo panią zmieniło. Studiowała pani muzykę, pragnęła sławy. Jak każdy z pani kolegów. Uznanie i kariera leżały w zasięgu pani możliwości. Mogę przysiąc, że słyszała już pani nawet aplauz zachwyconej publiczności, czekającej, aż zasiądzie pani do fortepianu.

— A pan... co pan czuł, zanim...

— Zanim nacisnąłem na spust i oddałem ten fatalny strzał — dokończył sam. — Och, zazdrość, urazę, nienawiść i wszystkie inne najgorsze uczucia.

— Dlaczego chce pan, abym widziała pana w tak złym świetle?

— Bo wolę powiedzieć to pani sam, zanim zrobią to inni... Caroline.

Na dźwięk swojego imienia odsunęłam się od niego gwałtownie.

— Czyżbym panią obraził, zwracając się w ten sposób? Najwyraźniej tak. „Jak się pani ma? Prawda, że mamy dziś piękny dzień? Chyba zanoszi się na deszcz”. A więc tak powinienem z panią rozmawiać. Co za nuda. Co za potworna nuda. W Australii ludzie prawie ze sobą nie rozmawiają. Nie ma na to czasu. Ciągle myślałem o swoim domu, jak byłoby wspaniale, gdyby Beau żył. Mógłbym z nim rozmawiać. Był taki wesoły, promienny. Wiedział, jak cieszyć się życiem. Dlatego właśnie uważają, że mu zazdrościłem. Zawiść to najgorszy z siedmiu grzechów głównych, wie pani o tym?

— To już przeszłość. Na miłość boską, czemu pan sobie tego nie powie?

— Zapewne z tej samej przyczyny, z której pani nie może zapomnieć o przeszłości. Pani zapewnienia nic nie znaczą.

Cały czas pani o niej myśli. Idealizuje ją pani. Widzi pani swoje dotychczasowe życie, jako doskonałą idyllę. Wierzy w to pani, a ja przynajmniej staram się widzieć rzeczy takimi, jakie były naprawdę.

— To był wypadek...

— Proszę mnie posłuchać. Czy uwierzyłaby pani w to, co o mnie mówią, gdybym miał inny charakter? Gdybym nie miał ponurego usposobienia, wybuchowego temperamentu? Jeżeli to Beau zastrzeliłby mnie, proszę mi wierzyć, wszyscy wołaliby, że to wypadek.

— Wciąż jest pan o niego zazdrosny — powiedziałam.

— Czyżby? Widzi pani zatem, że rozmowa z nią pomaga mi... poznać samego siebie.

— Byłoby wspaniale, gdyby umiał pan zapomnieć o przeszłości. Zacząć wszystko od początku.

— A pani? — zapytał.

— Ja również próbuję ułożyć sobie życie na nowo.

— Na pewno uda się to pani — stwierdził z przekonaniem. — Może uda się to nam obojgu — dodał z nadzieją w głosie.

Odwróciłam głowę, by nie patrzeć mu w oczy. Bałam się tego, co mogłam w nich zobaczyć. Nie byłam w stanie już dłużej z nim rozmawiać.

— Dobranoc — powiedziałam i nie oglądając się, ruszyłam w kierunku ciemnej bryły budynku.

Napier szedł obok mnie, milcząc. Nie mogłam przestać myśleć o Edith, która spędzała czas ze swoim ukochanym, podczas gdy ja wracałam nocą do domu w towarzystwie jej męża.

Miałam nadzieję, że nikt nas razem nie widział.

## Rozdział 6

Kiedy następnym razem odwiedziłam plebanię, zastałam panią Rendall w stanie skrajnej irytacji. Jeremy Brown wyjechał i pastor był przeciążony pracą. Jego żona nie widziała możliwości, by mógł połączyć swoje obowiązki duszpasterskie z nauką dziewcząt. Już od progu przekonywała mnie, że do czasu przybycia nowego wikarego trzeba będzie zawiesić lekcje, o czym powinnam przekonać panią Lincroft.

Zapewniłam ją, że niezwłocznie poinformuję o tym panią Lincroft i zaproponowałam też, że zabiorę ze sobą dziewczęta, by nie przeszkadzały pastorowi w jego powinnościach wobec parafian.

— Mogę odbyć z nimi lekcje muzyki w Lovat Stacy — powiedziałam.

Pani Rendall natychmiast się udobruchała.

— Proszę wejść na szklaneczkę wina z czarnego bzu mojej roboty. Myślę, że nic się nie stanie, jeśli dziś jeszcze wszystko pozostanie po starym. Po rozmowie z panią Lincroft zadecydujemy, co robić do czasu przybycia wikarego.

Spojrzałam na zegarek. Do pierwszej lekcji zostało jeszcze dziesięć minut.

Udałam się za gospodynią do saloniku, gdzie pani Rendall wyjęła z kredensu butelkę wina, opatrzoną nalepką z napisem wykaligrafowanym jej równiutkim pismem.

— Jestem z niego wyjątkowo dumna — powiedziała — chociaż moja tarninówka też była wyśmienita... kto wie, może nawet lepsza. Myślę, że powinna pani skosztować tego.

Napełniła szklaneczki i wręczyła mi jedną mówiąc, że zawsze sama robi wina, bo w dzisiejszych czasach nie można ufać służbie. Troszkę alkoholu od czasu do czasu świetnie robi pastorowi. Sama często namawia go do wypicia kieliszka, gdy narzeka na płuca.

— To jest lepsze niż wszystkie lekarstwa razem wzięte — oświadczyła z przekonaniem, próbując trunku i czekając, aż zrobię to samo i wygłoszę stosowną pochwałę, co też uczyniłam.

— Tak, trzeba będzie coś zorganizować... czasowo — westchnęła, nawiązując do wcześniejszej rozmowy.

— Myśli pani o zatrudnieniu na pewien okres guwernantki?

— Nie sądzę, aby to było potrzebne. Na tych dzisiejszych guwernantkach w ogóle nie można polegać. Z tego, co wiem, pani Lincroft była kiedyś guwernantką, może więc podjęłaby się uczenia dziewcząt do czasu, aż sytuacja się unormuje.

— Okazuje się, że pani Lincroft zna się na wielu rzeczach.

— To inteligentna kobieta. Co do tego nie można mieć żadnych wątpliwości. To ona w zasadzie prowadzi cały ten dom... robiła to zresztą także wtedy, gdy żyła jeszcze biedna lady Stacy. Niektórzy uważają, że sir William niezwykle ją sobie ceni... może nawet za bardzo.

— Bez wątpienia docenia jej talenty.

Pani Rendall wybuchnęła nagle głośnym i rubasznym śmiechem.

— W rzeczy samej są to talenty! Odeszła, co prawda, na pewien czas z Lovat Stacy, ale wróciła z Alice i podjęła swoje stałe obowiązki — prowadzenie domu i bycie zawsze pod ręką. A teuz prawdziwa z niej pani na Lovat Stacy, nie mówiąc już o tym, że jej córka jest traktowana jak członek rodziny.

— To prawda, trudno dostrzec jakąś różnicę w pozycji społecznej tych dziewcząt.

— Czy tak powinno być? Alice jest w końcu tylko córką służącej i jak się głębiej nad tym zastanowić, wydaje się dziwne, że wychowuje się ją tak samo, jak Edith. Allegra to co innego, w końcu jest wnuczką sir Williama. Oczywiście pozwałam Sylvii przyjaźnić się z Alice, co innego mogę zrobić?

- Nic, jeżeli chce pani, aby córka uczyła się wraz z innymi dziewczynkami.
- To jasne, ale i tak nie zmienia to faktu... A tak przy okazji, jak Sylvia radzi sobie z graniem?
- Obawiam się, że nie jest w tym kierunku zbyt utalentowana.

Pani Rendall westchnęła.

— Za moich czasów, gdy ludzie nie wykazywali do czegoś talentu, byli tak długo bici, aż talent się objawił.

— Obawiam się, że biciem nic się nie zdarza, jeżeli on po prostu nie istnieje.

— Gdybym zauważyła, że Sylvia nie pracuje dostatecznie dużo, natychmiast bym ją ukarała. Bicie nie byłoby nawet potrzebne. Kilka dni o chlebie i wodzie zrobiłoby swoje, zaraz zaczęłaby lepiej grać. Mówię pani, jaka ona jest żarłoczna. Nie znam nikogo z takim apetytem.

— Sylvia rośnie, musi więc sporo jeść.

— Proszę mi powiedzieć, jeżeli zauważy pani, że nie przykłada się do lekcji.

— Ależ skąd, jest bardzo pracowita — zapewniłam ją szybko.

Spojrzałam na zegarek.

— Już czas na moją pierwszą lekcję — powiedziałam wstając. — Jak tylko wrócę do Lovat Stacy, porozmawiam z panią Lincroft.

\* \* \*

Pani Lincroft wysłuchiwała mnie ze zrozumieniem i powiedziała, że oczywiście zajmie się dziewczętami do czasu przyjazdu nowego wikarego. Znajdzie im jakieś zadania i przypilnuje, by nie marnowały czasu przeznaczonego na naukę.

— Będę wdzięczna, jeśli pani mi w tym pomoże — powiedziała.

— Z największą przyjemnością — odparłam, przypominając jej jednak, że nie mam praktyki, jako nauczycielka innych przedmiotów niż muzyka.

— Dziękuję i proszę się nie przejmować. Ja też nie jestem dyplomowaną nauczycielką, jak zresztą większość guwernantek. Pochodzą zwykle ze zubożałej szlachty i to życie zmusza je do zarabiania na siebie. Pani natomiast jest lepiej wykształcona niż wiele z nich. Czy dobrze pamiętam, że pani ojciec był profesorem?

— Tak, był.

— Nie myślę się zatem sądząc, że pani i jej rodzeństwo odebraliście staranne wykształcenie.

— Miałam tylko siostrę.

— Miałam? — natychmiast zareagowała na czas przeszły.

— Nie ma jej... już z nami.

— Och, tak mi przykro. Przypominam sobie, że wspominała pani o tym. A zatem, to oczywiste, że jest pani świetnie przygotowana i jeśli zgodzi się pani pomóc mi do czasu przyjazdu wikarego, będę ogromnie zobowiązana.

Zapewniłam ją, że zrobię, co w mojej mocy.

\* \* \*

Patrzyłam niespokojnie na zegarek, czekając na Edith, która nie pojawiła się na lekcji. Było dziesięć minut po czasie.

Sylvia, Allegra i Alice siedziały już na swoich miejscach, czekając na zajęcia.

Wahałam się czy iść do niej. Od ostatniego spotkania z Napierem unikałam tego człowieka i wcale nie miałam ochoty na odwiedzin w ich apartamencie. Jednak gdy minęło kolejne dziesięć minut, postanowiłam sprawdzić, co się stało.

Zapukałam do drzwi jej sypialni i usłyszawszy wypowiedziane słabym głosem zaproszenie, weszłam do środka.

Edith leżała w swoim łóżu zwieńczonym baldachimem, blada jak płótno i z pałającymi oczami.

— O, Boże! — zawołała na mój widok. — Lekcja muzyki! Zupełnie zapomniałam.

— Edith, co się stało? — zapytałam.

— Wczoraj rano było to samo. Bardzo źle się czuję.

— Może należałoby wezwać doktora.

Spojrzała na mnie żałośnie.

— Jestem w ciąży.

— Ależ to powód do radości!

— Och, pani była zamężna, ale nigdy nie miała pani dzieci.

— To prawda — potwierdziłam.

— Czy żałuje pani tego? — patrzyła na mnie wyczekująco.

— Z pewnością kochałabym je bardzo.

— Ale to okropne. Kucharka opowiadała kiedyś, jak rodziła swoją córkę, to naprawdę straszne.

— Nie powinnaś słuchać takich historii. Przecież kobiety ciągle rodzą dzieci.

— Wiem — powiedziała, zamykając oczy.

— Powinnaś czuć się szczęśliwa.

Edith odwróciła twarz do poduszki i po drzeniu jej ramion zorientowałam się, że płacze.

— Edith — powiedziałam cicho. — Czy... poza tym, martwisz się czymś jeszcze?

Gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na mnie.

— Czym mogłabym się martwić? — zapytała.

— Nie wiem, zastanawiam się tylko, czy jestem w stanie jakoś ci pomóc.

Milczała, a ja przypomniałam sobie słowa, które usłyszałam w kaplicy. Myślałam także o innej rozmowie, której strzępek niechcący podsłuchałam, stojąc pod drzwiami sali do nauki muzyki. Zrozumiałam, że Edith była szantażowana.

Czy to jednak możliwe? Była co prawda panią na Lovat Stacy, ale wątpiłam, by miała kontrolę nad swoim majątkiem. Najprawdopodobniej przeszedł on w całości na własność jej męża.

Biedna Edith, poślubiona dla pieniędzy przez Napiera Stacy, kochała Jeremy'ego Browna, który wyjechał z kraju, by zakończyć ich smutną historię miłosną.

Ale czyżby udało im się wcześniej skosztować rozkoszy fizycznej, której rezultatem byłoby to nie narodzone jeszcze dziecko? Podejrzewałam, że tak. Edith była jeszcze taka młodziutka, niezdolna do podejmowania decyzji o własnym życiu. Pragnęłam otoczyć ją opieką, chronić ją i chciałam, aby o tym wiedziała.

— Edith — powiedziałam — jeśli mogłabym ci jakoś pomóc... proszę, powiedz mi... jeśli możesz.

— Nie wiem, co mam powiedzieć... co robić, proszę pani. Czuję się taka... zdezorientowana.

Wzięłam ją za rękę i lekko uściśniłam. Gdy poczułam, jak jej palce zaciskają się na mojej dłoni wiedziałam, że udało mi się poprawić jej nastrój.

— Chciałabym teraz odpocząć — ledwo usłyszałam jej głos. Zrozumiałam. Być może zaufa mi kiedyś, ale jeszcze nie była przygotowana do zwierzeń.

— Pamiętaj, że zawsze możesz ze mną porozmawiać...

— Dziękuję pani — powiedziała i zamknęła oczy.

Nie chciałam na niej niczego wymuszać. Bardzo jej współczułam, nie spotkałam bowiem jeszcze nigdy tak przerażonej młodej osoby, jak Edith.

\* \* \*

Sir William był niezwykle szczęśliwy. Poprosił, bym dla niego zagrała, ale przedtem chciał chwilę ze mną porozmawiać.

— Jestem pewien, że zna już pani nowinę — powiedział uradowany. — Wszyscy bardzo się z tego cieszymy.

Wydawało mi się, że odmłodził, wyglądał w każdym razie dużo lepiej niż poprzednio.

— Pani koncert był tak wielkim sukcesem — kontynuował — że powinniśmy wkrótce urządzić następny. Jest pani znakomitą pianistką. Powiedziałbym nawet, że wybitną.

— Chyba nie mogę się z tym zgodzić, to zbyt wielka pochwała — zaprotestowałam. — Ale cieszę się, że swoją grą sprawiłam przyjemność panu i gościom.

— To tak wspaniale słyszeć znowu muzykę w tym domu. Mam nadzieję, że pani Stacy będzie mogła jeszcze przez jakiś czas ćwiczyć.

— Kto wie jednak, czy zechce kontynuować lekcje muzyki po urodzeniu dziecka.

— Powinniśmy panią poprosić, aby zgodziła się uczyć także mojego wnuka.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że musimy poczekać z tym jeszcze kilka lat.

— Wcale nie tak dużo... Czy to nie Handel odkrył na strychu fortepian i nauczył się na nim grać w wieku czterech lat? W naszej rodzinie są tradycje muzyczne. Babka mojego wnuka miała zadatki na wielką pianistkę. Była naprawdę bardzo dobra.

Tak, atmosfera w tym domu zdecydowanie się zmieniła. Sir William wspominał swoją żonę bez cienia zakłopotania. A wszystko to dzięki dziecku, które nosiła w swoim łonie Edith, dziecku, które mogło nie być potomkiem sir Williama.

Wciąż miałam co do tego poważne wątpliwości, chociaż bynajmniej nie była to moja sprawa. Biedna Edith, jakież to dla niej dylemat. A jeśli wyzna wszystkemu swojemu mężowi...? Gdy sobie to wyobraziłam, zrozumiałam, że nad głową Edith zbierają się najczarniejsze chmury. Przypomniałam sobie jej przerażony głos, gdy rozmawiała z kimś, kto ją szantażował. Z pozoru robiła wrażenie niewinnej osóбки, którą zresztą była, co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. To życie obeszło się z nią okrutnie.

Sir William milczał, zapytałam go więc, czy chciałby, bym teraz dla niego zagrała.

Poprosił mnie o to i powiedział, że nuty leżą na fortepianie.

Były to lekkie, wesołe utwory. Pamiętam, że wybrał głównie „Piosenki bez słów” Mendelssohna, między innymi „Wiosenną piosenkę”, radosną kompozycję, kipiącą obietnicami młodości.

Po godzinie gry do salonu weszła pani Lincroft i zamknęła za sobą drzwi.

— Zasnął — wyszeptła. — Jest taki szczęśliwy. — Uśmiechnęła się tak, jakby radość sir Williama była jej radością. Widząc to, przypomniały mi się aluzje pani Rendall na temat wzajemnych stosunków tych dwojga.

— To naprawdę cudownie... że tak szybko — mówiła dalej cicho. — Osobiście nie sądziłam, że Edith jest wystarczająco silna, ale często te delikatnie wyglądające dziewczyny rodzą bez problemu. Jeśli zaś chodzi o Napiera... udowodnił całkiem jasno, że... Chcę tylko powiedzieć, że trudno było go uważać za oddanego męża. Wie jednak, że sir William oczekiwał po nim potomka. Dlatego właśnie pozwolono mu wrócić do domu.

— Jak rozplodowemu bykowi — powiedziałam, nie kryjąc oburzenia.

Pani Lincroft spojrzała na mnie z naganą, całkowicie zaskoczona moim obcesowym stwierdzeniem. Zawstydziłam się nieco. Powinnam bardziej nad sobą panować. Napier przyjechał tu z własnej woli, doskonale wiedząc, co kryje się za propozycją ojca.

— W końcu musi spełnić swój obowiązek — oświadczyła pani Lincroft.

— I wygląda na to, że go spełnił.

— To z pewnością daje mu pewniejszą pozycję w tym domu.

— Przecież i tak, jako jedyny syn sir Williama...

— Gdyby Napier nie wrócił, sir William mógłby zapisać swoją posiadłość i majątek komuś innemu. Ale on wrócił... oczywiście, dlaczego miałby nie wrócić? Zawsze był ambitny, zawsze chciał być pierwszy. Dlatego tak zazdrościł Beau. A teraz to już koniec tej historii. Przyjął warunki ojca, a kiedy urodzi się dziecko, jestem pewna, że sir William będzie dla niego bardziej łaskawy.

— Sir William to twardy człowiek.

Pani Lincroft znowu spojrzała na mnie z naganą. Po raz drugi zapomniałam, gdzie jest moje miejsce. To wpływ Napiera. Dlaczego wciąż chcę go bronić?

— Życie go takim uczyniło — powiedziała zimno. W jej głosie wyczułam naganę, że krytykując swojego chlebobawcę, okazuję zły smak. Pani Lincroft była dość dziwną kobietą, ale wzbudzała mój podziw swoim bezgranicznym oddaniem dla dwóch osób: dla Alice i sir Williama. Widocznie jednak pożałowała okazanego mi chłodu, bo w następnych zdaniach już go nie wyczułam.

— Sir William jest uszczęśliwiony tą dobrą nowiną. Gdy chłopiec przyjdzie na świat, wszystko w tym domu wróci do normy. Jestem o tym przekonana.

— A jeśli to nie będzie chłopiec?

Pani Lincroft spojrzała na mnie zaskoczona.

— W tej rodzinie rodzą się niemal wyłącznie chłopcy. Panna Sybil Stacy jest jedyną dziewczynką od kilku pokoleń. Sir William chce nazwać wnuka Beaumont.

— A co na to rodzice? Mogą chcieć nazwać go inaczej.

— Edith na pewno zrobi tak, jak będzie sobie życzył sir William.

— A Napier?

— Jestem pewna, że też się zgodzi.

— Dlaczego? Może chce zapomnieć o tym... bolesnym wypadku.

— On nigdy się nie sprzeciwi woli sir Williama. Gdyby tak się stało, mógłby znowu zostać wysłany za granicę.

— Chce pani powiedzieć, że po spełnieniu zadania, jakim było spłodzenie dziecka i przywrócenie rodzinie Beaumonta, Napier mógłby zostać odprawiony z domu.

— Mam wrażenie, że jest pani dzisiaj w bardzo dziwnym nastroju. Nie poznaję pani.

— Sądzę, że za bardzo przejmuję się sprawami tej rodziny. Proszę mi wybaczyć.

Pani Lincroft skinęła głową.

— To, czy Napier pozostanie w Lovat Stacy, zależy wyłącznie od woli sir Williama. Sądzę, że on doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Spojrzałam na zegarek. Pożegnałam się szybko, korzystając z niezawodnej wymówki o czekającej mnie jeszcze pracy. Nie mogłam już dłużej słuchać o Napierze. Uważałam go za mężczyznę odważnego i szczerego, przynajmniej tyle. Nie podobało mi się, że pani Lincroft przedstawiała go jako człowieka poddającego się woli ojca, wyłącznie z uwagi na spadek.

\* \* \*

W drodze powrotnej do pokoju spotkałam Sybil Stacy. Miałam wrażenie, że czekała na mnie.



— Dzień dobry pani — zawołała na mój widok. — Jak się pani czuje?

— Dziękuję, bardzo dobrze, a pani?

— Ja też. Dawno mnie pani nie widziała, prawda? Ale ja widziałam, jak rozmawiała pani z Napierem... Właściwie widziałam was nawet parokrotnie. Wtedy, gdy wracaliście w nocy z zagajnika także.

Obruszyłam się. Ta kobieta mnie szpiegowała! Panna Stacy zauważyła moje oburzenie i najwyraźniej ją to bawiło.

— Pani się bardzo interesuje naszą rodziną, mam rację? Myślę, że to miło z pani strony. Uważam panią za bardzo sympatyczną osobę. Muszę panią obserwować, skoro zamierzam namalować pani portret.

— Czy maluje pani każdego, kto podejmuje tu pracę?

— Muszę mieć powód. I model musi być odpowiedni do namalowania. Wierzę, że pani jest. Proszę pójść ze mną do pracowni, obiecała mi to pani. W czasie pierwszej wizyty nie pokazałam pani wszystkiego.

Zawahałam się, ale ona położyła mi dłoń na ramieniu i zrobiła proszącą minę małej dziewczynki.

Widząc, że ulegam, klasnęła w ręce i radośnie podskoczyła. Widziałam wyraźnie jej twarz w ostrym, dziennym świetle. Błękitne kokardy na siwych włosach wyglądały groteskowo, podobnie jak figlarny, dziecięcy uśmiech na pokrytej zmarszczkami twarzy.

Ale panna Stacy fascynowała mnie, podobnie zresztą jak każdy w tym domu i bez słowa podążyłam za nią do pracowni.

Na sztaludze wciąż stał portret trzech dziewcząt. Moje spojrzenie natychmiast powędrowało w tamtą stronę, a Sybil wierciła się koło mnie niespokojnie.

— Dobrze podobieństwo, prawda? — zapytała.

— Bardzo dobre.

— Ale czas jeszcze nie wyrył wszystkiego na ich twarzach — wydeła wargi, jakby miała o to pretensję. — To bardzo trudne zadanie dla artysty. Nic nie można z tych twarzy wyczytać, prawda?

— Owszem, są takie młode i niewinne.

— Ale przecież wszyscy rodzimy się w grzechu.

— Pomimo to niektórym udaje się wieść całkiem przyzwoite życie.

— Widzę, że jest pani optymistką. Zawsze wierzy pani w lepszą naturę człowieka.

— Tak, a pani zdaniem powinno się wierzyć w tę najgorszą?

— Tak, jeżeli z taką mamy do czynienia. — Zmarszczyła brwi. — Byłam kiedyś taka jak pani. Wierzyłam... wierzyłam w Harry'ego. Jest pani zaskoczona. Nie wie pani, kto to jest Harry. To mężczyzna, którego miałam poślubić. Pokażę pani jego portret... nawet dwa, jeśli pani pozwoli. Teraz jednak pracuję nad Edith.

Podeszła do stojących pod ścianą obrazów. Zrobiła to tak cicho, że natychmiast wyobraziłam sobie, jak ukryta w jakimś niewidocznym miejscu, obserwuje wszystkich wchodzących i wychodzących z domu... także mnie. Czemu śledzi innych? Wyłącznie po to, aby poznać nasze sekrety, wrócić do swojej pracowni i zapisać je na płótnach? Przez chwilę znowu poczułam niepokój. Sybil zauważyła to i najwyraźniej ją to bawiło.

— Edith! — powiedziała w zadumie. — Tu widzi ją pani na portrecie z innymi dziewczętami. Wyglądają czarująco. Ale proszę spojrzeć na to płótno...

Wyciągnęła jeden z obrazów i postawiła na sztaludze, zasłaniając nim postać Edith na zbiorowym portrecie. Z trudem rozpoznałam przedstawioną tam osobę. Była to Edith w bardzo zaawansowanej ciąży, o twarzy wykrzywionej grymasem strachu. Przerażający widok.

— Nie podoba się pani?

— Tego nie powiedziałam. — Jest... nieprzyjemny.

— Wie pani, kto to jest?

Pokręciłam przecząco głową.

— Czyżby? Myślałam, że pani zawsze mówi prawdę.

— Przypomina mi Edith... ale jestem pewna, że ona nigdy tak nie wyglądała.

— Ale będzie. Już teraz jest bardzo przestraszona. Jej strach będzie narastał z każdym dniem. Będzie się bała, aż do chwili swojej śmierci.

— Mam nadzieję, że nikt nie widział tego obrazu.

— Nie. Pokażę go później... może.

— Ale ja już go widziałam.

— To dlatego, że jest pani tak samo zainteresowana tymi sprawami jak ja. Poza tym, jest pani także artystką. Pani słyszy muzykę, a inni nie. Czyż tak nie jest? Słyszy ją pani w podmuchach wiatru, szeleście liści, pluskaniu strumyka. To, czego potrzebuję, znajduję w ludzkich twarzach. Nigdy mnie nie korciło, by malować pejzaże. Interesują mnie tylko ludzie. Gdy byłam mała, szkicowałam portrety naszych guwernantek. William uważał, że to dziwne. Ale wtedy nie miałam jeszcze takiego talentu. Dopiero po Harrym... — Skrzywiła się, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. — Czasami czuję nieprzepartą ochotę, aby kogoś namalować. Na panią jeszcze nie przysłała pora, ale jestem pewna, że to nastąpi już wkrótce... Dlatego śledzę panią jak lew swoją ofiarę. Lwy zabijają swoje ofiary dopiero gdy są głodne, prawda? — Podeszła do mnie i roześmiała mi się w twarz. — Jeszcze nie poczułam na panią apetytu, ale jestem w kontakcie. — Uniosła w górę rękę, a na jej twarzy pojawił się anielski uśmiech. — Jestem w kontakcie... z... siłami. Ludzie tego nie rozumieją. — Dotknęła dłonią głowy. — Czy pani wie, co gadają na wsi? Że brak mi piątej kleпки. Wiem, że tak mówią. Służba też tak uważa. Podobnie jak William i pani Lincroft. Niech tam. W gruncie rzeczy jestem bardziej zorientowana we wszystkim niż oni, bo jestem w kontakcie... w kontakcie z siłami, o których oni nie mają pojęcia.

Poczułam, że brakuje mi powietrza. Nie chciałam, aby dłużej ścisnęła moje ramię, aby przysuwała do mnie swoją żalną twarz staruszki, przebranej za dziewczynkę... i wcale się nie dziwiłam, że ludzie uważają, iż ma hyzja.

Spojrzałam wymownie na zegarek.

— Jak już późno... zapomniałam...

Panna Stacy rzuciła okiem na swój, przymocowany do różowej bluzki.

— Sylvia przyjdzie na lekcje dopiero za pół godziny. Ma pani jeszcze dwadzieścia minut.

Byłam zaskoczona, że tak dobrze zna mój rozkład zajęć.

— A poza tym wczoraj po południu przygotowywała się pani do dzisiejszych lekcji.

Tym razem poczułam się zaniepokojona.

— Ale teraz, ponieważ nie ma wikarego... — zaczęłam.

— Wszystkie dziewczęta wykonują zadania przygotowane przez panią Lincroft. To taka inteligentna kobieta. — Znowu zaczęła się śmiać. — Nawet nie wie pani jak bardzo. Świadczy o tym chociażby to, że wychowuje swoją córeczkę. To był jeden z jej warunków. Alice jest dla niej całym światem.

— To normalne, że chce jak najlepiej dla swojego dziecka.

— Tak, bardzo normalne. I dlatego panna Alice wychowuje się w Lovat Stacy, jakby należała do naszej rodziny.

— To dobre dziecko i bardzo dobrze się uczy.

Sybil pokiwała głową, robiąc ponurą minę.

— Tak, ale aktualnie interesuje mnie Edith.

— Nie wierzę, aby kiedykolwiek wyglądała tak, jak na pani obrazie.

— Oburzona, oburzona, oburzona! — wskazała na mnie palcem, podśpiewując drwiąco i znowu udając małą dziewczynkę. Po chwili jednak jej twarz spoważniała. — Chcą nazwać to dziecko Beaumont — powiedziała. — Wydaje im się, że mogą zastąpić mojego Beau, nazywając je tak jak on. Nigdy. Nic nie wróci Beaumonta. Mój kochany chłopczyk... straciliśmy go na zawsze.

— Sir William jest zachwycony, że będzie miał potomka.

— Potomka! — znowu zaczęła chichotać. — I nazwie go Beaumont!

— To oczywiście plany trochę na wyrost. Dziecko jeszcze się nie urodziło, a już wszyscy spodziewają się, że będzie to chłopiec.

— Nikt nigdy nie zastąpi Beaumonta — powtórzyła z gniewem. — Co się stało, to się nie odstanie.

— Szkoda jednak, że nie można o tym zapomnieć — powiedziałam.

— To Napier tak myśli. A pani oczywiście przejęła jego punkt widzenia — stwierdziła drwiąco.

— Jestem tu dopiero od niedawna, a ponieważ nic mnie nie łączy z pani rodziną, trudno mi mieć własne zdanie o tym, co tu się działo.

— Ale ciągle je pani wygłasza. Tak, powinnam namalować panią bardziej dokładnie. Ale jeszcze nie teraz... Poczekam trochę. Czy mówił już pani ktoś o Harrym?

— Nie.

— Powinna pani to wiedzieć. Lubi pani dużo o nas wiedzieć, prawda? Tak, musi pani to usłyszeć.

— To mężczyzna, który miał się z panią ożenić. Kiwnęła głową i zmarszczyła czoło.

— Myślę, że mnie kochał... na pewno. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nam nie przeszkadzili. Odsunęli go ode mnie.

— Kto?

— William, mój brat. Opiekował się mną po śmierci rodziców. Powiedział: „Nie. Musicie poczekać. Nie zgadzam się na ślub, zanim nie skończysz dwudziestu jeden lat. Jesteś jeszcze za młoda”. Miałam wtedy dziewiętnaście lat. Nie byłam za młoda, by się zakochać. Gdyby pani знаła Harry’ego. Był bardzo przystojny, niezwykle inteligentny i wesoły. Zawsze rozśmieszał mnie swoimi żartami. To było wspaniałe. Pochodził z bardzo dobrej rodziny, ale był biedny i właśnie dlatego William oświadczył, że jestem za młoda. William zawsze myślał tylko o pieniądzach. Uważał, że to najważniejsza rzecz pod słońcem. Wie pani, że Napiera też ukarał, odbierając mu nadzieję na majątek. Odejdź stąd, jesteś wygnany. Nie dostaniesz moich dóbr doczesnych. Ale potem zapragnął wnuka, więc Napier został zawezwany z powrotem i potulnie wrócił. Oczywiście przynętą były... pieniądze.

— Może jednak coś jeszcze.

— Na przykład co?

— Chęć sprawienia przyjemności ojcu, poprawienia swojego wizerunku, szansa na zapomnienie o grzechach młodości.

— Jaka pani jest sentymentalna! Nikt by w to nie uwierzył, patrząc na panią... oczywiście, oprócz mnie. Wydaje się pani taka chłodna emocjonalnie. Ale ja od razu wyczułam, że w głębi serca jest pani tak sentymentalna jak Edith.

— Czy to grzech być sentymentalną?

— Nie, chyba że przeszkadza to komuś dotrzeć do prawdy. To tak, jak polanie puddingu syropem. Nic nie widać, tylko syrop.

— Miała mi pani opowiedzieć o Harrym.

— Och... Harry! Miał mnóstwo długów. Ci, którzy mają błękitną krew, nie płacą długów, prawda? Ale potrzebują pieniędzy. Ja je miałam. Być może William nie chciał dopuścić do tego,

aby nasz majątek służył komuś innemu. Myśli pani, że to właśnie nim kierowało? Ale skąd może pani wiedzieć takie rzeczy. William kazał mi czekać i powiedział, że otrzymam jego zgodę, gdy ukończę dwadzieścia jeden lat. Miałam czekać dwa lata. Zaręczyliśmy się więc i wyprawiliśmy przyjęcie, aby to uczcić. Zaproszono też Isabelle, która nie była jeszcze wtedy żoną Williama. Na podium, gdzie teraz stoi fortepian, grała orkiestra. Tańczyliśmy z Harrym, a on mnie pocieszał: „Dwa lata szybko miną, kochanie”. Rzeczywiście tak było, ale właśnie pod sam koniec straciłam Harry’ego. Spotkał dziewczynę, która była ode mnie zamożniejsza i zgodziła się natychmiast zapłacić jego niecierpiące zwłoki długi. Nie była tak ładna jak ja, ale miała więcej pieniędzy.

— A zatem może dobrze się stało.

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Jeżeli zależało mu wyłącznie na pieniądzach, kto wie, czy byłby dobrym mężem.

— Oni też mi to mówili — Sybil tupnęła gniewnie nogą. — Ale ja w to nie wierzę. Mogłam zostać jego żoną. A wtedy kochałby mnie. Harry chciał tylko żyć łatwo i przyjemnie. Byłby ze mną szczęśliwy, gdyby od razu pozwolili mu się ze mną ożenić. Mogłabym mieć dzieci... — Wyglądała, jak mała dziewczynka, która płacze za utraconą zabawką. — Ale, nie — wybuchnęła — oni mi nie pozwolili. William mi nie pozwolił. Jak on śmiał! Wie pani, co powiedział? „To łowca posagów. Będzie ci lepiej bez niego”. I wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego! Jakby Harry był złym człowiekiem, a on przyzwoitym. On! Och, mogłabym pani tyle opowiedzieć...

Patrzyłam na nią z takim współczuciem i smutkiem, że w końcu się uspokoiła i uśmiechnęła do mnie.

— Ma pani takie dobre serce i wie pani, co to znaczy, stracić ukochanego. Pani też bardzo cierpiała, mam rację? Dlatego właśnie z panią rozmawiam. Dostałam od niego pierścionek... przepiękny pierścionek z opalem. Ale podobno opale przynoszą nieszczęście. Miałam prawie dwadzieścia jeden lat, data ślubu była wyznaczona, nawet dostałam już pierwsze prezenty. I nagle... któregoś dnia przyszedł ten list. Nie miał odwagi powiedzieć mi tego osobiście, dlatego wysłał list. Już od kilku miesięcy był żonaty. Powinnam była sprzeciwić się bratu i uciec z Harrym, gdy poprosił mnie o rękę. William złamał mi serce. Nienawidziłam go. Nienawidziłam także Harry’ego, ale bardzo krótko. Pierścionek z opalem wyrzuciłam do morza... a potem namalowałam na ścianie portret Harry’ego. Jego twarz była... przerażająca... przerażająca... ale to mnie uspokoiło.

— Tak mi przykro — powiedziałam cicho.

— Widzę to — uśmiechnęła się do mnie smutno. — Ale proszę nie mówić, że o wszystkim można zapomnieć. O niektórych rzeczach nigdy. Nigdy nie zapomnę Harry’ego ani Beaumonta. Mojego najdroższego Beau... Gdy się urodził, poczułam się szczęśliwsza. Zająłam się nim, a on zawsze potrzebował cioci Sib. Pozwalałam mu malować moimi farbami, a on tak się z tego cieszył. Był ciągle ze mną, taki wesoły i taki ładny. Beau! Nazywaliśmy go tak, bo to był skrót od jego imienia. Znaczyło to jednak także coś więcej, że był piękny.

— A więc znalazła pani swoje szczęście.

— Tak, aż do dnia... kiedy go zamordowano.

— To był wypadek. Każdemu z nich mogło się to przydarzyć.

Potrząsnęła z gniewem głową.

— Ale przytrafiło się Beau... mojemu kochanemu, pięknemu Beau. — Odwróciła głowę w moją stronę. — Coś jest w tym domu... coś złego. Ja to wiem.

— Dom sam z siebie nie może być zły — stwierdziłam.

— Może, jeśli mieszkają w nim źli ludzie. A w naszym domu żyją źli, niegodziwi ludzie. Musi być pani bardzo ostrożna.

Obiecałam, że będę i ponieważ przewidywałam, iż zaraz znowu usłyszę coś nieprzyjemnego na temat Napiera i będę musiała go bronić, przeprosiłam ją i pożegnałam się.

Spojrzała na zegarek i przyzwalająco kiwnęła głową.

— Proszę mnie znowu odwiedzić — powiedziała. — Bardzo lubię z panią rozmawiać. I niech pani pamięta... któregoś dnia namaluję pani portret.

\* \* \*

Alice towarzyszyła mi na spacerze po ogrodzie. Całe rano padał deszcz i dopiero po południu zaświeciło słońce. Zapach lawendy był bardziej odurzający niż zwykle, a pracowite pszczoły uwijały się już wokół kwiatów.

Alice chciała porozmawiać ze mną o preludiach Chopina, z którymi miała pewne problemy. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że czasami najprostsze efekty wymagają wielu godzin pracowitych ćwiczeń.

— Jakże chciałabym grać tak jak pani. Gdy patrzę na panią przy fortepianie, wydaje mi się, że to takie proste.

— To wynik wielu lat pracy — wyjaśniłam jej. — Ty nie miałaś szansy, by tak długo ćwiczyć, a i tak robisz ogromne postępy.

— Czy sir William pyta panią o nasze lekcje? — zapytała.

— Tak, czasami.

— Czy interesował się moją grą?

— Pytał o wszystkie moje uczennice.

Zaczerwieniła się z radości.

— Dziś rano Edith znowu źle się czuła — zmieniła nagle temat.

— Wydaje mi się, że przyszłe matki często bywają rano niedysponowane. Z czasem będzie to lepiej znosić.

— To takie radosne wydarzenie. Wszyscy się cieszą z tego dziecka. Uważają, że gdy się urodzi, znikną wszystkie problemy.

— Kiedy znikną wszystkie problemy? — usłyszałyśmy głos Allegry za naszymi plecami.

— Rozmawiałyśmy o dziecku — wyjaśniła Alice.

— Wszyscy mówią o dziecku. Można by pomyśleć, że to pierwsze dziecko w historii świata. Są małżeństwem, więc co w tym dziwnego? Dlaczego nie mieliby mieć dziecka?... Ludzie miewają potomstwo. Przecież właśnie po to wzięli ślub... przynajmniej tak się mówi.

Allegra patrzyła na mnie wyzywająco, jakby oczekując, że ją zganię.

— Czy ćwiczyłaś już dzisiaj grę na fortepianie? — zapytałam chłodno.

— Jeszcze nie, proszę pani. Zrobię to... później. Całe rano było tak ponuro, a teraz zaświeciło na chwilę słońce i zaraz znowu zacznie padać. Proszę spojrzeć na te chmury — uśmiechnęła się do mnie figlarnie, ale po chwili jej twarz spoważniała.

— Mam już dość słuchania o tym dziecku. Mój dziadek zmienił się nie do poznania. Powiedział mi to dziś rano jeden z lokai. Dokładnie powiedział tak: „Panno Allegro, to nie narodzone jeszcze dziecko bardzo odmieniło twojego dziadka. Znowu będzie tak, jakby był z nami panicz Beau”.

— Tak, to prawda — pokiwała głową Alice. — Naprawdę będzie tak, jakby znowu był z nami pan Beau. Ciekawe, czy przestanie się pojawiać światło w kaplicy?

— Moim zdaniem można znaleźć bardzo logiczne wytłumaczenie, skąd bierze się to światło w kaplicy — powiedziałam. — Jestem tego pewna — dodałam, widząc na sobie ich zdziwiony wzrok.

Allegra wciąż stała bez ruchu, a grymas na jej twarzy wyrażał skrajną irytację.

— Co za zamieszanie! Dostaję już od tego mdłości. Dlaczego wokół tego dziecka robi się tyle szumu? Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka. Wszyscy zupełnie zapomnieli o mnie. Z mojego powodu nigdy nie robili tyle rabanu. Jestem przecież córką Napiera, a sir William jest moim dziadkiem. Chociaż prawie go nie obchodzę, a gdy już na mnie spojrzy, to widzę na jego twarzy... wstręt.

— Nie wolno ci tak myśleć — zaoponowałam.

— Ale tak jest, proszę pani. Nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Zawsze myślałam, że to dlatego, iż moim ojcem jest Napier, którego sir William nienawidzi. Ale przecież ojcem tego nie narodzonego jeszcze dziecka także jest Napier, a wszyscy tak się z tego cieszą.

Pobiegła ścieżką przed nami, zrywając jedną z róż i rwąc ją z wściekłością na kawałki.

— Allegro! — zawołała Alice. — To ulubione róże twojego dziadka.

— Wiem — krzyknęła dziewczynka. — Właśnie dlatego to robię.

— To nie jest najlepszy sposób wyrażania uczuć — pouczyłam ją.

— Ale najlepszy, jaki znam w tej chwili — uśmiechnęła się do mnie krzywo i zerwała następnym cenny kwiat, który został zniszczony w taki sam sposób.

Wiedziałam, że na nic by się nie zdały dalsze moje protesty. Przestanie, gdy nie będzie miała się przed kim popisywać. Zatrzymałam się więc i wróciłam do domu.

\* \* \*

Jakiś czas temu pani Lincroft dała mi do zrozumienia, że byłoby dobrze, gdybym towarzyszyła dziewczętom w czasie konnych przejażdżek. Zamówiłam więc sobie w Londynie strój do jazdy konnej. Pożyczanie rzeczy od Edith było uciążliwe, a poza tym nie leżały na mnie dobrze. Był to bardzo kosztowny zakup, ale odkąd mi go przysłano, jeździłam konno znacznie częściej niż przedtem.

Mój strój był ciemnoniebieski, prawie granatowy i bardzo dobrze skrojony. Jak tylko go zobaczyłam, natychmiast przestałam żałować wydanych pieniędzy. Dziewczęta zapewniały mnie, że wyglądam w nim bardzo elegancko i wciąż prawily mi komplementy.

Pani Lincroft także bardzo mnie chwaliła.

— Nie umiem w pełni wyrazić swojej radości, że jest pani tutaj. To dla nas olbrzymia pomoc, szczególnie teraz, gdy mamy dodatkowe obowiązki. Nie mogę się już doczekać, kiedy przyjedzie nowy wikary. Ale i tak będziemy musiały poczekać, aż pani Rendall uzna, że nadaje się do prowadzenia lekcji z dziewczętami.

Zapewniłam ją, że mój wkład pracy wcale nie jest taki duży, a poza tym lubię swoje obowiązki i nie czuję się nimi nadmiernie obciążona.

Prawdę powiedziawszy, nawet cieszyłam się z takiego obrotu spraw. Nie dość, że wiedziałam wreszcie, za co dostaję swoją pensję, to miałam też okazję więcej przebywać z dziewczętami i lepiej je poznać. Oczywiście, wyłączając Edith, która często bywała niedysponowana. Nie jeździła już konno i tylko od czasu do czasu prosiła mnie o lekcję gry na fortepianie. Ale wtedy bardzo się pilnowała, żeby nie mówić o swoich sprawach, jakby żałowała, że kiedyś o mało mi się nie zwierzyła.

Pewnego popołudnia wybrałyśmy się z Alice, Allegrą i Sylwią na konną przejażdżkę. Nie oddaliłyśmy się jeszcze zbyt daleko od domu, gdy zobaczyłam galopującego w naszą stronę Napiera.

— Witam, widzę, że wybieracie się na wycieczkę — zawołał do nas.

Zauważyłam, że omija wzrokiem Allegrę. Ona zresztą także starała się na niego nie patrzeć, układając usta w dobrze mi znany, ponury grymas. Dlaczego on tak jej nie lubi? Czy myśli o jej

matce, którą przecież kiedyś musiał darzyć jakimś uczuciem? Jaka ona była? I co tak naprawdę do niej czuł? Ale co to wszystko mnie obchodzi? Poza tym, że uczę Allegrę i powinnam jakoś jej pomóc. Dziewczyna, która nosi w sobie tyle urazy do innych, nie będzie miała łatwego życia.

— Tak, mamy dziś piękny dzień — powiedziałam i natychmiast pomyślałam: Co za komunały wygaduję i to w dodatku takim tonem, jakbym dokonała wielkiego odkrycia.

A wszystko dlatego, że czułam się skrępowana wiedząc, iż trzy pary oczu bacznie obserwują mnie i pana Stacy.

— Pojadę z wami — oznajmił Napier i ruszył przodem wąską ścieżką. Patrząc na jego wyprostowane jak struna plecy i dumnie podniesioną głowę, myślałam o Allegrze. Widziałam, że bardzo mocno przeżywa każde jego słowo, analizuje najmniejszą nawet zmianę intonacji jego głosu. Biedna mała! Tak bardzo potrzebowała uczucia, którego nikt nie chciał jej ofiarować. Chociaż pani Rendall była oschła i pedantyczna, pastor niewątpliwie bardzo kochał swoją córkę i dawał jej tyle ciepła i czułości, że starczało za dwoje. Alice także nie mogła narzekać na brak miłości i poświęcenia ze strony pani Lincroft. Tylko Allegra nie miała nikogo, kto by o nią dbał i dla kogo byłaby ważna. Postanowiłam, że muszę coś dla niej zrobić.

Odwrociłam się, by z nią porozmawiać i zobaczyłam, że próbuje zepchnąć z siodła Sylwię.

— Allegro — zwróciłam jej uwagę — proszę tego nie robić.

— Sylvia mnie prowokuje — broniła się dziewczyna. Wjechaliśmy na szerszą drogę i Napier nie zwracając uwagi na klótnie z tyłu, zrównał swojego konia z moim.

— Co za przyjemność widzieć, że polubiła pani konne wycieczki.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że sprawią mi tyle radości.

— Wszystko, co pani robi, udaje się pani wspaniale — powiedział, patrząc na mnie z atencją.

— Chciałabym w to wierzyć.

— Ależ pani w to wierzy. Dlatego właśnie odnosi pani sukcesy. Człowiek musi w siebie wierzyć, jeśli chce, aby inni w niego wierzyli... nawet konie. Pani koń wie, że wiezie świetnego jeźdźca.

— W pana ustach wszystko brzmi tak prosto.

— Teoria zawsze jest prosta. Praktyka wymaga więcej poświęcenia.

— Czy stosuje pan tę zasadę także w życiu?

— Aha, tu mnie pani przyłapała, oczywiście, że nie. Jak większość ludzi, jestem świetny w dawaniu rad... innym. Ale to szczerza prawda. Musi pani przyznać. Wiem, o czym pani teraz myśli. Marzyła pani, aby zostać słynną na cały świat pianistką, a jest pani tutaj i uczy cztery panienki, kompletnie nie interesujące się muzyką, mam rację?

— Moje życie doprawdy nie zasługuje na tak drobiazgowy analizy.

— Wręcz przeciwnie, stanowi doskonały materiał dla moich obserwacji.

— Doprawdy, dziwię się, że to pana aż tak interesuje.

— Jest dziś pani wyjątkowo niedomyślna.

Rozsądek podpowiadał mi, że powinnam powstrzymać konia i zaczekać na dziewczęta, ale nie zrobiłam tego.

— Doskonale pani wie — mówił dalej, patrząc na mnie wymownie — że pani przeszłość bardzo mnie interesuje.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego.

— Siebie może pani oszukiwać, ale ja nie dam się zwieść.

Przed nami rozciągał się pas wybrzeża, łagodnie schodzący do morza. Na pierwszym planie zamek zbudowany na planie róży Tudorów, dalej rząd chat rybackich, wyglądających z daleka, jakby stały na wodzie. W przystani cumowało sporo łodzi, a zapach świeżych ryb mieszał się z wonią morskich wodorostów.

— Można by pomyśleć, że te domy są zbudowane na wodzie — powiedziałam.

— W rzeczywistości to morze wdziera się w ląd. Za sto lat nie będzie po nich śladu, podobnie jak po tej wąskiej uliczce, przy której stoją. Wszystko to zaleje woda. Przychodzi mi na myśl pewna metafora. Pani i ja jesteśmy takimi domami, przeszłość jest jak morze... żyjemy w ciągłym strachu, że nas zaleje, że przeszkodzi nam spokojnie budować swoją przyszłość.

— Nie miałam pojęcia, że potrafi pan znajdować takie wyszukane analogie.

— Zdaje się, że w ogóle mało pani o mnie wie.

— Nigdy w to nie wątpiłam.

— Ale też nie okazuje pani specjalnego zainteresowania moją osobą.

— Jestem pewna, że gdyby pan chciał, bym o czymś wiedziała, powiedziała by mi o tym niezwłocznie.

— Wyrzeka się pani w ten sposób całej przyjemności odkrywania drugiej osoby. Wróćmy jednak do moich poetyckich metafor. Jestem pewien, że mocne tamy mogłyby uchronić te domy.

— Czemu więc ich nie budują? Wzruszył ramionami.

— To mogłoby zbyt wiele kosztować. Poza tym ludzie nie lubią zmian. O wiele łatwiej jest żyć po staremu, czekając na to, co się wydarzy. Wiem jednak, że któregoś dnia ci, którzy staną w tym oto miejscu, nie zobaczą już tamtych domów, pochłonie je morze. Ale tama mogłaby je ocalić. Pani i ja możemy wybudować takie tamy... oczywiście w przenośni. Musimy chronić się przed zalewającym nas morzem przeszłości.

— Jak mamy to zrobić?

— Tego właśnie powinniśmy się dowiedzieć. Powinniśmy walczyć... odtrącić od siebie te wyciągnięte ręce... zerwać łańcuchy...

— Pana metafory stają się nieco chaotyczne — powiedziałam, próbując sprowadzić rozmowę na lżejsze tory. Czulałam, że jego słowa pęcznią od aluzji.

Napier zaśmiał się głośno.

— W porządku — oświadczył. — W porządku. Powiem to wprost... naprawdę po angielsku. Myślę, że pani i ja możemy pomóc sobie nawzajem zapomnieć.

Och, pomyślałam, jak on śmie! Czy wydaje mu się, że może mnie uwieść jak matkę Allegry? Wdowa, a więc pewnie łatwy kąsek. Czyżby takie właśnie były jego zamiary? Może powinnam wyjechać. W myślach widziałam się już w swoim pokoju w Kensington, dającą ogłoszenia, że poszukuję uczniów. Nie, nie jestem przecież naiwną, młodą dziewczyną. Umieję sama o siebie zadbać.

Powinnam udowodnić, że nie uda mu się zabawić moim kosztem.

Obejrzałam się przez ramię. Dziewczęta jechały za nami, utrzymując stosowny dystans, tylko Allegra nieco je wyprzedzała.

Zwolniłam i po chwili zrównałam się z nimi. Z przyjemnością wdychałam orzeźwiające powietrze, obserwując, jak fale jednostajnie rozbijają się o kamienne wybrzeże.

— Zastanawialiśmy się, co powiedział Juliusz Cezar, gdy wysiadł ze statku na ląd — poinformowała mnie Allegra.

— Biedni nasi przodkowie — uzalała się nad nimi Alice. — Wyobraźcie sobie tylko. — Jej oczy były okrągłe z przerażenia i nawet obecność Napiera nie powstrzymała jej przed podzieleniem się z nami swoją wizją. — Widząc przyplływające łodzie, z pewnością pomalowali twarze na niebiesko, by odstraszyć swoim wyglądem przybyszy. Ale to oni zostali nastraszeni. A Rzymianie przybyli, zobaczyli i zwyciężyli.

— I wybudowali domy — dodała Allegra. — A gdyby nie oni, panna Brandon nigdy by tu nie przyjechała i nie zniknęłaby.

— Jak żywa jest pamięć o tej kobiecie — mruknął Napier, który także do nas dołączył.



— A potem wybudowali tutaj miasto, swoje wille i łaźnie — ciągnęła Alice, jak zahipnotyzowana.

— Na szczęście nie pod Lovat Stacy — wtrąciła znowu Allegra. — Gdyby tak było, na pewno chciałaby rozebrać nasz dom, aby dotrzeć do rzymskich ruin.

— Bardzo wątpię, aby ktoś jej na to pozwolił — powiedział Napier.

— Być może nie czekałaby na pozwolenie — dodała swoje trzy grosze Sylvia. — Moja mama twierdzi, że tacy ludzie nie czekają na pozwolenie. Kto wie, co usiłowała zrobić, gdy...

Napier westchnął, jakby nudziło go słuchanie takich rozmów i ruszył do przodu. Dziewczęta również przyspieszyły, a ja wraz z nimi i po pewnym czasie znowu jechaliśmy z Napierem obok siebie.

— Ciągłe pani myśli o tej zaginionej kobiecie — powiedział tonem, w którym wyczuwałam naganę. — Bardzo to panią interesuje. Proszę nie zaprzeczać.

— Tajemnice zawsze mnie intrygują.

— Lubi pani, by wszystko było do końca wyjaśnione i nie pozostawiało miejsca na żadne wątpliwości.

— Jeżeli to tylko możliwe. Ale czy często tak się zdarza?

— Oczywiście, że nie. Nic nigdy nie jest skończone. To, co wydarzyło się sto lat temu, może wciąż wpływać na nasze życie dzisiaj. Nawet jeśli wybudujemy tę tamę, będziemy słyszeć, jak wali w nią spienione morze.

— Ale nie będzie już zagrażało domom i nie zaleje ich.

— Ach, Caroline...

Obejrzałam się, by sprawdzić, co robią dziewczęta. Wciąż jechały w pewnej odległości za nami.

— Dobrze dzisiaj widać maszty.

— Widzę też inną analogię — ciągnął Napier. — Może nawet lepszą od tej z tamą.

— Proszę mi tego oszczędzić — powiedziałam, przybierając jego drwiący ton.

— Oszczędzając różgę, można zepsuć dziecko.

— Zapomina pan, że nie jestem już dzieckiem.

— W pewien sposób wszyscy jesteśmy dziećmi. Tak, to dużo lepsze niż tamy u wybrzeża. Usiłuję właśnie udowodnić, że nie jestem taki ograniczony, jak się pani wydaje. Stać mnie na wzloty wyobraźni. Pani i ja jesteśmy podobni do tych statków. Uwięzieni w grząskich piaskach przeszłości. Nigdy się nie uwolnimy, gdyż trzymają nas tam wspomnienia i opinie innych ludzi.

— To już doprawdy zbyt wyszukane.

— Czy widziała je pani w nocy? Widziała pani to migające światło latarni morskiej, która ostrzega marynarzy? Uważajcie! Tu są grząskie piaski! Nie podpływajcie za blisko...

— Panie Stacy — przerwałam mu — nie mam ochoty wysłuchiwać, co stałoby się ze mną, w jakiegokolwiek metaforze z grząskimi piaskami.

— Bo jest pani optymistką, ale te piaski pokonują każdy optymizm. Są złowrogie... na pozór złote i piękne... w rzeczywistości zaś zdradzieckie. Czy widziała je pani kiedyś z bliska? Proszę pozwolić mi się zabrać tam któregoś dnia.

Zadrzałam.

— Będzie pani absolutnie bezpieczna. Gwarantuję to.

— Dziękuję bardzo.

— Co znaczy dokładnie: „Dziękuję, nie”. Zaśmiał się głośno. — Mam jednak nadzieję, że uda mi się wpłynąć na zmianę pani decyzji... w tej lub innej sprawie. Czy łatwo pani przychodzi zmieniać zdanie? Jestem pewien, że tak. Tak wrażliwa osoba nie może trzymać się kurczowo swojego zdania na przekór wszystkim faktom.

— Mam nadzieję, że jeśli podejmę złą decyzję i dane mi będzie poznać prawdę, nie będę się upierać przy swoim.

— Wiem o tym.

— Uważam, że pojechaliśmy za daleko. Powinniśmy już wracać. — Mówiąc to, zawróciłam konia i pojechałam w stronę dziewcząt.

— Już czas ruszać w drogę powrotną — powiedziałam, a one posłuchały mnie bez sprzeciwu. Przez krótki czas jechałyśmy razem, ale wkrótce Napier znowu zajął miejsce u mojego boku. Zaczęliśmy rozmawiać o mijanej właśnie posiadłości, która także należała do rodziny Stacy.

Szybko zdałam sobie sprawę, że ten temat bardzo pasjonuje Napiera. Jakże musiał tęsknić za rodzinnym majątkiem, gdy przebywał z dala od kraju! A co musiał czuć za młodu wiedząc, że wszystko to odziedziczy Beaumont. Z pewnością zazdrościł bratu. Zazdrość, jeden z grzechów głównych, który może prowadzić do innych... być może nawet zbrodni.

— Przeprowadzamy teraz w majątku wiele napraw — powiedział Napier. — Do niedawna nie było na to pieniędzy.

Dopóki nie poślubię Edith, a co za tym idzie, nie przyłączyłem fortuny Cowanów do rodziny Stacy, pomyślałam. Biedna Edith. Może gdyby nie była dziedziczką, poślubiłaby Jeremy'ego Browna i zostałaby żoną pastora. Zapewne sprawdziłaby się w tej roli i żyłoby długo i szczęśliwie.

A teraz... jaka przyszłość czeka ją z Napierem? Jaka przyszłość czekałaby każdą inną kobietę, która byłaby jego żoną? Może jakaś by sobie z tym poradziła. Może nawet znalazłaby satysfakcję w tym odpychającym stylu życia.

— Wiele z tych domów wymaga gruntownych napraw — mówił dalej Napier. — Musimy je przeprowadzać stopniowo i w odpowiednim czasie. Mogłbym wszystko pani pokazać, gdyby wybrała się tu pani ze mną któregoś dnia.

— Jestem nauczycielką muzyki — przypomniałam mu.

— Ale to wcale nie przeszkadza w oglądaniu posiadłości. Może znajdzie pani jakiegoś prawdziwego geniusza muzycznego, zaszytego w wiejskiej chacie.

— Czy pani Stacy nie interesuje się rodzinną posiadłością?

— Nie udało mi się jeszcze odkryć, czym interesuje się moja żona — powiedział ze smutnym uśmiechem.

— Przecież... — Chciałam powiedzieć, że w końcu to jej pieniądze idą na te naprawy, ale nie chciałam się posunąć za daleko. Być może zrozumiał jednak, co miałam na myśli, bo zmarszczył brwi. Nie chcąc kontynuować tej rozmowy, zwołamłam i pomachałam ręką w kierunku dziewcząt.

— Pospieszcie się — zawołałam.

— Tak, proszę pani — odpowiedziała Alice i podjechały bliżej.

Zrobiłam miejsce Allegrze, by mogła być bliżej Napiera, ale ona uporczywie trzymała się z boku. Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, aż naszym oczom ukazało się zaniedbane gospodarstwo, z dużym ogrodem od frontu, gęsto porośniętym chwastami.

— To dom Brancotów — usłyszałam piskliwy głos Sylvii. — Ich ogród woła o pomstę do nieba. Chwasty rozpleniły się także u sąsiadów, niszcząc im warzywa i kwiaty. Wszyscy tu na nich narzekają.

— Biedny pan Brancot — westchnęła Alice. — Przecież to już staruszek, nie ma siły zajmować się ogrodem. Nie można tego od niego wymagać.

— Ale mama mówiła, że to obowiązek każdego dzierżawcy dbać o swoją ziemię.

Sylvia była odważna tylko wtedy, gdy cytowała swoją matkę.

Minęliśmy zapuszczony ogród i wkrótce dziewczęta znowu zostały w tyle. Uparcie trzymały do nas dystans, jakby sądziły, że tego właśnie od nich oczekujemy. To spostrzeżenie bardzo mnie zaniepokoiło.

Kilka dni później wydarzyło się coś, co zaniepokoiło mnie jeszcze bardziej.

Pani Lincroft i Alice wybierały się bryczką do pobliskiego sklepu.

— Jedziemy po zakupy — zawołała do mnie pani Lincroft widząc, że wychodzę z domu. — Czy pani czegoś nie potrzebuje?

Po chwili zastanowienia poprosiłam ją o szpulkę błękitnych bawełnianych nici.

— A może pojechałaby pani z nami? — zaproponowała. — Sama najlepiej dobrać pani właściwy odcień.

Postanowiłam skorzystać z okazji. Pamiętałam malutki sklepik, w którym Roma i jej przyjaciele robili zwykle zakupy; raz nawet odwiedziłam go z siostrą. Mieścił się w domu mieszkalnym, a w zasadzie była to trochę solidniejsza chata. Za witrynę służyło zwykłe okno, zapchane do granic możliwości najrozmaitszymi produktami. Roma powiedziała kiedyś, że ten sklep jest dla nich wybawieniem i dzięki niemu nie muszą biegać po każdy drobiazg do Lovat Mill. Prowadziła go tęga kobieta, okropnie gadatliwa, której ciało przypominało kształtem ósemkę.

Gdy schodziło się po schodkach do mrocznego wnętrza sklepu, w nozdrza uderzał intensywny zapach nafty, stojącej pod ścianą w wielkiej, blaszanej beczce, obok stosu wiązek drewna opałowego. Można było także kupić tu herbatniki, sery, owoce, ciastka i chleb, a także wyroby pasmanteryjne. Interes musiał się opłacać, gdyż wielu okolicznych mieszkańców zaopatrywało się tam w różne drobiazgi, unikając, podobnie jak Roma i jej przyjaciele, wyprawy do Lovat Mill.

Gdy tylko weszliśmy do środka, natychmiast przypomniało mi się, jak stałyśmy tam razem z siostrą, a ona z ożywieniem dopytywała się o klej, pędzle, sery i pieczywo.

Pani Lincroft prędko zrobiła zakupy, a potem ja poprosiłam o nici. Gruba właścicielka, do której moja towarzyszka zwracała się per pani Bury, podała mi tacę z różnymi kłębkami i zaczęła lustrować mnie wzrokiem.

— Och, a więc wróciliście?

Zeszywniałam, domyślając się natychmiast, że mnie rozpoznała.

— To jest pani Verlaine, nowa nauczycielka muzyki — przedstawiła mnie szybko pani Lincroft.

— Och... — westchnęła zdziwiona. — A to zabawne. Mogłabym przysiąc... Myślałam, że pani jest jedną z nich... Mieszkali tu jakiś czas... ciągle wpadali do mnie po drobne sprawunki.

— Pani Bury mówi o ludziach, którzy pracowali przy wykopaliskach — wyjaśniła Alice.

— Właśnie — potwierdziła sklepikarka. — Pani jest kubek w kubek podobna do tej kobiety. Doprawdy, mogłabym przysiąc... Nie przychodziła tu często... raz albo dwa... ale ja mam doskonałą pamięć do twarzy. Przez chwilę pomyślałam więc: No proszę, a jednak wrócili. To jest bardzo ładny niebieski odcień. Oczywiście, wszystko zależy...

Pakując wybrane przeze mnie nici do malutkiej, papierowej torebki, cały czas mruczała pod nosem.

— Słowo daję... Przez chwilę myślałam... Mogłabym przysiąc, że pani była jedną z nich.

Wzięła ode mnie pieniądze i wydała resztę.

— Muszę pani powiedzieć — oświadczyła — że ja osobiście nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby chcieli tu wrócić i robić coś jeszcze. Ale są tu tacy, którym by się to z pewnością nie podobało. Nie lubią, gdy się ryje po okolicy, ale ja uważam, że to dobre dla handlu. Wie pani, różni ludzie chodzą po tym świecie. Słyszała pani o tej, która zniknęła? Do dziś nie wiadomo, co się z nią stało. Może pisali coś w gazetach, ale ja nie czytałam. Pomyślcie, a może to było morderstwo...?

— Nigdy się tego nie dowiemy — stwierdziła pani Lincroft, kończąc rozmowę. — Dziękujemy bardzo i do widzenia.

— Do widzenia.

Wychodząc ze sklepu, czułam na sobie jej spojrzenie i byłam pewna, że gorączkowo usiłuje sobie przypomnieć pewne słoneczne popołudnie, kiedy przyszedliśmy z Romą do jej sklepu na zakupy.

— Musiałam jej przerwać — wyjaśniła pani Lincroft, gdy wsiadałyśmy do bryczki — bo inaczej nigdy by nie skończyła.

\* \* \*

Byłam bardzo zaniepokojona, że pani Bury mnie poznała i zastanawiałam się, jak zareagowałyby rodzina Stacy, gdyby dowiedzieli się, że jestem siostrą Romy. W najlepszym razie uznano by mnie za osobę wyjątkowo przebiegłą. A ja na swoje usprawiedliwienie miałabym tylko to, że podejrzewałam, iż zniknięcie Romy łączyło się w jakiś sposób z tym domem i jego mieszkańcami, a to wyjaśnienie z pewnością by ich nie uradowało.

Może powinnam przyznać się do wszystkiego. Jednak jedyną osobą, której mogłabym wszystko powiedzieć, był Napier.

Zapragnęłam odrobiny samotności, z dala od Lovat Stacy, by zastanowić się, jak dalej postępować. A co może być lepszego w takiej sytuacji niż przejażdżka konno po łąkach i wiejskich traktach.

Poszłam do stajni i gdy byłam już gotowa do drogi, nadjechał Napier. Zsiadł ze swojego wierzchowca i rzucił na ziemię skórzaną torbę, w której coś zabrzęczało. Spojrzałam na nią z ciekawością.

— To tylko łopata, szpadel i kilka innych ogrodniczych narzędzi.

— Pracuje pan?

— Wygląda na to, że jest pani zaskoczona. Znam się na wielu rzeczach. Gdy byłem w Australii, nie bałem się żadnej roboty.

— Domyślałam się — odparłam.

— Spojrzała pani na mnie wzrokiem, który mówił: „Nic mnie to nie obchodzi”. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Chciałbym się ludzić, że choć trochę obchodzi panią to, co robię.

— To trudniejsze, niż się panu wydaje — powiedziałam chłodno.

— Jednak spróbuję. Zależy mi na pani pochwałach, wyjawię więc, co robiłem.

— Nie ma potrzeby. Przykro mi, jeżeli wywnioskował pan, że interesuję się tym, jak spędza pan czas.

— Rzeczywiście... tak to odebrałem. To bardzo pozytywna cecha. Pani zawsze chce wiedzieć. Nie mogę tylko znieść tej pani obojętności wobec mojej osoby. Proszę jednak przygotować się na wielką niespodziankę. Byłem u państwa Bran — cot i pomagałem im w ogrodzie. No, widzę, że jest pani poruszona.

— Myślę, że to bardzo miło z pana strony. Napier skłonił się.

— Jak przyjemnie grzać się w słońcu pani przychylności.

— Mógł pan oczywiście posłać do nich ogrodnika.

— Mogłem.

— Pana dzierżawcy pomyślą sobie, że jest pan ekscentrycznym dziedzicem, który lubi pracować w ich ogrodach.

— To tylko jeden dzierżawca i jeden ogród, a poza tym wcale nie pracowałem tam jako dziedzic. — Mówiąc to wskoczył z powrotem na konia. — To rzadka okazja i nie mogę jej stracić. Jadę z panią na spacer.

— Mam zaledwie niecałą godzinę.

Zaśmiał się tylko, nie pozostało mi więc nic innego, jak ruszyć naprzód. Napier podążył za mną na zalany słońcem dziedziniec.

Po chwili jechaliśmy już piaszczystą wiejską drogą.

— Jeżeli chodzi o Brancotów... ma pani rację, mogłem posłać do nich ogrodnika, ale stary Brancot nie chciałby z nim nawet gadać. Muszę pani powiedzieć, że żyją tu różni ludzie, także złośliwi. Jednocześnie są pełni obłudy. Zalicza się do nich żona pastora. Twierdzi, że wierzy w sprawiedliwość. Nieważne, w jakiej kto się znajduje sytuacji, domaga się równego traktowania. Obawiałem się jej gadania, że jeżeli Brancotowie nie dają sobie rady z ogrodem, to powinni przeprowadzić się do domu bez ogrodu. A przecież oni spędzili tam całe życie.

— Rozumiem.

— Czy pani zdanie o mnie choć troszkę się poprawiło?

— Oczywiście.

— A jeżeli zrobiłem to nie dla tych staruszków, lecz po to, by zdobyć pani uznanie?

— Nie wątpię, że było inaczej.

— Właściwie wcale mnie pani nie zna. To znaczy, moich ukrytych zamiarów. Mogą być bardzo podstępne. Powinna pani mieć się na baczności.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Cieszę się, że jest pani tego świadoma. Dzięki temu moja osoba będzie dla pani bardziej interesująca.

Doskonale wiem, do czego ten człowiek zmierza, pomyślałam. Muszę mu wyraźnie dać do zrozumienia, że się myli. Nie zamierzam stąd uciekać tylko dlatego, że pan tego domu — no tak, nie jest nim jeszcze, dopiero po śmierci sir Williama — usiłuje zwrócić na siebie moją uwagę. Pokażę mu, że ani nie dopnie swego, ani nie zmusi mnie do wyjazdu. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że Napier może świadomie chce skłonić mnie do podjęcia takiej decyzji.

Wyjechaliśmy na łąkę i mój towarzysz ruszył galopem w stronę morza. Podążyłam za nim i gdy zatrzymał się na skraju urwiska, nie byłam daleko w tyle.

Staliśmy tak dłuższą chwilę, patrząc na morze. Po drugiej stronie zatoczki widać było zamek w Dover, szary, niezdojony, wspaniały, jak wartownik strzegący od stuleci białych klifów wybrzeża. Roma nazywała go Dubris — brama do Anglii. Obok, w miejscu zwanym Diabelską Kroplą, widać było pozostałości latarni morskiej, którą tak bardzo zachwycała się Roma. Za materiał budowlany posłużył zielony piaskowiec i rzymska cegła, połączone zaprawą, która, jak wspominała moja siostra, nie poddawała się zjawiskom atmosferycznym przez niemal dwa tysiąclecia. Na zachód od latarni zachowały się fragmenty obozu Cezara. Z miejsca, w którym staliśmy, były niewidoczne, ale zdążyłam je obejrzeć podczas wycieczek z Romą.

— Moglibyśmy porozmawiać szczerze? — zapytał nagle Napier, którego myśli najwyraźniej nie były zaprzątnięte historią.

— To zależy o czym — odpowiedziałam podejrzliwie.

— Czyżby nie uznawała pani szczerości w każdej sytuacji?

— Nie, nie w każdej.

— Pani mąż nie życzyłby sobie, by go pani tak długo opłakiwała.

— Skąd pan to może wiedzieć? — oburzyłam się.

— Jeżeli pragnąłby tego, z pewnością prędzej by pani o nim zapomniała. Nie warto byłoby nosić po nim tak długo żaloby.

Poczułam wzbierającą we mnie złość, może niesłusznie, gdyż w gruncie rzeczy Napier zmuszał mnie do potwierdzenia tego, do czego sama nie chciałam się przyznać. Oczywiście, że Pietro życzyłby sobie, bym go opłakiwała do końca życia.

Nagle przypomniało mi się coś innego. W pensjonacie, w którym zatrzymaliśmy się w Paryżu, mieszkała studentka dotknięta nieuleczalną chorobą. Dobrze pamiętam smutne twarze dziewczyny i jej narzeczonego. Siedziałyśmy kiedyś u mnie w pokoju i piłyśmy kawę, rozmawiając o miłości. Wyrecytowała mi wtedy z pamięci fragment wiersza, który podarowała swojemu ukochanemu z prośbą, by przeczytał go po jej śmierci, gdy będzie za nią tęsknił.

*Nie płacz po mnie, gdy będę już martwa  
Gdy usłyszysz ten ponury dźwięk dzwonu  
Obwieszczający światu moje odejście...*

i dalej:

*...bo kocham cię tak bardzo,  
Że nie muszę żyć w twoich słodkich myślach  
Jeżeli pamięć o mnie czyniłaby cię nieszczęśliwym*

Do oczu napłynęły mi łzy, które usiłowałam ukryć przed Napierem. Niestety, zauważył je.

— To był wyjątkowy egoista — powiedział z brutalną szczerością.

— Był artystą.

— A pani nie?

— Chyba nie całkiem. Gdybym nią była, nie zrezygnowałabym ze sztuki.

— Caro... nie, nie... to on tak panią nazywał... — Napier pochylił się w moją stronę. — Caroline, już pani trochę zapomniała... odkąd jest pani tutaj.

— Nie — sprzeciwiłam się stanowczo. — Nigdy go nie zapomnę.

— Nie mówi pani prawdy. Czasami wcale pani o nim nie myśli i te chwile zdarzają się coraz częściej.

— Nie, to nie jest tak — upierałam się.

— Tak, Caroline, tak — obstawał przy swoim. — Jest tu ktoś, kto sprawia, że nie myśli już pani tak często o przeszłości. Dlaczego nie spotkałam pani wcześniej. Zanim...

Rzuciłam mu chłodne spojrzenie i spięłam konia ostrogami.

Napier ruszył za mną.

— Chce pani uciec — powiedział z wyrzutem.

— Myli się pan — zaprzeczyłam kategorycznie. Przeraziłam się, czując, że trzęsą mi się ręce. Nie powinnam była decydować się na ten spacer we dwoje.

— Pani wie, że mam rację. Nie ma sensu upierać się, że coś jest inne niż w rzeczywistości.

— Czasami należy taki stan... zaakceptować.

— Ja tego nie uznaję. — Jego głos brzmiał bardzo wyraźnie. — Pani też nie powinna, Caroline. Ściął szpicrutą kilka liści rosnącego przy drodze krzewu.

— Musi być jakiś sposób — dodał.

W tym momencie usłyszałam za nami jakieś wołanie i rozpoznałam głos Allegry. Obejrzałam się i zobaczyłam nadjeżdżające z tyłu dziewczęta.

— Wybrałyśmy się na wycieczkę. Ujechałyśmy już spory kawałek i nagle Allegra zobaczyła panią — wyjaśniła Alice niemal przeproszającym tonem.

— Czy nie powinien wam towarzyszyć ktoś ze służby? — zapytałam.

— Mam ich w nosie — powiedziała Allegra.

Napier w ogóle się nie odezwał. Wydawało mi się, że ledwo zauważył obecność dziewcząt.

— Powinniśmy już wracać — zdecydowałam. Jechaliśmy do domu w milczeniu; Napier i ja przodem, dziewczęta za nami, trzymając irytujący dystans.

\* \* \*

— To taka piękna historia — powiedziała Alice. — Czułam się tak, jakbym znała tych wszystkich ludzi... zwłaszcza Jane.

Dziewczynki przeczytały właśnie „Jane Eyre”, lekturę zadaną im przez panią Lincroft i miały napisać wypracowanie, porównując książkę z innymi znanymi im powieściami.

— Sir William źle spał ostatniej nocy i od rana nie czuje się najlepiej. Muszę czuwać przy nim. Czy mogłaby pani przez godzinkę zastąpić mnie w klasie? — poprosiła mnie rano pani Lincroft.

Chętnie na to przystałam, a nawet ucieszyłam się, że będę miała jakieś zajęcie. Wciąż rozmyślałam o Napierze. Nie było sensu zaprzeczać, że bardzo się mną interesował. Wątpiłam tylko w powagę jego uczuć. Tak mało go znałam. Wiedziałam jednak, że gdyby był wolny, chętnie poznałabym go lepiej. W zaistniałej sytuacji, mając na względzie dobro Edith, uznałam, że powinnam dać mu szansę, aby udowodnił, czy można zapomnieć o przeszłości.

— Czy napisałyście już wypracowania? — zapytałam, wchodząc do klasy.

Przed Alice leżały trzy zapisane drobnym pismem strony, Allegra była w połowie drugiej, a Sylvia z trudem kończyła pierwszą.

— Zostawię wasze prace do sprawdzenia dla pani Lincroft — powiedziałam.

— Właśnie rozmawiałyśmy o losach bohaterów tej powieści — poinformowała mnie Alice.

— Mnie się podoba — oświadczyła Allegra.

— Najbardziej podoba jej się ten fragment o ogniu — dopowiedziała Alice, a Allegra pokiwała głową, dziwnie posepniejąc.

— Co jeszcze ci się podobało? — zapytałam ją.

— Naprawdę lubię ten kawałek o ogniu. Dobrze im tak. Nie powinien jej zamykać, nieprawdaż?

— Jane była bardzo dobra — dodała Alice. — Uciekła, gdy tylko się dowiedziała, że on jest żonaty.

— A on się tym bardzo zdenerwował — wtrąciła się Sylvia. — Ale dobrze mu tak. Nie powiedział jej przecież, że ma żonę.

— Ciekawa jestem, czy Jane wiedziała czy tylko udawała, że nic nie wie? — zastanawiała się Allegra.

— Autorka z pewnością zasugerowałaby nam, gdyby wiedziała — wyjaśniłam.

— Ale to ona jest autorką — stwierdziła Alice. — To Jane napisała tę książkę. Ona jest narratorką. Mogła udawać.

— I nie chcecie nam powiedzieć prawdy — dodała Sylvia.

— Ale jednak odeszła, gdy okazało się, że on ma chorą psychicznie żonę. — Allegra nie spuszczała ze mnie wzroku.

— Bo tak właśnie należało się zachować, prawda proszę pani? — zapytała Alice.

Teraz patrzyły już na mnie trzy pary oczu. Pytająco? Potępiająco? Ostrzegawczo?

\* \* \*

Kilka dni później jadłam właśnie obiad z panią Lincroft i Alice, gdy nagle rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka.

— Boże, co się stało? Powinni już być w połowie obiadu — zdziwiła się pani Lincroft, patrząc na zegar stojący na kominku. — Proszę sobie nie przeszkadzać. Omlety nie mogą czekać.

Zostawiła nas przy stole, a sama poszła sprawdzić, o co chodzi. Obie z Alice kończyłyśmy posiłek.

— Sir William nigdy nie wzywa mamy w czasie obiadu — powiedziała Alice. — Ciekawe, dlaczego dzwoni teraz. Czasami zastanawiam się, co on by bez niej zrobił.

— Jestem pewna, że ma do twojej mamy olbrzymie zaufanie.

— O, tak — przytaknęła. — Zginąłby bez niej. Myśli pani, że to docenia?

— Tak, jestem tego pewna.

— Mnie też się tak wydaje — przyznała i spokojnie kończyła swój omlet. — Dla mnie też jest bardzo łaskawy — dodała po chwili. — Chociaż moja mama zarządza tu całą służbą, jest jednak tylko ochmistrzynią. Niektórzy ciągle to podkreślają, na przykład pani Rendall.

— Nie przejmowałabym się tym.

— Pani nie, bo pani jest mądra i wrażliwa — westchnęła. — Moim zdaniem mama jest taką samą damą, jak pani Rendall.

— Cieszę się, że tak uważasz.

Drzwi się otworzyły i weszła pani Lincroft. Wyglądała na zdenerwowaną.

— Czy widziałyście Edith?

Obie z Alice popatrzyłyśmy na siebie pytająco.

— Nie pojawiła się na obiedzie. — Pani Lincroft spojrzała na zegar. — Spóźnia się już dwadzieścia minut. Wszyscy na nią czekają. To niepodobne do Edith. Gdzie ona może być?

— Pewnie w swoim pokoju — stwierdziła Alice. — Mam po nią pójść?

— Już sprawdzali, kochanie. Nie ma jej tam. Nikt jej nie widział od lunchu. Służąca jak zwykle zaniósła jej herbatę o czwartej po południu, ale nikogo nie było w pokoju.

— Mogę jej poszukać. — Alice podniosła się z krzesła.

— Nie, skończ najpierw obiad. Och, kochanie, zaczynam się niepokoić.

— Prawdopodobnie wybrała się na spacer i zapomniała, która godzina — uspokajałam ją.

— Możliwe — zgodziła się ze mną. — Ale to naprawdę nigdy jej się nie zdarza. Sir William jest bardzo zaniepokojony. Edith wie, że on nie toleruje spóźniania. ?

— Mamo, obiad ci wystygnie — zmartwiła się Alice.

— Wiem, wiem, ale muszę pomyśleć, co robić.

— Moim zdaniem wzięła bryczkę i wybrała się gdzieś z wizytą — starałam się znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie nieobecności Edith.

— Nie pojechałaby sama. Ona bała się koni — powiedziała Alice.

Spojrzałyśmy na nią zaskoczone. Obie zauważyłyśmy, że Alice użyła czasu przeszłego.

— Tak, to prawda, Edith boi się koni — poprawiła szybko córkę pani Lincroft. — Chciałabym wiedzieć, gdzie jej szukać.

Co za zamieszanie, pomyślałam, i to wszystko z powodu spóźnienia na obiad. Chociaż, jeżeli nigdy przedtem jej się to nie zdarzyło? Ale z drugiej strony, dlaczego nie miałyby zasiedzieć się u kogoś na plotkach?

— Edith nie jeździła w odwiedzin. Bo niby do kogo? Myślę, że poszła na spacer, usiadła pod jakimś drzewem i przysnęła. Ostatnio była dość rozkojarzona. Jestem pewna, że niebawem się znajdzie.

Niestety, Edith się nie znalazła i wkrótce wszyscy zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że zaginęła, podobnie jak Roma.



## Rozdział 7

Mijały godziny, a Edith nie wracała. W Lovat Stacy wyczuwało się rosnące napięcie i zdenerwowanie, które udzielało się wszystkim domownikom. To wspomnienie na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Najbardziej opanowany był Napier. Uważał, że Edith miała prawdopodobnie wypadek i im prędzej dowiemy się, co się stało, tym lepiej.

Skrzyknął pięciu służących i rozdzieliwszy się na trzy grupy wyruszyli w różne strony, przeszukując okolicę. My zaczęliśmy sprawdzać wszystkie zakątki domu — piwnice, spiżarnie, schowki, przybudówki i budynki gospodarcze. Ilość tych zakamarków zaskoczyła mnie. Razem z Alice i Allegra miałyśmy zajrzeć na strychy i poddasza. Już po paru minutach nasze ubrania spowite były w szare pajęczyny, które czułam także na twarzy i włosach. Na szczęście pająki, zaniepokojone wizytą nieoczekiwanych gości, umykały przed nami w najciemniejsze kąty.

Alice szła pierwsza, trzymając wysoko lichtarz, a jej twarz oświetlona blaskiem świec była poważniejsza niż zwykle. Allegra, niezwykle podekscytowana, rozglądała się dookoła szeroko otwartymi oczami.

— Myśli pani, że schowała się w jakimś kufrze? — zapytała Alice.

— Schowała się? Przed czym?

— Przed kim? — głos Allegry zadrżał ze strachu.

Otworzyłyśmy kilka kufrów. Uderzył nas silny zapach naftaliny, którym przesypane były stare ubrania, kapelusze, buty; Edith tam nie znalazłyśmy.

Rezydencję przeszukano od poddaszy do piwnic, gdzie leżakowały wina sir Williama, ułożone w kolejności wieku i wartości. W rzadko odwiedzanych zakamarkach było pełno pajęczyn, a od czasu do czasu natrafiałyśmy nawet na spłoszone karaluchy, które umykały przed ludźmi po kamiennych posadzkach. Niestety, nigdzie nie było ani śladu Edith.

Po paru godzinach wszyscy zebraliśmy się w głównym holu. Byliśmy jeszcze bardziej zaniepokojeni i milczący. Służba porzuciła swoje codzienne obowiązki, a pokojówki nie zwracały nawet uwagi na pobrudzone podczas bieganiny fartuszki. Nic podobnego nie wydarzyło się w tym domu od dnia, gdy przyniesiono z lasu lady Stacy... a przedtem, kiedy umarł piękny Beau, postrzelony przez swojego brata.

Jednak nikt nie miał jeszcze odwagi myśleć o zniknięciu Edith w kategoriach podobnej tragedii. Po prostu zniknęła — na razie nic więcej się nie stało. Na pewno poszła na spacer, uspokajała wszystkich pani Lincroft, skręciła kostkę i leży, czekając na pomoc. Napier wkrótce ją znajdzie.

Niestety, ekipy wracały jedna za drugą, ale żadna nie natrafiła na ślad Edith.

\* \* \*

Czekaliśmy całą noc. Napier ze służbą jeszcze kilka razy wyruszył na poszukiwania. Słyszałam ich nawoływania, którymi rozbrzmiewała ciemność.

Pani Lincroft parzyła kawę i częstowała nią zmęczonych mężczyzn, przed kolejnymi turami poszukiwań. Jak zwykle starała się podtrzymać wszystkich na duchu. Wierzyła, że Edith się znajdzie i usiłowała nie dopuszczać do siebie innej myśli.

— Czy dziewczęta nie powinny iść już do łóżek? — zapytałam.

Kiwnęła głową i spojrzała w ich stronę. Alice i Allegra siedziały w niszy okiennej, przytulone do siebie i spały.

— Może lepiej im nie przeszkadzać — powiedziała. Zaczęłyśmy się szeptać, co jeszcze możemy zrobić, ale niewiele przychodziło nam do głowy.

Sir William siedział w fotelu na kółkach, który pani Lincroft wyłożyła poduszkami.

— Czy nie uważa pan, że należałoby już wezwać policję? — zapytała.

— Jeszcze nie. Jeszcze nie — zaprotestował gwałtownie. — Znajdą ją. Muszą ją znaleźć.

Siedzieliśmy więc i czekaliśmy. Gdy Napier wrócił nad ranem bez Edith, nie spuszczałam oczu z jego twarzy. Niestety, niczego z niej nie wyczytałam.

\* \* \*

Edith zaginęła i nikt nie wiedział, co się z nią stało. To była wielka tajemnica Lovat Stacy i wszyscy mówili tylko o tym, snując różne domysły.

Rano jeszcze raz przeszukano dokładnie całą okolicę, ale nigdzie nie natrafiono nawet na najmniejszy ślad pani Stacy. Pokojówka Edith przejrzała jej osobiste rzeczy i stwierdziła, że poza ubraniami, które miała na sobie tamtego dnia, niczego nie brakuje.

Pod wieczór sir William zdecydował, że trzeba powiadomić policję. Posterunkowy Jack Withers, który mieszkał tuż obok komisariatu, w ciągu pół godziny przybył do Lovat Stacy. Pytał nas, o której godzinie widziano panią Stacy po raz ostatni i czy miała zwyczaj wychodzić na długie, samotne spacery. Gdy dowiedział się, że Edith oczekiwała dziecka, zrobił mądrą minę i poinformował nas, że kobietom w tym stanie często przychodzą do głowy dziwne pomysły. Według niego, to właśnie stanowiło klucz do zagadki. Uważał, że pani Stacy z pewnością sama się odnajdzie. Trzeba tylko cierpliwie poczekać.

Sir William także skłaniał się do tej hipotezy, gdyż całym sercem pragnął, żeby tak właśnie było.

Następnego dnia poczuł się jednak bardzo źle, a pani Lincroft nie opuszczała go nawet na chwilę. W końcu zdecydowała się wezwać doktora, który zbadał sir Williama i uprzedził nas, że tego typu przeżycia mogą być dla niego bardzo niebezpieczne.

— Gdyby tylko Edith się odnalazła — denerwowała się pani Lincroft — to natychmiast wróciłby do zdrowia.

\* \* \*

Nie mogłam usiedzieć w domu i postanowiłam wyjść, poszukać Edith. Nie wierzyłam, że przyczyną jej zniknięcia był jakiś chimeryczny nastrój, właściwy kobietom w ciąży. Moim zdaniem wyszła na spacer i zdarzył się jakiś wypadek.

Jak bardzo musiało to przypominać sytuację, gdy zniknęła moja siostra. I jakie to dziwne, że te dwie kobiety zaginęły w tym samym miejscu!

Nagle ogarnął mnie lęk, lęk przed czymś mrocznym i niepojętym. W mojej głowie aż huczało od najdziwniejszych przypuszczeń.

Nogi same zawiodły mnie do kaplicy w jodłowym zagajniku, gdzie Edith spotykała się ze swoim ukochanym. Stałam tam, wśród tajemniczych ruin i zastanawiałam się, czy to wikary dawał jej umówione znaki świecą? Nie. Byli tacy niewinni i dziecinni. To niesprawiedliwe, że spotkali się w takich niekorzystnych dla siebie okolicznościach. Powinni mieć prawo do szczęścia, miłości i powinni się ze sobą pobrać. Edith byłaby cudowną żoną pastora, miłą, uczynną, potrafiącą współczuć potrzebującym pociechy duchowej parafianom. Zamiast tego wiodła życie, które przynosiło jej tyle cierpienia.

— Edith! — wyszeptałam. — Romo! Gdzie jesteś?

Znowu ogarnął mnie lęk. Przypomniałam sobie twarz Napiera, tak blisko mojej i jego słowa: „Musi być jakiś sposób”.

A Roma... co z Romą? Co moja siostra ma wspólnego z Edith?

Na pewno coś łączy oba te przypadki, przekonywałam samą siebie, na pewno. Dwie osoby nie mogą tak po prostu zginąć bez śladu... w tym samym miejscu. A przecież Napier nie interesował się Romą.

Czy ja naprawdę podejrzewałam, że jest zamieszany w sprawę zniknięcia Edith? To czysty absurd. Edith miała po prostu wypadek. Na pewno ją znajdziemy.

— Edith! — mój głos był słaby i drżący. — Gdzie jesteś? Żadnej odpowiedzi... tylko echo.

Postanowiłam wracać. Zagajnik źle na mnie wpływał i do głowy przychodziły mi coraz straszliwsze myśli. Przeszłam przez trawniki i ruszyłam drogą w stronę rzymskich ruin. Chciałam zajrzeć do opuszczonej chaty, gdzie mieszkaliśmy z Romą. Może Edith umówiła się tam z Jeremym Brownem, by pożegnać się przed jego wyjazdem? Załóżmy, że tak było, a po jego wyjściu Edith spadła ze schodów i złamała sobie nogę? Kto wie, czy nie leży tam i nie czeka na pomoc? Pamiętałam, że schody były dość strome i niebezpieczne.

Wymyślałam te historie, żeby się pocieszyć. Wszystko, tylko nie Napier...

Otworzyłam drzwi chaty i weszłam do środka.

— Edith... Edith, jesteś tu?

Cisza. Nikt też nie leżał przy schodach. Szybko wbiegłam na górę, do pokoi służących kiedyś za sypialnie. Także nikogo.

Wracając do domu, mijałam sklepik pani Bury. Właścicielka stała przed drzwiami. Wymieniłyśmy pozdrowienia.

— Co za straszna historia — powiedziała. — Pani Stacy...

— Tak, to prawda.

Spojrzała na mnie w taki sposób, że poczułam się zakłopotana.

— Co, na Boga, mogło się z nią stać? Mówią, że podobno miała wypadek i pewnie gdzieś leży... — zastanawiała się.

— Mnie także ta wersja wydaje się najbardziej prawdopodobna.

— To zabawne. Przypomniała mi się ta sprawa panny... zapomniałam jak się ona nazywała. — Wskazała ruchem głowy rzymskie ruiny. — To naprawdę bardzo zabawne. Ona też wyszła z domu, nieprawdaż... i od tamtej pory nikt jej nie widział. A teraz pani Stacy. Wie pani co? Moim zdaniem, takie wydarzenia nie przyniosą nam nic dobrego. — Potrząsnęła głową. — To tylko sprowadza kłopoty.

— Tak pani myśli?

— Jeżeli chodzi o mnie, to zwiększyły mi się obroty w sklepie. Przyjechało dużo ludzi, aby zobaczyć to miejsce, ale i tak uważam, że nic dobrego z tego nie będzie.

Pokiwałam głową.

— A swoją drogą, mogłabym przysiąc, że już panią gdzieś widziałam.

— Wspominała mi pani o tym.

— I to nawet... z nią. Jest pani zresztą do niej trochę podobna. Tę kobietę trudno zapomnieć. Tryskała energią, dumna ze swoich wykopalisk. Jakby oczekiwała, że wszyscy powinniśmy paść przed nią na kolana tylko dlatego, że nas oświeciła co do tych rzymskich ruin.

Uśmiechnęłam się.

— Tak, mogłabym przysiąc — dodała.

— Wszyscy mamy swoje sobowtóry.

— Pani z pewnością, moja droga. Z pewnością. Zaczęłam się już żegnać.

— Panienska Edith to taka miła osoba. Tak mi przykro z tego powodu i mam nadzieję, że wszystko się dobrze skończy — powiedziała.

— Ja też.

Idąc drogą w stronę Lovat Stacy długo jeszcze czułam na sobie jej wzrok.

Gdy tylko przekroczyłam bramę rezydencji, podbiegła do mnie Sybil Stacy. Na głowie miała olbrzymi, słomkowy kapelusz w niebieskim kolorze, przybrany margerytkami i błękitnymi wstążkami.

— Och, jak dobrze, że panią widzę — zawołała na mój widok. — Co pani o tym myśli?

— Doprawdy, trudno mi coś powiedzieć.

— A mnie nie. Ja wiem! — klasnęła w dłonie.

— Pani wie?

Pokiwała głową, jak dziewczynka, która odkryła jakąś tajemnicę i nie może się doczekać, żeby ją komuś zdradzić.

— Myśleli, że uda się im zastąpić Beau. Jakby ktokolwiek był do tego zdolny. — Jej twarz zrobiła się czerwona z emocji. Wojowniczo przestępowała z nogi na nogę. — Oczywiście, że tak się nie stanie. Nie będzie żadnego dziecka, które mogliby nazwać Beaumont. Jest tylko jeden Beau. On nie wyobrażałby sobie tego... ja zresztą też.

— Czego by sobie pani nie wyobrażała?

Zrobiła kwaśną minę i wydeła usta jak mała dziewczynka.

— Nawet jeżeli nazwaliby go jego imieniem, dla mnie to dziecko nigdy nie byłoby Beaumontem. Nazywałabym go Nap. Nap. Nap. Nap. — Skrzywiła się jeszcze bardziej. — Wszystko się zmieniło, odkąd nie ma Beau... i nigdy nie będzie tak jak przedtem.

Nie byłam już w stanie dłużej tego słuchać i zrobiłam krok w stronę do domu, ale Sybil błyskawicznie złapała mnie za rękę. Jej drobne palce wpiły się w moją dłoń jak szpony.

— Ona nie wróci — oświadczyła. — Odeszła na zawsze.

Słyszając to, odwróciłam się raptownie.

— Skąd pani to wie? — zapytałam.

Spojrzała na mnie chytrze i uśmiechnęła się tajemniczo.

— Bo wiem — powiedziała.

— Jeśli wie pani coś, należy o tym natychmiast powiadomić policję albo sir Williama...

— Nie uwierzą mi — oświadczyła, kręcąc głową.

— Czy to znaczy, że wie pani, gdzie jest Edith?

Znowu pokiwała głową z uśmiechem.

— Gdzie? Proszę mi powiedzieć... Gdzie?

— Tu jej nie ma. I nigdy tu nie wróci. Odeszła na zawsze.

— Co pani o tym wie?

— Wiem, że tu jej nie ma. I wiem, że nigdy nie wróci. Wiem to, ponieważ... wiem takie rzeczy. Czuję to. Edith odeszła i nigdy już jej nie zobaczymy.

Moja cierpliwość się wyczerpała, chociaż przez chwilę naprawdę wierzyłam, że ma informacje o Edith.

Wymamrotałam jakieś przeprosiny i weszłam do domu.

\* \* \*

Jeszcze tego samego dnia po południu dowiedzieliśmy się o czymś, co zdawało się w zaskakujący sposób wyjaśniać zniknięcie Edith. Do Lovat Stacy przybyła pani Rendall, prowadząc

ze sobą Sylwię. Dziewczynka była bliska płaczu, przerażona i najwyraźniej przyszła do nas wbrew własnej woli, zmuszona przez matkę — tyrana.

Stałam w holu z panią Lincroft i jak wszyscy w domu rozmawialiśmy o Edith, zastanawiając się, co jeszcze można zrobić, aby wyjaśnić tajemnicę jej zniknięcia. Minęły już dwa dni. Posterunkowy Jack Withers zadał wszystkim z Lovat Stacy setki pytań, a ponieważ mimo to nie doszedł do żadnego wniosku, postanowił przekazać sprawę władzom zwierzchnim. Sir William był jednak temu przeciwny.

Pani Lincroft usiłowała wyjaśnić mi jego stanowisko.

— Nie zniósłby zamieszania i wścibstwa ludzi, jakie z pewnością towarzyszyłyby temu. Zaraz by sobie przypomniano historię z Beau i mówiono by, że nad tym domem ciąży jakaś klątwa. Sir William wierzy, że wcześniej czy później Edith do nas wróci i chce dać jej szansę, aby wszystko wróciło do normy bez niepotrzebnego rozgłosu. Im mniej wokół tego wrzawy, tym prędzej ludzie zapomną... oczywiście, pod warunkiem że ona wróci.

Pani Lincroft przerwała, gdyż do holu wpadła pani Rendall, popychając przed sobą Sylwię.

— Dowiedziałam się o czymś przerażającym i niepokojącym. Natychmiast tu przybiegłam, gdyż nie mam wątpliwości, że powinniście się o tym jak najszybciej dowiedzieć. Proszę zaprowadzić mnie do sir Williama.

— Sir William jest tak bardzo poruszony tym, co się zdarzyło, że byłam zmuszona wezwać do niego lekarza — przypomniała jej pani Lincroft. — Teraz śpi, a według zaleceń doktora Smithersa, w trakcie odpoczynku nie wolno mu przeszkadzać.

Pani Rendall zmarszczyła brwi i spojrzała nieprzyjaźnie na panią Lincroft, która zniosła to ze spokojem.

— A zatem poczekam — oświadczyła żona pastora. — To, z czym przychodzę, jest niezwykle ważne. Chodzi o panią Edith Stacy.

— Zatem proszę powiedzieć to nam albo posterunkowemu Withersowi.

— Chcę o tym porozmawiać osobiście z sir Williamem.

— To chory człowiek. Jeżeli zechce pani powiedzieć to mnie...

— Sprawa jest bardzo poważna... — zaczęłam, ale pani Rendall zmroziła mnie swoim spojrzeniem. Wyrażało ono jasno, że nie pozwoli, aby ochmistrzyni i nauczycielka muzyki dyktowały jej, co ma robić. Kusiło ją jednak, żeby podzielić się z kimś swoimi rewelacjami.

— No dobrze — zgodziła się wreszcie. — Sylvia opowiedziała mi dzisiaj szokującą historię. Muszę powiedzieć, że nigdy w życiu bym w to nie uwierzyła, w każdym razie nie w to, że ona jest w to zamieszana. Ale on... chociaż po tym, jak opuścił plebanię w momencie, gdy był nam bardzo potrzebny, nie licząc się z tym, co dla niego zrobiliśmy, nie byłam aż tak bardzo zaskoczona. Ale kto by pomyślał, że gotów jest na taką podłość... taki występek... i to niemal na naszych oczach.

— Ma pani na myśli wikarego Browna? Co on takiego zrobił? — zapytała pani Lincroft.

Pani Rendall spojrzała na swoją córkę i silnie potrząsnęła ją za ramię.

— Ty powiedz, powiedz im to, co mnie powiedziałaś.

Sylvia z trudem przełknęła ślinę.

— Oni spotykali się i ona pragnęła wyjść za niego za mąż.

Przerwała i rzuciła matce błagalne spojrzenie.

— Dalej, dziecko, dalej.

— Spotykali się nocami... i ona przerażała się, gdy...

Znowu przerwała i utkwiała wzrok w podłozie.

— Przez te wszystkie lata, odkąd jestem żoną pastora, a mieszkaliśmy w różnych parafiach, po raz pierwszy spotkałam się z taką rozwiązłą nikczemnością. I że też akurat musiał to być nasz wikary! I pomyśleć tylko, że coś przeczuwałam, bo nigdy go nie lubiłam. Powiedziałam kiedyś

pastorowi, który może to potwierdzić: „Nie ufam mu”. A potem oświadczył, że „będzie uczył pogan”. I cały czas spotykał się z zamezną kobietą! Aż się dziwię, że niebo nie zesłało na niego gromu, że nie padł rażony apopleksją!

Słuchając tych słów pani Lincroft zbladła jak ściana.

— Czy chce pani powiedzieć, że Edith i pan Brown uciekli razem... po kryjomu?

— To właśnie chcę powiedzieć! A Sylvia o wszystkim wiedziała... — jej oczy zwięzły się, jak szparki. Spojrzała na nią o skarży cielsko, a ja nigdy nie widziałam tak przerażonej dziewczynki jak Sylvia. — Sylvia o tym wiedziała i nic nie powiedziała... nic...

— Nie byłam pewna, czy powinnam — zapłakała dziewczynka, zagryzając wargi do krwi.

— Przestań! — krzyknęła na nią matka. — Twoim obowiązkiem było natychmiast przyjść z tym wszystkim do mnie.

— Ja, ja myślałam, że mi nikt nie uwierzy. — Sylvia rzucała nam rozpaczliwe spojrzenia, szukając ratunku.

— Myślę, że zrobiłaś to, co wydawało ci się słuszne. Nie chciałaś uchodzić za osobę, która opowiada zmyślane historie, ale teraz postanowiłaś o wszystkim nam opowiedzieć. Postąpiłaś słusznie.

Pani Rendall spojrzała na mnie zdumiona: nauczycielka muzyki ma czelność mówić jej córce, co jest słuszne, a co nie! Ja zaś czułam, że Sylvia potrzebuje mojego wsparcia i za wszelką cenę chciałam jej pomóc. Taka matka może złamać jej charakter raz na zawsze. Biedna Sylvia! Miała równie poważne problemy jak Allegra.

— Pani jeszcze nic nie wie. Mów dalej, Sylvio! — rozkazała.

— Ona spodziewała się dziecka... i... bała się, że...

— No, dalej, Sylvio, bała się, że co?

— Bała się — powtórzyła Sylvia, spuszczać oczy — ponieważ... To było dziecko pana Browna, a nikt o tym nie wiedział.

— Powiedziała ci to? — niedowierzała pani Lincroft. — Tobie! Dlaczego właśnie tobie?

— To było na dzień przed jej wyjazdem. Alice pisała wypracowanie, a Allegra miała lekcję muzyki. Byłyśmy same i nagle Edith rozplakała się i wszystko mi opowiedziała, Przysięgała, że dłużej tu nie zostanie. Miała zamiar uciec z...

— Z tym przybędą — zawołała pani Rendall.

— A więc — wypytywała dalej pani Lincroft — wyszła tak po prostu z domu, nie zabierając niczego ze sobą. Dokąd pojechała? Jak dostała się na stację?

Sylvia przełknęła ślinę i spojrzała w okno.

— Powiedziała, że czeka na nią. Mieli wyjechać natychmiast, nie chciała, by ktokolwiek jej szukał, bo nie zamierzała tu wracać. Prosiła, bym nikomu nie mówiła. Musiałam przysięgać, że przez dwa dni będę milczała. Przysięgam na Biblię i musiałam dotrzymać przysięgi. Ale teraz muszę o tym powiedzieć.

Ostatnie słowa wypowiedziała jak maszyna, bez cienia emocji, jakby nauczyła się ich na pamięć. Zresztą zapewne tak było. Jeżeli mówiła prawdę, co za stesy musiała przeżywać podczas rozmów z policją, która wypytywała wszystkich o ostatnie kontakty z Edith.

Ja, ponieważ słyszałam strzępki rozmowy kochanków w ruinach kaplicy i widziałam, jak nieudolnie usiłują ukryć wzajemną fascynację, uwierzyłam w jej opowieść.

Pani Lincroft sprawiała wrażenie osoby, która również dała wiarę słowom Sylvii.

— Pójdę sprawdzić czy sir William już się obudził — powiedziała do pani Rendall. — Jeżeli tak, uważam, że powinien się natychmiast zobaczyć z panią i Sylwią.

\* \* \*

Sprawa była szokująca i zapowiadał się wielki skandal, ale w tej okolicy już wcześniej zdarzały się sensacyjne historie.

Wydawało się jednak, że to wytłumaczenie wszystkim najbardziej odpowiada. Młode, zamężne kobiety nie wychodzą z domów i nie znikają nagle bez żadnego śladu. Muszą gdzieś przebywać. A Edith zwierzyła się córce pastora, że planuje potajemnie uciec ze swoim ukochanym.

Niemniej jednak trudno było w to uwierzyć. Młoda pani Stacy i wikary! Ich wikary! Ale z drugiej strony, nie takie rzeczy się zdarzają.

— Najgorsi są tacy spokojni — powiedziała mi pani Bury. Miała zwyczaj cudownego pojawiania się w drzwiach sklepu zawsze, gdy tamtędy przechodziłam. I niemal przy każdej okazji kręciła z niedowierzaniem głową, mówiąc, że jestem lustrzanym odbiciem tej kobiety, która była tu na wykopaliskach. A ona ma znakomitą pamięć do twarzy.

— I w dodatku była żoną takiego człowieka — narzekała dalej. — Naprawdę jej współczuję. Pani Edith to taka słodka osóbka. W ogóle nie zadzierała nosa, nie to, co panienka Allegra. Ta aż się doprasza, aby ktoś jej spuścił porządne lanie. Panienka Alice i pani Edith to zupełnie co innego — zawsze bardzo grzeczne, dobrze wychowane. Współczułam jej, że musiała wstąpić w taki związek. To było dla pieniędzy. Ale przecież pieniądze to nie wszystko, prawda? Gdyby nie była spadkobierczynią takiej fortuny, nie wydaliby jej za pana Napiera... i wolno by jej było zakochać się i poślubić pana Browna.

Taka była opinia ludzi z okolicy. Wszyscy współczuli biednej, małej Edith, a pana Browna uważali za miłego, młodego człowieka, z którym mieli bardzo dobry kontakt, bo nigdy nie wtrącał się nieproszony w ich sprawy i nie dawał im na siłę żadnych rad jak żona pastora.

Sir William bardzo przeżył ostatnie rewelacje. Nie widziałam go już od dłuższego czasu, gdyż nie prosił mnie, abym dla niego grała.

— Bardzo źle to znosi — poinformowała mnie pani Lincroft. — Świadomość, że będzie miał wnuka, bardzo mu pomogła, znowu zaczął się interesować światem. A teraz, gdy Edith odeszła, pewnie już nigdy nie zobaczy jej syna. Bardzo się zmienił. Powiedział, że nie chce jej widzieć w swoim domu. Nie chce jej szukać i nie pozwala więcej o niej rozmawiać. Pragnie o wszystkim zapomnieć. Chce, aby było tak, jakby Edith nigdy tu nie było. Nie wolno wspominać jej imienia i mamy zażądać, aby wstrzymano poszukiwania.

— Ale — zaprotestowałam — to przecież niemożliwe, aby wszyscy zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Mieszka tu Napier, który wrócił do Anglii, aby poślubić Edith.

— Takie jest życzenie sir Williama — powtórzyła pani Lincroft, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

\* \* \*

Rewelacje Sylvii zostały przyjęte jako coś absolutnie oczywistego. Edith zrobiła to, co przed nią zrobiło wiele innych kobiet, które poślubiły niewłaściwych mężczyzn: uciekła ze swoim kochankiem.

Nikt nie wiedział, jakim statkiem popłynął do Afryki Jeremy Brown.

— Nigdy go o to nie pytałam — oświadczyła pani Rendall. — Nie chciałam nic wiedzieć na temat tego niedorzecznego pomysłu. Wydaje mi się, że on musi opuścić Kościół, bo, na Boga, do czego dojdziemy, jeżeli pozwolimy takim ludziom nauczać, jak należy żyć?

Napier pojechał do Londynu i spędził tam tydzień, usiłując dowiedzieć się czegoś o Jeremym Brownie. Wrócił do domu z wiadomością, że jacyś państwo Brown wypłynęli do Afryki na statku S.S. Cloverine, ale nikt nie wiedział, czy byli to Jeremy i Edith. Aby zdobyć więcej informacji, należało poczekać, aż statek przybije do portu. Dopiero wtedy przez Towarzystwo Misyjne można by sprawdzić, czy Jeremy dotarł do swojej misji i czy była z nim Edith.

Unikałam spotkań z Napierem i poczułam nawet pewną ulgę, gdy się zorientowałam, że on też nie próbuje się ze mną kontaktować. Zastanawiałam się nawet, czy nie byłoby dla mnie najlepiej, gdybym podczas jego nieobecności wyjechała po cichu z Lovat Stacy i zniknęła bez śladu, jak Roma i Edith.

Ale zaraz potem przypominałam sobie, że przecież przyjechałam tu z pewną misją. Miałam rozwiązać zagadkę zaginięcia siostry, a to, co wydarzyło się z Edith, utwierdzało mnie tylko w przekonaniu, że kryje się za tym jakaś tajemnica. Oczywiście, jeżeli Edith rzeczywiście uciekła ze swoim kochankiem, jej zniknięcie nie miało żadnego związku ze sprawą Romy. Ta wersja jednak wymagała jeszcze potwierdzenia. W każdym razie niepokoiła mnie okoliczność, że w tym samym miejscu zaginęły już dwie młode kobiety.

\* \* \*

Wkrótce Allegra i Alice zwierzyły się pani Lincroft, ujawniając fakty, które zdawały się potwierdzać wersję o romantycznej ucieczce zakochanych.

Allegra przyznała, że widywała Edith i pana Browna, spotykających się potajemnie. Nie mówiła o tym nikomu, gdyż podobnie jak Sylvia, bała się, że zostanie wyśmiana. Alice zaś powiedziała, że raz zaniosiła liścik od Edith do wikarego.

Tak więc Edith zniknęła z naszego życia. Ludzie wierzyli, że uciekła ze swoim ukochanym mężczyzną. Mnie jednak dalej dręczyły pewne wątpliwości i coraz częściej myślałam o Romie.



## Rozdział 8

Mijały tygodnie, a ja wciąż unikałam Napiera. Nie wiedziałam, co sądzi o zniknięciu żony, ale z niejakim zdumieniem zauważyłam, że pozostali domownicy bez zastrzeżeń przyjęli wersję podaną przez Sylwię. Pani Lincroft z wielkim oddaniem opiekowała się sir Williamem i być może to właśnie ona przekonywała wszystkich, że przyczyny zniknięcia Edith są całkowicie jasne. Robiła to oczywiście w dobrej wierze uważając, że im szybciej zapomni się o tej historii, tym mniej odbije się to na zdrowiu sir Williama. Tylko dziewczęta dyskutowały jeszcze o zniknięciu koleżanki. Wchodząc do klasy, często słyszałam, że wymieniały jej imię, ale na mój widok milkły spłoszone i zaczynały rozmawiać o czymś innym.

Okoliczni mieszkańcy także nie przestawali komentować sprawy Edith, dzieląc całkowicie opinię, że pani Stacy uciekła ze swoim kochankiem. W miarę upływu czasu wokół tego zdarzenia narosło wiele plotek, które dodawały mu dramatyzmu.

Sama słyszałam, jak pani Bury szeptała swoim klientom:

— Mówią, że zostawiła list, w którym napisała, iż nie może dłużej żyć z Napierem. Biedactwo!

To nieprawdopodobne, że takie wymysły, w których nie było słowa prawdy, mogły w ogóle powstać.

— Ten dom jest przeklęty — przekonywała pani Bury innych klientów. — Wiecie, według prawa należał się paniczowi Beau. A pan Napier przyjechał i zajął jego miejsce. Tak, tak, wiem, że uciekła z wikarym. To właśnie nazywa się przeznaczenie... mówię wam, że to jest częścią klątwy.

Gdy tylko w sklepie pojawiał się ktoś z Lovat Stacy, natychmiast szły w ruch języki. Za każdym razem, gdy widziałam tam którąś z moich uczennic, wiedziałam, że pani Bury opowiada im o przekleństwie, jakie dotknęło ten dom.

Ja sama dużo myślałam w tym czasie o Napierze, zwłaszcza o naszej ostatniej rozmowie, w której wyznał, że nie jestem mu obojętna. Zastanawiałam się, czy był ze mną szczery, czy też chciał się do mnie po prostu zbliżyć. Byłam wdową, kobietą doświadczoną, on zaś nie był człowiekiem wolnym i nie mógł mi złożyć żadnych propozycji godnych dżentelmena. Nie miałam wątpliwości, że pewne deklaracje zostały przez niego poczynione i gdybym była rozsądna, powinnam natychmiast przestać o nim myśleć. Wiedziałam jednak, że miał rację. Ja także, podobnie jak on, usiłowałam wydobyć się z grząskiego bagna przygnębienia... Gdybym tylko mogła mu zaufać... Przecież to właśnie dzięki niemu zaczęłam na nowo interesować się życiem i nie myślałam już tak wiele o Pietrze. Czułam się tak, jakbym w długim, czarnym tunelu, przez który brnęłam od wielu miesięcy, zobaczyła nagle wątle światelko. Obawiałam się tylko tego, co mogłabym znaleźć w tym świetle.

Przyrzekłam sobie, że już nigdy nie zaangażuję się uczuciowo. Nawet gdy próbowałam sobie wyobrazić nowe życie, jako żona i matka, postać męża zawsze pozostawała niewyraźną, enigmatyczną figurą. Oczywiście, chciałabym być z niego dumna, ale nigdy, przenigdy cnie dopuściłabym do tego, aby ranił mnie tak jak Pietro. Tak, miałam wreszcie odwagę przyznać się, że mnie ranił, zaniedbywał, brakowało mi czułości, a przede wszystkim nakłonił mnie do zrezygnowania z kariery pianistycznej. To, że nie bałam się tak myśleć, było dla mnie czymś nowym i niewątpliwie pomogły mi w tym rozmowy z Napierem. Ale dzieci... bardzo tęskniłam za dziećmi. To właśnie one były dla mnie gwarancją szczęśliwej przyszłości. Tak, ja widziałam szansę, aby uwolnić się od upiorów przeszłości, ale Napier był przykuty do swojej tak mocno, jak wtedy, gdy Edith była jeszcze w domu.

Pamięć o niej była silniejsza niż jej fizyczna obecność. Ubrania Edith wciąż wisiały w garderobie, a jej pokój wyglądał tak jak w chwili, gdy go opuściła. W Lovat Stacy był pokój Beau i pokój Edith; z pewnością jednak pani Stacy nie doczeka się swojej kaplicy. Byłam pewna, że gdy tylko sir William poczuje się lepiej, pani Lincroft zajmie się opuszczonym apartamentem.

A tymczasem na plebanię przyjechał nowy wikary i natychmiast stał się obiektem zainteresowania lokalnej społeczności. Sprawa ucieczki Edith z ukochanym wciąż była jednym z głównych tematów rozmów, ale nie wzbudzała już tak wielkich emocji. Teraz uwagę wszystkich skupił na sobie Godfrey Wilmot.

\* \* \*

Do Lovat Stacy przybyła pani Rendall, aby porozmawiać z panią Lincroft i ze mną o nowym wikarym. Bez wątpienia była nim zachwycona.

— Co za niezwykle szczęście! Jakaż jestem szczęśliwa, że pozbyliśmy się tego... tego... a zresztą, nieważne. Pan Wilmot jest już z nami. To niezwykle czarujący mężczyzna, a pastor jest z niego bardzo zadowolony.

Biedny pastor, pomyślałam. Z pewnością nie śmiał powiedzieć nic innego.

— Och, tak — rozpływała się w zachwytach pani Rendall. — Jestem pewna, że zgodzą się panie ze mną, gdy przedstawię wam tego uroczonego człowieka. — Spojrzała na nas porozumiewawczo i wyszeptła: — Ma trzydzieści lat. Pochodzi z doskonałej rodziny. Jego wujem jest sir Laurence, sędzia. To pewne, że czeka go w przyszłości dostatnie życie. Jedynym powodem, dla którego jeszcze nie zrobił kariery, jest to, że późno podjął decyzję o poświęceniu się Kościołowi. Boję się, że nie zagrzeje u nas długo miejsca. — Uśmiechnęła się chytrze. — Zrobię więc wszystko, aby czuł się tu szczęśliwy, żeby nie przyszło mu nawet do głowy, że może stąd wyjechać. Koniecznie muszą panie przyjść na plebanię, aby go poznać. A przy okazji, pan Wilmot jest gotów uczyć nasze dziewczęta.

Pani Lincroft powiedziała, że z przyjemnością pozna nowego wikarego, który tak bardzo przypadł do gustu pani Rendall.

— Wierzę — dodała na pożegnanie żona pastora — że wyjazd pana Browna okaże się szczęściem w nieszczęściu.

Dziewczęta wróciły z plebanii bardzo podniecone spotkaniem z panem Wilmotem.

— Jaki przystojny — westchnęła Allegra. — Nigdy nie zechce ożenić się z Sylvią.

Sylvia oblała się rumieńcem. Wyglądała na wściekłą.

— Być może Sylvia wcale nie chciałaby zostać jego żoną — pośpieszyłam jej z pomocą.

— Nie będzie miała wyboru — odparła Allegra. — On zresztą też, jeżeli tu zostanie. Pani Rendall już wszystko zaplanowała.

— To nonsens — stwierdziłam.

Alice i Allegra spojrzały na siebie znacząco.

— Mój Boże — zawołałam. — Ten biedak dopiero co przyjechał!

— Pani Rendall uważa, że to doskonała partia — wymamrotała pod nosem Allegra.

— Pojawienie się nowej osoby najwyraźniej zaprzęta wszystkich.

Rzeczywiście, ludzie w okolicy bez przerwy rozmawiali o nowym wikarym. „Jest zupełnie inny niż pan Brown”. „Słyszałam, że jego ojciec jest lordem, czy coś takiego”. „Jest bardzo przystojny... i dobrze wychowany”.

Tego typu komentarze docierały do mnie, zanim go jeszcze poznałam. Tym bardziej nie mogłam się doczekać, aby na własne oczy zobaczyć ten wzór doskonałości. Jego przybycie wyraźnie przyczyniło się do spadku zainteresowania zniknięciem Edith. Chociaż oczywiście nie

zapomniano o tej sprawie. Któregoś dnia spotkałam na wsi posterunkowego i zapytałam go, jak posuwa się śledztwo.

— Nie jest jeszcze zamknięte, proszę pani — oświadczył. — Dopóki nie zostanie udowodnione, że pani Stacy rzeczywiście uciekła z tym młodym człowiekiem, będziemy mieć oczy otwarte.

Byłam ciekawa, czy policja robi coś, aby sprawdzić też inne hipotezy dotyczące zniknięcia Edith, ale na to pytanie zdziwiony Jack Withers nie umiał mi odpowiedzieć.

\* \* \*

— Proszę do środka — powitała nas pani Rendall. — Pan Wilmot jest w gabinecie pastora.

Zaprowadziła nas do salonu, gdzie czekała na nas Sylvia.

— Zechce pani usiąść, wy też dziewczynki. Sylvia, nie stój przy oknie, jakbyś kij połknęła. — Obrzuciła córkę baczny, matczynym spojrzeniem. — Jak ty nieporządnie wyglądasz! I czemu związałaś włosy taką wymiętoszoną wstążką. Idź i zmień ją natychmiast.

Zauważyłam, że Allegra i Alice spojrzały na siebie porozumiewawczo i po raz kolejny zdziwiłam się, że mimo młodego wieku są takie spostrzegawcze i... krytyczne.

— Nie garb się — rzuciła pastorowa za wychodzącą Sylvią, która słysząc to, spiekła raka. — Plecy prosto, ręce do tyłu!

Czekając na Sylvię, rozmawiałyśmy o zdrowiu sir Williama i pogodzie. Po kilku minutach dziewczynka wróciła z nową, błękitną wstążką we włosach.

— Hmm! — pani Rendall zaaprobowała wygląd córki. — Idź teraz do gabinetu i powiedz pastorowi oraz panu Wilmotowi, że przyszła pani Verlaine.

Wydawało mi się, że pastorowa przyglądała się córce w jakiś szczególny sposób, ale być może dałam się ponieść sugestiom dziewczynek. Po chwili do salonu wkroczył pastor, któremu towarzyszył wikary, istotnie bardzo przystojny młody człowiek. Dość wysoki, o miłej, uśmiechniętej twarzy, w której lśniły białe, zdrowe zęby, odznaczał się swobodnym zachowaniem i nienagannymi manierami. Był zupełnie inny niż jego nieśmiały i małowówny poprzednik.

— Och, pan Wilmot! — zawołała pani Rendall zaskakująco słodkim głosem. — Chciałabym, aby poznał pan panią Verlaine, która uczy dziewczynki muzyki. Zapewne zechcecie państwo ustalić godziny lekcji.

— Pani Verlaine? — podszedł bliżej. — To słynne nazwisko.

Ujął moją dłoń i spojrzał prosto w oczy.

— Zapewne słyszał pan o moim mężu — pospieszyłam z wyjaśnieniem.

— Ach, Pietro Verlaine... co za wspaniały artysta! — Jego warz nagle posmutniała. Pewnie przypomniał sobie, że jestem wdową, pomyślałam. — Poznałem pani siostrę — powie — „ział niespodziewanie. — Było to tutaj...

Nie byłam w stanie zapanować nad swoją twarzą. A więc wydało się! To musiało się stać wcześniej czy później. Pietro był zbyt znany, a przez to także i Roma. Ktoś musiał nas w końcu skojarzyć.

Wikary zauważył moje zmieszanie.

— Przepraszam, być może się mylę...

— Moja siostra... nie żyje — powiedziałałam zdławionym głosem.

— Jakie to smutne — powiedziała pani Rendall, zwracając się do wikarego. — Ojciec pani Verlaine był profesorem. Jej jedyna siostra zmarła... nie tak dawno temu.

Pan Wilmot natychmiast pospieszył z dżentelmeńskimi przeprosinami.

— Rozumiem. Proszę mi wybaczyć, że przypomniałem pani o tak bolesnej sprawie.

Nic nie powiedziałam, ale spojrzałam na niego wzrokiem pełnym wdzięczności.

— Pan Wilmot bardzo się interesuje naszą maleńką wioską — oznajmiła figlarnie pani Rendall.  
— O, tak — potwierdził nowy wikary. — Uważam, że rzymskie ruiny są naprawdę niezwykle fascynujące.  
— Domyślałam się, że były jednym z powodów, dla których zdecydował się pan tu przyjechać.  
— To tylko dodatkowa atrakcja tej okolicy — uśmiechnął się szarmancko. — Moje hobby to archeologia — dodał, zwracając się do mnie.  
— To naprawdę bardzo interesujące — powiedziałam, z trudem przetykając ślinę.  
— Kiedyś chciałem się nawet zajmować tym zawodowo. Ale potem... trochę późno, przyznaję... postanowiłem poświęcić się Kościołowi.  
— Dla nas to prawdziwe szczęście — ożywiła się pani Rendall. — Byłabym wdzięczna, gdyby udało się panu zaszcześcić w naszej Sylvii zainteresowanie do rzymskich wykopalisk.  
— Spróbuję — pokiwał z uśmiechem głową.  
— Aha... to bardzo ciekawe — odezwał się pastor. Wyraźnie się ucieszył, że jego żona pod wpływem wikarego także wykazała zainteresowanie rzymskimi ruinami.  
— Myślę, że nasze lekcje nie będą się nakładać — powiedziałam, kierując rozmowę na temat, który mieliśmy omówić.  
— Też tak sędzę — zgodził się pan Wilmot.  
Widziałam, że jest bardzo ciekaw, dlaczego tak mi zależało, aby nie zdradził mojego pokrewieństwa z Romą.

\* \* \*

Wychodziłam właśnie z plebanii po skończonej lekcji z Sylwią i zamierzałam przejść przez ogród, gdy usłyszałam, że ktoś mnie woła. Był to pan Wilmot, który biegł za mną, uśmiechając się przepraszająco.  
— Muszę z panią porozmawiać — powiedział, gdy zaczęłam na niego przy klombie. — Mam trochę czasu, bo zadałem dziewczynkom pracę do napisania.  
— O mojej siostrze?  
— Tak. Spotkaliśmy się raz czy dwa. Wspominała o pani. Martwiła się wtedy pani małżeństwem. Uważała, że to zrujnuje pani karierę.  
— Chciałabym panu podziękować za dyskrecję.  
— Rozumiem, że nikt tu nie wie o waszym pokrewieństwie — powiedział, patrząc na mnie pytająco.  
— Tak. Postaram się to wyjaśnić. Wie pan zapewne, że Roma... zaginęła.  
— Tak. Między innymi także z tej przyczyny zdecydowałem się tu przyjechać, gdy nadarzyła się taka sposobność. Intrygowało mnie to i oczywiście wykopaliska. A pani?  
— Przyjechałam tu, aby uczyć muzyki i dowiedzieć się czegoś o zniknięciu mojej siostry.  
— I postanowiła pani działać incognito?  
— Być może to nierozsądne z mojej strony, ale pomyślałam, że gdy ludzie tu dowiedzą się, kim jestem, nie zechcą ze mną rozmawiać. Roma i jej zespół pracowali w Lovat Mill mimo niechęci okolicznych mieszkańców. A po jej zaginięciu zrobiło się wokół całej sprawy dużo szumu. Chciałam na własną rękę dowiedzieć się, co stało się z moją siostrą... i dlatego tu jestem.  
— Jak to dobrze, że w porę mnie pani powstrzymała — westchnął z ulgą. — Wie pani, mógłbym się wygadać, gdybym usłyszał pani nazwisko, zanim się spotkaliśmy.  
— Zdaję sobie z tego sprawę. Trudno być anonimową osobą, gdy miało się tak sławnego męża.  
— To bardzo... intrygujące — pokiwał w zamyśleniu głową.  
— I tajemnicze. Zwłaszcza teraz, po zniknięciu Edith.

— Wiem, mówi pani o tym niefortunnym romansie. Słyszałem, że uciekła od męża.  
— Nie jestem pewna, co się z nią stało. Wiadomo tylko, że zniknęła, zupełnie tak samo jak Roma.

— Rozumiem, co pani czuje. Zastanawiam się, jak mógł — bym pani pomóc.

— Przynajmniej ktoś wie, kim jestem...

— Zapewniam panią, że nikomu tego nie zdradzę.

— Będę wdzięczna.

— Widziałem popłoch w pani oczach — uśmiechnął się do mnie ciepło. — Musimy jeszcze o tym porozmawiać. Jako archeolog... amator... mógłbym być pani pomocny. Poza tym, także kocham muzykę i sam gram na organach.

Słuchając go zauważyłam, że firanki w oknie na plebanii lekko się poruszyły. Byliśmy obserwowani i bez trudu domyśliłam się przez kogo. Pani Rendall zachodziła zapewne w głowę, czemu jej przystojny wikary wyszedł do ogrodu i o czym tak długo ze mną rozmawia.

\* \* \*

Bardzo szybko Godfrey Wilmot i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Było to nieuniknione. Tak czy inaczej zbliżyłaby nas wspólna fascynacja muzyką. Fakt, że wikary wiedział, kim jestem, uczynił nasz związek jeszcze silniejszym.

Dość często spotykaliśmy się na terenie rzymskich wykopalisk i włącząc się tam, rozmawialiśmy o Romie.

— Jestem przekonany, że byłaby jednym z naszych najwybitniejszych archeologów, gdyby...

— Żyła — skończyłam za niego. — Muszę zacząć się oswajać z myślą, że nie żyje.

— Może znajdziemy jakieś inne wytłumaczenie jej zniknięcia.

— Nie bardzo w to wierzę. Roma nigdy by nie wyjechała bez powiadomienia mnie, dokąd się wybiera. Jestem tego absolutnie pewna.

— Co się zatem mogło stać?

— Ona nie żyje. Czuję to.

— Myśli pani, że miała wypadek?

— To chyba najbardziej prawdopodobne. Bo kto mógłby mieć jakiś powód, aby ją zamordować?

— To właśnie powinniśmy sprawdzić.

Poczułam ogromną wdzięczność, gdy powiedział „my”.

— To miło z pana strony, że chce mi pan w tym pomóc.

— To miło z pani strony, że godzi się pani na to — roześmiał się serdecznie. — Muszę przyznać, że ta sprawa bardzo mnie intryguje. Jeżeli to był wypadek, to zastanówmy się jaki?

— To oczywiście tylko hipoteza. Ale co się stało z jej ciałem? Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć. Przecież musi być jakiś ślad. Pomyślmy. Była tu, w tym miejscu... pakowała swoje rzeczy... Następnie wyszła na spacer i więcej nie wróciła. Co mogło się z nią stać?

— Mogła pójść popływać i utonęła.

— Tak zupełnie bez śladu? To prawda, że nigdy dobrze nie pływała. To był chłodny dzień. Ale powinien zostać jakiś ślad.

— Może ktoś zatarł ślady.

— Dlaczego?

— Bo nie chciał, aby zostały znalezione.

— Ale dlaczego... dlaczego, dlaczego? Też biorę to pod uwagę, że Roma mogła zostać zamordowana. Ale, na Boga, czemu?

— Może jakiś zazrosny archeolog? Ktoś, kto wiedział, że odkryła jakiś sekret, który ona lub on chciał uczynić własnym znaleziskiem.

— Nie, to zbyt wydumane spekulacje!

— Istnieje takie uczucie, jak zazdrość zawodowa. Na każdym polu.

— Ale to niemożliwe!

— Ludzie, którzy grzebią się w przeszłości, często uważani są przez innych za nieco zwariowanych.

— Ale ona wyszła z tej chaty... i zniknęła. Pomyślmy nad tym. A poza tym jest jeszcze sprawa Edith.

— To ta dama, która uciekła z ukochanym?

— Taka wersja wszystkim najbardziej pasuje.

Wilmot bardzo mi przypominał Romę — był niezwykle pochłonięty obserwowaniem świata, tak samo jak ona, potrafił zatrzymać się nagle, aby dokładniej przyjrzeć się fragmentowi nawierzchni, po której szedł, a potem długo opowiadać o tym, co go zainteresowało.

— W ciągu ostatnich lat archeologia bardzo się rozwinęła — powiedział. — Jeszcze nie tak dawno niewiele różniła się od poszukiwania skarbów. Doskonale pamiętam, jak dobrałem się do swojego pierwszego kurhanu. Gdy teraz o tym myślę, widzę jak strasznie byłem wtedy nieostrożny i ile szkody mogłem narobić.

Opowiedziałam mu o moich rodzicach i atmosferze, w której byłem wychowywana. Porównywaliśmy nasze wspomnienia z dzieciństwa i śmialiśmy się przy tym jak dzieci.

Gdy tak krążyliśmy wśród ruin starożytnej willi, Wilmot zwrócił mi uwagę na interesujący szczegół.

— W tych mozaikach pojawia się często jeden, bardzo charakterystyczny motyw. Zastanawiam się, jak można go zinterpretować. Szkoda, że są tak zniszczone. Ciekaw jestem, czy udałoby się je choć trochę odczytać. Myślę jednak, że pani siostra i jej zespół zrobiliby to, gdyby było to możliwe. Niestety, czas nie oszczędził też kolorów. Barwy tych kamieni były kiedyś dużo bardziej intensywne. Czemu się pani śmieje?

— Przypomina mi pan Romę. Pana też to całkowicie pochłania.

— Proszę pamiętać, że szukamy motywu — powiedział, uśmiechając się ujmująco.

\* \* \*

— Podobno mężczyźni bardzo lubią młode wdowy — usłyszałam głos Allegrę.

Dziewczynki siedziały w pokoju do nauki w Lovat Stacy. Poszłam tam, by przypomnieć Allegrze, że czas na lekcję. Zawsze się spóźniała. Gdy weszłam, wszystkie trzy siedziały przy stole i żywo o czymś rozprawiły, ale na mój widok umilkły, zaskoczone.

— Rozmawiamy o wdowach — powiedziała Allegra z szelmowskim uśmiechem.

— Powinnaś raczej pomyśleć o swoich lekcjach. Ćwiczyłaś zadane tematy?

— Nie — przyznała się od razu.

— A pozostałe panny?

— Tak, proszę pani — odpowiedziały chórem Alice i Sylvia.

— Jakie grzeczne dziewczynki — zaczęła je wyśmiewać Allegra. — Zawsze robią to, co im się każe.

— To dużo rozsądniej — oświadczyłam. — Pora na ciebie, Allegro.

— Czy lubi pani pana Wilmota? — zapytała, wierząc się na krześle.

— Czy go lubię? Oczywiście. Uważam, że jest bardzo dobrym wikarym.

— On też panią lubi — powiedziała Allegra i spojrzała drwiąco na Sylwię. — A ciebie nie lubi, ani trochę. Zauważył, że jesteś małą, głupią dziewczynką. Prawda, proszę pani? Pewnie już pani mówił, co myśli o Sylvii?

— Wcale tak nie uważam, a pan Wilmot nigdy nie rozmawiał ze mną o Sylvii. Jestem pewna, że bardzo ją lubi. Ona przynajmniej pracuje nad lekcjami, co nie wszystkim się zdarza.

Allegra wybuchnęła gromkim śmiechem, a Alice i Sylvia patrzyły na nią niepewnie.

— To oczywiste, że nie znosi głupich dziewczyn. On lubi wdowy.

— Widzę, że usiłujesz odwlec swoją lekcję. To na nic. Idziemy.

— I tak uważam, że wdowy są bardzo atrakcyjne — powiedziała Allegra, wstając. — Jestem tego pewna. To dlatego, że miały mężów, a potem ich straciły. Ja byłabym bardzo zadowolona, gdybym też już straciła męża.

— Co za nonsensy wygadujesz!

Skierowałam się do wyjścia, czując na sobie trzy pary oczu. Idąc korytarzem zastanawiałam się, jak często te oczy śledzą mnie, kiedy o tym nie wiem.

\* \* \*

Schodząc szeroką klatką schodową do głównego holu, niespodziewanie wpadłam na Napiera.

— Odkąd Edith zniknęła, prawie pani nie widuję.

— To prawda — stwierdziłam.

— Chciałbym porozmawiać.

— O czym? ,

— Nie tutaj. Nie w tym domu. — Zniżył głos do szeptu. — Proszę przyjechać dziś po południu do Hunters Knoll. Będę tam czekał o wpół do trzeciej.

Już zamierzałam zaprotestować, ale nie dał mi dojść do słowa.

— Będę na panią czekał — powtórzył i zbiegł po schodach.

W domu panowała całkowita cisza. Ja jednak rozejrzałam się dookoła, zastanawiając się, czy ktoś nas widział razem.

\* \* \*

Napier czekał na mnie w umówionym miejscu.

— A więc przyjechała pani — zawołał na mój widok.

— Nie był pan tego pewien?

— Nie. Co się z panią działo przez ostatnie tygodnie?

— Przede wszystkim zastanawiałam się, co się stało z Edith.

— Wyjechała ze swoim kochankiem — powiedział to chłodno, bez najmniejszych emocji, stwierdzając po prostu fakt.

— Naprawdę pan w to wierzy?

— A w co innego mam wierzyć?

— Być może jest jakieś inne wyjaśnienie.

— To wydaje się najbardziej prawdopodobne. Chciałbym coś pani powiedzieć... może dlatego, żeby nie myślała pani, że jestem potworem. Gdy pobraliśmy się, miałem nadzieję, że uda nam się do siebie dopasować. Zapewniam panią, że się starałem, Edith zresztą też. Ale to okazało się po prostu niemożliwe. — Milczałam, więc mówił dalej. — Podejrzywałem, że jest zakochana w tym wikarym. Nie mam do niej o to żalu. Wiem, że powinienem winić za to siebie. Ale proszę nie

myśleć, że jestem gruboskórny... wyrachowany... w każdym razie nie do szpiku kości. Rozumiem, że nie mogła ścierpieć życia tutaj. Postanowiła odejść i należy to uszanować.

Ucieszyłam się, kiedy mi to powiedział. A więc nie był dla Edith niemiły, jak mi się na początku wydawało. Napier zmagał się po prostu, być może nieudolnie, z problemem, którego nie można było rozwiązać.

— Co chciał mi pan powiedzieć? — zapytałam.

— Że nie powinna mnie pani unikać, to było niepotrzebne.

— Naprawdę pana unikałam? Jeżeli tak, to z pewnością nieświadomie. Po prostu pana nie spotykałam. Wydawało mi się nawet, że może to pan mnie unika.

— Jeżeli bym to robił, z pewnością znałaby pani powód. Ale teraz chciałbym panią zapytać o tego Wilmota.

— Słucham?

— To bez wątpienia bardzo atrakcyjny mężczyzna.

— Pani Rendall też tak uważa, a ją trudno zadowolić — powiedziałam żartobliwie, ale Napier nie podchwycił tego tonu.

— Słyszałem, że szybko staliście się dobrymi przyjaciółmi.

— Pan Wilmot bardzo lubi muzykę.

— A poza tym odkryliście w sobie pasję do archeologii.

— Podobnie jak pani Rendall.

W dalszym ciągu nie dawał się sprowokować do uśmiechu.

— To czarujący mężczyzna

— Bez wątpienia.

— Poznała go pani dobrze.

— Znamy się dość krótko, ale uważam, że ma pan racje. Jest doprawdy czarującym towarzyszem.

— Mam nadzieję, że nie zrobi pani niczego... pochopnie... poświęcając się...

— O czym pan mówi?

— Mówię, że nie powinna pani działać impulsywnie, Caroline. Proszę być cierpliwą.

Nagle dobiegł nas tętent końskich kopyt i po chwili zobaczyliśmy Allegrę, Alice i Sylwię, zmierzające w naszą stronę.

Pewnie widziały, jak wyjeżdżałam i postanowiły pojechać za mną, pomyślałam.

— Widziałyśmy, jak pani wyjeżdża i postanowiłyśmy dogonić panią i pojechać razem na spacer, jeśli pani pozwoli — potwierdziła moje domysły Allegra.

Alice skończyła etiudę Czernego i spojrzała na mnie pytająco.

— Nieźle, ale wiele trzeba jeszcze poprawić. Pokiwała ze smutkiem głową.

— Nie martw się — zaczęłam ją pocieszać. — Naprawdę dużo pracujesz i robisz postępy.

— Dziękuję pani — powiedziała i spuściła głowę. — Światło znowu się pojawiło.

— Słucham?

— Światło w kaplicy. Widziałam je ostatniej nocy. Po raz pierwszy... odkąd Edith... odeszła.

— Na twoim miejscu nie martwiłabym się tym.

— Ja się nie martwię. Tylko trochę się boję.

— Nic ci nie grozi.

— Ale to naprawdę wygląda tak, jakby na tym domu ciążyła jakaś klątwa, nie sądzi pani?

— Absolutnie nie.

— To skąd te kolejne wypadki śmiertelne. Zaczęło się od tego, że pan Napier zastrzelił pana Beau. Myśli pani, że pan Beau nigdy mu tego nie wybaczy?

— Co za brednie. Doprawdy, dziwię ci się, Alice. Myślałam, że jesteś rozsądniejsza.



— Kiedy wszyscy tak mówią... — spojrzała na mnie zawstydzona.

— Wszyscy? — zapytałam.

— Na przykład służba. I ludzie we wsi. Widzą to światło i później tak mówią. Podobno dopóki pan Napier nie opuści tego domu, nie będzie tu spokoju. Uważam, że to bardzo nieuprzejmie z ich strony. Gdyby pan Napier to usłyszał, mogłoby mu się zrobić przykro... może nawet już to słyszał, bo nie wygląda na szczęśliwego, mam rację? Chociaż może myśli o Edith.

— Mam wrażenie, że za bardzo się przejmujesz jakimiś głupimi plotkami — powiedziałam oburzona. — Nic dziwnego, że nie idzie ci najlepiej z graniem.

— Ale pani powiedziała, że robię postępy.

— Mogłabyś robić większe — wyjaśniłam.

— Zatem pani zdaniem to nie Beau straszy w kaplicy?

— Oczywiście, że nie,

— Ja wiem, co pani myśli — usłyszałyśmy z tyłu głos Alle — gry, która chyba po raz pierwszy przysłała na lekcję punktualnie. — Pani Verlaine myśli, że to ja tam straszę. Prawda?

— Mam nadzieję, że nigdy byś nie zrobiła niczego równie głupiego.

— Ale pani mnie podejrzewała, prawda? Wiedziecie, kim jestem? Jestem podejrzaną.

— Ja wiem, że to nie Allegra — powiedziała Alice. — Widziałyśmy to światło razem.

Allegra spojrzała na mnie, wydymając usta.

— Pokażemy to pani — powiedziała.

— Dobrze, a teraz pokaż mi, z jakim skutkiem ćwiczyłaś zadane partie.

\* \* \*

Sposobność „pokazania mi” nadeszła bardzo szybko. Jeszcze tego samego wieczora wpadła po mojego pokoju Allegra.

— Teraz, proszę pani — zawołała bardzo przejęta. — Przed chwilą widziałyśmy to światło, dosłownie przed chwilą.

— Mogę wejść? — usłyszałam od drzwi głos Alice. Zaprosiłam ją i obie dziewczynki stanęły przede mną, drżąc z przejęcia.

— Przed chwilą — powtórzyła Allegra. — Można je też zobaczyć stąd, ale z pokoju Alice jest lepszy widok.

Poszłyśmy na górę do sypialni Alice, która zapaliła świecę i stanęła w oknie.

— Opuść tą świecę, Alice — poprosiłam. — Mogą się zająć firanki.

Posłusznie odstawiła ją na bok i zapaliła jeszcze jedną. W tym czasie Allegra złapała mnie kurczowo za rękaw sukni.

— Proszę spojrzeć. Tam.

Miała rację. W ciemnościach zabłysło na chwilę słabe światełko i zaraz zgasło.

— Idę zobaczyć, kto tam jest — oświadczyłam.

— Och, tylko nie to! — zawołała przestraszona Alice, łapiąc mnie za rękę.

— Ktoś sobie z nas robi żarty, jestem pewna. Która z was na ochotnika idzie ze mną?

— Umarłabym ze strachu — wyszeptwała Alice.

— Ja też — przytaknęła Allegra.

— Tak długo będziecie się tego bały, dopóki nie dowiemy się, kto nas oszukuje.

Ruszyłam w stronę drzwi. Prawdę powiedziawszy, też byłam porządnie zaniepokojona. A jeżeli w tym domu naprawdę działo się coś dziwnego, o czym nie miałam pojęcia? To tylko przecucie, ale było ono tak silne, jakby Roma za szelką cenę chciała mnie ostrzec. „Bądź ostrożna. Wiesz przecież, że jesteś bardzo impulsywna”.

Przypominała mi o tym wiele razy i wtedy, w pokoju Alice, też wyraźnie słyszałam jej głos.

Ale przecież miałam przyjaciela, sprzymierzeńca. Czyż nie byłoby rozsądniej opowiedzieć o wszystkim Godfreyowi Wilmotowi, zamiast samej narażać się na niebezpieczeństwo?

Nagle jedna ze świec zgasła, a zaraz potem druga. W pokoju zapanowała niemal całkowita ciemność.

— To znak, proszę pani. Ostrzeżenie. Zgasły dwie świece, a przecież nie było najmniejszego przeciągu.

— Zdmuchnęłaś je.

— Ależ nie, proszę pani. Spojrzałam podejrzliwie na Allegrę.

— Ona też nie — upierała się Alice. — One zgasły same. Wie pani, że w tym domu dzieją się bardzo dziwne rzeczy. To z powodu tego, co wydarzyło się tu wiele lat temu. To na pewno ostrzeżenie. Nie wolno nam iść do ruin. Mogłoby nas spotkać coś strasznego.

Gdy zapalała świece, zauważyłam że drżą jej ręce.

— Alice — powiedziałam — znowu dajesz się ponieść wyobraźni.

— Nic na to nie poradzę, proszę pani. Różne myśli przychodzą mi do głowy. Wolalabym, żeby ich nie było... ale czasami myślę sobie, co może się wydarzyć i wtedy okropnie się boję.

— Powinnaś mieszkać w jakimś małym domku, gdzie nic złego się nigdy nie wydarzyło — powiedziała Allegra.

— Och, nie. Ja chcę tu mieszkać. Wcale mi to nie przeszkadza, że czasami coś mnie przestraszy.

Podeszła do okna, a ja stanęłam przy niej i obie patrzyłyśmy na gęstniejącą na zewnątrz ciemność.

Obserwowałyśmy zagajnik, ale światło już się nie pojawiło.

Świece paliły się mocnym płomieniem i Alice spojrzała na mnie wymownie.

— Widzi pani, palą się doskonale. To z pewnością było ostrzeżenie. Och, proszę pani, niech pani nigdy nie chodzi wieczorem do tych ruin.

— Ależ ja mam ochotę dowiedzieć się, kto tam udaje ducha. Ulżyło mi jednak, że to nie była Allegra. Pomyślałam, że może to jakiś lokaj lub parobek daje w ten sposób znaki swojej dziewczynie, gdy chce się z nią spotkać.

Z Godfreyem spotkałam się, jak zwykle, w chacie koło wykopalisk. Przychodziliśmy tu dość często z uwagi na jego archeologiczne zamiłowania.

Siedziałam na schodach, Godfrey usadowił się na starym stole i rozmawialiśmy o Romie. Opowiadałam mu, jak bardzo lubiła tę chatę, przede wszystkim dlatego że leżała blisko prowadzonych przez nią prac, i o tym, że mieszkając tu razem z siostrą, usiłowałam nadać temu miejscu trochę bardziej domowy charakter.

— Przede wszystkim pozbyłam się olejowego pieca, który potwornie cuchnął. Zresztą może nie tyle piecyk, ile pojemnik z naftą, która była Romie ciągle potrzebna. Wyniosłyśmy wszystko do stojącej obok szopy. Och, jak to cudownie, że mogę z kimś porozmawiać o mojej siostrze!

— Co mogło się jej przytrafić? — po raz kolejny zapytał Godfrey. — Postarajmy się przedstawić wszystkie ewentualności i przedyskutujmy je po kolei.

— To właśnie robię, odkąd dowiedziałam się o jej zniknięciu. Zastanawiam się nad nimi i odrzucam jedną po drugiej. A to co? — zapytałam, bo nagle w pokoju zrobiło się wyraźnie ciemniej. Oboje siedzieliśmy tyłem do jedyne, malutkiego okienka, które wpuszczało do wnętrza bardzo mało światła. — Ktoś zaglądał przez okno — wyszeptalam.

Oboje pobiegliśmy do drzwi, ale na zewnątrz nikogo nie było.

— Ależ pani jest naprawdę mocno przestraszona — powiedział Godfrey.

— To dlatego, że nie lubię być obserwowana... nie wiedząc o tym.

— Niezależnie, kto to był, nie uciekł daleko. Obeszliśmy wkoło chatę, ale nie zauważyliśmy niczego podejrzanego.

— Może to chmura zasłoniła na chwilę słońce. — Mój towarzysz usiłował znaleźć jakieś inne wyjaśnienie.

Spojrzałam na niebo. Ani śladu najmniejszej nawet chmurki.

— Nikt nie uciekłby stąd tak szybko — mówił dalej. — Jest pani przewrażliwiona z powodu zniknięcia Romy, to naturalne.

— Rzeczywiście, odkąd dowiedziałam się o tym, nie zaznałam ani chwili prawdziwego spokoju.

— Chodźmy stąd. Możemy porozmawiać na spacerze — zaproponował.

Zgodziłam się i poszliśmy drogą w stronę wybrzeża. Rozmawialiśmy, ale ja cały czas myślałam o tym, że ktoś nas podglądał.

— Nie sprawdziliśmy w szopie. Ten ktoś mógł się tam ukryć — powiedziałam w końcu.

— Zaręczam pani, że nie znaleźlibyśmy tam nic więcej poza starym piecykiem olejowym.

— Mam jednak dziwne przeczucie...

Nie dokończyłam. Godfrey najwyraźniej uważał, że dałam się ponieść wyobraźni.

\* \* \*

Kilka dni później dotarła do nas sensacyjna wiadomość. Rano umówiłam się z Godfreyem tam gdzie zawsze, czyli w chacie przy starożytnych ruinach. Stamtąd udaliśmy się na spacer po wykopaliskach.

Godfrey nabierał coraz większej pewności, że tam właśnie znajduje się klucz do wyjaśnienia zagadki zniknięcia Romy. Z wielkim zainteresowaniem badał łazienki i posadzki w rzymskiej willi, szukając, jak twierdził, śladów. Ja jednak wiedziałam, że sprawia mu to ogromną przyjemność. Skorzystałam z okazji i wspomniałam o tajemniczym świetle w kaplicy sugerując, że może Roma też o tym wiedziała i postanowiła dowiedzieć się, skąd pochodzi.

Tylko że moja siostra zaginęła wczesnym popołudniem, kiedy było jeszcze za wcześnie na pojawienie się światła. Ale czy na pewno? Może wyszła na przechadzkę po południu, ale wróciła pod wieczór i zauważywszy, że coś się dzieje w kaplicy, postanowiła zbadać sprawę.

— To możliwe — zgodził się ze mną Godfrey. — Ktoregoś wieczora musimy się tam wybrać i poczekać na tego, kto świeci.

Pomyślałam sobie, że plan jest dobry, aczkolwiek w świetle ostatnich uwag, jakie robiły pod moim adresem dziewczynki, dość ryzykowny. Poza tym byłam pewna, że pani Rendall bacznie mnie obserwuje, podejrzewając, że, jak to ona mówi, zagięłam parol na wikarego.

Oczywiście pozostawiłam te wątpliwości dla siebie. Żegnając się z Godfreyem powiedziałam, że moim zdaniem jesteśmy już bardzo blisko rozwiązania zagadki zniknięcia Romy.

Wróciłam do Lovat Stacy i gdy weszłam do holu, usłyszałam za sobą czyjeś szybkie kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam biegnącego za mną Napiera. Wyglądał na bardzo zmęczonego i zdenerwowanego.

— Właśnie wróciłem z Londynu — powiedział. — Są wiadomości.

— O Edith? — zapytałam.

— Nie wyjechała z Jeremym Brownem.

— Nie... — patrzyłam na niego zdziwiona.

— Jeremy Brown przyplął do Afryki sam.

— Ale...

— Myliliśmy się, podejrzewając Edith, że uciekła z kochankiem. To nieprawda.

- A zatem co się z nią stało?  
— Kto to może wiedzieć? — wyszeptał, patrząc na mnie oczami bez wyrazu.

\* \* \*

Wkrótce jednak okazało się, że ludzie wiedzą swoje. Gdy tylko ta wiadomość rozeszła się po okolicy, zaczęły się nowe plotki. Pastor otrzymał list od Jeremy'ego Browna, w którym wikary donosił, że dojechał szczęśliwie na miejsce i ma bardzo dużo pracy. Potwierdziło to wiadomość, że jest sam. Edith nie wyjechała do Afryki. A zatem, gdzie była?

Oczy wszystkich po raz kolejny zwróciły się na Lovat Stacy. Na dom, który przynosił nieszczęście swoim mieszkańcom i według opinii wielu był przeklęty.

Dlaczego był przeklęty? Ponieważ brat zabił tam brata. Nazywali to klątwą Kaina. A z powodu tej śmierci ich matka popełniła samobójstwo, a teraz zniknęła żona zabójcy. Co się z nią stało? Kto mógł to wiedzieć?

Kiedy żonę spotyka jakieś nieszczęście, pierwszym podejrzanym jest zawsze mąż.

Zdawałam sobie sprawę z nieprzyjaznego nastawienia ludzi wobec Napiera i bardzo mnie to bolało, może nawet bardziej niż jego.

Wszyscy snuli niczym nie uzasadnione spekulacje. Zauważyłam też, że starali się unikać Napiera. Gdy pani Lincroft z nim rozmawiała, z trudem panowała nad wyrazem twarzy i cedziła słowa przez zaciśnięte usta. Wiedziałam, że boleje nad tym, jak bardzo zniknięcie Edith wpłynęło na pogorszenie się stanu zdrowia sir Williama i oczywiście obwiniała za to Napiera.

Dziewczęta bez przerwy rozmawiały o tym, co stało się z Edith, chociaż przy mnie starały się nie poruszać tego tematu zbyt często.

Pewnego dnia Allegra miała jednak wielką ochotę porozmawiać o tym ze mną.

— Jeżeli sir William umrze ze smutku, że Edith zaginęła... to będzie tak, jakby historia się powtórzyła. Wie pani, że po śmierci Beau jego matka...

— A kto powiedział, że Edith nie żyje? — zaprotestowałam gwałtownie.

— Właśnie — zawołała nagle Alice. — Ona na pewno wróci.

— Też mam taką nadzieję — zapewniłam je.

Bardzo tego pragnęłam. Próbowałam rozważyć wszystkie możliwe przyczyny jej zniknięcia. Amnezja? Czemu nie. Być może błąka się gdzieś bez świadomości, kim jest. Bardzo chciałam, aby tak właśnie było. Nie mogłam znieść myśli, że Napier był uważany za mordercę. Ale jeżeli okazałoby się, że Edith została zamordowana...

Po prostu nie mogłam zaakceptować takiej wersji. Ale co z Romą?

Uderzyło mnie dziwne podobieństwo obu tych wypadków. Dwie młode kobiety znikają w bardzo podobny sposób. Obie wyszły na spacer, nic nikomu nie mówiąc i niczego ze sobą nie zabierając.

To była potworna, przerażająca zagadka.

Bardzo to wszystko przeżywałam; jedną z tych kobiet była przecież moja siostra, a drugą — żona Napiera.

Wiedziałam, że muszę to wyjaśnić, czułam się do tego wręcz podwójnie zobowiązana. Obie kobiety bardzo się od siebie różniły. Biedna Edith, taka słaba i nieudolna, ciągle czymś przerażona, i Roma, pewna siebie, odważna, dokładnie wiedząca, dokąd zmierza... chociaż może nie zawsze.

Nie dbam o to, dokąd zaprowadzą mnie te poszukiwania, przekonywałam samą siebie. Za wszelką cenę muszę się dowiedzieć, co się z nimi stało.

— Uważaj na siebie, Caro. — Głos Romy znowu mnie ostrzegł. — To może być morderstwo.

Ja jednak starałam się nie dopuszczać do siebie myśli o zbrodni, chociaż wiele osób tak właśnie uważało. Las podejrzeń rósł szybciej niż bambusowa dżungla.

\* \* \*

Wolałabym nie słyszeć tej kłótni między Napierem a jego ojcem. Po śniadaniu poszłam na górę, aby zagrać dla sir Williama, gdyż pani Lincroft była zdania, że muzyka dobrze na niego wpływa. Nie chciałam mu przeszkadzać, udałam się więc od razu do sąsiadującego z jego apartamentem saloniku z fortepianem. Pani Lincroft uprzedziła mnie bowiem, że starszy pan może drzemać i będzie mu miło, gdy obudzą go dźwięki muzyki.

Kiedy jednak zasiadłam przy fortepianie, z pokoju obok dobiegły mnie wzburzone głosy Napiera i jego ojca.

— Na Boga, żałuję, że nie zostałeś za granicą — mówił sir William.

— Chcę, żebyś wiedział, że nie mam zamiaru stąd wyjeżdżać — oświadczył Napier.

— Wyjedziesz, jeśli ja tak postanowię i pamiętaj, że Lovat Stacy nie należy do ciebie.

— Mylisz się, ojczu. Mam prawo tu mieszkać.

— Posłuchaj. Chcę wiedzieć, gdzie ona jest? Co się z nią stało? Ucieczka z wikarym! Wiedziałem, że nigdy by tego nie zrobiła. Gdzie jest Edith? Powiedz mi!

Powinna natychmiast stamtąd wyjść, ale nie mogłam. Za bardzo mnie obchodziły sprawy tej rodziny. Musiałam tam zostać i słuchać.

— Dlaczego uważasz, że to ja powinienem wiedzieć?

— Bo nigdy jej nie zaakceptowałeś. Ożeniłeś się z Edith tylko dlatego, żeby móc tu wrócić. Biedne dziecko!

— Pamiętaj, że to ty zaplanowałeś nasze małżeństwo. Jak możesz obwiniać mnie o cynizm? Wiele dałem z siebie, by uratować ten związek.

— Małżeństwo! Ja nie mówię o małżeństwie! Pytam się, co zrobiłeś ze swoją żoną!

— Jesteś szalony! Czy sugerujesz...?

— Morderca... — zawołał sir William. — Beau... twoja... twoja matka...

— Chryste! — wykrzyknął Napier. — Nie myśl sobie, że pozbawisz mnie spadku, rozpowiadając takie kłamstwa.

— Gdzie ona jest? Gdzie jest Edith? Znajdą ją i wtedy...

Dłużej już nie wytrzymałam. Po cichu wyszłam z pokoju i udałam się do siebie.

Byłam przerażona tym, co usłyszałam.

Sir William przypuszczał, że jego syn zamordował Edith.

— To nieprawda — wyszeptalam. — Nie wierzę w to. Wtedy właśnie przysięgłam sobie, że rozwiążę tajemnicę zaginięcia Edith, tak jak wcześniej postanowiłam dowiedzieć się, co stało się z Romą. Była to dla mnie sprawa największej wagi.

\* \* \*

Nie mogłam pogodzić się z narastającą falą podejrzeń.

Ludzie we wsi już osądzili Napiera. „To jasne jak słońce. Ożenił się z nią, a gdy już dostał jej pieniądze, postanowił się jej pozbyć. Lovat Stacy to przekłete miejsce... i nic się nie zmieni, dopóki ten nikczemnik tam mieszka”.

Od czasu do czasu widywałam Sybil Stacy. Bardziej niż zwykle drażniły mnie jej przebiegłe spojrzenia sugerujące, że wie o czymś, o czym nie mają pojęcia zwykli śmiertelnicy.

Zastanawiałam się, czy policja prowadzi dalej śledztwo. Wiadomo już było, że Edith nie wyjechała z Jeremym Brownem. Czy istnieją jakieś inne hipotezy, na temat jej zniknięcia?

Dlaczego mąż chciałby pozbyć się swojej żony? Powodów można znaleźć bardzo wiele. Bo jej nie kochał. Bo zdobył już jej majątek. Bo, gdy został ponownie przyjęty na łono rodziny i mógł dziedziczyć po swoim ojcu... zamyśliłam się, przypominając sobie rozmowę, którą niedawno podsłuchałam. Sir William nienawidził Napiera. Czemu pielęgnował w sobie takie zwyrodniałe uczucie? Po zniknięciu Edith ojciec z synem kłócili się bez przerwy. Być może sir William wydziedziczy Napiera i wygna go z domu, jak to już raz zrobił.

Dlaczego tak musiało się stać?

Napier nie kochał Edith i nigdy tego nie ukrywał. A kilka tygodni temu... Nagle przypomniała mi się pewna nasza rozmowa i ogarnęło mnie przerażenie. Czyżbym błędnie odczytała jego intencje? Czyż nie usiłował mi wtedy powiedzieć, że gdyby był wolny, zaproponowałby mi małżeństwo?

Sytuacja była niepokojąca. Tym bardziej że wciąż pamiętałam o trzech parach oczu, które baczenie mnie obserwowały. Jak bardzo ja sama byłam w to uwikłana?

Jednocześnie czułam nieodpartą chęć udowodnienia tym wszystkim ludziom, jak bardzo się mylą, podejrzewając Napiera. Miałam ochotę krzyknąć: „To nieprawda”. Oczerniono go bezpodstawnie, tak samo jak poprzednio. Czy z powodu wypadku, jaki się wydarzył, gdy Napier był bardzo młody, już na zawsze ma być potępiony?

Co się ze mną stało? Udowodnienie niewinności Napiera było dla mnie ważniejsze niż cokolwiek innego.

\* \* \*

Pani Lincroft siedziała po drugiej stronie stołu i patrzyła na mnie, marszcząc brwi.

— Sir William bardzo to wszystko przeżywa — powiedziała. — Jestem o niego niespokojna. Chciałabym, aby coś się wreszcie wyjaśniło w sprawie Edith.

— Jak pani myśli, co się z nią stało? — zapytałam.

— Boję się o tym myśleć — odpowiedziała, unikając mojego wzroku. — Bardzo się boję, że pan będzie miał następny atak. Byłoby lepiej, gdyby Napier stąd wyjechał.

— Gdyby teraz wyjechał, ludzie mogliby pomyśleć, że uciekł — uprzytomniłam jej.

— To prawda. Ale on nie ma w tej sprawie wiele do powiedzenia. Sir William zastanawia się nad wezwaniem rodzinnego prawnika. Domyśla się pani, co to znaczy.

— Sir William ma zwyczaj osądzania i skazywania ludzi bez przedstawienia im dowodów. Marzył o wnuku. A teraz...

— Może Edith jeszcze wróci?

— Ale gdzie ona jest?

Przedstawiłam pani Lincroft swoją teorię o amnezji.

— To miło, że tak się pani przejmuje losami tej rodziny, ale proszę się za bardzo nie angażować.

— Angażować? — powtórzyłam zdziwiona.

Przez dłuższą chwilę przyglądała mi się badawczo i nagle zorientowałam się, że mam przed sobą zupełnie obcą mi osobę. Gdzieś zniknęła cała jej delikatność i przyjazne nastawienie, które zawsze u niej wyczuwałam, nawet jej głos się zmienił.

— Czasami nierozsądnie jest się mieszać w sprawy innych ludzi. Można się w nich pograżyć.

— Ależ to oczywiste, że jestem tym zainteresowana. Młoda kobieta... moja uczennica... nagle znika. Nie może pani oczekiwać, że potraktuję to jako coś zupełnie normalnego, coś, co zdarza się każdego dnia.

— Oczywiście, że to nie jest normalne. Edith zniknęła i na razie nie wiemy, gdzie jest. Może nigdy się tego nie dowiemy. Policja wciąż zajmuje się tą sprawą. Nie przyszło jednak pani do głowy, że jeżeli to, co podejrzewają niektórzy, jest prawdą, pani dociekliwość może ściągnąć na panią niebezpieczeństwo?

Byłam zdumiona. Nie zdawałam sobie sprawy, że w jakikolwiek sposób zdradziłam się ze swoim zamiarem dotarcia do prawdy.

— Niebezpieczeństwo? O czym pani mówi?

Pani Lincroft milczała. Po chwili była znowu tą samą osobą, którą poznałam w dniu przyjazdu do Lovat Stacy, nieco nieśmiałą i zdystansowaną.

— Kto to może wiedzieć? Ale na pani miejscu uważałabym na siebie.

Ona mnie najwyraźniej ostrzega, pomyślałam. Czy chce mi przez to powiedzieć, że nie powinnam się angażować w znajomość z mężczyzną, który jest pierwszym podejrzanym w sprawie zniknięcia jego żony? Czy daje mi do zrozumienia, że mieszając się w te sprawy, narażam życie?

— Jeśli chodzi o niebezpieczeństwo — mówiła dalej z lekkim uśmiechem — być może trochę przesadziłam. Prędzej czy później wszystko się wyjaśni. Edith na pewno wróci. Jestem o tym przekonana — dodała z naciskiem.

Chciałam jeszcze coś powiedzieć, ale uprzedziła mnie.

— Sir William wspominał, że sprawiła mu pani ogromną radość, grając dla niego Szuberta. Słuchając pani, zapadł w głęboki sen, a tego mu właśnie teraz najbardziej potrzeba.

Uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością. Każdy, kto sprawił przyjemność sir Williamowi, był jej przyjacielem.

\* \* \*

Nieszczęście wydarzyło się dwa dni później. Poszłam do pokoju muzycznego, obok apartamentu sir Williama, gdzie czekała już na mnie pani Lincroft.

— Pan nie najlepiej się dzisiaj czuje. Drzemie teraz w fotelu. Ależ ponury dzień! Cały czas pada i pada. Jestem pewna, że wkrótce się przejaśni, ale na razie mamy wyjątkowo brzydką pogodę.

Nuty leżały już na fortepianie, osobiście wybrane przez sir Williama. Spojrzałam na pierwszy utwór i zobaczyłam, że była to Sonata Księżycowa Beethovena.

— Chyba zapalę świecę — powiedziała pani Lincroft i zajęła się ustawianiem lichtarza.

Gdy zasiadałam przy fortepianie, uśmiechnęła się i na palcach wyszła z pokoju.

Grając, myślałam o Napierze. Narastało we mnie oburzenie na tych, którzy nie czekając na dowody, już dawno oskarżyli go o dokonanie zbrodni.

Skończyłam sonatę i gdy zmieniałam nuty, ze zdumieniem zobaczyłam, że następnym utworem jest „Taniec szkieletów” Saint-Saënsa. Cóż za dziwny wybór, pomyślałam i zaczęłam grać. Tym razem myślałam o Pietrze, który zawsze interpretował ten utwór tak przejmująco, że słuchaczom ciarki przebiegały po plecach. Mówił, że gdy grał „Taniec szkieletów”, czuł się jak wędrowny muzykant z fujarką, tylko że zamiast zwabiania dzieci w górską krainę, wywoływał umarłych z grobów, którzy tańczyli wokół niego... taniec śmierci.

Zapadł już wieczór i w saloniku zrobiło się tak ciemno, że jedna świeca nie dawała dostatecznej ilości światła. Znałam jednak ten utwór na pamięć i nie musiałam czytać nut.

Nagle poczułam, że nie jestem w pokoju sama. W pierwszej chwili pomyślałam, że moja gra naprawdę wywołała jakiegoś ducha, gdyż postać w drzwiach bardziej przypominała upiora niż żywego człowieka.

— Odejdź... Odejdź... — zawołał sir William, bo to on patrzył na mnie nienaturalnym, jakby skamieniałym z trwogi wzrokiem. — Dlaczego... wróciłaś?

Wstałam, a on widząc to, krzyknął ze strachu i upadł na posadzkę.

Natychmiast zawołałam panią Lincroft, która szczęśliwym trafem była tuż obok.

Wpadła do salonu i spojrzała przerażona na sir Williama.

— Co się stało?

— Grałam właśnie „Taniec szkieletów”...

Nie dokończyłam, bo pani Lincroft słysząc to, o mało sama nie zemdląca.

Po krótkiej chwili jednak się uspokoiła.

— Musimy natychmiast posłać po doktora — oświadczyła.

\* \* \*

Stan sir Williama bardzo się pogorszył. Miał kolejny atak apopleksji i lekarze mówili, że jego skutki mogą się już nie cofnąć.

Opowiedziałam im, jak grałam na fortepianie i nagle zobaczyłam go stojącego nieruchomo w drzwiach. Ponieważ już przed tym atakiem sir William właściwie nie chodził o własnych siłach, przebycie tych kilkunastu kroków musiało być dla niego ogromnym wysiłkiem, który prawdopodobnie wywołał kolejny udar mózgu.

Dopiero po dwóch dniach można było mieć nadzieję, że najgorsze minęło i chory przeżyje. Pani Lincroft wyraźnie się uspokoiła.

— To, co się stało, może doprowadzić do tego, że Napier tu zostanie. Sir William nie pamięta, co stało się z Edith, zresztą o wszystkim ma bardzo niejasne pojęcie i najchętniej wraca do wspomnień.

\* \* \*

Tamten czerwiec należał do wyjątkowo mokrych. Od kilku dni padały ulewne deszcze, a całe niebo było zasnuwane ciemnymi chmurami.

Pewnego dnia po południu przysłała do mojego pokoju Sybil Stacy, która koniecznie chciała ze mną porozmawiać. Było tak ciemno, że musiałam zapalić świece, chociaż do wieczora było jeszcze daleko. Panna Stacy ubrana była w fiołkową suknię, ozdobioną czarnymi kokardami, takie same wpięła też we włosy. Owa czerń bardzo mnie zdziwiła, gdyż nigdy dotąd nie widziałam jej noszącej taki kolor.

— To żałoba — wyjaśniła.

Spojrzałam na nią zdziwiona znad blatu małego stolika, przy którym przygotowywałam się do lekcji.

— Po Edith — dodała, kiwając na mnie figlarnie palcem.

— Ale skąd pani może być pewna?

— Jestem pewna. Gdyby żyła, na pewno by już tu wróciła. Wszystko na to wskazuje, nie sądzi pani?

— Doprawdy nie wiem, co o tym myśleć, ale wolę wierzyć, że nic się jej nie stało i pewnego dnia znowu pojawi się w Lovat Stacy.

Odwrociłam się w stronę drzwi, jakbym spodziewała się ją tam zobaczyć. Sybil także patrzyła w ich kierunku wyczekująco.



— Nie, ona nie wróci. To biedne dziecko nie żyje. Wiem o tym — powiedziała po dłuższej chwili.

— Nie może być pani tego pewna — powtórzyłam.

— W tym domu zdarzają się dziwne rzeczy. Nie zauważyła pani?

Pokręciłam głową.

— Pani nie jest ze mną szczerą. Pani na pewno myśli podobnie, jak ja. Czuję to. Muszę to oddać w swoim obrazie, kiedy zacznę go malować. Dzieją się tu dziwne rzeczy... i pani to wie.

— Tak bym chciała... och, jak bardzo bym chciała, aby Edith wróciła!

— Wróciłaby, gdyby mogła. Zawsze była grzeczna i potulna, robiła to, czego wymagali od niej inni. Wie pani oczywiście, co przytrafiło się Williamowi?

— Wiem, jest bardzo chory.

— Tak, a wszystko dlatego, że poszedł zobaczyć, kto gra na fortepianie.

— Ależ wiedział przecież, że to ja.

— Nie, nie wiedział. Myli się pani. On myślał, że to ktoś całkiem inny.

— Jak to możliwe? Często dla niego grywałam.

— Czy zwykle sam przygotowywał dla pani nuty?

— Tak.

— Wiedziałam. Wybierał te utwory, które lubił, które wywoływały przyjemne wspomnienia. A teraz w związku z tym, co się stało, Napier tu zostanie. Miałam nadzieję, że jednak wyjedzie, ale teraz nic z tego. To, co jest dobre dla Napiera, nie jest dobre dla sir Williama. Jak to mówią: dla jednego mięso, dla drugiego trucizna. To prawda! I to jaka!

Zdmuchnęła świecę. W pokoju zrobiło się niemal zupełnie ciemno.

— Lubię półmrok, bo do wszystkiego pasuje — powiedziała. — Co pani grała, gdy sir William stanął w drzwiach?

— „Taniec szkieletów”.

— To bardzo ponury utwór. Nie zdziwił pani ten wybór?

— Owszem, byłam zdziwiona.

— Zastanowiłoby to panią jeszcze bardziej, gdyby pani wiedziała, że to właśnie grała Isabella w dniu swojej śmierci. Przez cały ranek siedziała przy fortepianie i wciąż grała „Taniec szkieletów”. Wreszcie William nie wytrzymał i poprosił ją, aby przestała. No więc przestała, poszła do lasu i odebrała sobie życie. Od tamtej pory nikt tu tego nie grał... aż do tamtego dnia.

— Te nuty były w przygotowanym dla mnie zestawie.

— Tak, ale to nie on je tam włożył.

— A zatem kto?

— To by nam wiele wyjaśniło. Na pewno był to ktoś, kto chciał, żeby sir William to usłyszał... żeby pomyślał, że to Isabella wróciła, aby go straszyc. Był to ktoś, kto miał nadzieję, że mój brat wstanie z fotela i zobaczy panią, siedzącą przy fortepianie... a wtedy było ciemno, prawda, tak ciemno, jak teraz. Ten ktoś życzył mu, by spotkało go coś złego.

— Kto mógłby zrobić coś takiego? Przecież to okrutne.

— W tym domu zdarzały się rzeczy bardziej okrutne. A jak pani myśli, kto to mógł być? Może ktoś, kto się obawiał, że zostanie zmuszony do opuszczenia Lovat Stacy, chyba że sir William umrze. Zdaje sobie pani sprawę, że on mógł wtedy umrzeć. Oczywiście, mógł to równie dobrze zrobić ktoś zupełnie inny.

Ta rozmowa bardzo mnie zdenerwowała. Chciałam, aby Sybil opuściła pokój i zostawiła mnie z własnymi myślami.

Chyba to wyczuła. W każdym razie powiedziała mi już to, z czym przyszła.

— Ale czy możemy być tego pewni?

I kiwając smutnie głową, ruszyła w stronę drzwi.

\* \* \*

Sylvia przyszła na lekcję z warkoczami upiętymi wokół głowy — na znak, że jest już dorastającą panienką. Mój Boże, pomyślałam, czyżby pani Rendall rzeczywiście upatrzyła sobie Godfreya Wilmota na męża dla swojej córki? Biedna Sylvia, wyglądała na bardzo zakłopotaną, co zresztą często jej się zdarzało. Posłała mi spojrzenie mówiące, że gra na fortepianie jest dla niej bardzo nieprzyjemnym obowiązkiem, ale spełni go, nawet za cenę cierpienia.

Odbębniła swoją lekcję jak papuga.

— Postaraj się w to włożyć trochę więcej uczucia. Spróbuj zrozumieć, o czym ta muzyka mówi — prosiłam ją po raz już nie wiem który.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Ale przecież ona niczego nie mówi, proszę pani. Westchnęłam. Naprawdę, odkąd Edith zniknęła, moja praca tu kompletnie mijala się z celem. Ona jedna mogłaby zostać dobrą pianistką, potrafiąca zachwycić gości na wytwornych przyjęciach. Ją mogłabym nauczyć, jak czerpać zadowolenie, a nawet radość z muzyki, ale jeżeli chodziło o Sycylię, Allegre i Alice...

Sylvia siedziała przy fortepianie, z rękoma złożonymi na kolanach i oglądała swoje łopatkowate palce z ogryzionymi paznokciami.

— Kochanie, jesteś zbyt rozkojarzona. Nie myślisz o muzyce. Nawet teraz chodzi ci po głowie coś zupełnie innego.

— Myślę o opowiadaniu, które dziś rano przeczytała nam Alice. To niesamowita historia. Pan Wilmot twierdzi, że ona ma prawdziwy talent. Alice powiedziała nam, że chciałaby pisać tak, jak Wilkie Collins... żeby czytelnikom dreszcze przebiegały po karku.

— Muszę ją poprosić, żeby przyniosła mi kilka swoich opowiadań. Chętnie je przeczytam.

— Alice czasami nam je czyta. Zaprasza nas wtedy do swojego pokoju i zapala świece, aby stworzyć nastrój. Znakomicie jej się udaje wywołać atmosferę grozy. Byłaby świetną aktorką. Ale ona twierdzi, że najbardziej lubi pisać o ludziach.

— O czym było jej ostatnie opowiadanie?

— O dziewczynie, która nagle zaginęła. Nikt nie wiedział, co się z nią stało. Ale na krótko przed tym ktoś wykopał dół w zagajniku przy domu, w którym mieszkała. Widziały to dzieci, które się tam bawiły i o mało nie wpadły do dziury. Zaczaiły się i zobaczyły mężczyznę, który przyszedł dokończyć swoją pracę. Gdy je zauważył, powiedział, że kopie pułapkę na lwa — ludojada, który pojawił się w tej okolicy. Ale dzieci mu nie uwierzyły, ponieważ na lwy nie robi się zasadzek, tylko się do nich strzela. Oczywiście, ten mężczyzna mógł opowiadać takie bajki wyłącznie dzieciom, dorosłym powiedział zaś, że pomaga komuś przy pracach w polu. Ale to właśnie on zamordował tę dziewczynę i zakopał jej ciało w zagajniku. Wszyscy zaś myśleli, że ona uciekła ze swoim kochankiem.

— Nie jest to optymistyczna opowieść — powiedziałam.

— Gdy ją czytała, włosy jeżyły nam się na głowie — przyznała Sylvia.

Prawdę powiedziawszy, mnie też. Nagle przypomniałam sobie tamten dzień, kiedy spotkałam Napiera wracającego do domu z narzędziami ogrodniczymi w worku. Powiedział mi wtedy, że pomagał w ogrodzie panu Brancot.

\* \* \*

Przy najbliższej okazji, gdy wyjechałam sama na konną przejażdżkę, skierowałam się najpierw do chaty Brancotów. Ogród wyglądał porządniej, niż gdy widziałam go ostatnim razem. Zatrzymałam się przy płocie, rozglądając się dookoła.

Miałam szczęście, bo zanim wymyśliłam jakiś pretekst, aby zapukać do domu, wyszedł z niego pan Brancot.

— Dzień dobry — przywitałam się.

— Dzień dobry pani — odpowiedział staruszek.

— Nazywam się Caroline Verlainie i uczę muzyki w Lovat Stacy.

— Och, tak. Słyszałem o pani. Jak się pani podoba nasza okolica?

— Jest bardzo piękna.

Pokiwał głową, najwyraźniej zadowolony.

— Nie mógłbym stąd nigdzie wyjechać — powiedział. — Nawet gdyby mi pani zapłaciła sto funtów.

Uspokoiliam go, że ani mi to w głowie i dodałam, że bardzo mi się podoba jego ogród.

— Gieszę się, chociaż dopiero od niedawna wygląda tak dobrze.

— Tak, pamiętam, że gdy przejeżdżałam tędy ostatnio, nie sprawiał tak dobrego wrażenia. A teraz został porządnie wy — pielony.

— Wypielony i skopany. Zasiałiśmy też dużo kwiatów — objaśnił. — Teraz dużo łatwiej utrzymać tu porządek.

— To ogromna praca. Dał pan radę zrobić to wszystko sam?

Staruszek uśmiechnął się i zniżył głos do szeptu.

— Tak między nami, miałem przy tym pomoc. Nie uwierzy pani, ale któregoś popołudnia przyjechał tu panicz Napier i wziął na siebie najcięższą robotę.

Słyszając to, poczułam dziecienną radość. Bałam się bowiem, że usłyszę od niego narzekania, jak bardzo się przy tym natrudził.

\* \* \*

Gdy wracałam od Brancotów, przypomniało mi się opowiadanie Alice, które streściła mi Sylvia. To naturalne, że dziewczęta interesowały się wszystkim, co działo się wokół nich. Ponieważ zaś znajdowały się w takim szczególnym okresie, już nie dzieci, ale jeszcze nie dorosłe osoby, patrzyły na wszystko niedojrzałymi oczami i nie zawsze właściwie interpretowały wydarzenia, których były świadkami. Zastanówmy się, dlaczego Alice napisała takie opowiadanie? Jak dalece narracja opierała się na faktach, a co było wytworem jej wyobraźni? Czy to możliwe, że naprawdę widziała kogoś kopiącego w zagajniku? Być może ona też spotkała Napiera, wracającego do domu z narzędziami ogrodniczymi. A to wystarczyło, aby zapłodnić jej wyobraźnię. Wybrała zagajnik zapewne z powodu ruin kaplicy i zagadkowego światła, które się tam pojawiało. Tak, to bardzo tajemnicze miejsce, w sam raz na scenę akcji jej opowiadania. Ktoś kopiący w zagajniku? Ale co? Odpowiedź pojawiła się natychmiast: grób.

Czy to właśnie chciała przedstawić Alice? Czy uważała, że powinna o tym opowiedzieć, a bała się porozmawiać z kimś wprost? Była raczej nieśmiałą panienką, a matka wpoila jej zapewne zasady dobrego wychowania, aby obie mogły jak najdłużej mieszkać w Lovat Stacy. Allegra bez przerwy przypominała jej, że jest tylko córką ochmistrzyni, dając jej tym do zrozumienia, że nie powinna tu nikogo absorbować swoją osobą. Tak, Allegra nie była dla niej miłą, chociaż z drugiej strony, ona też nie była do końca pewna własnej pozycji w tym domu.

Tak więc Alice widziała zapewne, jak Napier wracał do domu z łopatą i szpadlem i poczuła się w obowiązku jakoś o tym powiedzieć. Obawiała się go urazić, napisała więc opowiadanie, którego

treść była w większości fantazją, ale zawarła w nim to, co chciała przekazać. Postąpiła słusznie, informując nas o tym, co widziała. Ponieważ było to jedynie podejrzenie, nie mogła mówić o tym otwarcie. To wszystko wyjaśniało.

A może jednak Edith została zakopana w zagajniku? A co z Romą? Przecież one muszą gdzieś być.

Jeżeli ktoś naprawdę wykopał w lesie grób, powinien być po tym jakiś ślad. W tym miejscu rośnie zapewne świeża trawa i nie będzie kłopotu z jego odnalezieniem.

Sprawa zniknięcia Edith przeradzała się w jakąś makabryczną historię. Przypomniało mi się ostrzeżenie pani Lincroft. Nie angażuj się. Jeśli się w to włączysz, grozi ci niebezpieczeństwo.

Edith została zamordowana, jeżeli zatem morderca zorientuje się, że chcę go zdemaskować, moje życie naprawdę może być w niebezpieczeństwie. Ale ja nie mogłam się już wycofać, musiałam znaleźć rozwiązanie tej kryminalnej zagadki.

Gdy dojechałam do zagajnika, zsiadłam z konia i przywiązałam go do drzewa.

Rozejrzałam się niepewnie dookoła. Jaka cisza tam panowała! Poczułam, że po plecach przebiegają mi ciarki. Między drzewami widać było ruiny kaplicy i odruchowo poszłam w tamtą stronę.

Promienie słońca przeświecając między gałęziami, układały się na ściółce leśnej w migotliwy deseń. Jeżeli ostatnio ktoś tu kopał, z pewnością uda mi się znaleźć to miejsce.

Szłam, patrząc pod nogi i obserwując rosnącą kępami trawę.

Jeżeli ktoś szukałby miejsca na ukrycie zwłok, bez trudu mógł to zrobić w zagajniku. Ukryty między drzewami, już z daleka słyszałby kroki zbliżającej się osoby. A jeżeli by go zapytano, czemu kopie ziemię? Mógłby przecież odpowiedzieć, tak jak Napier: „Pomagam komuś, kto nie może zrobić tego sam”.

— Nie! — zaprzeczyłam gwałtownie, nie zdając sobie sprawy, że słowa te wypowiedziałam na głos.

Gdy znalazłam się już przy kaplicy, wyciągnęłam rękę i dotknęłam zimnej ściany. Obiecałam sobie, że przyjdę tu kiedyś, gdy znowu pojawi się tajemnicze światło i dowiem się, kto usiłuje nas oszukać. Wślizgnęłam się do środka przez otwór w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi i stałam tam przez chwilę, patrząc na niebo przez zwalony dach. Gdy się ruszyłam, niespodziewanie zachrzęściły pogruchotane płytki posadzki. Nawet w słoneczny dzień trudno było tu przebywać bez strachu.

Miałam dziwne uczucie, jakby te wypalone na czarno ściany chciały mnie na zawsze zamknąć w swoim wnętrzu. Szybko wybiegłam na zewnątrz.

Jeżeli ktoś wykopał tu dół, to prawdopodobnie nie zrobił tego tuż przy ścianach kaplicy. To miejsce uchodziło za nawiedzone i ludzie raczej je omijali. A może właśnie to było najlepszą gwarancją, że nikt tu nie przyjdzie i nie będzie szukał grobu zaginionej? I jeszcze to światło. Może pojawiała się po to, aby trzymać ludzi z daleka od tego miejsca. Z pewnością mogłabym znaleźć argumentację dla obu tych możliwości.

Zaczęłam oglądać ziemię przy ścianie kaplicy. Na jednym skrawku nie było trawy. Ukłękłam, by lepiej się przyjrzeć temu miejscu. Nagle usłyszałam z tyłu trzask łamanej gałązki i padł na mnie czyjś cień.

— Szuka pani czegoś?

Dech mi zaparło ze zdumienia, gdy podniosłam głowę i zahaczyłam Napiera. W jego głosie słychać było kpinę, ale oczy wyrażały oburzenie.

— Nie... nie słyszałam, jak się pan zbliżał.

— Co, do diabła pani tutaj robi? Modli się? Czy może coś pani zgubiła?

— Broszkę...

Napier dotknął palcem kamei, którą miałam przypiętą podszyją.

— Jest na miejscu... dobrze przypięta.

— Ach, a ja myślałam...

Głupio to wypadło, ale przecież nie mogłam mu powiedzieć, że jak wielu innych, podejrzewałam go o zamordowanie żony. Bo przecież wcale go o to nie podejrzewałam, poprawiłam się natychmiast. Wręcz przeciwnie, na przekór wszystkiemu, chciałam udowodnić, że był niewinny.

Stał przy mnie, uśmiechając się ironicznie, co wcale nie pomagało mi wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

— Widziałem z daleka, jak zatrzymała się pani przy chałupie Brancotów.

— Nie widziałam pana.

— Wiem. Brancot powiedział mi, że pochwaliła pani jego ogród, a on przyznał, że to ja mu pomagałem. Pamięta pani... spotkaliśmy się, gdy wracałem od niego z narzędziami.

— Pamiętam.

— Wykazała pani wielką odwagę, przychodząc tutaj — zaśmiał się nagle. — To miejsce cieszy się złą sławą.

— Nawet w ciągu dnia? — zapytałam, powoli odzyskując spokój.

— Jeżeli jest się tu samemu...

— Ale ja nie jestem sama.

— Gdy się nad tym zastanowić, to strach bierze się z poczucia, że nie jest się samemu.

— Ma pan na myśli duchy?

— Gdy podszedłem, wyglądała pani na bardzo przestraszoną. Nawet teraz nie jest pani całkiem spokojna. — Wziął mnie za rękę i przyłożył palec do mojego puls. — Troszkę za szybki, moim zdaniem — stwierdził.

— To prawda, że mnie pan przestraszył. Pojawił się pan tak nagle.

— Wcale nie szukała pani broszki. Gdyby tak było, najpierw sprawdziłaby pani tam, gdzie powinna być, czyli pod szyją. — Dotknął mojej broszki, podchodząc bardzo, bardzo blisko. Wstrzymałam oddech. Poczułam nagle, że uleciała z niego cała sympatia, jaką mnie darzył. Domyślił się, o czym myślałam, przychodząc tutaj i nienawidził mnie za to.

— Chciałbym, abyśmy byli wobec siebie szczerzy — powiedział, opuszczając ręce.

— Ja też.

— Ale pani nie powiedziała mi prawdy. Przyszła tu pani sądząc, że Edith jest zakopana... w tym zagajniku?

— Musi gdzieś być.

— I myśli pani, że ktoś... ją zabił i zakopał tutaj?

— Nie jestem o tym przekonana.

— Ma pani jakąś inną hipotezę?

— Po prostu wydaje mi się dziwne, że dwie osoby zaginęły w tym samym miejscu.

— Dwie?

— Zapomniał pan o tej kobiecie z obozu archeologów?

— To prawda, ona również zaginęła. — Cofnął się o krok i oparł się o ścianę kaplicy. — Myśli pani, że ona też jest tu pochowana. A wytypowała już pani mordercę?

— Skąd mogę to wiedzieć? Wydaje mi się jednak, że wszyscy odetchnęlibyśmy z ulgą, gdyby udało nam się znaleźć odpowiedź na to pytanie

— Oczywiście z wyjątkiem mordercy. Sądzi pani, że byłby zadowolony?

— Nie sądzę, aby on lub ona czuł się szczęśliwy teraz.

— Dlaczego?

— Czy ktoś, kto zabrał życie innemu człowiekowi, może być szczęśliwy?

— Jeżeli człowiek traktuje siebie jako coś najważniejszego na świecie, a życie innych nie ma dla niego najmniejszej wartości, wtedy eliminuje tych, którzy mu przeszkadzają, zupełnie tak samo jak osy lub ćmy.

— Domyślam się, że są tacy ludzie.

— Ja jestem pewien, że istnieją. Wyobrażam sobie, że nasz morderca jest z siebie bardzo zadowolony. Zwyciężył. Osiągnął swój cel i nikt nawet się nie domyśla, kim jest. Wszystkich nabił w butelkę. Przejdźmy się razem po zagajniku, badając ziemię i szukając grobów tych ofiar. Chciałaby pani to zrobić?

— Muszę wracać do pracy. Pójdę już.

Uśmiechnął się do mnie z niedowierzaniem i wrociliśmy do koni. Pomógł mi wsiąść, a potem sam wskoczył na swojego wierzchowca i razem pojechaliśmy do domu.

Udałam się prosto do swojego pokoju i spojrzałam w lustro. Miałam nadzieję, że nie dałam po sobie poznać, co się działo w mojej duszy, sama nawet nie byłam pewna swoich uczuć.

Bałam się, że zabraknie mi odwagi, by je poznać i dać im wiarę, byłam bowiem przekonana, że nie mogę sobie ulać.

## Rozdział 9

Wodfrey Wilmot bez przerwy szukał okazji, by być ze mną sam na sam. Nie przychodziło mu to łatwo, gdyż pani Rendall tak wszystko organizowała, aby nie miał ku temu zbyt wielu możliwości.

Powinam się może przyznać, że robienie jej na złość sprawiało mi pewną przyjemność. Na swoją obronę mogę tylko dodać, że pragnęłam w ten dziecinny sposób polepszyć sobie podły nastrój, który ostatnio mnie nie opuszczał. Usiłowałam wyrzucić z głowy wszystkie myśli dotyczące Napiera, a w towarzystwie wikarego przychodziło mi to najłatwiej. Mieliśmy pokrewne dusze, oboje kochaliśmy muzykę, a jego zainteresowania archeologiczne przypominały mi siostrę i rodziców. Z satysfakcją obserwowałam, jak rodziła się we mnie przyjaźń do tego czarującego mężczyzny, otwartego i szczerego, w którego obecności nie myślałam o powikłanych losach członków rodziny Stacy.

Bardzo lubiliśmy razem spędzać czas i często śmiałyśmy się serdecznie z zachowania pani Rendall zastanawiając się, jak pokrzyżować jej plany, mające nie dopuścić do naszych spotkań.

Czasami umawialiśmy się w kościele, gdzie Godfrey lubił grywać na organach. Wślizgiwałam się po cichu do nawy i słuchałam tej przepięknej muzyki, zapominając o całym świecie. Poszłam tam dzień po niefortunnym spotkaniu z Napierem w zagajniku.

Miejscowy kościół, kamienny, z niewysoką wieżą porośniętą bluszczem, był doskonałym przykładem architektury czternastowiecznej. Zatrzymałam się w drzwiach prowadzących do kruchty, głęboko poruszona dźwiękami muzyki organowej. Godfrey grał po mistrzowsku. Nie chcąc mu przeszkadzać, stałam bez ruchu, przyglądając się wspaniałemu witrażowi poświęconemu pamięci Beau. Pod nim znajdowała się ławka rodziny Stacy, a na ścianie obok wygrawerowano długą listę parafialnych pastorów, od roku 1347 po 1880, którą zamykał Arthur Rendall. Stęchły zapach wilgoci, typowy dla starych, kamiennych, nie ogrzewanych budowli, czuć było wyraźniej, gdy kościół był pusty. Wyobraziłam sobie, jak wiele pokoleń rodu Stacy modliło się tu i spowiadało. Napier i Beau byli tu ochrzczeni, a Sybil marzyła, aby przed tym właśnie ołtarzem wziąć ślub ze swoim narzeczoną. Gdy usłyszałam, że wybrzmiały ostatnie akordy muzycznego finału, wyszłam spod chóru na środek nawy.

— Cieszę się, że pani przyszła — przywitał mnie Godfrey. — Już zaczynałem się niepokoić.

— Niepokoić o mnie? Dlaczego?

— Nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu pomyślałem, że może pani grozić jakieś niebezpieczeństwo.

— Skąd te obawy?

— Zaniepokoiły mnie ostatnie wiadomości o pani Stacy. Dopóki myśleliśmy, że wyjechała ze swoim ukochanym, poszukiwania pani siostry wydawały się czymś zupełnie bezpiecznym. Ale jeżeli oba te przypadki mają ze sobą coś wspólnego, ktoś musi być za nie odpowiedzialny. Zaginięcie tych dwóch kobiet może wskazywać, że popełniono zbrodnię. Nagle zdałem sobie sprawę, że być może jest wśród nas niebezpieczny morderca. Z pewnością nie byłby zadowolony, gdyby zauważył, że ktoś próbuje go zdemaskować. Staraliby się taką osobę wyeliminować.

— A zatem uważa pan, że mogę być następną ofiarą?

— Na Boga, nie! Ale musi być pani bardzo ostrożna.

— Rozumiem. Czy ma pan kogoś na myśli?

— O, tak.

— Kogo?

— Oczywiście, męża.

— Czy to nie jest za bardzo oczywiste?

— Wielkie nieba, to nie jest łamigłówka. To samo życie. Kto chciałby się pozbyć pani Stacy, jeśli nie jej mąż?

— Myślę, że równie dobrze mógłby to zrobić ktoś inny.

— Ale proszę pomyśleć o motywach. Wiem, że była dziedziczką olbrzymiego majątku. Mąż mógł więc liczyć na jej pieniądze. A poza tym, on zdaje się wcale nie był dobrym mężem i traktował ten związek jak interes.

— Poślubiając ją, zdobył już majątek, dlaczego więc miałby ją zabijać?

— Może miał jej szczerze dosyć.

— Nie powinniśmy w ogóle prowadzić takich rozmów. To... niestosowne. Nie mamy prawa, aby osądzać innych.

— Musimy jednak być racjonalni.

— Jeżeli przez bycie racjonalnym rozumie pan oczernianie niewinnych ludzi...

— Skąd pani wie, że on jest niewinny?

— Czyż nie powinno się człowieka uważać za niewinnego, dopóki nie udowodni mu się winy?

— Mówi pani o angielskim prawie. Ale my nie jesteśmy sędziami... jedynie detektywami — amatorami. Powinniśmy rozważyć każdą możliwość.

— W takim razie ja mogę równie dobrze podejrzewać pana, a pan mnie.

— Oczywiście. Ale jakie podamy motyw? —

— Jestem pewna, że coś byśmy wymyślili. Pan, na przykład, mógłby być nieznanym kuzynem, który przybył tu, aby zagarnąć Lovat Stacy. Zamordował więc pan Edith, domyślając się, że oskarżą o to jej męża. Powieszają go i w ten sposób pan odziedziczy cały majątek.

— Całkiem nieźle — powiedział. — Naprawdę, brzmi to przekonująco. A pani chciałaby się wżenić w rodzinę Stacy, morduje więc pani Edith, aby oczyścić sobie pole.

— Widzi pan — triumfowałam. — Każdego można w tej sprawie oskarżyć.

— Ale co z pani siostrą? Jak ją do tego włączyć?

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

Wtedy po raz kolejny poczułam, że jesteśmy obserwowani. Rozejrzałam się niespokojnie dookoła. Godfrey niczego nie zauważył. Co to było? Nie umiałabym precyzyjnie określić, skąd brał się mój niepokój. To jakiś siódmy zmysł sygnalizował mi, że gdzieś, ktoś niewidoczny dla oka, obserwuje nas z ukrycia... i ma złe zamiary.

Co się ze mną działo? Nie mogłam nic powiedzieć Godfreyowi, bo moje słowa zabrzmiałyby zbyt absurdalnie. Nic nie słyszałam i nic nie zauważyłam, miałam jedynie przecucie. Podobne, jak przedtem w chacie, gdy potraktował mnie jak histeryczkę.

— Niech pani będzie ostrożna — powtórzył nagle. — Proszę pamiętać, że wśród nas może być morderca.

Zadrżałam.

— Co się stało? — zapytał zdziwiony.

— To... nic takiego.

— Chyba panią przestraszyłem. Boże! Nie miałem takiego zamiaru. Musi być pani po prostu bardziej ostrożna.

— Jestem zdecydowana dowiedzieć się, co stało się z moją siostrą — powiedziałam stanowczo.

— Oboje będziemy do tego dążyć — zapewnił mnie Godfrey — ale musimy być czujni. Powinniśmy wspólnie nad tym pracować i informować się wzajemnie o każdym, najmniejszym nawet tropie.

Nie powiedziałam mu ani słowa o opowiadaniu Alice, które dało mi tyle do myślenia. Nie przyznałam się też do ostatniego spotkania z Napierem.



— Wciąż uważam, że rozwiązanie tej zagadki znajdziemy na terenie wykopalisk — mówił dalej Godfrey. — Myślę tak ze względu na pani siostrę. To ona zaginęła pierwsza.

Pozwoliłam mu rozwijać tę hipotezę, bo w ten sposób jego podejrzenia oddalały się od Napiera. W pewnej chwili usłyszeliśmy z tyłu ciche kasznięcie.

To była Sylvia, która zbliżała się do nas niepewnym krokiem.

— Mama prosiła, abym pana odszukała. Zaprasza na herbatkę do salonu.

\* \* \*

Któregoś dnia dziewczęta zaprosiły mnie na konną przejażdżkę.

— Wie pani, że do Meadow Three Acres przyjechali Cyganie? — zapytała po drodze Allegra. — Jedna z nich mnie zaczęła i powiedziała, że nazywa się Serena Smith. Pani Lincroft nie była zadowolona, gdy jej to powtórzyłam.

— Nie była zadowolona, bo wiedziała, że sir William nie pochwaliby tego. — Alice starała się bronić matki.

— I tak mam zamiar ich odwiedzić — zawołała Allegra, spinając konia ostrogami i wrywając do przodu.

— Moja mama mówi, że oni przynoszą wstyd temu miejscu — poinformowała nas Sylvia.

— To raczej ona go przynosi! — zawołała Allegra. — Nienawidzi wszystkiego, co jest... wesołe. Ja bardzo lubię Cyganów. W moich żyłach płynie ich krew.

— Czy często tu przyjeżdżają? — zapytałam.

— Raczej nie — odpowiedziała Alice. — Objeżdżają kraj, nigdy nie zatrzymując się dłużej w jednym miejscu. To zabawne. Takie życie musi być ekscytujące, nie uważa pani?

— Jeżeli o mnie chodzi, to z pewnością wolę mieszkać w jednym miejscu.

Alice rozmarzyła się, a ja pomyślałam, że pewnie niedługo napisze opowiadanie o Cyganach. Zdecydowanie powinnam się zapoznać z jej wcześniejszymi pracami. Kto wie, czy ta dziewczyna nie jest obdarzona prawdziwym talentem literackim. Z pewnością wiele czytała, była pracowita i posiadała bujną wyobraźnię. Należało porozmawiać o niej z Godfreyem.

Jadąca przodem Allegra pokrzykiwała, abyśmy nie marudziły. Ruszyliśmy więc cwałem i wkrótce naszym oczom ukazał się cygański obóz.

Na łące zwanej Meadow Three Acres stały ustawione w koło cztery pstrokate wozy. Nigdzie jednak nie było śladu Cyganów.

— Nie podjeżdżaj zbyt blisko — upominałam Allegrę.

— Dlaczego? Przecież nie zrobią mi krzywdy.

— Może nie zyczą sobie, by się na nich gapić. Powinnaś szanować ich prywatność.

Allegra spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Przecież oni nie mają żadnej prywatności, proszę pani. Nie można tego oczekiwać po ludziach, którzy mieszkają w wędrownych wozach.

Nasze głosy dotarły prawdopodobnie do obozowiska, bo po chwili zobaczyliśmy, że zbliża się do nas jakaś Cyganka.

Nie wiedziałam dlaczego, ale w jej twarzy było coś znajomego. Miałam wrażenie, że już ją gdzieś widziałam, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie. Była to pulchna kobieta, ubrana w długą, postrzępioną na brzegach spódnicę i jaskrawoczerwoną bluzkę z głębokim dekoltem, odsłaniającym jej pełne piersi. Gdy szła, widziałyśmy gołe, smagłe łydki i bose stopy. W uszach nosiła okazałe, pozłacane kolczyki, lśniące na tle jej długich, kręconych czarnych włosów. Trudno byłoby odmówić jej wyrazistej, zmysłowej urody.

— Hej! — zawołała do nas gardłowym głosem. — Przyjechałyście zobaczyć Cyganów?

— Tak — odpowiedziała Alice.

— Ty, z czarnymi włosami, lubisz Cyganów, prawda? — Cyganka błysnęła śnieżnobiałymi zębami. — A wiesz, dlaczego? Bo sama jesteś półkrwi Cyganką.

— Skąd to wiesz?

— Ach, za dużo by opowiadać. Mogę ci nawet powiedzieć, jak się nazywasz. To piękne imię. Allegra.

— Czy możesz przepowiedzieć mi przyszłość?

— Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

— Moim zdaniem — odezwała się zaniepokojona — powinniśmy już wracać.

Dziewczęta nie zwracały uwagi na moje słowa, podobnie zresztą jak Cyganka.

— Allegra z wielkiego domu. Opuszczona przez podłą matkę. Ale nie martw się, moja droga. Czeka na ciebie piękny książę i wielki majątek.

— Naprawdę? — Ucieszyła się Allegra. — A co z innymi dziewczętami?

— Zobaczmy, kogo tu jeszcze mamy? Młoda dama z plebanii i jeszcze jedna z wielkiego domu... chociaż w zasadzie do niego nie należy. Podaj mi rękę, kochanie.

— Ale my nie mamy pieniędzy — zaprotestowałam.

— Za towarzystwo nie trzeba płacić, proszę pani. Zobaczmy zatem... — Alice podała jej dłoń, która w rękach Cyganki wydawała się bardzo mała i biała.

— A więc... ty jesteś Alice.

— Wspaniale — zawołała zachwycona dziewczyna.

— Mała Alice, która mieszka w wielkim domu, chociaż do niego nie należy... jednak pewnego dnia tak się stanie. Ktoś bardzo ważny zrozumie, że tak powinno być.

— Och! — zawołała Alice. — To wspaniale.

— Naprawdę musimy już wracać — powtórzyłam. Cyganka oparła ręce na biodrach i patrzyła na mnie wyzywająco.

— Przedstawcie mnie pani — zażądała bezczelnie.

— To jest nasza nauczycielka muzyki... — zaczęła Allegra.

— Och, czy może pani... przepowiedzieć przyszłość także pani Verlaine?

— Nauczycielka muzyki. Tra la la... — powiedziała Cyganka. — Niech pani będzie ostrożna.

Proszę się strzec mężczyzny o niebieskich oczach...

— A co z Sylwią? — zawołała Alice.

Sylvia zaczerwieniła się i miałam wrażenie, że zaraz ucieknie.

— To córka pastora, która uczy się razem z nami — wyjaśniła Alice.

— Nie musisz jej tego mówić — strofowała ją Allegra. — Przecież ona wie.

— Zawsze robisz to, co każe ci matka, prawda kaczuszeko? — zapytała Cyganka.

Sylvia zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

— Ona wie... Cyganie mają taką moc — wyszeptała Allegra.

— To naprawdę niezmiernie interesujące, ale musimy już wracać — powiedziałam.

Allegra chciała zaprotestować, ale dałam znak Alice, która posłusznie zawróciła konia.

— Racja — pokiwała głową Cyganka. — Kiedy ma się wątpliwości, należy uciekać.

Obie z Alice powoli ruszyłyśmy w drogę powrotną. Sylvia też do nas dołączyła, ale Allegra najwyraźniej się ociągała.

Czy to możliwe, że ta kobieta jest matką Allegray, myślałam. Podobieństwo było uderzające i doskonale wiedziała, kim były dziewczęta.

Widząc ją tak ponętą i zmysłową w kwiecie wieku, domyślałam się, jak powabną dziewczyną musiała być piętnaście lat temu, kiedy zapewne nie była wiele starsza od Allegray.

Czy ja rzeczywiście chcę się mieszać w sprawy Lovat Stacy, zastanawiałam się wracając do domu.

Pani Rendall znowu przybyła do Lovat Stacy z groźną miną generała. Obie z panią Lincroft natknęłyśmy się na nią w holu, ale żona pastora udawała, że mnie nie widzi.

— To niedopuszczalne — zawołała. — W naszej okolicy są Cyganie. Pamiętam, że jak byli tu ostatnim razem, zapaskudzili drogi i pola. Kręcą się wszędzie z tymi koszykami, poubierani w pstrokate łachy. Powiedziałam pastorowi: „Trzeba coś z tym zrobić, im szybciej tym lepiej”. To jest ziemia sir Williama i powinien im zakazać tu przebywać. Dlatego właśnie przyszedłam, aby porozmawiać z sir Williamem. Proszę mu powiedzieć — zwróciła się do pani Lincroft — że czekam i jak najszybciej chciałabym się z nim zobaczyć.

— Przykro mi, ale sir William jest bardzo chory. Teraz odpoczywa.

— Odpoczywa! O tej porze. Jestem pewna, że będzie mi wdzięczny za tę informację. Z pewnością nie życzyłby sobie, aby Cyganie rozbili obozowisko na jego ziemi.

Zamierzałam odejść, ale pani Lincroft dała mi znak, abym została.

— Przykro mi, proszę pani — zwróciła się do pani Rendall tonem nie znoszącym sprzeciwu — ale sir William nie czuje się na tyle dobrze, aby niepokoić go takimi sprawami. Uważam, że powinna się pani spotkać z panem Napierem Stacy. Jak pani wiadomo, on zarządza tu wszystkim.

— Z panem Napierem Stacy! — oburzyła się pani Rendall. — Z pewnością nie. Powinnam porozmawiać z sir Williamem i będę pani bardzo zobowiązana, jeśli powie mu pani, że tu jestem i czekam.

— Sir William nie byłby z tego zadowolony. Podobnie zresztą jak doktor, który zabronił mi się denerwować.

— Ale pastor i ja stanowczo uważamy, że coś trzeba zrobić.

— A więc proszę o tym porozmawiać z panem Napierem Stacy.

Pani Rendall obrzuciła nas jadowitym spojrzeniem i wymaszerowała.

\* \* \*

Dwa dni później znalazłam w pokoju zaadresowaną do mnie, zaklejoną kopertę. Otworzyłam ją i znalazłam w środku krótki list.

*Droga C, proszę, przyjdź dziś do chaty o wpół do siódmej wieczorem. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.*

*G.W.*

Bardzo lapidarnie napisane, pomyślałam. I konkretnie. Był to pierwszy list, jaki otrzymałam od Godfrey'a. Zaproponowana przez niego pora była rzeczywiście bardzo dogodna. Mielibyśmy trochę czasu, aby spokojnie porozmawiać, zanim on będzie musiał wrócić na plebanię, a ja do Lovat Stacy na kolację.

Wymknęłam się z domu i byłam na miejscu kilka minut przed umówioną godziną. Po drodze nie spotkałam żywego ducha. Było bardzo cicho i pomyślałam nawet, że to chyba najspokojniejsza pora, kiedy jeszcze nie skończył się dzień, a wieczór nie zaczął.

Weszłam do środka, a ponieważ Godfrey'a tam nie było, wspięłam się po schodach na piętro, aby móc dostrzec go, gdy będzie nadchodził.

Stałam przy małym okienku, patrząc na wykopaliska i myśląc o Romie. Po raz setny usiłowałam wyobrazić sobie, co też mogła robić w dniu, kiedy zaginęła.

Czas płynął bardzo wolno. Chociaż było dopiero pięć minut po wpół do siódmej, zaczęłam się zastanawiać, co mogło Godfreya zatrzymać. Zdążyłam się już przekonać, że był człowiekiem niezwykle punktualnym. Uśmiechnęłam się na myśl, że miał pewnie problemy, by niepostrzeżenie opuścić plebanię.

Minęło kolejne pięć minut i to było już bardzo niepodobne do Godfreya. Nie przeczuwałam jednak żadnego niebezpieczeństwa aż do chwili, gdy doleciał mnie gryzący w oczy zapach dymu. Coś się paliło! Ale nawet wówczas najpierw pomyślałam, że to pewnie gdzieś na zewnątrz. Usiłowałam otworzyć okno, jednak zamek zardzewiał i nie można go było ruszyć. Wtedy właśnie usłyszałam trzask płomieni i w mgnieniu oka zrozumiałam, że pali się chata.

Przebiegłam przez oba pomieszczenia, służące nam kiedyś za sypialnie i ze zdumieniem stwierdziłam, że drzwi na schody są zamknięte. Byłam pewna, że wchodząc tu, zostawiłam je otwarte. Szarpnęłam za klamkę, ale ani drgnęły. Spróbowałam jeszcze raz, to samo.

Nagle dotarła do mnie cała groza sytuacji. Drzwi zostały zamknięte. Ktoś był w chacie, gdy do niej weszłam, albo też wkradł się tuż po mnie i kiedy wyglądałam przez okno, zaryglował od zewnątrz drzwi... a potem podpalił chatę.

— Wypuście mnie! — wołałam przerażona, waląc w drzwi. — Kto tam jest?

Widząc, że to na nic, rzuciłam się z powrotem do okna i szarpiąc je, usiłowałam otworzyć. Ale nawet gdyby mi się to udało, nie przecisnęłabym się przez nie.

Pokój był już pełen dymu. Zaczęłam kasłać i krztusić się, pod stopami czułam gorące powietrze. Wiedziałam, że to nie był wypadek. Ktoś mnie tu zamknął i podłożył ogień.

Godfrey, pomyślałam w rozpacz. Ale nie... to niemożliwe. Chociaż list był od niego, zrozumiałam, że był to tylko pretekst, aby mnie tu zwabić.

W kącie pokoju stała miotła. Złapałam ją i zaczęłam rozpaczliwie walić w okno.

— Na pomoc! — wołałam. — Pali się! Pali się!

Żadnego ratunku, słyszałam tylko trzask ognia, który był coraz bliżej.

Podbiegłam do drzwi... były bardzo ciężkie. Rzuciałam się na nie całym ciałem, próbując je wyważyć. Nic nie pomagało, ani drgnęły. Byłam zamknięta w płonącej chacie.

Szybko wróciłam do okna i krzyczałam przez szybę, co sił w płucach. Żadnego ratunku. Znowu rzuciłam się do drzwi i zaczęłam rozpaczliwie szarpać za klamkę. Już prawie nic nie widziałam, tyle było dymu. Dusiałam się.

Nagle zastygłam bez ruchu, nasłuchując. Z dołu dobiegł mnie czyjś głos.

— Tutaj! Jestem na górze! — krzyknęłam ostatkiem sił. Dym i żar tak mnie osłabiły, że zaczęłam tracić przytomność.

Poczułam, że ktoś wszedł do środka, nakrył mi czymś twarz i schwycił mnie za rękę.

— Szybko! Biegiem! Na dół! Nie mogę pani podnieść.

To był głos Alice. To ona... przeciągnęła mnie przez buchający żar.

Ocknęłam się na świeżym, chłodnym powietrzu.

— Już wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

Potem ktoś zaniósł mnie do bryczki i przez jakiś czas, dopóki znowu nie zemdlałam, słyszałam miarowy stukot końskich kopyt.

\* \* \*

— Gdyby nie było tam Alice, Bóg jeden wie, co by się z panią stało — powiedziała pani Lincroft.

Leżałam w łóżku. Doktor zapisał mi środki uspokajające i polecił pani Lincroft, aby czuwała przy mnie, gdy zasnę.

Alice też siedziała przy moim łóżku, jak dobry anioł stróż, w poczuciu, że ocaliwszy mi życie, dalej musi się mną opiekować.

— Powinna pani dobrze wypocząć — mówiła jej matka. — Przeżyła pani ogromny szok.

Odpooczywałam więc i myślałam o liście od Godfrey'a, o Romie, która wyszła z chaty i nigdy nie wróciła... Oboje stali obok mnie i śmiali się. „Nie ufaj nikomu — ostrzegwał mnie jakiś wewnętrzny głos. — Absolutnie nikomu”.

— Już po wszystkim, proszę pani — usłyszałam szept Alice. — Jest pani bezpieczna w swoim łóżku.

Alice stała się bohaterką wieczoru. Była bardzo przejęta, tym bardziej że ratując mnie z płomieni, sama przy tym trochę ucierpiała: miała osmalone rzęsy i oparzoną rękę, którą gasiła moją palącą się suknię.

— Wykazała zadziwiającą przytomność umysłu — stwierdziła z dumą pani Lincroft, ocierając łzy. — Jestem taka dumna z mojej małej córeczki.

— Nie zrobiłam niczego poza tym, co zrobiłby każdy na moim miejscu — powiedziała Alice. — Szłam właśnie na plebanię, aby zabrać książkę od historii, którą tam zostawiłam. Była mi potrzebna do pracy domowej. Co za szczęście, że zapomniałam o niej rano! Nagle zobaczyłam, że chata się pali, pobiegłam więc, aby sprawdzić, co się stało... i wtedy usłyszałam wołanie pani Verlaine...

W pobliżu znalazł się także John Downs, jeden z ogrodników zatrudnionych w Lovat Stacy. Usłyszał krzyki Alice i pobiegł za nią do chaty. Jednak, gdyby nie natychmiastowa pomoc dziewczynki, on sam prawdopodobnie przybyłby mi na ratunek za późno.

— Co za szczęście, że pojawiła się tam w porę — powtarzali wszyscy.

— Doprawdy, pani Verlaine miała dużo szczęścia. A Alice bez wątpienia należy się medal.

Spędziłam w łóżku jeszcze kilka następnych dni. Chociaż fizycznie czułam się dobrze, szok był tak wielki, że trudno było mi się z niego otrząsnąć. Cudem ocalałam z pożaru. Alice uratowała mi życie.

Przez wszystkie te dni moja wybawicielka nie odstępowała mnie prawie na krok. Gdy budziłam się, złana potem po koszmarnych snach, widziałam jej spokojną twarz tuż przy łóżku. Alice promieniała. Była dumna, że odegrała taką bohaterską rolę w tym dramatycznym wydarzeniu.

Ja jednak cały czas zastanawiałam się nad inną sprawą.

Pośród odwiedzających mnie gości byli też Napier i Godfrey. Napier bardzo się o mnie martwił, widziałam to w jego pełnych troski spojrzeniach. Ta świadomość działała na mnie jak cudowne lekarstwo. Przyszedł także Godfrey. Godfrey... On też był bardzo zatroskany. Widząc go, przypominałam sobie, że przecież to na jego prośbę poszłam do chaty.

— Dlaczego przysłałeś mi ten list? — zapytałam, gdy usiadł przy moim łóżku.

— Jaki list? — zapytał.

— List, w którym prosisz, abym przyszła do chaty.

Spojrzał na mnie całkowicie zaskoczony.

— Pani Verlaine przeżyła szok — pośpieszyła z wyjaśnieniami pani Lincroft. — Doktor kazał jej przez kilka dni wypoczywać. Wciąż śnią jej się kosmary... to zrozumiałe.

Godfrey wydawał się zakłopotany i kiedy ponownie zapytałam go o list, szybko zmienił temat.

\* \* \*

Po tygodniu poczułam się już znacznie lepiej, chociaż wciąż jeszcze miewałam sny, w których na nowo przeżywałam koszmar tamtego popołudnia. Śniło mi się, że byłam na górze w chacie...

zamknięta... a na dole czekał na mnie potwór, który chciał mnie zabić. Budziłam się z krzykiem, mokra od potu.

Doktor powiedział, że to naturalna reakcja na szok i że złe sny niedługo miną. Powinnam tylko, o ile to możliwe jak najmniej myśleć o tym, co wydarzyło się w chacie.

Przeszukałam cały pokój w poszukiwaniu listu, ale nigdzie go nie było. Niemniej jednak raz jeszcze poprosiłam Godfrey'a o wyjaśnienia.

— Nie napisałem do ciebie żadnego listu — oświadczył.

— Ale ja go widziałam. Dlatego właśnie poszłam do chaty.

Godfrey kategorycznie kręcił głową.

— Był zaadresowany na moje nazwisko i brzmiał następująco: „Droga C, proszę przyjdź dziś do chaty o wpół do siódmej wieczorem. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. G.W.”

— Nigdy go nie napisałem.

— Więc kto?

Patrzył na mnie przerażony.

— Gdzie jest ten list?

— Nie wiem. Może zostawiłam go w pokoju, a może miałam przy sobie w kieszeni. Nie mogę go znaleźć.

— Szkoda — zmartwił się. — Ale znasz przecież mój charakter pisma.

— To był pierwszy list, jaki od ciebie dostałam. Ale oczywiście widziałam twoje pismo i tamto wydawało mi się podobne.

— Caroline, jeżeli ktoś podrobił moje pismo...

— Jeżeli? Sugerujesz, że nie było żadnego listu?

— Nie... nie... skądże znowu. — Wydawał się zmieszany. — Ale... jeżeli... Ktoś musiał to podrzucić, żeby zwabić cię do chaty.

— W wiadomym celu.

— Co masz na myśli?

— Mam wrażenie, że zostałam wyznaczona na następną ofiarę.

— Caroline!

— Alice pokrzyżowała te plany.

— Ależ, droga Caroline, to... to przerażające!

— Całkowicie się z tym zgadzam — powiedziałam chłodno, rozżalona jego sugestią, że wymyśliłam sobie list. — Roma... Edith... a teraz ja. Co może nas łączyć? Może to, że osoba odpowiedzialna za dwa pierwsze zniknięcia zauważyła, że próbuję dojść prawdy?

— Ale kto może o tym wiedzieć? — zapytał Godfrey. — Tylko ja wiem, że próbujesz rozwiązać tę zagadkę. Chyba nie sądzisz, że ja...

Zaśmiałam się, ale natychmiast znowu spoważniałam.

— Godfreyu, ktoś próbował mnie zabić. Co mam robić?

— Możesz stąd wyjechać.

— Wyjechać! — Wyobraziłam sobie natychmiast, jak samotne życie wiodłabym z dala od Lovat Stacy, nie wiedząc, co dzieje się w miejscu, które stało się moim nowym domem. Postanowiłam, że niezależnie od wszystkiego, zostanę tutaj.

— Nie mogę wyjechać — powiedziałam kategorycznie. — Będę bardzo ostrożna i kiedy otrzymam kolejny list z prośbą o spotkanie, poproszę o potwierdzenie tego przy świadku.

— Na Boga, uważaj na siebie.

— Godfreyu, ja naprawdę się zastanawiam, skąd wziął się u mnie ten list...

— I to pisany moim charakterem... a przynajmniej opatrzony moimi inicjałami.

Cały czas nie dawało mi spokoju pytanie, gdzie podział się list. Z pewnością go nie zniszczyłam. Byłam niemal na sto procent przekonana, że został w pokoju. Niepokoiła mnie również sprawa zamkniętych drzwi na Pietrze w chacie. Alice powiedziała, że miała pewne trudności z ich otwarciem. Jej zdaniem klamka była zepsuta.

— Ale — twierdziła — byłam tak przerażona, że na nic nie zwracałam uwagi. Wiedziałam tylko, że muszę uratować panią Verlaine. Po prostu zmusiłam te drzwi, by się otworzyły. Gdy tylko znalazłam się w chacie, powtarzałam sobie: „Muszę wydostać stąd panią Verlaine...” i nie pamiętam nawet, jak biegłam po schodach na górę.

Wszyscy uważali, że to absolutnie zrozumiałe. Drzwi zacięły się prawdopodobnie na skutek wilgoci, jaką spowodowały padające ostatnio deszcze. Nie mogąc ich otworzyć, pomyślałam, że ktoś celowo je zamknął, co oczywiście nie mogło się zdarzyć. Chociaż nikt tego głośno nie powiedział, uważano, że po prostu wpadłam w panikę. Ja, rzecz jasna, wiedziałam swoje: ktoś świadomie uwięził mnie w chacie, a to był wystarczający powód, by rzeczywiście wpaść w panikę.

Skąd jednak wziął się ogień? Roma używała do gotowania nafty, której resztki znajdowały się w szopie na podwórku. W końcu przyjęto wersję, że w chacie nocował jakiś włóczęga, który zostawił gdzieś, może właśnie w szopie, tłący się niedopałek papierosa i pożar zaczął się od niego.

— Włóczęga — stwierdził Godfrey. — To jest wyjaśnienie. Pamiętasz ten dzień, kiedy widziałas w oknie czyjś cień? To pewnie był jeden z nich. Ukrył się w szopie i dlatego nikogo nie widzieliśmy.

Wszystko to brzmiało dość logicznie, ja jednak nie mogłam zgodzić się z tą wersją. Byłam pewna, że wypadek został zaplanowany z diabelską premedytacją.

Gdybym się jednak do tego przyznała, ludzie pomyśleliby, że straciłam poczucie zdrowego rozsądku i dałam się ponieść wyobraźni. Godfrey również by mi nie uwierzył, chociaż wiedział, kim jestem i dlaczego tu przyjechałam. A jeżeli on uważał, że fantazjuję, to jak zareagowałiby inni, którzy nie mieli pojęcia, co jest prawdziwym powodem mojego pobytu w Lovat Stacy.

Wiedziałam tylko, że gdyby nie Alice, spaliłabym się żywcem — zamordowana, jak przedtem moja siostra i, w co już nie wątpiłam, Edith.

## *Rozdział 10*

Dopiero po kilku tygodniach odzyskałam w pełni siły po tym strasznym wypadku. Byłam wzruszona opieką, jaką mnie otaczano, nie mogłam się jednak pozbyć myśli, że jedna z osób, które tak troskliwie się mną opiekowały, próbowała mnie zabić. Mimo to postanowiłam nie dzielić się z ni — \* kim swoimi podejrzeniami. Udawałam, że przychyliam się do zaakceptowanej przez wszystkich wersji wydarzeń, według której ogień zaprószył jakiś przypadkowy włóczęga. Tlił się przez dłuższy czas w szopie i jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności przeniósł się na chatę w kilka minut po tym, jak do niej wszłam. Zgodziłam się również z tym, że drzwi na górze mogły się zaciąć. Taka rekonstrukcja wydarzeń wszystkim odpowiadała.

Znowu unikałam Napiera. Nie miałam odwagi spojrzeć mu w oczy, mając w pamięci ból i przerażenie, jakie w nich widziałam, gdy odwiedzał mnie tuż po wypadku. Często natomiast myślałam o naszym spotkaniu w zagajniku, a rozmowa, którą wtedy odbyliśmy, śniła mi się po nocach.

Pani Lincroft zaproponowała, abym na jakiś czas zawiesiła lekcje.

— Szybciej pani dojdzie do siebie — powiedziała. — To było okropne przeżycie. Dziewczeta niewiele stracą, gdy przez kilka dni nie będzie zajęć. Zawsze mogą przecież ćwiczyć grę na fortepianie.

Mnie samej muzyka przynosiła w tamtych dniach ogromną ulgę. Całymi godzinami grałam Chopina i Schumanna, starając się nie myśleć o koszmarze, który przeżyłam zamknięta w płonącej chacie. Któregoś dnia, przeglądając nu — ty, słyszałam, jak dziewczęta rozmawiają o tym ze sobą. Allegra siedziała przy stole i patrzyła przed siebie rozmarzonym wzrokiem.

— Przypuszczam, że napiszesz opowiadanie o tym pożarze — powiedziała do Alice.

— Tak, przeczytam wam, gdy będzie gotowe.

— To będzie opowieść o cudownym ocaleniu — stwierdziła Sylvia. — Ja też chciałabym kogoś uratować.

— Wiem — zaśmiała się złośliwie Allegra. — Chciałabyś wyciągnąć z palącej się chaty pana Wilmota. Musisz jednak znaleźć sobie jakąś inną... ta się już nie nadaje.

— Jakie to dziwne — westchnęła Sylvia. — Mama powiedziała, że to bardzo dziwne...

— Skoro tak, z pewnością jest dziwne — szydziła Allegra.

— ...że były dwa pożary. Spaliła się kaplica w zagajniku i teraz ta chata.

— Zdziwiasz mnie swoją wiedzą matematyczną — kontynuowała Allegra. — Zasłużyłaś na celujący. Jeden plus jeden to razem dwa.

— Chciałam tylko powiedzieć, że to zbieg okoliczności i tyle. Dwa pożary i dwie zaginione kobiety. Uważam, że to dziwne.

— Dwie kobiety? — zdziwiła się Allegra.

— Chyba nie zapomniałaś o pani archeolog? — wtrąciła Alice.

— A o mały włos byłoby trzy — wyszeptwała Sylvia.

— Ale pani Verlaine nie zniknęła — sprostowała Alice.

— Gdyby jednak nikt nie wiedział, dokąd poszła i zginęłaby w pożarze, wtedy po kolejnej osobie nie byłoby śladu.

— Przecież znaleziono by jej... szczątki — zauważyła przytomnie Alice.

\* \* \*



Czekałam na Godfreya na cmentarzu przy grobowcu rodziny Stacy. Nie umawialiśmy się już w kościele, ponieważ stało się regułą, że gdy przychodził pograć na organach, pani Rendall przysyłała tam Sylwię, aby „cieszyła się” muzyką i gdy tylko kończył, dziewczynka natychmiast zapraszała go na herbatę.

— Sylvia zawsze kochała muzykę organową — mówiła pani Rendall. — Myślę, że byłoby nawet lepiej, gdyby zamiast na fortepianie, uczyła się grać na organach. To prawda, że nie robi widocznych postępów w tej dziedzinie, ale muszę powiedzieć, że pracuje bardzo ciężko. Może to zresztą wcale nie jej wina. Jeżeli nauczyciele zajmują się innymi sprawami, nie należy się dziwić, że ich uczniowie nie rozwijają się, jak należy.

Chociaż od pożaru jej stosunek do mnie, podobnie jak wszystkich innych, stał się bardziej przyjacielski, nie mogła ścierpieć, że Godfrey wyraźnie się mną interesuje i często bywałam celem jej ataków.

Godfrey szedł w moją stronę, klucząc między nagrobkami. Słońce rozświetlało jego włosy i pomyślałam, że jest nie tylko bardzo przystojny, ale także pełen zniewalającego czaru, który był odbiciem jego niezwykłego charakteru. Miałam wielkie szczęście, że znalazłam w nim przyjaciela. Zresztą nasza przyjaźń rozwijała się coraz intensywniej.

Od tamtego nieszczęsnego pożaru byliśmy sobie coraz bliżsi. Godfrey czuł się w pewien sposób współodpowiedzialny za to, co się stało, ponieważ bezpośrednim powodem mojego przyścia do chaty był list, napisany rzekomo przez niego. Moim zdaniem, to właśnie było najbardziej niepokojące w tej sprawie. Był to dowód, że zostałam tam z premedytacją zwabiona.

Tylko on wiedział o liście. Na początku uznał to za wymysł mojej wyobraźni, swoistą reakcję na szok, ale później przejął się tak samo mocno jak ja. Poprosiłam go, aby nikomu nie wspominał o liście, mając nadzieję, że może osoba, która go napisała, sama się zdradzi, mówiąc o nim. Nic takiego się jednak nie stało. Godfrey wciąż powtarzał, że dla własnego bezpieczeństwa powinnam jak najszybciej stąd wyjechać. Zaproponował mi nawet, abym poprosiła o urlop i wyjechała do jego rodziny.

— A co będzie ze sprawą Romy? — upierałam się.

— Roma nie żyje. Jestem tego pewien. A jeżeli tak, nic już jej nie możesz pomóc.

— Ale muszę się dowiedzieć, co się z nią stało, nawet jeżeli...

Rozumiał mnie i był coraz bardziej zaniepokojony. Ja też. Zauważyłam u siebie obsesyjny odruch oglądania się do tyłu, szczególnie gdy byłam gdzieś sama. Każdej nocy dokładnie sprawdzałam, czy zamknęłam drzwi od pokoju. W miarę możliwości starałam się sama czuwać nad własnym bezpieczeństwem.

Godfrey uśmiechał się do mnie już z daleka.

— Udało mi się umknąć przed tym psem policyjnym — powiedział. — Myśla, że poszedłem grać na organach. Nie podejrzewają nawet, że spaceruję po cmentarzu w towarzystwie nauczycielki muzyki, której nie udało się zamienić Sylvii Rendall w Clarę Schumann.

— Wyglądasz na bardzo zadowolonego.

— Tak, bo mam dobre nowiny.

— Możesz się ze mną nimi podzielić?

— Oczywiście. Zaproponowano mi dobrze płatną posadę.

— A zatem wyjeżdżasz.

— Wydajesz się tym zaniepokojona. To cudownie, że się martwisz, ale mój wyjazd może nastąpić nie wcześniej niż za pół roku. Aha, widzę ulgę w twoich oczach. Z tego też się cieszę. Wiele się może zdarzyć w ciągu sześciu miesięcy.

— Mówiłeś już Rendallom?

— Jeszcze nie. Boję się, że pani pastorowa wyciągnie wielką spluwę. Nikt jeszcze o tym nie wie. Chciałem, żebyś usłyszała to pierwsza. Oczywiście będę musiał jak najszybciej powiedzieć o tym pastorowi. Musi mieć czas, by znaleźć kogoś na moje miejsce. Jeżeli uda mu się sprowadzić tu nowego wikarego wcześniej, oczywiście zwolnię miejsce przed upływem tego terminu.

— Pani Rendall nigdy się na to nie zgodzi.

— Nie pytałaś o szczegóły — powiedział z uśmiechem.

— Bo nie dałaś mi szansy. A więc opowiedz o tej propozycji.

— To najwspanialsza parafia... w całym kraju... niedaleko Londynu, więc można tam dość często bywać. Po prostu idealne miejsce. Znam je bardzo dobrze. Mój wujek był tam pastorem, zanim został biskupem. W dzieciństwie spędzałem tam dużo czasu.

— Rzeczywiście, brzmi to wspaniale.

— I zapewniam cię, że tak jest. Chciałbym, żebyś to zobaczyła.

— A jak myślisz, jak długo tam zabawisz, zanim zostaniesz biskupem?

— Czyżbyś miała mnie za ambitnego człowieka?

— Niektórzy są urodzeni do godności, inni muszą sobie na nie zasłużyć, a jeszcze inni o nie walczą.

— Cytat nie jest zbyt dosłowny, ale rozumiem, co chciałaś powiedzieć. Uważasz, że niektórzy ludzie są w czepku urodzeni?

— Mniej więcej. Uważam również, że ci, którzy nie są w czepku urodzeni, też mogą być szczęśliwi.

— Pomyśl jednak, ile wysiłku można zaoszczędzić, gdy już ma się go na głowie. Uważasz, że los jest dla mnie zbyt łaskawy?

— Uważam, że życie jest takie, jakie sami sobie zafundujemy.

— Ale niektórzy są naprawdę szczęściarzami. — Jego oczy spoczęły na chwilę na marmurowej figurze anioła. — Nie trzeba daleko szukać. Taki Napier Stacy. Na jego życie olbrzymi wpływ miał nieszczęśliwy wypadek, który mógł zdarzyć się każdemu chłopcu w jego wieku! Wziął do ręki strzelbę, która okazała się naładowana i zabił brata. Jeżeli broń byłaby bez naboju, jego losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Wspaniale, nie uważasz?

— Na szczęście los nie zawsze jest taki okrutny.

— To prawda. Biedny Napier!

Godfrey był bardzo podniecony wizją swojej przyszłości. Oczekiwał jej z nadzieją i niecierpliwością, ale na razie musiał jakoś wypełniać sobie czas w Lovat Mill. Dobrodusznie żartował z pani Rendall, która postawiła sobie za punkt honoru wydać za niego Sylwię i prowadził ze mną długie rozmowy, podczas których zastanawialiśmy się, jak rozwiązać zagadkę zaginięcia dwóch kobiet.

Było jednak coś jeszcze. Godfrey myślał o mnie tak samo poważnie jak ja o nim.

Mój Boże, wszystko wskazywało na to, że całkiem serio rozważał możliwość zaproponowania mi, bym dzieliła z nim uroki przyjemnego życia na plebanii niedaleko Londynu. Oczywiście, musiał się nad tym jeszcze poważnie zastanowić, ale z pewnością skłaniał się ku takiej decyzji. Godfrey nie był człowiekiem impulsywnym. Być może to właśnie by — to podstawą jego sukcesów. Na razie byliśmy tylko parą bliskich przyjaciół, dzielących wspólne zainteresowania i usiłujących rozwiązać kryminalną zagadkę. Ja jednak czułam, że rodzi się między nami coś więcej i że los oferuje mi szansę zbudowania nowego życia.

— Chciałbym, abyś odwiedziła kiedyś to miejsce — powtórzył. — Jestem ciekaw twojej opinii.

— Mam nadzieję, że kiedyś mnie tam zawieszysz.

— Z pewnością, obiecuję.

Oczami duszy widziałam już malowniczy domek z pięknym ogrodem. Mój dom? W salonie z tarasem stałby wielki fortepian. Grywałabym często, chociaż z pewnością nie zajmowałabym się muzyką profesjonalnie. Nadal byłaby dla mnie źródłem radości, ale nie musiałabym już nigdy męczyć się z niemuzycznymi uczniami.

Miałabym też dzieci. Wyobraziłam je sobie... uroczne maleństwa z pałającymi szczęściem buźkami — chłopcy podobni do Godfrey, dziewczynki do mnie, niewinne i nie wiedzące, co to smutek. Pragnęłam być matką tak samo mocno, jak niegdyś zadziwić świat moją muzyką. Ale marzenia o sławie już mnie opuściły. Tęskniłam za szczęściem, bezpieczeństwem, domem i rodziną.

I chociaż Godfrey nie był jeszcze gotowy, aby mi się oświadczyć, a ja nie byłam pewna, jaką dam mu odpowiedź, wydawało mi się, że wreszcie dotarłam do końca ciemnego tunelu i mogłam dostrzec rozciągającą się przede mną rozświetloną słońcem ścieżkę.

\* \* \*

Kiedy pani Rendall dowiedziała się o planach wikarego, wcale się tak bardzo nie zmartwiła. Sześć miesięcy to kawał czasu i, jak powiedział Godfrey, wiele się jeszcze mogło zdarzyć. Sylvia musi trochę podrosnąć, zmienić się z brzydkiego kaczątka w piękną łabędzicę. Trzeba tylko bardziej zadbać o jej wygląd. Natychmiast posłano po pannę Clent, krawcową z Lovat Mill, której polecono przygotować nową garderobę dla córki pastora. Pani Rendall widziała tylko jedną przeszkodę, która mogła pokrzyżować jej plany. Pewna podstępna awanturnica, jej zdaniem, postanowiła schwytać w sidła wymarzonego kandydata na męża Sylvii.

Uwagi, jakie w mojej obecności robiły dziewczęta, czasami czynione wprost, czasami między wierszami, uświadomiły mi, co myślała o mnie pani Rendall. Chociaż oboje z Godfreyem śmialiśmy się z tego często, ja jednak miałam wrażenie, że mój przyjaciel uważał, iż to tylko kwestia czasu, kiedy nasze stosunki staną się takie, o jakie podejrzewała nas żona pastora.

Od czasu do czasu napotykałam utkwione we mnie, poważne spojrzenie Alice.

Zauważyłam też, że zaczęła wyszywać ozdobną poszewkę na poduszkę, posagową, jak mi wyjaśniła.

— Dla ciebie? — zapytałam.

Alice pokręciła przecząco głową i uśmiechnęła się tajemniczo.

Pracowała nad tym bardzo pilnie w każdej wolnej chwili. Przybory do wyszywania nosiła ze sobą w specjalnym woreczku, także własnej roboty i ozdobionym haftami, których nauczyła się od matki.

Domyślałam się, że poszewka była przeznaczona dla mnie, ponieważ Alice ciągle pytała, co myślę o wybranych przez nią motywach.

— Podoba się pani ten wzór? Jeżeli nie, mogę zrobić inny.

— Jest bardzo piękny, Alice.

— Moja córka bardzo panią polubiła od czasu... — zwierzyła mi się pani Lincroft.

— Od tamtego pożaru — uśmiechnęłam się. — To dlatego, że uratowała mi życie. Myślę, że cieszy się z tego na nowo, za każdym razem, gdy mnie widzi.

Pani Lincroft odwróciła głowę, usiłując ukryć wzruszenie.

— Jestem taka szczęśliwa, że była tam wtedy, jestem z niej taka dumna...

— Zawsze będę jej za to wdzięczna — powiedziałam. Pozostałe dziewczęta także zaczęły wyszywać poszewki.

— To dobrze — stwierdziła Alice, patrząc na mnie niemal tak czule jak matka — jeśli ma się wszystko przygotowane na czas.

Poszewka Alice była czysta i schludna, jak ona sama, Allegry zaś szybko zamieniła się w wybrudzoną szmatkę. Oczywiście, nie oczekiwałam, że kiedykolwiek ją skończy. Ta, nad którą pracowała Sylvia, także nie prezentowała się najlepiej. Biedna Sylvia, zmuszona do wyszywania posagowej pościeli dla przyszej narzeczonej mężczyzny, którego matka wybrała za męża dla niej!

Gdy patrzyłam, jak siedzą pochylone nad swoimi robótkami, czułam dla nich wszystkich ogromną sympatię. Stały się już częścią mojego życia. Ich rozmowy zawsze były dla mnie pouczające, czasami zabawne, ale nigdy mnie nie nudziły.

Alice wydała nagle okrzyk niezadowolenia, widząc że Sylvia ukuła się w palec i zaplamiła poszewkę kroplą krwi.

— Nie zarobiłabyś na chleb szyciem — powiedziała z naganą w głosie.

— Nie zamierzam.

— Kto wie, czy nie będziesz tego potrzebować — zaśmiała się Allegra. — Załóżmy, że nie będziesz miała co jeść i szycie będzie dla ciebie jedyną szansą na zarobienie pieniędzy. Co wtedy zrobisz?

— Prawdopodobnie umrę z głodu — odparła Sylvia.

— Ja uciekłabym z Cyganami — powiedziała Allegra. — Oni w ogóle nie muszą pracować.

— To bajki — sprzeciwiła się Alice. — Cyganie także muszą zarabiać. Plotą koszyki i robią wieszaki na ubrania.

— To nie jest żadna praca. To zabawa.

— Chyba tylko ty tak uważasz.

— Nie wysilaj się — zawołała Allegra. — I tak nie będę zajmować się szyciem. Wolałabym być Cyganką.

— Krawcowe szyjące koszule bardzo mało zarabiają — oświadczyła Alice. — Całymi dniami i nocami pracują przy słabym świetle świec i umierają na suchoty, bo nie mają dość świeżego powietrza i źle się odżywiają.

— To straszne!

— Takie jest życie. Thomas Hood napisał o tym piękny wiersz.

Alice zaczęła recytować natchnionym głosem:

*Ścieg, ścieg, ścieg,  
Z biedy głód i brud.  
Szyję podwójną nitką  
Czy to całun, czy koszulę.*

— Całun! — oburzyła się Allegra. — To nie są całuny, tylko poszewki.

— No tak, ale one też nie wiedziały, że szyją całuny. Myślały, że to koszule — wyjaśniła zimno Alice.

Przerwałam tę rozmowę, która wydawała mi się dość upiorna. Zapytałam Alice, czy nie pora już, aby odłożyła swoją robótkę i usiadła przy fortepianie.

Dziewczyna pieczołowicie złożyła materiał, odrzuciła do tyłu włosy i posłusznie wstała.

\* \* \*

Lovat Stacy naprawdę zaczął być miejscem nawiedzonym — przez Cygankę Serenę Smith. Bardzo często widywałam ją kręcącą się w pobliżu rezydencji, a nawet raz czy dwa spacerowała po ogrodzie. Nie robiła tego ukradkiem, ale całkiem otwarcie, jakby miała do tego prawo. To

utwierdziło mnie w przekonaniu, że była matką Allegrę. Prawdopodobnie z tego właśnie rodziło się jej poczucie własności i buta.

Pewnego dnia wchodząc do domu, usłyszałam dobiegający z wnętrza jej głos, ostry i donośny.

— Byłoby lepiej, prawda? — mówiła do kogoś. — Nie chciałabyś znowu być przeciwko mnie, mam rację? Ha. Wiem, że są w tym domu ludzie, którzy nie chcieliby, abym o nich gadała, ale ty boisz się mnie bardziej niż inni. Wiem to. Nie chcę więc słyszeć już tych gadek: „Wyrzucić stąd Cyganów”. Cyganie tu zostaną i tyle.

Zapadła cisza, a ja pomyślałam: „Napierze, Boże drogi, Napierze. Nawarzyłeś sobie piwa. Jak mogłeś związać się z taką kobietą!”

— Tak, tak, droga Amy Lincroft... Amy Lincroft. Mogę zdradzić wszystkim twoje sekrety, twoje i twojej drogiej córeczki. A tego z pewnością byś nie chciała.

Amy Lincroft, zdziwiłam się. A więc to nie Napier!

Właśnie zamierzałam się wycofać, gdy w drzwiach pojawiła się Serena Smith. Była wzburzona, jej twarz płonęła, a oczy miały gromy. Jakaż była podobna do Allegrę, kiedy się złościła!

— Czyżby to była nauczycielka muzyki? Z uchem przy ziemi, och moja pani... albo przy dziurce od klucza? — wybuchnęła śmiechem, a mnie nie pozostało nic innego, jak wyminąć ją i wejść do środka.

W holu nie było nikogo. Zastanawiałam się, czy pani Lincroft słyszała jej uwagę. Zapewne tak, była jednak zbyt zdenerwowana, by ze mną rozmawiać.

\* \* \*

Podczas kolacji pani Lincroft była opanowana i powściągliwa jak zwykle.

— Mam nadzieję, że będzie pani smakować przygotowana przeze mnie wołowina. Alice, zanieś, proszę, obiad i herbatę sir Williamowi. Jak wrócisz, będę podawać do stołu. Alice wyszła z tacą, a ja powiedziałam pani Lincroft, że jej córka to prawdziwy skarb.

— Ma pani rację, jestem szczęśliwa, że Alice jest dla mnie taką podporą.

Przypomniały mi się zasłyszane przy wejściu słowa Cyganki i zaczęłam się zastanawiać, czy istniał kiedykolwiek jakiś pan Lincroft, czy też może dziewczynka była owocem jakiegoś grzechu młodości. Ta druga wersja wydawała mi się bardziej prawdopodobna, tym bardziej że nigdy nie słyszałam o jej mężu.

Pani Lincroft zdawała się czytać w moich myślach.

— Mam nadzieję, że pastorowa nie wda się w żadne kłótnie z Cyganami. Nie robią przecież nikomu szkody.

— Odniosłam wrażenie, że za wszelką cenę chce się ich stąd pozbyć.

— Gdyby miała tak miły i spokojny charakter jak jej mąż, nasze życie tutaj byłoby o wiele przyjemniejsze.

— Szczególnie dla pastora i Sylvii.

Pani Lincroft pokiwała głową.

— Domyślam się, że wie pani, kim jest Serena Smith. Zna pani trochę historię rodziny Stacy.

— Pyta pani o to, czy wiem, że ona jest matką Allegrę?

— Tak, to takie niefortunne. Nie mam pojęcia, dlaczego ją tu kiedyś zatrudniono. Pracowała w kuchni, chociaż nie miała tam wiele do roboty. Potem uwiódł ją Napier i przyszła na świat Allegra. Wszystko to stało się zaraz po śmierci Beaumonta, gdy Napier szykował się do opuszczenia Lovat Stacy. Serena została tutaj, dopóki nie urodziło się dziecko, a potem odeszła.

— Biedna Allegra!

— Gdy wróciłam, zaopiekowałam się nią... Było mi to nawet na rękę, bo mogłam być tu razem z Alice.

— To oczywiste — powiedziałam ze współczuciem.

— A teraz matka Allegry wróciła... gotowa narobić nam kłopotów, jeśli nie zezwolimy Cyganom tu zostać. Nie miałabym nic przeciwko temu. Oni nigdy nie zostają długo w jednym miejscu. Ale ta straszna kobieta zamierza robić z tego problem. Moim zdaniem ona uwielbia stwarzać problemy.

Pani Lincroft rzeczywiście wyglądała na zmartwioną. Siedziała ze spuszczoneymi oczami i nerwowo przygryzała wargi.

Drzwi się otworzyły i weszła Alice. Była lekko zarumieniona i ożywiona.

— On to zjadł, mamusiu. Powiedział, że bardzo smaczne i że nikt nie gotuje tak dobrze jak ty.

— A zatem polepszyło mu się.

— A to wszystko dzięki tobie, mamusiu.

— Siadaj do stołu, kochanie. Już podaję.

Z przyjemnością obserwowałam, z jaką czułością odnoszą się do siebie te dwie istoty.

\* \* \*

Sir William rzeczywiście poczuł się lepiej. Następnego dnia pani Lincroft z radością zakomunikowała mi, że chciałby posłuchać muzyki. Nikt nie powiadomił go o wypadku z pożarem. Pani Lincroft uważała, że nie należy starszego pana denerwować, a ja przyznałam jej rację. Od owego niefortunnego dnia, kiedy zagrałam „Taniec szkieletów”, nie odwiedzałam salonu muzycznego przy jego apartamencie. Najmniejsze nawet wspomnienie tego wydarzenia mogło być niebezpieczne dla jego zdrowia. Był to więc naprawdę dobry znak, że zapragnął posłuchać muzyki.

— Proszę wybrać coś lekkiego i przyjemnego, co już pani grywała tu wcześniej — zdecydowała pani Lincroft. — Sir William niczego nie przygotował, nie czuje się na siłach. Jestem pewna, że sama pani podejmie najlepszą decyzję.

— Myślę, że najlepszy będzie Schumann — zaproponowałam.

— Doskonale. Tylko coś krótszego... Denerwowałam się trochę pamiętając, co wydarzyło się, gdy grałam dla niego poprzednim razem. Jednak gdy tylko zasiadłam przy fortepianie, cały niepokój minął. Grałam przez pół godziny. Kiedy skończyłam i spojrzałam za siebie, zdumiałam się widząc, że oprócz mnie jeszcze ktoś jest w pokoju. Była to stojąca tyłem do mnie kobieta w czarnym kapeluszu przybranym różowymi różami. Patrzyła na wiszący na ścianie portret Beau i przez moment wydawało mi się, że to duch Isabelli. Jednak po chwili usłyszałam znajomy chichot i Sybil odwróciła się.

— Przestraszyłam panią — wyszeptała. Przyznałam, że tak.

— Gdyby zobaczył panią sir William, mógłby...

— Mój brat nie wstaje z fotela. A poza tym to pani muzyka spowodowała u niego szok.

— Grałam tylko to, co mi przygotowano.

— Tak, wiem. O nic pani nie oskarżam. — Zaśmiała się znowu. — A więc pomyślała pani, że muzyka wywołała moją szwagierkę z grobu? Proszę się przyznać.

— Chciałaby pani, aby tak było?

— Nie, oczywiście, że nie. Nie zamierzałam pani przestraszyć. W ogóle o tym nie myślałam. Włożyłam kapelusz, bo zamierzałam pójść do ogrodu. Była pani tak zajęta graniem, że nie słyszała pani, jak weszłam. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Jest pani taka spokojna, nawet po tym, co wydarzyło się w tej chacie na odludziu. Jest pani podobna do pani Lincroft. Ona też jest bardzo opanowana i pilnuje, aby się z niczym nie zdradzić. Czy pani też się pilnuje?

— Nie jestem pewna, czy panią rozumiem.

— Czyżby? William zasnął, nic mu nie może teraz zaszkodzić. To pani muzyka tak na niego działa. „Muzyka posiada moc łagodzenia dzikich obyczajów”. William nie jest już dziki, ale zapewniam panią, że kiedyś był. Czy mogę zaprosić panią do pracowni? Zaczęłam malować pani portret.

— To miło z pani strony.

— Miło. Ja wcale nie jestem miła. Nie robię tego z uprzejmości. Robię to, ponieważ angażuje się pani w życie tego domu. Obserwowałam panią.

— Przyszłam tu, by zagrać dla sir Williama.

— On już śpi. Chodźmy.

Podeszłam do drzwi i zajrzałam do sąsiedniego pokoju. Miała rację, jej brat spał.

— Jeżeli zacznie pani teraz grać, może się obudzić.

Poczułam na ramieniu jej dłoń... drobną dłoń o wysmukłych palcach artysty, na których błyszczał kiedyś zaręczynowy pierścionek, wrzucony później do morza.

— Chodźmy — poprosiła przymilnym głosem. Poszliśmy więc. W pracowni natychmiast rozpoznałam swój portret, chociaż muszę przyznać, że nieco mnie zadziwił. Czyżbym naprawdę była taką posagową i światową kobietą, jaka patrzyła na mnie z obrazu Sybil? Rysy twarzy oddane były wiernie: leciutko zadarty nos, duże oczy i gęste, ciemne włosy. Nawet moje spojrzenie przesycone było tym samym romantyzmem, z którego tak często kpił Pietro. Zdziwiłam się jednak, widząc na swojej twarzy wyraz takiego wyrafinowania, o które nigdy bym się sama nie podejrzewała.

Obserwowała moje zakłopotanie z wyraźnym zadowoleniem.

— Rozpoznała się pani — stwierdziła.

— Tak, oczywiście. Nie może być wątpliwości, kogo przedstawia ten portret.

Sybil przechyliła głowę i spojrzała na mnie z uwagą.

— Zauważyła pani zapewne — powiedziała — że zaczyna się pani zmieniać. To wpływ tego domu. Dotyczy to wszystkich bez wyjątku. Dom jest niczym żyjący organizm, zgadza się pani ze mną?

Odpowiedziałam, że ponieważ został zbudowany z cegieł i zaprawy murarskiej, to nie bardzo mogę się z nią zgodzić.

— Pani celowo daje mi głupią odpowiedź. Domy są żywe. Radość, tragedie... — Zmarszczyła brwi. — Te mury widziały; jak płakałam, aż zabrakło mi łez... A potem były świadkiem, jak zmartwychwstałam niczym Feniks z popiołów, bo znalazłam nowy cel w życiu, którym było malowanie. To zdarza się czasami wielkim artystom. A ja jestem artystką... nie tylko malarką. Sybil! Tak nazwali mnie rodzice. Wiedziała pani, że to oznacza mądrą kobietę? Powiedziałam, że tak.

— Obserwuję i uczę się... a więc staję się coraz mądrzejsza. Weźmy taką panią Rendall... myślę, że powinnam ją kiedyś namalować. Chociaż jest taka jednowymiarowa. Każdy wie, czego się można po niej spodziewać. Inni ludzie są bardziej skomplikowani. Na przykład Amy Lincroft. Tak, to bardzo złożona osobowość. Jest teraz mocno zmartwiona... czuję to. Ona sądzi, że się niczego nie domyślam. Zdradzają ją jednak jej ręce. Bierze w nie różne rzeczy i odkłada na miejsce. Stara się zachować spokój... bardzo się stara. Ale każdy w jakiś sposób się zdradza. Amy Lincroft zdradzają ręce. Boi się. Żyje w ciągłym strachu. Ma swoją tajemnicę... mroczną tajemnicę i jest przerażona. Ponieważ jednak znosi ten strach od dawna, umie nad nim zapanować. Jednak ja nie na darmo nazywam się Sybil.

— Biedna pani Lincroft. Wydaje mi się, że jest bardzo dobrym człowiekiem.

— Pani widzi tylko to, co znajduje się na powierzchni. Nie jest pani malarzem. Jest pani tylko muzykiem. Ale, ale, nie przyszedliśmy tutaj, aby rozmawiać o pani Lincroft. Lincroft! Ha! Ha! Ha! Miałyśmy rozmawiać o pani. Podoba się pani ten obraz?

— Uważam, że ma niewątpliwe zalety.

— Ubawiła mnie pani — powiedziała, wybuchając śmiechem. Nie pytałam panią, czy to dzieło ma jakieś zalety. Zapytałam, czy się pani podoba?

— Nie jestem tego pewna.

— Może to nie jest wizerunek pani dzisiaj... tylko pani w niedalekiej przyszłości?

— Jak mam to rozumieć?

— Maluję panią taką, jaka się pani staje. Osobą bardzo pewną siebie... przygotowującą się do bycia żoną biskupa. Kobieta sukcesu... która będzie pomagać biskupowi w jego obowiązkach. Każdy będzie mówił „Nasz kochany biskup ma szczęście. Jaką wielką pomocą jest dla niego żona”.

— Wydaje mi się, że wzięła pani parę lekcji u Cyganek.

— „Znakomita rozmówczyni! Potrafi się znaleźć w każdej sytuacji! To cenny dar dla naszego drogiego biskupa”. — Przerwała na chwilę. — Wie pani, nie przepadam za tą żoną biskupa. Nie ma to jednak żadnego znaczenia, ponieważ nigdy jej nie poznam, prawda? Mogę ją sobie wyobrazić przy śniadaniu, jak uśmiecha się do swojego męża znad obrusa. Minęło już wiele lat i ona mówi: „Jak się nazywało to miejsce, gdzie się poznaliśmy? Lovat Coś? Jacy tam mieszkali dziwni ludzie! Ciekawa jestem, co się z nimi wszystkimi stało”. A biskup zmarszczy brwi, usiłując coś sobie przypomnieć, ale nie będzie w stanie. Jednak ona będzie pamiętać. Pójdzie sama do swojej sypialni i będzie tęsknić, tęsknić... ponieważ... ponieważ... Ale pani zapewne nie chce, abym mówiła dalej.

Roześmiała się głośno i postawiła na sztalugach portret przedstawiający trzy młode dziewczyny.

— Biedna, biedna Edith. Ciekawa jestem, jak teraz wygląda. Jak to dobrze pamiętać, że były kiedyś wszystkie razem. Chwileczkę. Mam jeszcze jeden pani portret.

— Mój? Szybko pani pracuje.

— Tylko wtedy, gdy pospieszają mnie moje ręce.

— Kto je prowadzi?

— Jeżeli powiedziałabym, że kieruje mną Inspiracja, intuicja i Geniusz, nie uwierzyłaby mi pani. Nie będę więc o tym mówić. A tu mamy znowu panią. Proszę!

Postawiła na sztalugach kolejny obraz. Był to bez wątpienia mój portret, ale jakże inny od tego pierwszego. Włosy spływały mi swobodnie na ramiona, które przykrywała szmaragdowa suknia, a na mojej twarzy malowało się szczęście. Obraz był tak piękny, że nie mogłam od niego oderwać oczu.

Sybil popiskiwała z radości, stojąc na jednej nodze, jak mała dziewczynka.

— Podoba się pani?

— To przepiękny portret. Ale ja tak nie wyglądam.

— Nie wygląda pani jak kobieta na tamtym portrecie... jeszcze.

Przenosiłam spojrzenie z jednego portretu na drugi, ledwo słysząc szept Sybil.

— Mówiłam pani... mówiłam... — Potem zaczęła mówić głośniejszym głosem. — Ta kobieta jest szczęśliwa i radosna... ona po prostu żyje. Ta druga jest stateczna i z biegiem lat staje się coraz bardziej zadowolona z życia. Krowy też są zadowolone, żując trawę. Wie pani o tym? Opuszczają głowy w dół i widzą soczystą trawę. Nic więcej im nie potrzeba, bo niczego więcej nie znają.

— No dobrze, to która jestem ja? Nie mogę być tymi obiema kobietami naraz.



— Nikt z nas nie ma jednej osobowości. Gdyby Harry mnie nie zdradził i nie ożenił się z bogatszą panną, mogłabym być matką i żoną. Z pewnością także by mnie zdradzał, ale wcale nie musiałabym o tym wiedzieć. Ważniejsze jest to, w co wierzymy niż to, co wiemy. Ciekawa jestem, czy zgadza się pani ze mną? Jeżeli jeszcze teraz pani tego nie wie, pewnego dnia pani zrozumie. Otwierają się przed panią dwie drogi. Będzie pani musiała wybierać. Już raz pani wybrała. Och, nie jest pani tak mądra, za jaką chce pani uchodzić. Już raz musiała pani podjąć bardzo ważną decyzję... i nie wybrała pani muzyki. Miała pani rację, czy nie? Tylko pani to wie, tylko pani może stwierdzić, co jest dla pani dobre. Może jednak uważa pani, że to nie była mądra decyzja. Ale ma pani szczęście. Nie każdy dostaje w życiu drugą szansę. Tym razem musi pani dokonać właściwego wyboru. Mnie nigdy nie dano drugiej szansy. — Skrzywiła usta jak do płaczu. — Płakałam i płakałam... — Podeszła do mnie bliżej. — Myślę, że tym razem zastanowi się pani nad wyborem. Tak, sądzę, że tak właśnie będzie.

Jej słowa zaniepokoiły mnie. Byłam przekonana, że jest szalona, ale... Sybil była obdarzona także umiejętnością czytania w moich myślach.

— Oczywiście, jestem szalona. To nieszczęście mnie taką uczyniło, ale zostałam wynagrodzona. Wie pani, że niewidomi mają lepiej rozwinięte pozostałe zmysły. Podobnie jest z szalonymi. Niektórzy posiadają szczególne moce, intuicję. Widzą to, czego inni nie potrafią dostrzec. To miła świadomość, że zawsze można się spodziewać jakiejś rekompensaty.

— Uważam, że to dość wygodna filozofia.

Zaśmiała się hałaśliwie.

— Dyplomatycznie to pani ujęła. Tak, to mi pachnie żoną biskupa.

Nagle wyraz jej twarzy się zmienił. Stał się niechętny i wrogi.

— Ale — mówiła dalej — kto wie, czy w ogóle będzie pani podobna do którejś z nich, jeśli nie przestanie być pani taka wścibska. Jest pani wścibska. — Znowu przybrała pozę małej dziewczynki i wyciągnęła w moim kierunku palec. — Proszę przyznać. Wie pani, co może się przytrafić tym, którzy chcą wiedzieć za wiele i wchodzą w drogę złym ludziom. — Zaśmiała się. — Powinna to pani wiedzieć. Już raz o mały włos nie przytrafiło się to pani.

Stała na środku pracowni, kiwając głową jak chiński mandaryn. Dziwaczna postać w kwiecistym kapeluszu, zakrywającym pomarszczoną twarz i szalone oczy, z których można było także odczytać pewną mądrość.

Nagle wyobraziłam ją sobie, piszącą ten list, wkradającą się do mojego pokoju, czyhającą w szopie przy chacie, rozlewającą naftę...

Ale dlaczego miałyby to zrobić?

Skąd mogłam wiedzieć, jakie sekrety kryje ten stary dom i jak to się łączy z jego mieszkańcami?

Roma, pomyślałam, coś ty odkryła?

\* \* \*

Słowa Sybil przestraszyły mnie bardziej, niż się spodziewałam.

Nikt już chyba nie miał wątpliwości, co łączyło mnie i Godfreya Wilmota. W pewnym sensie tak było. Mogłam rozmarzyć się o spokojnej przyszłości i robiłam to często. Jednak to nie Godfrey był wtedy przy mnie, tylko moje dzieci. To naturalne, uspokajałam się. Każda kobieta pragnie mieć dzieci. A jeżeli jest już dojrzała i nigdy nie rodziła, takie marzenia przesłaniają wszystko inne. Ale... Skąd nagle te wątpliwości? Miałam przecież szczęście, tak powiedziała Sybil. Otrzymałam od losu drugą szansę. Czy może raczej otrzymałabym, gdybym przestała się wtrącać w nie swoje sprawy.

Kiedy byłam z Godfreyem, czas płynął mi szybko i przyjemnie, ale zdarzały się też takie chwile, gdy nie życzyłam sobie jego towarzystwa. Chciałam zostać sama ze swoimi myślami i wtedy najczęściej uciekałam przed ludźmi do małego ogródka, otoczonego kamiennym murem. Wiedziała o tym Alice, która była bardzo bystrą obserwatorką. Tamtego popołudnia przyszła do mnie do ogrodu i zapytała poważnym głosem, czy mi nie przeszkadza.

— Oczywiście, że nie. Wykonałaś już wszystkie ćwiczenia?

— Tak. Chciałam z panią porozmawiać.

— To miło z twojej strony. Usiądź obok mnie. Bardzo tu przyjemnie.

— Lubi pani tu przychodzić, prawda? Często tu panią widuję. Jest tu tak cicho i spokojnie. Domyślam się, że zrobi pani taki sam ogródek w swoim nowym domu.

— Moim nowym domu?

— Po ślubie.

— Moja droga, byłam już raz zamężna i jak na razie nie zamierzam decydować się na to powtórnie.

— Ale wkrótce to się stanie — przysunęła twarz bliżej mojej, tak że widziałam piegi na jej nosie. — Myślę, że będzie pani bardzo szczęśliwa.

— Dziękuję ci.

— Myślę, że pan Wilmot jest czarującym mężczyzną. Jestem pewna, że będzie dobrym mężem.

— Skąd ty możesz wiedzieć, czy mężczyzna będzie dobrym mężem?

— W tym przypadku, to oczywiste. Jest przystojny i bogaty, tak mi się przynajmniej wydaje... inaczej pani Rendall nie wybrałaby go na męża Sylvii. Jest też miły i nie będzie dla pani taki okrutny, jak niektórzy mężowie.

— Zdziwiałam się twoją wiedzą na ten temat.

— Ależ nie — powiedziała skromnie. — Mieszkałam tu razem z Edith i Napierem. On był dla niej bardzo niemiły. Widzi pani, tuż pod ręką miałam negatywny przykład.

— Skąd wiesz, że był dla niej niemiły?

— Edith często płakała. Mówiła, że był dla niej okrutny.

— Tak ci powiedziała?

— Tak. Miała do mnie zaufanie. Pewnie dlatego, że wychowywałyśmy się razem.

— Jak myślisz, dlaczego... odeszła?

— Żeby się od niego uwolnić. Moim zdaniem pojechała do Londynu i pracuje jako guwernantka.

— Dlaczego tak uważasz? Wcześniej byłaś zdania, że uciekła z panem Brownem, pamiętasz?

— Wszyscy tak myśleliśmy. Ale to było niemądre. Przecież ona by z nim nie uciekła, prawda? Żadna zamężna kobieta by z nim nie uciekła, bo on jest wikarym, a tacy nie uciekają z kobietami, z którymi nie mogą się ożenić.

— A zatem twoim zdaniem odeszła, aby żyć na własną rękę. Alice, wyobrażasz to sobie? Pamiętasz przecież Edith. Ona nie poradziłaby sobie sama.

— Powiem coś pani. Jeśli w ogrodzie pojawiłby się nagle tygrys, i pani i ja uciekałybyśmy tak szybko, jak nigdy przedtem. Każdy z nas ma specjalne zapasy siły. Nasze ciała mogą w każdej chwili nam jej dostarczyć. To bardzo interesujące. I prawdziwe, czytałam gdzieś o tym. Natura nas tak zabezpiecza. Edith chciała uciec, więc natura dała jej siłę, aby to zrobiła.

— Ależ z ciebie mądrała.

— Mądrała — powtórzyła. — Nie znałam tego słowa. Podoba mi się. Mądrała. Brzmi bardzo przyjemnie.

— Alice, jeżeli wiesz coś o zniknięciu Edith, powinnaś to powiedzieć.

— Wiem tylko, że uciekła. Nie sędzę, aby kiedykolwiek się odnalazła, bo zapewne nie chce tego. Zastanawiam się, co teraz robi. Myślę, że uczy jakieś dzieci... w domu podobnym do Lovat Stacy. Czy to nie dziwne?

— Zbyt dziwne, aby w to wierzyć — powiedziałam. — Jestem pewna, że Edith nie zrobiłaby tego.

— Ale dopóki Napier ma żonę, nie może się ożenić z nikim innym. Napisałam na ten temat opowiadanie. Występuje w nim kobieta, która poślubiła złego człowieka. Nie potrafi się od niego uwolnić, ucieka więc i ukrywa się przed nim. Rozumie pani, ona nie ma męża, a on nie ma żony, ale tak długo, jak ona się ukrywa, on nie może się powtórnie ożenić. To z jej strony wielkie poświęcenie. Pozostaje w ukryciu, aż do starości, a potem zostaje sama, bo nie ma dzieci i wnuków. Ale na tym polega jej poświęcenie.

— Musisz mi pokazać te swoje opowiadania.

— Och, nie są zbyt dobre. Muszę jeszcze dużo popracować. Mogę zdradzić pani tajemnicę? Ale uprzedzam, że może się pani bardzo zdziwić.

— Nie tak łatwo mnie zdziwić.

— Pan Lincroft nie jest moim ojcem.

— Co?

— Moim ojcem jest sir William. To prawda. Słyszałam, jak rozmawiali, on z moją mamą. To dlatego tu jestem... mieszkam w tym domu. Jestem dzieckiem miłości. Myślę, że to miło być dzieckiem miłości... przynajmniej do pewnego stopnia miło. Dziecko miłości. Podobnie jak Allegra. Ona też jest takim dzieckiem. Czy to nie dziwne, że jesteśmy tu dwie. Dzieci miłości... w tym samym domu, wychowujące się razem.

— Alice, ty znowu fantazjujesz.

— Nie, tym razem nie. Po tym, jak usłyszałam tę rozmowę, zapytałam o wszystko mamę i ona to potwierdziła. Kochała sir Williama i on ją kochał... odeszła, bo myślała, że nie powinna tu zostać. Potem ja się urodziłam, a ona wyszła za pana Lincrofta, który dał mi nazwisko. Dlatego nazywam się Alice Lincroft, ale tak naprawdę jestem Alice Stacy. Sir William jest ze mnie bardzo dumny. Myślę, że pewnego dnia oficjalnie uzna mnie za swoją córkę.

Gdy patrzyłam na jej drobną, nadzwyczaj przejętą twarz, wierzyłam z nią razem, że pewnego dnia naprawdę się to zdarzy.

\* \* \*

Przez cały dzień lało jak z cebra. Dziewczęta wróciły z porannych lekcji na plebanii zupełnie przemoczone i pani Lincroft nalegała, by jak najszybciej się przebrały.

Widząc, jak troskliwie dba o wszystko, pomyślałam, że ta kobieta ma tak silnie rozwinięte poczucie obowiązku, jakby chciała okupić swój grzech zakazanej miłości. Gdy przybyła do tego domu jako osoba do towarzystwa dla Isabelli, musiała być piękną i ponętną dziewczyną. Na pewno zwracała uwagę mężczyzn urodą i wdziękiem. Cóż za emocje i napięcia towarzyszyły nawiązującemu się romansowi między sir Williamem a młodziutką Amy... i co działo się potem, gdy biedna Isabella dowiedziała się o wszystkim!

A kiedy Amy zorientowała się, że jest w ciąży, wyjechała i poślubiła pana Lincrofta, który dał nazwisko jej dziecku. Ciekawiło mnie, kim był ów tajemniczy mężczyzna, który zmarł w dogodnym dla pani Lincroft momencie, umożliwiając jej już po śmierci Isabelli powrót do Lovat Stacy.

Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że ta kobieta wciąż żyła przeszłością. Otaczała ją aura „dni, które nie wrócą”. Wyczuwałam to w jej upodobaniu do szyfonowych „bluzek, długich, powłóczystych spódnic, zwykle popielatych lub bladobłękitnych, owiewających ją jak mgła.

Po herbacie przysła kolej na lekcje muzyki.

— Biedna Sylvia! Straci swoją lekcję — martwiła się Alice.

— Myślę, że jest za to szczerze wdzięczna dzisiejszej pogodzie — oświadczyła Allegra. — Posłuchajcie tylko, jak leje. Cyganie siedzą w swoich wozach i wyplatają koszyki. Ta jedna rzecz zniechęca mnie do bycia Cyganką. Nienawidzę wyplatania koszyków.

— Nienawidzisz każdej pracy. Najchętniej wylegiwałabyś się na słońcu.

*Kto nie ma w życiu celu  
I wyleguje się na słońcu?*

— zaśpiewała Alice. — Odpowiedź brzmi: Allegra. Ale czy ty naprawdę nie masz żadnego celu w życiu? Myślę, że masz. Tylko jaki? Wiem za to, o czym marzy pani Verlaine.

— O czym? — zapytałam z ciekawością.

— Aby zamieszkać w uroczym domu daleko stąd... wraz z przystojnym mężem i gromadką dzieci.

— To dość powszechne marzenie.

— Ja też marzę o czymś podobnym, chciałabym mieszkać w domu takim jak ten. Nie jestem tylko pewna, co do męża. Jeszcze nie wiem, co o tym myśleć. Jestem za młoda.

— Ha, ha! — zaśmiała się Allegra. — Ona tylko tak udaje.

— Wcale nie — upierała się Alice. — Posłuchajcie, pada coraz mocniej. Nikt nie wychodzi w taką pogodę. Nawet duchy.

— Nieprawda, dla nich to najlepszy czas — drażniła ją Allegra. — Prawda, proszę pani?

— Ja uważam, że w ogóle ich nie ma.

— Czuję, że dziś znowu duch pojawi się w kaplicy — powiedziała Allegra.

Alice zadrżała.

— Będę obserwować przez okno — oświadczyła Allegra.

— Nie możesz siedzieć przy oknie całą noc — uświadomiła jej Alice.

— Wiem, ale będę patrzeć, zanim nie pójde spać. W nocy będzie bardzo ciemno, więc łatwo zauważę światło.

— Dziewczęta, porozmawiajmy o czymś sensownym — zaproponowałam. — Alice, chciałabym, abyś jeszcze raz zagrała tego menueta. Ostatnim razem nie było źle, ale musisz jeszcze nad nim popracować.

Alice ochoczo zerwała się z miejsca i usiadła przy fortepianie. Obserwując, jak jej drobne palce uderzają w klawisze, myślałam o tym, że te dwie dziewczynki, o tak różnych charakterach, są dla siebie wymarzoną towarzyszką. Alice umiejętnie utrzymywała w korbach gwałtowną Alle — grę, ta zaś rozładowywała jej sztywność i afektację. Jakże lubiłam te dwie kochane dziewczynki.

\* \* \*

Następnego dnia rano deszcz ustał i zanosilo się na słoneczną pogodę. Szykowałam się, by odprowadzić dziewczęta na plebanię.

— Miałam rację, proszę pani — powiedziała Allegra, gdy tylko wyszliśmy z domu i skierowałyśmy się na Kościelną Drogę. — Tej nocy znowu pojawiło się światło w kaplicy, prawda Alice?

Dziewczynka pokiwała głową.

— Widziałyśmy je bardzo wyraźnie, bo noc była wyjątkowo ciemna.

— Alice chciała pójść do pani i powiedzieć o tym, ale w końcu zrezygnowałyśmy, bo pani i tak w to nie wierzy.

— Pewnie jakaś bryczka przejeżdżała drogą albo coś podobnego — powiedziałam.

— To niemożliwe, tam nie ma żadnej drogi.

— A zatem ten, kto bawi się w ten głupi sposób, musi być niespełna rozumu.

— Albo martwy. Deszcz nie przeszkadza zmarłym, prawda?”

— Dziewczynki, mamy dziś dużo pracy. Sądzę, że najpierw poproszę na lekcję Sylwię.

Po chwili zobaczyłyśmy między drzewami plebanię i gdy weszłyśmy na ścieżkę prowadzącą na ganek, w drzwiach pojawiła się pani Rendall.

— Sylvia — oznajmiła, patrząc na mnie, jakbym była przezroczysta — nie będzie mogła dzisiaj uczestniczyć w lekcjach. Nie czuje się dobrze. Posłałam już po doktora.

— Przykro mi, że Sylvia jest chora — powiedziałam. — Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Nie wiem, co jej jest. Ma dreszcze i kicha... chyba się przeziębiła. — Odwróciła się i weszła do holu, a my za nią. — Och! — Głos pani Rendall stał się nagle słodki jak miód, ponieważ po schodach schodził Godfrey. — Przyszły pana uczennice — zaszczębiotała. — Właśnie wyjaśniałam, że Sylvia musi przez kilka dni pozostać w łóżku.

— Takie są zalecenia doktora?

— Moje. Moje kochane dziecko tak bardzo chciało zanieść wczoraj supę tej biednej pani Córy. Mówiłam jej, że za bardzo pada, ale ona upierała się, że nic nie szkodzi i gotowa jest nawet przemoknąć do suchej nitki, aby tylko pani Córy dostała swoją supę.

— Ależ z niej istna święta! — zawołał wesoło Godfrey, a pani Rendall uśmiechnęła się do niego ciepło.

— Została tak wychowana i zawsze myśli o innych. Dzisiaj tak wielu ludzi... — spojrzała na mnie z wyrzutem, a ja omal nie wybuchnęłam śmiechem. Zauważyłam, że Godfrey też z trudem zachowuje powagę.

Oświadczyłam, że skoro Sylvia nie może brać udziału w lekcjach, nie ma powodu, abym zostawała na plebani. Allegra i Alice mogą odbyć lekcje muzyki w Lovat Stacy. Słyszając to, pani Rendall tak się ucieszyła, że posłała mi tym razem uśmiech pełen wdzięczności.

Wracając do domu zastanawiałam się, czy biedna Sylvia nie przeziębiła się czasem brnąc w deszczu przez zagajnik, aby zapalić światło w kaplicy.

Ale chyba nie miałyby tyle odwagi. Chociaż, kto wie? Była dość dziwną dziewczynką i prawdę powiedziawszy niewiele o niej wiedziałam.

Już z daleka zobaczyłam Godfreya, który stał uparty o ścianę grobowca rodziny Stacy. Było popołudnie i nogi same zawiodły mnie na cmentarz przy kościele. Mieliśmy zwyczaj przychodzić tu o pewnych porach dnia w nadziei, że uda nam się spotkać bez świadków. Wysoka trawa między grobami i drzewa nadawały temu miejscu nastrój intymności.

— Jak się czuje nasza chora? — zapytałam.

— Biedna Sylvia! Nie najlepiej. Doktor powiedział, że wciąż ma gorączkę i powinna przez kilka dni pozostać w łóżku.

— Myślisz, że to skutek przemoknięcia na deszczu?

— Tak sądzę, ona często się przeziębia, biedne dziecko.

— Co myślisz o Sylvii?

— W ogóle o niej nie myślę.

— Jak ci nie wstyd, czyżbyś miał za nic wysiłki jej matki? Naprawdę, bardzo mi jej żal i zastanawiam się, jak to odbije się na jej psychice.

— To? — zdziwił się. — Masz na myśli jej mamusię?

— Tak. Sylvia zawsze jest taka zastraszona. Czy twoim zdaniem ktoś, kto jest tak traktowany jak ona, może chcieć udowodnić innym, że stać go na coś wielkiego?

— Jestem pewien, że Sylvia mogłaby zdobyć uznanie innych, gdyby oczywiście chciała.

— A co myślisz o chodzeniu do kaplicy i zapalaniu światła?

— Myślisz, że to ona udaje ducha? Ale duchy są takie bezosobowe. Gdzie więc satysfakcja?

— Może wystarczy jej świadomość, że ludzie boją się tam chodzić i że to właśnie ona sprawiła, iż się boją.

Godfrey wzruszył ramionami.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, z czego miałyby się cieszyć.

Zaczął mnie już trochę irytować.

— Oczywiście, że nie rozumiesz. Nigdy ci nie zależało, by zwracać na siebie uwagę. Jesteś taki... taki normalny.

Wybuchnął śmiechem.

— Powiedziałaś to tak, jakby w takiej postawie było coś wysoce niestosownego.

— Nie, to jest raczej za bardzo stosowne. Ja chcę po prostu zrozumieć Sywlię.

— To nie jest takie trudne. Ona jest jak mała myszka, a jej matka to stary kocur, który czatuje przy mysiej dziurze, aby ją złapać.

Teraz ja się roześmiałam.

— Pani Rendall bardziej przypomina buldoga. I chyba nie powinniśmy zmieniać jej płci. Samice wszystkich gatunków są bardziej drapieżne niż samce.

— Naprawdę tak uważasz?

— Jeżeli chodzi o pastora i pastorową... tak. Ale wróćmy do Sywlii. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to właśnie ona bawiła się w duchy. Sfrustrowana myszka... szukająca możliwości dania o sobie znaku... wyrażenia własnej osobowości... pragnąca poczuć smak władzy. O to właśnie chodzi: władza. Osoba, która tak często jest stresowana, może wreszcie napędzać strachu innym. Tak. Wszystko pasuje. Tylko jak to się stało, że zachorowała? Przecież nie wychodziła na deszcz, bo była już trochę podziębiona.

— Poczekaj chwilę — zastanowił się Godfrey. — Gdy wróciłem wczoraj wieczorem od pani Córy...

— Od tej samej, której Sylvia chciała z takim poświęceniem zanieść zupę?

— Tej samej. Kiedy więc od niej wróciłem i wieszałem płaszcz w przedpokoju, zauważyłem buty Sywlii, całkowicie przemoczone.

— A zatem była na deszczu. Czy mogła to zrobić tak, aby rodzice o tym nie wiedzieli?

— Oczywiście, jeżeli powiedziała, że źle się czuje i poszła wcześniej do swojego pokoju. Potem z łatwością mogła niepostrzeżenie wymknąć się z domu.

— A więc doszliśmy do czegoś — powiedziałam. — Nikt nie chce działać na szkodę Napiera, tylko Sylvia pragnie się dowartościować. Następnym razem pójdę tam, aby ją zaskoczyć.

— Panie Wilmot! Panie Wilmot! — dobiegł nas słodki, aczkolwiek lekko zaniepokojony głos pani Rendall.

— Lepiej już idź i wypij z nią herbatę — powiedziałam. — Bo inaczej tak długo cię będzie szukała, aż znajdzie.

Godfrey skrzywił się, ale poszedł.

Zostałam jeszcze chwilę na cmentarzu, przyglądając się pomnikowi Beau i myśląc o Sywlii. Bardzo chciałam udowodnić, że to ona zapalała światło w kaplicy.

Gdy postanowiłam wreszcie wracać i ruszyłam w stronę cmentarnej bramy usłyszałam, że ktoś mnie woła. Jak spod ziemi wyrosła przede mną Cyganka. Prawdopodobnie leżała tu, skryta w wysokiej trawie. Zaniepokoiłam się, że słyszała naszą rozmowę.

Kobieta uśmiechała się do mnie nieprzyjemnie.

— Skąd się tu pani wzięła? — zapytałam.

— A co, może nie mam prawa tu przebywać? To miejsce jest dla zmarłych i dla żywych... dla nauczycielek muzyki i dla Cyganek.

— Pojawiła się tu pani tak nagle.

— Czekałam, by z panią porozmawiać.

— Ze mną?

— Dziwi się pani. A czemu nie? Chcę wiedzieć, co się tam dzieje. — Wskazała głową w kierunku Lovat Stacy. — Jak się pani tam pracuje? Pracowałam kiedyś u nich w kuchni. Mieli kucharkę, która strasznie nas pędziła do roboty... a przynajmniej usiłowała. Zawsze gdzieś znikalałam, gdy trzeba było obierać kartofle. Nienawidzę obierania kartofli. Ta kucharka nazywała mnie śmierdzącym leniem. Ale ja znalazłam sobie lepsze zajęcie niż obieranie kartofli — powiedziała, puszczając do mnie oko.

— Nie wątpię — stwierdziłam chłodno i odwróciłam się, by odejść.

— Hej, hej. Nie tak szybko. Nie chce pani ze mną porozmawiano tym, co się tam dzieje... na przykład o Napierze?

— Nie sądzę, aby mogła mi pani powiedzieć coś, co by mnie zainteresowało.

Cyganka zaśmiała się gardłowo.

— Wie pani co, nawet panią lubię. Jest pani trochę podobna do mnie. A więc zainteresowało to panią? Może więc pani usiądzie i posłucha? W czym nauczycielka muzyki należąca do wyższej sfery, może przypominać Cyganek, nie mnie proszę o to pytać, ale Napiera.

— Przepraszam, ale mam dużo pracy...

— Nic z tego. Nie wie pani, że to nieelegancko zostawiać kogoś, kto chce z panią porozmawiać? Proszę mi opowiedzieć o Allegrze. Wyrosła na prawdziwą piękność, prawda? Jest zupełnie inna niż Alice. Nie zamieniłabym Allegry na Alice nawet za całe tony złota. Mam już cztery dziewczynki... same dziewczynki. To zabawne, niektóre kobiety rodzą same córki i nie mogą mieć synów. Na przykład ja. Za każdym razem widzę to w kartach. „Znowu będzie dziewczynka”, mówię i tak jest. Ale Allegra... pięknie gra na fortepianie, prawda? Wie pani, że jest zupełnie taka sama jak ja w jej wieku. Tylko że ja byłam już bardziej dojrzała. Musiałam. W jej wieku byłam już kobietą. Dlaczego najełam się do pracy w kuchni?... Co mnie do tego zmusiło? Chciałaby pani wiedzieć? No, chciałaby pani to wiedzieć? Na pewno sama pani zgadnie... chociaż może się pani mylić.

Nie miałam wcale zamiaru prowadzić tej rozmowy, udawałam więc, że nic mnie to nie interesuje i wymownie patrzyłam na zegarek.

Cyganka podeszła bliżej.

— Widziałam panią z tym paniczem z plebanii. Bardzo miły i ładny. Słyszałam też rozmowę, bo wiatr niósł słowa w moją stronę. Życzę powodzenia. Dlaczego nie skorzysta pani z tego szczęścia i nie wyjedzie stąd, dopóki pani jeszcze może? Los już panią ostrzegł. Czemu pani nie chce tego zrozumieć?

— O czym pani mówi?

— Sama pani powinna to wiedzieć. O mało nie spaliła się pani w tej chacie. I stałoby się tak, gdyby nie Alice. Domyślałam się, że Amy Lincroft była wtedy bardzo dumna ze swojej córeczki. — Zaśmiała się. — O tak, bardzo dumna.

— Jeżeli wie pani coś na ten temat, będę wdzięczna za każdą informację.

— Cyganie! Cóż oni mogą wiedzieć! Nic nie wiedzą, ale chcą panią ostrzec. Słyszała pani kiedyś o cygańskiej przestrodze?

— Co pani wie na temat pożaru w chacie?

— Mnie tam nie było. Jak więc mam coś wiedzieć? Powiem pani tylko jedno. Ludzie są inni niż się wydają. Na przykład Amy Lincroft. Dlaczego pani stąd nie wyjedzie? Dlaczego nie wyjdzie pani za tego panicza i nie opuści Lovat Stacy? Nie zrobi pani tego, prawda? Jeszcze nie teraz. Ciekawska; taka pani jest. Musi pani wiedzieć. Ale niech mi pani coś powie o Allegrze.

Mówi jak Cyganka, pomyślałam. Udaje, że ma jakiś dodatkowy zmysł, którego inni są pozbawieni. Wydaje jej się, że kobieta, która cudem uniknęła śmierci, jest dobrym materiałem do takiego mamienia.

A tak naprawdę była przede wszystkim matką, pragnącą dowiedzieć się czegoś o swoim dziecku.

— Allegra to bardzo inteligentna dziewczynka, chociaż raczej leniwa i mająca trudności z koncentracją. Jeżeli potrafiłaby nad tym zapanować, byłaby rzeczywiście świetna.

Cyganka słuchała z uwagą i kiwała głową.

— Wie pani, co się dzieje w tym domu. Czy sir William jest z niej zadowolony? Czy szuka dla niej męża?

— Ależ ona jest jeszcze na to za młoda.

— Za młoda! Ale jaw jej wieku... zresztą nieważne. Czy jest z niej dumny?

— Odkąd jestem w Lovat Stacy, sir William bardzo choruje. Nigdy nie widziałam Allegrę razem z nim.

— Ale on musi o niej pamiętać — zachnęła się. — Niezależnie od wszystkiego, jest jego wnuczką.

— Jestem pewna, że o niej nie zapomni.

— Nie ta strona prześcierała — powiedziała gorzko. — To jest ważne. Ale ona jest jego wnuczką... nawet jeżeli im się to nie podoba. Powiem pani, czego się boję. Tej Amy Lincroft. To szczerwana lisica, wiem, co mówię. Będzie próbowała załatwić coś dla Alice, a Allegrę odsunie. — Zmrużyła oczy i zrobiła groźną minę. — Jeżeli tak będzie, ja... ja... dam jej taką nauczkę, że pożałuje, że się w ogóle urodziła, ona i jej

— Jestem pewna, że pani Lincroft bardzo dba o Allegrę.

— Dbaj! Próbując odsunąć ją od sir Williama, aby więcej zdobyć dla Alice! Niech no lepiej uważa.

— Nie sądzę, aby ktokolwiek czuł się odsunięty. Z pewnością obie dziewczynki dostaną, co im się należy.

Czułam się już zmęczona tą dziwną rozmową na cmentarzu

— Przypuśćmy jednak, że Napier znowu zostanie wygnany z domu.

— Wygnany?

— No, już raz tak było. Zmuszono go, aby wyjechał. Sir William nie mógł na niego patrzeć. Mówiło się wtedy, że go wydziedziczy za to, że zabił Beau. Więc kto w takim przypadku dostanie cały majątek? Jeżeli wygna Napiera? Ma jeszcze wnuczkę, moją Allegrę. Więc...

— Naprawdę muszę już iść.

— Proszę posłuchać! — Spojrzała na mnie błagalnie i nagle stała się naprawdę piękna. Zrozumiałam, dlaczego Napier nie mógł się jej oprzeć. — Niech pani pilnuje Allegrę, błagam. Proszę dać mi znać, jeżeli ktoś będzie chciał ją skrzywdzić.

— Oczywiście, dopilnuję, aby nie stała się jej żadna krzywda. A teraz muszę już iść.

Uśmiechnęła się do mnie, kiwając głową.



— Będę czujna — powiedziała. — Nikt mnie stąd nie wypędzi. Nikt się nie ośmieli. Powiedziałam im to. Ani Napier, chociaż cieszyłby się, gdybym odeszła, ani Amy Lincroft. Powiedziałam im obojgu i wiedzą, co to znaczy.

— Do widzenia — pożegnałam się stanowczo i poszłam w kierunku obrośniętej bluszczem bramy.

\* \* \*

Tego wieczora znowu widziałam światło. Alice odwiedziła mnie w pokoju, przynosząc jedną z poszewek, które dla mnie wyszywała.

— Byłam ciekawa, czy spodobają się pani te kwiaty. To bratki. Mówi się, że bratki symbolizują myśli. Ale oczywiście może pani wybrać jakiś inny kwiat. Zastanawiam się, czy można mieć każdą poszewkę w inne wzory?

— Nie ma takiej potrzeby, Alice — zapewniłam ją. — To, co zrobiłaś, bardzo mi się podoba. Uśmiechnęła się zadowolona.

— Cieszę się, że się pani podoba. Pani jest taka dobra dla mnie i dla mamy. Mama powiedziała mi niedawno, że jest szczęśliwa, iż pani tu przyjechała.

— A ty ocaliłaś mi życie — przypomniałam jej. — Tego się nigdy nie zapomina, Alice.

— Ale ja byłam tam przypadkiem — powiedziała i zaczerwieniła się. — Każdy zrobiłby to samo na moim miejscu.

— Trzeba mieć wiele odwagi, żeby wejść do płonącego domu.

— Zupełnie o tym nie myślałam. Wiedziałam tylko, że pani jest tam w środku, i że tam musi być strasznie... Ale moja mama powiedziała, że nie powinno się już o tym rozmawiać. Tak będzie lepiej dla pani. Poszewka Allegry wygląda bardzo ładnie. Ona naprawdę się stara, chociaż czasami wydaje mi się, że coś jej każe być nieposłuszną. To wszystko przez to niefortunne pochodzenie. Moje zresztą też w pewien sposób jest niefortunne. Byłoby znacznie lepiej, gdyby mama i sir William poczekali... i wtedy się pobrali. Ale widzi pani, on się z nią nigdy nie ożenił. To dlatego, że mama za szybko mu uległa. Proszę o niej źle nie myśleć. Zrobiła to, bo go kochała. Mogę usiąść tu przy oknie? Uwielbiam siedzieć przy oknie. Jest ich tak dużo w naszym domu. Ma pani śliczny widok na zagajnik.

— Tak, to rzeczywiście ładny widok. Jestem wdzięczna twojej mamie, że... dała mi taki pokój.

— Tu wszystkie pokoje są ładne, ale oczywiście mama wybrała dla pani ten najładniejszy. Biedna Sylvia! Mam nadzieję, że czuje się już lepiej. Gdy byliśmy u niej, naprawdę wyglądała na chorą. Z trudem mówiła, a doktor kazał jej leżeć w łóżku co najmniej przez trzy dni. Chcę zanieść jej jutro jakieś książki.

— Czyżby lubiła czytać? — zapytałam zdziwiona.

— Nie. Ale tym bardziej powinnam jej zanieść książki. Może je polubi i będzie się rozwijać intelektualnie. — Nagle Alice cichutko krzyknęła. Podeszłam do okna i zauważyłam w zagajniku jakieś światło.

— Tam! — zawołała już głośno. — Znowu jest! — Wstała. — Chce pani pójść do mojego pokoju?

— Nie, Alice, dziękuję — powiedziałam. Pokiwała smutno głową i podeszła do drzwi.

— Cieszę się, że pani to dzisiaj zobaczyła — powiedziała. — Wiem, że podejrzewała pani Sylvię o zapalenie tego światła. Ale teraz ona leży chora w łóżku... nie może więc tam być, prawda?

— To pewnie ktoś na drodze — wyjaśniłam.

— Ale droga nie... — Przerwała i uśmiechnęła się z rezygnacją. — Pójdę na górę, żeby popatrzeć na to światło. Ciągłe mi się wydaje, że zobaczę coś więcej.

— Idź zatem — powiedziałam.

Gdy tylko Alice wyszła, szybko zarzuciłam na siebie płaszcz i cicho zeszłam po schodach do głównego holu, a stamtąd pobiegłam do ogrodu.

Bardzo chciałam znaleźć się na czas w kaplicy. Jeżeli to nie była Sylvia, to kto? Ktoś, komu zależało, aby podtrzymać legendę o duchu nawiedzającym to miejsce, a przez to także pamięć o nieszczęśliwym wypadku. Ktoś, kto chciał doprowadzić do wygnania stąd Napiera.

Ziemia była namokła po ostatnich deszczach i gdy dobiegłam do zagajnika, mokra trawa zmoczyła mi nogi aż do kostek. Przy każdym moim kroku rozlegało się głośne chlupnięcie i bałam się, że to mnie zdradzi. Musiałam jednak poruszać się możliwie szybko, by dotrzeć do ruin, zanim ten, kto tam straszy, zniknie.

Chociaż nie świecił księżyc, niebo było bezchmurne i tak rozgwieżdżone, że bez trudu posuwałam się do przodu. Dopiero gdy między drzewami zamajaczyły ściany kaplicy, poczułam, że ogarnia mnie panika.

Nie zatrzymałam się jednak ani na chwilę. Aby skupić uwagę na czymś innym, pomyślałam, że powinnam zmienić przed wyjściem buty. W domowych pantoflach miałam już pełno mokrego błota. Gdy dotarłam do ruin, wyciągnęłam rękę i dotknęłam zimnej ściany. Znalazłam wejście i ostrożnie wsunęłam się do wnętrza. W środku było nieco ciemniej niż na dworze, ale otuchy dodawały mi gwiazdy, widoczne przez zwalony dach.

Po chwili moje oczy przyzwyczyły się do mroku. Rozejrzałam się dookoła, ale nikogo nie zauważyłam.

— Jest tu ktoś? — wyszeptalam.

Cisza. Jednak przez moment wydawało mi się, że słyszałam na zewnątrz jakiś szelest.

Wtedy poczułam, że muszę natychmiast się stamtąd wydostać, opuścić te mury. Najciszej, jak umiałam, wyślizgnęłam się przez wypalone drzwi i spojrzałam w gwiazdy. I właśnie w tym samym momencie ktoś schwycił mnie z tyłu mocno za ręce.

Włosy zjeżyły mi się na głowie i ogarnął mnie paniczny strach, porównywalny chyba tylko z tym, jakiego doznałam w palącej się chacie. W mgnieniu oka zdałam sobie sprawę ze swojej bezgranicznej głupoty. Jak mogłam przyjść tu sama w nocy i zlekceważyć podwójne ostrzeżenie Cyganki i Sybil Stacy — wyrzucałam sobie, nie oczekując, że i tym razem wywinę się cało z opresji.

— No tak — usłyszałam za sobą czyjś głos — widzę, że w dalszym ciągu szuka pani możliwości spotkania ducha Beaumonta Stacy.

Napier! Z trudem złapałam oddech, próbując się wyswobodzić, ale jego uścisk ani trochę nie zelżał.

— Przyszła tu pani, aby spotkać Beaumonta, mam rację? — Puścił mnie, ale gdy tylko się odwróciłam w jego stronę, znowu schwycił mnie za ramię. — Co pani tu robi?

— Przestraszył mnie pan.

— Czy to może pani zapalała światło w kaplicy?

— Przyszłam tu właśnie po to, żeby zobaczyć, kto to robi.

— Na Boga, a więc jednak nie nauczyła się pani niczego!

— Nie nauczyła?

Przyglądał mi się jakoś dziwnie. Przypomniałam sobie, jak spotkałam go wracającego do domu z narzędziami ogrodniczymi i jak zaskoczył mnie, gdy badałam ziemię przy kaplicy w poszukiwaniu grobu Edith. Wkrótce potem ktoś zastawił na mnie pułapkę w starej chacie, a teraz

nie kto inny, tylko on właśnie, pyta mnie, czy niczego mnie to nie nauczyło! Jestem z nim, sam na sam, nocą w zagajniku i nikt nie wie, że tu przyszedłem.

— Ja... zobaczyłam światło — usłyszałam swój drżący głos. — Widziałyśmy je razem z Alice. Pomyślałam, że muszę tu przyjść i sprawdzić...

— Zupełnie sama? — zapytał drwiąco. — Jest pani bardzo dzielną kobietą. A przecież tak niedawno... — Jego głos stał się nagle chrapliwy i poczułam, że mocniej ścisnął moje ramię. — Była pani tam na górze... i nie mogła się wydostać. Chryste, niech pani na siebie uważa.

— Takie wypadki zdarzają się tylko raz w życiu.

— Niektórzy ludzie są wyjątkowo podatni na nieszczęśliwe wypadki.

— Sądzi pan, że dzieje się tak bez żadnej przyczyny?

— Być może przyczyna nigdy nie wychodzi na jaw.

— Wypowiada się pan w zagadkowy sposób. — Czułam, że strach powoli mnie opuszczał. W obecności Napiera zawsze ogarniało mnie silne podniecenie, silniejsze niż lęk. — Czy pan także przyszedł tu po to, żeby zobaczyć, co jest źródłem tego światła?

— Tak.

— I nic pan nie znalazł?

— „Duch” był szybszy ode mnie. Za każdym razem pojawia się za późno.

— Ma pan jakieś podejrzenia, kto to może być?

— Tylko takie, że jest to osoba, która chce się mnie pozbyć.

— W jaki sposób?

— Prowokując zdarzenia, które będą dla mnie tak męczące i nieprzyjemne, że sam się stąd wyniosę.

— Nie wydaje mi się, aby był pan człowiekiem, którego można się pozbyć wbrew jego woli.

— Ma pani rację. Ale tak czy inaczej, tego typu zdarzenia podsycają pamięć o starych sprawach. Szczególnie w umyśle mojego ojca. To właśnie on może podjąć decyzję o moim wyjeździe z Lovat Stacy. Tak jak poprzednim razem. Nie jestem tu zbyt popularny, proszę pani.

— To przykre.

— Och, proszę się nade mną nie rozczulać. Przyzwyczailem się już do tego i wcale mi to nie przeszkadza.

Ogarnęło mnie wzruszenie, wiedziałam bowiem, że kłamie. Bardzo mu to przeszkadzało.

— Myśli pan, że powinniśmy tu rozmawiać? Możemy wypłoszyć ducha.

— Nie sądzi pani, że on albo ona skończyli już pracę tej nocy?

— Nie mam pojęcia, jak on lub ona pracuje. Ale może poczekajmy jeszcze chwilę... w ciszy.

Napier ujął mnie za rękę i weszliśmy do kaplicy. Znowu owładnęło mną trudne do opanowania podniecenie. Oparta o chłodną i wilgotną ścianę, obserwowałam jego profil, surowy i ostro rysujący się w panującym tam półmroku. Wydał mi się zmęczony i smutny. Patrząc na niego, czułam jak ogarniają mnie skrajnie odmienne emocje, których nie rozumiałam. Wiedziałam tylko, że nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy i że moje pragnienie, aby pomóc temu człowiekowi, było tak silne jak kiedyś moja miłość do Pietra. Być może w obu przypadkach kierowała mną troska o inną osobę, chęć chronienia jej przed światem.

Jakże chciałam, aby ten, kto udawał ducha, przyszedł do kaplicy! Z niecierpliwością czekałam, kiedy złapiemy go za rękę, zdemaskujemy i położymy kres rozjątrzeniu starej rany.

Życzyłam Napierowi, aby zajął należne sobie miejsce w Lovat Stacy i wykonywał pracę, do której, moim zdaniem, był stworzony. Chciałam, by był szczęśliwy.

— Wiem, że mi pani współczuje — usłyszałam w ciemności jego szept.

Milczałam, bojąc się zdradzić ze swoim wzruszeniem.

— Dlaczego? — wyszeptał. — Dlaczego?

— Sza! — powiedziałam. — Duch nas usłyszy i ucieknie. Proszę nie zapominać, że chcemy go złapać.

— Bardziej mi zależy, by się dowiedzieć, dlaczego mnie pani żałuje.

— Spotkała pana niesprawiedliwość — wyjaśniłam. — Wszyscy byli wobec pana niesprawiedliwi. Zdarzył się wypadek, a pana życie... legło w gruzach.

— To chyba za mocne słowa — stwierdził.

— Nie — upierałam się. — Oni byli okrutni... winiąc za to pana... i wypędzając z domu.

— Nie wszyscy mają takie dobre serce, jak pani.

Zaśmiałam się. Nagle przestało mi zależeć, by złapać tego, kto udawał ducha. Ja też zrozumiałam, że ważniejsze jest, byśmy się lepiej zrozumieli.

— Był pan taki młody.

— Siedemnaście lat, to daje już pewną dojrzałość. Byłem wystarczająco dorosły, aby zabić... a zatem musiałem też ponieść karę.

— Nie musimy o tym rozmawiać, jeżeli te wspomnienia są dla pana bolesne.

— A czy nie powinny być bolesne? Przecież on stracił przeze mnie życie. Mój brat tak bardzo... kochał życie... i nagle... stracił je. Ja mam teraz trzydzieści lat, a jemu nie było dane dożyć tego wieku. A pani mówi, że nie powinienem się tym martwić.

— To był przecież wypadek. Czy pan tego nie rozumie? Czy nikt tu tego nie rozumie?

— Ależ pani jest gwałtowna. Zupełnie jak adwokat oskarżonego!

— Ależ pan jest pobłażliwy. Ale mnie pan nie zwiedzie. Wiem, że bardzo pan to przeżywa.

— Jestem naprawdę szczęśliwy, słysząc jak bardzo zaangażowała się pani w moją obronę. Może dostrzeże pani jakieś dobre cechy w tym wcielonym diable.

Wciąż staliśmy bardzo blisko siebie. Poczułam, że Napier wziął mnie za rękę.

— Dziękuję pani — powiedział.

— Chciałabym zasłużyć na pana podziękowanie.

— Nie dziękowałbym pani, gdyby nie było za co.

— Doprawdy, nie wiem, co takiego zrobiłam.

Przysunął się jeszcze bliżej do mnie.

— Jest pani tutaj — powiedział cicho.

— Naprawdę, duch nie przyjdzie, gdy usłyszy nasze głosy — wyszeptałam zaniepokojona.

— Tak rzadko mam ostatnio okazję, aby z panią porozmawiać.

— Tak... wiele się zmieniło, odkąd Edith... odeszła.

— Bardzo dużo. Jest pani pełna wątpliwości. Czy mogłoby być inaczej? Ale na szczęście są to wątpliwości. Nie wydała pani jeszcze wyroku. I nie wyda go pani, dopóki nie potwierdzą się pani podejrzenia.

— Proszę tak o mnie nie myśleć. Ludzie, którzy osądzają innych, budzą moją odrazę. Skąd mogą znać wszystkie szczegóły, które prowadzą do nieszczęścia... a jakże często to właśnie szczegóły są najważniejsze.

— Bardzo często o pani myślę — powiedział. — W zasadzie... cały czas.

Milczałam.

— Mamy ze sobą tyle wspólnego — kontynuował. — Wie pani zapewne, że wielu ludzi wierzy, iż pozbyłem się Edith. Nie dziwi mnie to. Bardzo szybko zdałem sobie sprawę, że nasz związek nie ma żadnych szans, ona zresztą też to czuła.

Oczywiście wiedziałem, że była zakochana w wikarym. Pogardzałem nią za to, że pozwoliła, aby ją zmuszono do małżeństwa ze mną — za to samo zresztą pogardzałem sobą. Ale próbowałem ratować nasz związek, co mi się zresztą nie udało. Chciałem zrobić z niej taką kobietę, którą bym podziwiał. Irytowała mnie jej potulność, nieśmiałość, jej ciągle lęki przed wszystkim. Nie ma na to

usprawiedliwienia. Zachowywałem się nikczemnie. Obawiam się, że nie jestem człowiekiem, którego można podziwiać. Dlaczego jednak usiłuję się wytłumaczyć?

— Rozumiem to.

— Czy zatem rozumie pani też, że nie chcę, aby się pani teraz... angażowała?

— W jaki sposób? — zapytałam ostro.

— Ludzie przyzwyczajają się do swoich myśli... podszeptów złego. Muszę pani udowodnić, podobnie jak reszcie świata, że nie miałem nic wspólnego ze zniknięciem Edith... przynajmniej nie bezpośrednio

— To znaczy, że pośrednio mógł pan być za to odpowiedzialny?

— Oczywiście, nie mogę tego wykluczyć. To biedne dziecko, bo taka właśnie była Edith, bała się mnie. Wszyscy o tym wiedzieli. Dlatego też... posądzają mnie, że ją zamordowałem.

— Proszę nie mówić takich rzeczy.

— Dlaczego, przecież to prawda. Założę się, że będzie pani pierwszą osobą, która zgodzi się ze mną, iż nie może być nic złego w mówieniu prawdy. Mówię to po to, aby zaoszczędzić pani współczucia w stosunku do mnie. Może pani zapytać kogokolwiek, wszyscy powiedzą to samo: nie warto mnie żałować. A nawet jeszcze więcej. Będą panią przede mną ostrzegać. Gdzież ma pani rozum, by przebywać ze mną w kaplicy nawiedzanej przez ducha.

— Proszę być poważnym. To wcale nie są zabawne sprawy.

— Jestem śmiertelnie poważny. Jest pani w niebezpieczeństwie. Pani, piękna i zrównoważona wdowa, jest w wielkim niebezpieczeństwie.

— Kto i dlaczego mi zagraża?

— Naprawdę chce pani to wiedzieć?

— Oczywiście.

W odpowiedzi zrobił krok w moją stronę i mocno mnie objął. Byliśmy tak blisko siebie, że czułam bicie jego serca, a on z pewnością wyczuwał szalony rytm mojego. Byłam pewna, że zaraz mnie pocałuje, czułam na twarzy jego oddech. Nie zrobił tego jednak. Stał bez ruchu, tuląc mnie do siebie, a ja pozwalałam mu na to bez protestu. Było mi tak dobrze, że chciałam, aby ta chwila trwała wiecznie.

— To jest... niemądre — wydusiłam z siebie wreszcie.

— To właśnie pani mówiłam — zaśmiał się cierpko. — Zdecydowanie niemądre. Chciała pani wiedzieć, co pani grozi. Właśnie to.

— I pan chce mnie uchronić przed tym niebezpieczeństwem?

— Ależ nie. Wręcz przeciwnie, chcę, aby ono spadło na panią. Ale jestem bardzo perwersyjny. Chcę, aby pani była tego świadoma... czuła to i mimo to zdecydowała się na nie.

— Mówi pan zagadkami.

— Zagadkami, na które obydwójce znamy odpowiedź. Przyjrzyjmy się faktom. Zamordowałem swojego brata...

— Proszę wyrażać się precyzyjnie. Zastrzelił go pan w wypadku.

— ...kiedy miałem siedemnaście lat. Moja matka nie mogła tego znieść i popełniła samobójstwo. A zatem jestem odpowiedzialny za śmierć ich obojga.

— Nie zgadzam się. Nie może się pan o to obwiniać.

— Ależ z pani słodki adwokat. Słodki adwokat oskarżonego. Gdy mieszkałem w Australii, bardzo brakowało mi domu... jednak po powrocie przekonałem się, że to, za czym tęskniłem, już nie istnieje. W marzeniach widziałem obraz domu przed tym tragicznym wypadkiem. Jakże wszystko się zmieniło! Ożeniłem się. W końcu po to wróciłem. Moja żona była jeszcze dzieckiem... przerażonym dzieckiem, które bała się mnie. Nie mogę jej za to winić. Kochała kogoś

innego. Co mogłem zrobić z takim małżeństwem? Bardzo szybko zacząłem się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdybym pozostał w Australii.

— Ale przecież pan kocha Lovat Stacy!

Pokiwał głową.

— To pana dom... tu są pana korzenie.

— Nie jest łatwo wyrwać czyjeś życie z korzeniami. Ale, ale, przejmuję pani obowiązki... zaczynam się sam bronić, a tego mi właśnie nie wolno. W moim wypadku nie istnieje żadna właściwa linia obrony. Zastrzeliłem swojego brata. Nigdy o tym nie zapomnę.

— Ależ musi pan... musi pan zapomnieć.

— Proszę, niech pani nie będzie taka stanowcza. To mi odbiera odwagę. Nikt nigdy nie usiłował zrobić ze mnie bohatera.

— Ja... robię z pana bohatera! Zapewniam pana, że nic podobnego. Chcę tylko, żeby przyjrzał się pan faktom, nagim faktom, aby uświadomił pan sobie, że nie można ciągle myśleć o tragediach, które miały miejsce w przeszłości... zwłaszcza że był to wypadek, który mógł spotkać każdego.

— Ależ nie — zaproponował Napier. — Czy coś podobnego mogłoby się, na przykład, przydarzyć pani przyjacielowi, Godfreyowi Wilmotowi?

Wiedział, że zaskoczył mnie tym pytaniem. Jakże trafnie odgadywaliśmy swoje myśli!

— To mogło spotkać każdego — powtórzyłam niepewnie.

— Czy słyszała pani kiedykolwiek o podobnym wypadku?

— Nie, ale...

— Oczywiście, że pani nie słyszała. A co do tego Godfreya Wilmota, to bardzo miły młody człowiek, który ma tak wiele do zaoferowania. Może już pani coś zaoferował i został przyjęty?

— Obawiam się, że wiele osób wysnuwa takie wnioski.

— Chociaż nie było jeszcze, jak mniemam, formalnych zaręczyn.

— To bardzo krępująca sytuacja, gdy kobieta przyjaźni się z mężczyzną, a wszyscy natychmiast przepowiadają im małżeństwo.

— Ludzie lubią wyobrażać sobie, że są prorokami.

— Jeżeli chodzi o mnie, życzyłabym sobie, aby nie zajmowali się moją przyszłością.

— Nie myślała pani o powtórnym zamążpójściu? To pewnie dlatego, że wciąż jeszcze wspomina pani zmarłego męża. Ale zmieniła się pani — jego głos stał się nagle bardzo miękki. — Zauważyłem te zmiany. Wie pani, że coraz częściej się pani śmieje? Wydaje mi się też, że znalazła pani w końcu powody, aby chcieć żyć. To dzięki Lovat Stacy.

Milczałam, a on mówił dalej.

— A więc jednak nie była pani do niego mocno przywiązana, skoro tak szybko zapomniała pani o nim?

— Zapomnieć go! — zawołałam. — Nigdy nie zapomnę o Pietrze.

— Ale jest pani już gotowa budować nowe życie. Czy chce pani, aby cały czas unosił się nad nim jego cień? Z każdym rokiem będzie coraz doskonalszy. I nigdy się nie zestarzeje. Czy ktoś mogły się z nim równać?

— Zrobiło się zimno — powiedziałam czując, że drzę. — Mam zupełnie mokre buty.

Napier ukląkł i zdjął mi pantofel. Wziął moją stopę w dłonie i zaczął rozcierać.

— Powinna pani założyć inne buty.

— Nie pomyślałam o tym. Przecież chciałam złapać tego ducha.

— Chciała się pani dowiedzieć, komu zależy, by śmierć mojego brata nie została zapomniana.

— Tak, to prawda.

— Jest pani bardzo dociekliwą kobietą.

— Obawiam się, że ma pan rację. — I bardzo impulsywną!

— To też prawda.

— Już raz zachowała się pani impulsywnie. Może więc kiedyś zrobi to pani jeszcze raz. — Delikatnie nałożył mi pantofel na stopę. — Pani drży. Czy to przez to chłodne powietrze? Chciałbym o coś zapytać. Dokonała pani w życiu wyboru, który, biorąc pod uwagę pani karierę zawodową, nie był najmądrzejszy. Sprzeniewierzyła się pani swojemu powołaniu... dla mężczyzny. Musiała to pani bardzo przeżywać, mam rację?

— Nie.

— Nie walczyła pani ze sobą?

— Nie.

— Swoim zwyczajem poddała się pani emocjom i wierzyła, że ta decyzja jest właściwa i... jedyna?

— Tak.

— I teraz żałuje pani.

— Niczego nie żałuję.

— Wtedy podjęła pani śmiałą decyzję. — Jego głos brzmiał smutnie. — Ciekaw jestem, czy zdobyłaby się pani po raz drugi na takie ryzyko.

— Myślę, że nie zmieniałam się aż tak bardzo.

— Może będziemy mieli okazję to sprawdzić. Cieszę się, że niczego pani nie żałuje. Ludzie, którzy przyznają się do porażki, często użalają się nad sobą, a wtedy stają się żałośni. Ja staram się nie być żalonym.

— Nie musi się pan tego obawiać.

— A jednak czasami nachodzi mnie współczucie dla samego siebie. Zastanawiam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym... Muszę przyznać, że zdarza mi się to dużo częściej, odkąd pani się tu pojawiła. Pani wie, dlaczego. Bardzo wiele nas łączy. Edith. Biedna Edith... Jest dużo bardziej wyrazista po śmierci niż za życia.

— Po śmierci? — zapytałam zdziwiona.

— Tak, myślę o niej, jak o kimś nieżyjącym. Jest pani wciąż bardzo podejrzliwa. Ma pani wątpliwości. A przecież parę minut wcześniej... No tak, wątpi pani we mnie, a ja w pewien sposób potrzebuję tego. Chciałbym powiedzieć sobie: mimo wątpliwości, jakie miała... Wtedy byłoby to podobne zaślepienie, które już raz panią ogarnęło. Na przekór wszystkiemu.

— Muszę się przyznać, że słyszałam fragment pana rozmowy z ojcem. Słyszałam, jak groził, że zmusi pana do opuszczenia Lovat Stacy.

— Słyszała więc pani także, że sprzeciwiłem się temu.

— Zaraz potem ktoś podłożył nuty „Tańca szkieletów” do zestawu, który wybrał dla mnie sir William.

— I myśli pani, że ja to zrobiłem.

— Czekam na pana odpowiedź.

— No więc nie zrobiłem tego. Wierzy mi pani?

— Tak, wierzę.

Ujął moją dłoń i pocałował.

— Proszę zawsze mówić mi prawdę — powiedziałam. — Jeżeli mam się do czegoś przydać, muszę znać prawdę.

— Uszczęśliwia mnie pani — odparł, a ja poczułam, że ogarnia mnie ogromne wzruszenie. Jego głos nigdy jeszcze nie brzmiał tak czule i miękko.

— Tego właśnie pragnę — bezwiednie wymknęło mi się wyznanie. — Muszę już wracać — dodałam szybko.

Nie patrząc na niego, ruszyłam w stronę domu. Napier szedł obok.

— Od początku wiedziałem, że coś nas łączy — powiedział.

— Obydwoje nie możemy się wyzwolić od przeszłości. Ja zabiłem brata, a pani kochała niemądrze i za bardzo.

— Nie wierzę, że można kochać głupio albo darzyć kogoś zbyt wielką miłością.

— A więc zaprzecza pani poecie?

— Zdecydowanie. Jestem pewna, że nie sposób za bardzo kochać... dawać z siebie za dużo...

Największą radością życia jest kochać i obdarowywać drugiego człowieka.

— Większą niż kochać i brać?

— Z pewnością.

— A zatem musiała być pani bardzo szczęśliwa.

— Byłam.

Przeszliśmy przez trawniki i weszliśmy do ogrodu.

— W końcu nie znaleźliśmy tego ducha — powiedziałam.

— Nie, ale być może znaleźliśmy coś o wiele ważniejszego

— odparł Napier.

— Dobranoc — pożegnałam się. Zostawiłam go na ścieżce i pobiegłam do domu.



## *Rozdział 11*

Poszłam do saloniku pani Lincroft, by jej powiedzieć, że nie pójdę rano na plebanię, ponieważ Sylvia już wyzdrowiała i przyjdzie razem z dziewczętami na lekcje muzyki do Lovat Stacy.

Drzwi były lekko uchylone. Zapukałam, a nie doczekawszy się odpowiedzi, zawołałam panią Lincroft i zajrzałam do środka.

Ze zdziwieniem stwierdziłam, że siedzi przy stole nad rozłożoną gazetą. Musiała mnie nie usłyszeć.

— Proszę pani, czy coś się stało?

Podniosła głowę i wtedy zauważyłam, że jest bardzo blada. Spojrzała na mnie błędnym wzrokiem, a w jej oczach lśniły łzy.

Jednak na mój widok oprzytomniała i natychmiast się opanowała.

— Ach, to pani. Proszę wejść.

— Dobrze się pani czuje?

— Taaak. Jestem tylko trochę śpiąca. Źle spałam ostatniej nocy.

— Tak mi przykro. Często się to pani zdarza?

— Od lat nie miałam spokojnej nocy — powiedziała tonem skargi.

— To niedobrze. Mam nadzieję, że to nie z powodu jakichś zmartwień.

Na jej twarzy pojawił się nagły niepokój. Przykryła dłonią gazetę, jakby chciała coś przede mną ukryć.

— Zmartwień? Och, nie... z pewnością nie. Czyżby się czegoś bała? — pomyślałam.

— Odkąd tu wróciłam, moje życie płynie bardzo spokojnie — zaśmiała się, ale wyczułam w jej głosie pewną nienaturalność. — Żyję tu, jak u Pana Boga za piecem. O nic nie muszę się martwić. Jakie to szczęście dla kobiety, mieć dziecko.

— Domyślam się. Ale ciężko jest wychowywać je samotnie.

Zauważyłam, że jej policzki powoli się zaróżowiły.

— Pani znakomicie daje sobie z tym radę.

— Kochana Alice. Nie pragnęłam dziecka, gdy okazało się, że jestem w ciąży, ale kiedy się urodziła... — Spojrzała na mnie badawczo. — Wiem, że Alice powiedziała pani, kto jest jej ojcem. Przyznała mi się. Wiem, że jest z tego dumna. Nie powinnam mieć do niej o to pretensji. Może za wcześniej poznała prawdę, ale trudno takie sprawy utrzymać w tajemnicy... zwłaszcza, gdy ma się taką córkę jak Alice. Mam wrażenie, że ona już wcześniej domyślała się wszystkiego.

— Sądzę, że szczeni się swoim pochodzeniem, co jest oczywiście lepsze, niż gdyby miała się go wstydić.

— Nie bardzo jest się czym szczeni — powiedziała pani Lincroft. Pogładziła dłońmi gazetę. — Pani jest światową kobietą. Mieszkała pani za granicą, dużo pani podróżowała i ośmielę się stwierdzić, że lepiej pani rozumie takie sprawy niż inni ludzie. Nie chciałabym, aby osądzała mnie pani zbyt surowo... tym bardziej sir Williama. Nie był szczęśliwy w swoim małżeństwie, a ja mogłam dać mu szczęście. Nie wiem, jak do tego doszło, ale czasami ludzie wikłają się w takie związki.

— Oczywiście — powiedziałam. Miałam wrażenie, że puścili jakieś tamy i pani Lincroft chce mi o sobie opowiedzieć.

— Moja matka często powtarzała, że na progu zawsze można się poślizgnąć. Była Szkotką i to powiedzenie pochodzi z jej rodzinnych stron. Jego sens jest taki, że każdy z nas może się w życiu poślizgnąć, jeżeli nie dość uważa... i to jest prawda.

— Zgadzam się.

— Gdy zaczynałam tu pracę, byłam bardzo młoda. Przedtem przez kilka miesięcy zarabiałam na życie, jako guwernantka, a tu zostałam damą do towarzystwa lady Stacy. Do moich obowiązków należało spędzanie z nią czasu, czytanie lub układanie jej włosów. Nie były to zajęcia kłopotliwe, a pani Stacy należała do osób niezwykle miłych i uprzejmych, co zresztą później jeszcze wzmagало nasze poczucie winy. Była trochę podobna do Edith i może właśnie dlatego sir William tak bardzo kochał tę dziewczynkę.

Łatwo mogłam sobie wyobrazić tę sytuację. Była wtedy piękną, młodą kobietą, pozbawioną owego smutku i rezygnacji, które towarzyszyły jej później. Musiała mieć wiele wdzięku, a jej smukła figura, piękne rysy i olbrzymie, szaro — niebieskie oczy z pewnością robiły wrażenie na mężczyznach. A Isabella Stacy... matka dwóch synów, uwielbianego Beau i Napiera, który nie mógł się równać z bratem? Była rozgoryczona, że musiała poświęcić swoją karierę pianistyczną i nie umiała zatrzymać miłości męża. Wtedy właśnie na scenie pojawiła się ta zachwycająca, młoda kobieta i sir William zakochał się w damie do towarzystwa swojej żony.

— Nigdy nie zapomnę dnia, gdy zdarzył się ten tragiczny wypadek — mówiła dalej pani Lincroft.

— Co stało się wtedy z Napierem? To wydarzenie musiało być dla niego okropnym przeżyciem.

— Był zwyczajnym chłopcem. Ale przez to ciągle porównywanie go ze starszym bratem prawie nie był zauważany. Nazywaliśmy go wtedy Napem. Był trochę dziki... jak to bywa czasem z chłopcami. Mam wrażenie, że w bójkach nieźle sobie radził. W szkole szło mu znacznie gorzej, ledwie zdawał egzaminy, z którymi Beau nie miał najmniejszego kłopotu. Starszy brat był niezwykle towarzyski i bardzo zdolny, a jego czarowi trudno się było oprzeć. Zresztą słowa nie są w stanie tego oddać. Trzeba go było znać, aby zrozumieć, dlaczego był taki nadzwyczajny. Był bardzo radosny, nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi. Nigdy nie widziałam, aby się złościł, podczas gdy Nap zawsze był humorzasty. Pewnie zazdrościł bratu... bezskutecznie próbując mu dorównać. Myślę, że właśnie dlatego spadły na niego takie ciężkie oskarżenia. Sir William nigdy nie uwierzył, że to był po prostu wypadek.

— To niesprawiedliwe.

— Życie jest niesprawiedliwe. Pamiętam też tę Cyganę, która przyznała się, że jest w ciąży z Napierem. Wyjawiała to wkrótce po tym, jak sir William postanowił, że Napier musi opuścić dom.

— A więc Cyganka wyjawiała, kto jest ojcem jej dziecka, zanim Napier wyjechał.

— Tak. Ja również wyjechałam, wydawało mi się, że powinnam to zrobić. Atmosfera w Lovat Stacy była trudna do zniesienia. Dom był pogrążony w smutku. Nie chciałam, aby lady Stacy jeszcze bardziej cierpiała, postanowiłam więc odejść. Wkrótce potem okazało się, że jestem w ciąży. Miałam ogromne szczęście. Mój stary przyjaciel wiedział o wszystkim i postanowił się ze mną ożenić. Miałam nadzieję, że będzie mi pisane spokojne życie i moje dziecko nigdy się nie dowie, kto naprawdę jest jego ojcem. I wtedy właśnie dotarła do mnie wiadomość o samobójczej śmierci lady Stacy.

— Co za potworna tragedia!

— Dla mnie był to początek czarnej serii. Urodziła się Alice, ale zaraz potem straciłam męża. Wpadłam w rozpacz. Zostałam sama z dzieckiem, kompletnie bez pieniędzy. Napisałam więc do sir Williama i wszystko mu wyznałam. Odpisał, że chce bym wróciła do Lovat Stacy razem z córką i to był mój szczęśliwy dzień. Mogłam znaleźć tu dla siebie taką pracę, która pozwoliła mi jednocześnie zająć się wychowywaniem córki.

Pokiwałam głową.

— Tak więc wychowywałam Alice, a gdy urodziła się Allegra i matka zostawiła ją bez opieki, mogłam też zająć się drugim dzieckiem. Wkrótce potem przybyła do Lovat Stacy Edith i nikt już

nie mógł mi zarzucić, że nie byłam tu potrzebna. Miałam sposobność odkupić swoje grzechy młodości. Rozumie pani, o czym mówię.

— Doprawdy, nie wiem, jak poradziliby sobie tu bez pani.

— Przepraszam, że nudzę panią takimi opowieściami.

— Ależ skąd, wcale nie.

— Zauważyłam, że bardzo panią interesują inni ludzie. Mam rację? Jest pani tak dociekliwa, jak niewielu potrafi być.

— Ma pani rację.

— Może więc nie powinnam przepraszać za to wyjątkowe gadulstwo. Mam tylko nadzieję, że nie wejdzie mi to w nawyk. Napije się pani kawy?

— Z przyjemnością.

Kiedy pani Lincroft wyszła do kuchni, nie mogłam oprzeć się wrodzonej, ciekawości i zajrzałam do leżącej na stole gazety. Nadal wydawało mi się, że panią Lincroft zaniepokoiło coś, o czym tam przeczytała.

Większość miejsca na stronie zajmowały informacje o polityce rządu. Oprócz tego pisano o katastrofie kolejowej pod Brighton, o niejkiej pani Brindell, którą przyłapano, jak uczyła swoją siedemnastoletnią córkę okradania sklepów, o jakimś mężczyźnie, który uciekł z więzienia, i o drugim, który wydostał się z domu wariatów. Była też informacja o rodzinie, która spłonęła w swoim domu, oraz o tym, że siedemdziesięcioletnia pani Linton poślubiła o pięć lat od siebie starszego pana Greya.

Nie, tu nie było nic szczególnego. Po prostu miała ochotę z kimś porozmawiać po nie przespanej nocy.

Gdy skończyłyśmy pić znakomicie zaparzoną kawę, pani Lincroft odzyskała już w pełni równowagę ducha.

Wychodząc, zapytałam, czy mogę pożyczyć gazetę.

— Ależ oczywiście — odrzekła. — Chociaż, moim zdaniem, nie ma w niej nic ciekawego.

Alice siedziała na stole w pokoju do nauki i czytała na głos gazetę. Tę samą, którą pożyczyłam od jej matki. Allegra słuchała jej leniwie, rysując konie na kartce papieru. Sylvia ogryzała paznokcie i gapiała się w okno. Przyszłam, by przygotować nuty i zabrać Sylię na lekcję.

Alice spojrzała na mnie z uśmiechem i kontynuowała czytanie:

— „Pani Linton i pan Grey znają się od sześćdziesięciu lat. Jako dzieci byli w sobie zakochani, ale gdy dorośli, każde założyło własną rodzinę. Teraz nadszedł czas na romans...”

— To zabawne brać ślub w wieku siedemdziesięciu pięciu lat — powiedziała Allegra. — To raczej pora, aby się szykować do grobu.

— Czy myślisz, że ktokolwiek wie, kiedy nadchodzi czas na śmierć? — zapytała Sylvia.

— Nie, ale może inni to wiedzą — stwierdziła Alice.

— Kto może zdecydować, że już pora umierać? — zdziwiła się Allegra.

— Czas nadchodzi wtedy, gdy ktoś umiera — podsumowała Alice. Posłuchajcie tego: „Harry Terrall, zwany Dzentelmenem, po raz kolejny uciekł z Broadmoore, gdzie spędził ostatnie osiemnaście lat. »Dzentelmen«. Terrall jest maniakalnym mordercą”.

— Co to znaczy? — zapytała Allegra.

— To znaczy, że jest niebezpiecznym mordercą.

— I uciekł?

— Tak, jest na wolności. Dalej piszą tak: „Terrall jest niezwykle niebezpieczny, ponieważ z pozorów zachowuje się normalnie i potrafi być czarującym mężczyzną. Jest przystojny i podoba się kobietom, które stają się później jego ofiarami. Wcześniej uciekał już dwukrotnie i podczas jednego z tych pobytów na wolności zamordował pannę Annę Hassock. Terrall ma obecnie

trzydzieści pięć lat i odznacza się doskonałymi manierami, dzięki którym zyskał przydomek »Dzentelmen«.

— „Dzentelmen” Terrall — westchnęła Allegra. — Ciekawa jestem, czy tu przyjdzie? Na pewno od razu go poznamy. Jeżeli spotkacie mężczyznę o nienaganych manierach...

— Jak pan Wilmot — dodała Alice.

— Myślisz, że pan Wilmot... — zawołała z przerażeniem Syl — via.

— Aleś ty głupia! — zganiła ją Allegra. — Przecież ten człowiek dopiero co uciekł, a pan Wilmot jest już tu od stu lat. A poza tym wiemy, kim jest. Jest spokrewniony z księciem i biskupem.

— Ja też myślę, że ten morderca musi być podobny do pana Wilmota, tylko jest dużo starszy. Może więc bardziej przypomina ojca pana Wilmota. Ależ to podniecające! Wyobraźcie sobie tego „Dzentelmena”, kręcącego się tu w pobliżu i szukającego kolejnej ofiary.

— Może jedną z nich była Edith — zasugerowała Allegra. Przy stole zapadła nagle cisza.

— A co myślicie — zapytała Sylvia — o pannie... Brandon? Może ona też.

— Wtedy musiałby dość długo przebywać w naszej okolicy — wyszeptała Allegra, oglądając się za siebie

— Ale co zrobił z ich ciałami? — zapytała dociekliwie Alice.

— To proste. Zakopał.

— Gdzie?

— W zagajniku. Nie pamiętasz, przecież widziałyśmy...

— Moje drogie, ta rozmowa robi się zbyt makabryczna — wtrąciłam się. — A poza tym to tylko czcze słowa.

— Czcze słowa — zachichotała Allegra.

— Wszystko wymyśliłyście na podstawie krótkiej notki w gazecie. To same nonsensy.

— Wydawało mi się, że podobała się pani nasza rozmowa. Przerwała ją pani dopiero, gdy zaczęłyśmy mówić o zagajniku.

Alice i Allegra pochylały się nad jakąś książką leżącą na stole w sali do nauki.

Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że był to zurnal, otwarty na stronie ze strojami dla dziewcząt.

— Ta mi się podoba! — zawołała Allegra.

— Za bardzo przeładowana ozdobami.

— Bo ty lubisz wszystko takie proste. Alice uśmiechnęła się do mnie.

— Będziemy miały nowe sukienki i możemy wybrać sobie fasony. Mama nam pozwoliła. A potem pojedziemy do Londynu i kupimy materiały. Raz do roku dostajemy nowe stroje.

— Myślę, że najlepiej mi będzie w czerwonym — zdecydowała Allegra. — A ty pewnie wybierzesz niebieski.

Przyłączyłam się do nich i razem przeglądaliśmy zurnal, zastanawiając się, w jakich kolorach byłoby im najbardziej do twarzy.

\* \* \*

Jak zwykle umówiłam się z Godfreyem przy grobowcu rodziny Stacy. Jednak od czasu, gdy spotkałam tu Cygankę, która ukrywała się w trawie, nie czułam się już w tym miejscu tak bezpiecznie, jak przedtem. Straciło dla mnie walor prywatności i za każdym razem miałam wrażenie, że ktoś nas podgląda i podsłuchuje. Inna rzecz, że od wypadku z pożarem, nie czułam się zbyt pewnie w odosobnionych miejscach.

Między nagrobkami mignęła mi sylwetka Godfreya. Miło było na niego popatrzeć i natychmiast przypomniały mi się rozmowy dziewcząt o „Dzentelmenie” Terrallu. Co za absurd! Dałam się ponieść ich niedorzecznym dywagacjom, że Godfrey może być maniakałnym mordercą.

Mój przyjaciel wydał mi się bardziej zamyślony niż zwykle.

— Dzień dobry! — zawołałam. — Czy coś się stało?

— Stało? O czym myślisz?

— Nie wiem. Jesteś jakiś zadumany.

— Wracam z wykopalisk. Te mozaiki są niezwykle interesujące... a szczególnie pewien motyw, który się na nich powtarza. Nie mogę jednak zrozumieć, co przedstawia.

— Po prostu ornament!

— Czy ja wiem? Może rzucić nowe światło na kulturę Rzymian.

— Rozumiem.

— Nie bądź taka sceptyczna. To jest naprawdę interesujące. Idź i przyjrzyj się temu sama. Niestety te kamienie są tak odbarwione, że nie widać dobrze tego wzoru. Udało mi się jednak dostrzec znaczne podobieństwo motywów na posadzkach i w łaźniach.

— Nie byłam tam od...

— Jasne. Rozumiem, że masz niedobre skojarzenia. Ja też ciągle myślę o Romie.

— To znaczy?

— Załóżmy, że ona coś tam odkryła... miała jakiś pomysł i powiedziała o tym komuś...

— Ty ciągle trzymasz się teorii o zazdrośnym archeologu.

— Uważam, że nie należy rezygnować z żadnej teorii, dopóki nie okaże się pomyłką.

— Ale to nie wyjaśnia zniknięcia Edith.

— Mam wrażenie, że niesłusznie łączysz ze sobą te dwa przypadki.

— To nieprawdopodobny zbieg okoliczności!

— Zbiegi okoliczności czasami się zdarzają.

— Ciekawa jestem, czy Roma była tu kiedyś... na tym cmentarzu — zaczęłam się zastanawiać.

— Po co miałaby tu przychodzić? Dla archeologa nie ma tu nic ciekawego.

Obejrzałam się za siebie.

— Jesteś dziś jakaś nerwowa. Dlaczego?

— Ciągle mi się wydaje, że ktoś nas obserwuje.

— Tu są tylko zmarli — powiedział i wziął mnie za rękę. — Caroline, nie powinnaś się niczego obawiać. — W podtekście znaczyło to: Nic ci nie grozi, gdy jestem przy tobie. Pomyślałam, że ma rację. Zapraǳełam nagle tej przyszłości, o której ciągle marzyłam, dającej mi spokój i poczucie bezpieczeństwa, którego tak potrzebowałam.

Godfrey nie był jeszcze pewien. Nigdy nie działał impulsywnie. Chciał dać szansę naszej przyjaźni, aby powoli rozwinęła się w coś więcej. Nigdy nie zdecydowałby się na zdobycie niczego siłą. Dlatego właśnie, gdy już podejmował jakąś decyzję, zawsze była słuszna... z jego punktu widzenia.

— Muszę tam kiedyś pójść i obejrzeć te mozaiki — powiedziałam.

Poszliśmy razem do cmentarnej bramy, a tuż za nią spotkaliśmy panią Rendall. Patrzyła na mnie wzrokiem bazyliuszka i wyglądała, jak anioł zemsty, dopóki nie uśmiechnęła się słodziutko do Godfreya. Mnie zupełnie zignorowała.

Zostawiłam ich razem i poszłam na spacer w stronę wykopalisk.

\* \* \*

Przechadzając się między ruinami rzymskich łaźni, rozmyślałam o Romie. Wspomnienia o niej były tak żywe, że miałam wrażenie, iż ona sama pojawiła się u mego boku. Pamiętałam, z jakim przejęciem pokazywała mi kiedyś to miejsce!

Postanowiłam nie patrzeć w stronę spalonej chaty, ale moje oczy same się tam zwracały. Budynek wyglądał upiornie — wypalona skorupa, niczym pozostałości po kaplicy w zagajniku.

Duch Romy towarzyszył mi tamtego dnia tak sugestywnie, jakby moja siostra chciała mi przekazać coś ważnego. Wiedziałam, że groziło mi niebezpieczeństwo. Czułam to cały czas. Staralam się nie wpadać w panikę, ale zdawałam sobie sprawę, że postąpiłam nierozsądnie przychodząc tu sama. Byłam tak blisko miejsca, w którym cudem tylko uniknęłam śmierci. Wykopaliska znajdowały się na kompletnym odludziu i unosiły się nad nim duchy przeszłości.

Weź się w garść, upominałam się. Strach ma wielkie oczy. Zajmij się lepiej mozaikami i spróbuj odgadnąć, jaki jest na nich ornament.

Kolory rzeczywiście bardzo wyblakły. Czas i zanieczyszczenia zrobiły swoje. Kochana Roma tak bardzo pragnęła po śmierci Pietra rozbudzić na nowo moje zainteresowanie życiem. Wierzyła, że archeologia może być panaceum na wszystkie problemy i dlatego prosiła mnie, abym pomagała tym, którzy rekonstruowali mozaiki. Być może wyobrażenia na tych mozaikach były właśnie częścią ornamentów, o których wspominał Godfrey.

Nagle poczułam, że to może być bardzo ważna informacja. Przecież pomagałam przy tych pracach. Powinam natychmiast powiedzieć o tym Godfreyowi.

Postanowiłam wracać na plebanie.

Po drodze zastanawiałam się, jak przekazać mu informację, że musimy się jak najszybciej spotkać. Na szczęście, jedna ze służących czyściła mosiężną klamkę przy drzwiach na plebanie, nie musiałam więc dzwonić i informować wszystkich o swojej wizycie.

— Pani Rendall jest w spiżarni — poinformowała mnie dziewczyna.

— W porządku, Jane — podziękowałam jej. — Muszę na chwilę wejść do klasy. Zapomniałam wziąć nuty.

Pobiegnęłam na górę pamiętając, że Godfrey prowadzi lekcję łaciny. Na mój widok wyraźnie się zaniepokoił. Dziewczęta również patrzyły na mnie zdziwione.

— Wydaje mi się, że zostawiłam tu swoje nuty — wyjaśniłam i przeszłam na drugi koniec pokoju, gdzie w komodzie trzymałam swoje książki i zeszyty z nutami.

— Mogę w czymś pomóc? — spytał Godfrey, idąc za mną. Udając, że nie mogę znaleźć potrzebnych mi materiałów, napisałam ołówkiem na okładce jednej z książek: „Na cmentarzu za dziesięć minut”.

— Czy nie tego pani szuka? — zapytał.

— Och, tak. Dziękuję i przepraszam, że przerwałam panu lekcję. To naprawdę bardzo ważne.

Gdy wychodziłam z klasy, czułam jak odprowadzają mnie do drzwi trzy pary ciekawskich oczu. Szybko zbiegłam po schodach, aby nie spotkać pani Rendall i poszłam prosto na cmentarz.

Godfrey pojawił się tam, zanim jeszcze upłynęło dziesięć minut.

— Może dramatyzuję — powiedziałam — ale coś sobie przypomniałam. Gdy byłam tu pierwszy raz, archeologowie rekonstruowali jedną z mozaik. Roma powiedziała, że zabytek jest bardzo cenny i kazała im pracować na miejscu. Ja też trochę przy tym pomagałam, wykonując jakieś mało istotne prace.

— Tak, tak, mów dalej — ponaglał mnie niecierpliwie Godfrey, rozwiewając tym samym moje wątpliwości, czy to, co mam mu do powiedzenia, może go zainteresować.

— No więc, wydaje mi się, że ta mozaika była częścią wzoru, o którym mówiłaś. Jestem tego wręcz pewna.

— A zatem musimy się jej przyjrzeć.

— Ale gdzie ona jest?  
— Jeżeli udało się ją złożyć, mogła się znaleźć w British Museum. Przy najbliższej okazji trzeba będzie ją obejrzeć.  
— Kiedy mógłbyś tam pojechać?  
— Teraz nie mogę wziąć dnia wolnego. A ty? Jesteś tu już dość długo i nie miałaś jeszcze urlopu, prawda?  
— Tak, ale...  
— Nie zaznam spokoju, dopóki któreś z nas tego nie sprawdzi.  
— Wydaje mi się, że pani Lincroft ma zamiar pojechać z dziewczynkami do Londynu po zakupy.  
— To doskonała okazja. Możesz pojechać z nimi i w czasie, gdy będą chodzić po sklepach, odwiedzić muzeum i znajdziesz tę mozaikę.  
— Dobrze. Postaram się to jakoś zorganizować.  
— Mam nadzieję, że czegoś się wreszcie dowiemy — powiedział Godfrey i oczy mu zalśniły z podniecenia. Rozstaliśmy się i każde z nas wróciło do swoich zajęć. Gdy weszłam do holu w Lovat Stacy, natknęłam się tam na panią Lincroft.  
— Już późno. Czy coś panią zatrzymało?  
— Tak. Musiałam wrócić po to — chciałam pokazać jej książkę, ale wyslizgnęła mi się z ręki i upadła na posadzkę. Pani Lincroft schyliła się po nią, a gdy mi ją podawała, zastanawiałam się, czy zauważyła moją notatkę: „Za dziesięć minut na cmentarzu”.

\* \* \*

Dziewczynki były bardzo podekscytowane podróżą pociągiem.  
— Jaka szkoda — powiedziała Alice — że Sylvia nie mogła z nami pojechać.  
— Nigdy by jej nie pozwolono samej wybrać materiał na sukienki — zauważyła Allegra.  
— Biedna Sylvia! Czasami mi jej żal — zatroskała się pani Lincroft i westchnęła. Czułam, że myśli o Alice i Allegrze, o tym, że mimo iż urodziły się w tak nie sprzyjających okolicznościach, potrafiła im stworzyć szczęśliwsze dzieciństwo niż miała Sylvia, która wychowywała się w pełnej rodzinie. Przypomniała mi się jej uwaga o progu, na którym każdy może się kiedyś poślizgnąć i uznałam, że ta kobieta gotowa jest zrobić wszystko, aby zadośćuczynić za swój grzech.  
— Biedna pani Verlaine — kontynuowała swoje uzalania Alice. — Pani też nie kupi sobie materiału na nową suknię.  
— Skąd wiesz, może skorzysta z okazji i zrobi zakupy — strofowała ją pani Lincroft.  
— Pani Verlaine wybiera się do British Museum — poinformowała wszystkich Allegra, przyglądając mi się z ciekawością. Zdziwiłam się, skąd to wie, ponieważ nikomu nie mówiłam o swoich planach. — Słyszałam, jak pani rozmawiała z panem Wilmotem — wyjaśniła Allegra.  
— Tak — powiedziałam z rezygnacją. — Pomyślałam, że zrobię sobie wycieczkę do muzeum. Kiedyś mieszkałam w pobliżu i dość często tam chodziłam.  
— To pewnie dlatego, że pani ojciec był profesorem — stwierdziła Alice. — Domyślałam się, że musiała się pani bardzo przykładać do nauki i dlatego tak znakomicie gra pani na fortepianie. — Spojrzała na Allegrę i nieoczekiwanie zaproponowała: — Ja też chciałabym odwiedzić to muzeum. Chodźmy tam wszystkie.  
Przez chwilę byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co powiedzieć.  
— Myślałam, że bardziej was interesuje wybieranie materiałów na nowe sukienki — wykrztusiłam wreszcie.

— Mamy dużo czasu, prawda mamusiu? — nalegała Alice. — Zamiast iść do parku, możemy zwiedzić British Museum.

— Nie widzę przeszkód, abyśmy spędziły tam godzinkę lub nawet dwie. Kiedy zamierzała się pani tam wybrać? — zapytała mnie pani Lincroft.

— Ależ, nie chciałabym wam niczego narzucać.

— Wcale nam pani tego nie narzuca — uśmiechnęła się pani Lincroft. — Powiem wam, co zrobimy. Najpierw pójdziemy do muzeum, potem zjemy lunch w Brown Hotel i kupimy materiały. Zdążymy wszystko załatwić i wrócimy pociągiem o wpół do piątej.

Byłam załamana, ale i tak najgorsze miało dopiero nadejść. Resztę podróży do Londynu spędziłam na rozmyślaniach, jak zniechęcić dziewczęta do wizyty w muzeum. Niestety, nic mądrego nie przyszło mi do głowy. W jaki sposób Allegra dowiedziała się o moich planach? Musieliśmy być bardzo nieostrożni.

W końcu uznałam, że muszę zaryzykować i zabrać całe towarzystwo do British Museum, a gdy już będziemy na miejscu postaram się jakoś je zgubić i zwiedzić rzymskie zabytki bez świadków.

Tego dnia miałam jednak okropnego pecha. Gdy wychodziłyśmy z taksówki, która przywiozła nas ze stacji, usłyszałam, że ktoś mnie woła.

— Ależ... oczywiście... to pani Verlaine.

Na szczęście pani Lincroft i dziewczynki zostały nieco w tyle, udało mi się więc pierwszej pobiec w stronę, skąd dochodził głos, który, jak się okazało, należał do przyjaciela mojego ojca.

— Co za straszna historia z pani siostrą — powiedział, potrząsając ze smutkiem głową. — Czy wiadomo, co się z nią stało?

— Nigdy się tego nie dowiedziałam.

— To ogromna strata — kontynuował. — Zawsze powtarzaliśmy z kolegami, że Roma Brandon zajdzie dalej niż jej rodzice. Biedactwo...

Starszy człowiek mówił donośnym głosem. Pani Lincroft była już dość blisko, i z pewnością coś musiała usłyszeć, ale dziewczynki nie zwracały na nas uwagi. Alice stała odwrócona tyłem i pokazywała coś Allegrze palcem.

— Musi nas pani kiedyś odwiedzić. Mieszkamy wciąż w tym samym miejscu.

— Dziękuję — pożegnałam się szybko. — Dziękuję za zaproszenie.

Znajomy uchylił kapelusza i odszedł.

— Nigdy tu jeszcze nie byłam — powiedziała pani Lincroft. — Za rzadko mamy okazję, aby zwiedzać nasze wspaniałe muzea.

Serce biło mi jak oszałałe. Może jednak nie słyszała, pocieszałam się. Może tylko mi się wydawało, że znajomy rodziców miał donośny głos. I może pani Lincroft nie podeszła wystarczająco blisko, zresztą na pewno myślała o tym, jakie materiały wybrać na stroje dla dziewczynek.

— To prawda — zaśmiałam się nerwowo. — Zdecydowanie częściej powinniśmy odwiedzać muzea.

— Ale za to teraz mamy ku temu wspaniałą okazję — zawołała Alice, podchodząc do nas. — Co za wspaniały budynek! Jakie cudowne rzeczy muszą być tam w środku!

Gdy weszłyśmy do muzeum, dziewczynki nie mogły się powstrzymać od okrzyków zachwytu. Znowu stanęły mi przed oczami sceny z mojego dzieciństwa, gdy obie z Romą przychodziłyśmy tu niemal codziennie. Nasi rodzice uważali, że nic nie przyczyni się bardziej do naszego rozwoju intelektualnego niż skarby ukryte w tych murach.

\* \* \*



Udało mi się je zgubić. Zostawiłam panią Lincroft i dziewczęta, gdy zachwyciły się miniaturami w dwunastowiecznych manuskryptach. Wycofałam się po cichu i po chwili byłam już w salach, które tak często odwiedzałam z Romą.

Zapytałam napotkanego przewodnika, gdzie znajdzie rzymską mozaikę z Lovat Stacy i zostałam skierowana do właściwej sali.

Jakaż była moja radość, gdy zobaczyłam ją tam, leżącą między innymi eksponatami. Była bardzo podobna do tych, które z taką uwagą oglądaliśmy z Godfreyem. Obok niej zauważyłam jeszcze kilka podobnych. Nie wiedziałam, że w Lovat Stacy było ich więcej. Roma mówiła mi tylko o jednej, ale być może miała więcej szczęścia i udało jej się zrobić restaurację jeszcze kilku. Przy eksponatach znajdowały się podpisy z informacjami, wyjaśniające także metody konserwacji. Na jednej z mozaik przedstawiono człowieka, prawdopodobnie mężczyznę, który wyglądał tak, jakby nie miał stóp, a jego nogi przypominały dwa kikuty. Miał szeroko rozłożone ramiona, jakby próbował schwycić coś, czego nie pokazano. Spojrzałam na drugą, na której obraz był mniej wyraźny. Brakujące fragmenty wypełniono czymś w rodzaju białego cementu. Na niej także można było dostrzec postać mężczyzny, którego nogi przedstawione były tylko do wysokości kolan. Miałam wrażenie, że się w czymś zanurzał. Na trzeciej z kolei mozaice widoczna już była tylko głowa człowieka, który wyglądał, jak zakopany żywcem. Nie mogłam oderwać od tego oczu.

— Zobaczcie, tu są nasze mozaiki — usłyszałam nagle za sobą. Odwróciłam się. Tuż za mną stały Alice i Allegra.

— Tak — powiedziałam. — Zostały znalezione w okolicach Lovat Stacy.

— I przez to są takie interesujące, prawda? — dopytywała się Alice.

Z sąsiedniej sali wyszła pani Lincroft.

— Spójrz, mamó! — zawołała Alice. — Pani Verlaine to znalazła.

Pani Lincroft pobieżnie rzuciła okiem na eksponaty.

— Bardzo ładne — stwierdziła.

— Ale pani wcale im się dobrze nie przyjrzała — oburzyła się Allegra. — To są nasze mozaiki.

— Co takiego? — zdziwiła się kobieta. — To zabawne! — Uśmiechnęła się do mnie przepraszająco. — Myślę, że musimy się już szykować na lunch.

Nie protestowałam. Swoje zadanie uważałam za skończone, chociaż nie byłam pewna, z jakim wynikiem. Miałam jednak o czym opowiadać Godfreyowi.

Po wyjściu z muzeum wzięłyśmy taksówkę i pojechałyśmy do hotelu. Dziewczynki całą drogę rozmawiały o tym, co sobie — wybiorą w sklepie z materiałami.

Przed hotelem gazeciarze zachęcali do kupna prasy, wykrzykując nowiny.

— „Dzentelmen” Terrall schwytany! Kobiety są bezpieczne!

— To nasz „Dzentelmen” — wyszeptła Alice.

— Co ty mówisz? — gwałtownie zareagowała jej matka.

— Rozmawialiśmy o nim, mamusi. Zastanawialiśmy się, czy nie jest trochę podobny do pana Wilmota.

— Dlaczego tak sądziłyście?

— Bo nazywali go „Dzentelmenem”. Dlatego pomyślałyśmy z Allegra, że musi być podobny do pana Wilmota, prawda?

Allegra pokiwała głową.

— Nie powinnyście rozmyślać o takich sprawach — skarciła je pani Lincroft.

Nikt nie wspominał już o mozaikach. Nikt też nie nawiązywał do rozmowy, jaką odbyłam ze znajomym mojego ojca przed British Museum. Powoli się uspokajałam, a kiedy już kupiłyśmy wszystko, co było potrzebne do uszycia nowych strojów dla dziewcząt, wsiałam do pociągu w przekonaniu, że moje incognito zostało zachowane.

\* \* \*

Godfrey był bardzo przejęty moim odkryciem w British Museum.

— Jestem pewien, że to coś znaczy — oświadczył. Spacerowaliśmy po terenie wykopalisk, oglądając po raz kolejny rzymskie łaźnie. Godfrey zatrzymał się przed jedną z mozaik i zaczął się jej tak intensywnie przyglądać, jakby wierzył, że wpatrując się dostatecznie długo, zrozumie co przedstawiają wzory ułożone z kolorowych kamyczków.

— Nie sądzisz, że odkryliby to, gdyby to było możliwe? — zapytałam.

— Kto, archeologowie? Może nie zauważyli, że one coś przedstawiają. Ja jednak mam przecucie, że tu jest zawarty jakiś przekaz.

— A zatem, co proponujesz? Mamy iść do British Museum i opowiedzieć im o tym?

— Pewnie by nas wyśmiali.

— Dlatego, że to nie oni na to wpadli? W ten sposób mamy kolejną wersję o zazdrosnym archeologu, ale to wcale nie przybliży nas do rozwiązania zagadki zniknięcia Romy.

Usłyszałam z tyłu ciche kasznięcie i zobaczyłam zbliżające się do nas dziewczęta.

— Przyszłyśmy, żeby obejrzeć mozaiki — oświadczyła Alice. — Wie pan, że widziałyśmy je w muzeum. Pani Verlaine nam je pokazała.

— Mnie najbardziej podobała się ta, na której widać było tylko głowę — powiedziała Allegra. — Wyglądało to tak, jakby komuś odcięto głowę i położono ją na ziemi. Ten obrazek był bardzo ponury.

— Mnie zrobiło się nawet niedobrze, gdy na to patrzyłam — dodała Alice.

Godfrey stał wyprostowany i wpatrywał się w morze.

— Jakie przejrzyste powietrze — powiedział, próbując zmienić temat. — To podobno zwiastuje deszcz.

— To prawda — potwierdziła Allegra. — Jeżeli widać maszty na piaskach Goodwins, należy się spodziewać deszczu.

Nagle Godfrey wstrzymał oddech, jakby przyszło mu do głowy coś ważnego. Wydawało się, że zapomniał o obecności dziewcząt.

— Wiesz, nagle o czymś pomyślałem. Te mozaiki... może one ukazują człowieka, żywcem pogrzebanego w piasku.

— Mówisz o grząskich piaskach?

— To zapewne jest jakieś ostrzeżenie. Za karę wywożono ludzi na piaski Goodwins, aby się w nich powoli zatapiali.

— To chyba nie byłoby wykonalne.

— Masz rację — przyznał rozczarowany. — Ale może są tu w okolicy jeszcze inne piaski.

— Gdzie?

— Gdzieś tu — machnął ręką w nieokreślonym kierunku. — Moim zdaniem, taki jest właśnie sens tych przedstawień.

— To potworne — westchnęła Sylvia i wstrząsnęła się. — Ciekawe byłoby...

Godfrey stał, kołyszając się na piętach i wyglądał tak, jakby był pogrążony w jakimś hipnotycznym transie. Nigdy przedtem go takim nie widziałam.

— Nie bądź dzieckiem, Sylvio — skarciła ją Allegra.

— Nie możemy pozwolić, aby panna Clent na nas czekała — oświadczyła Alice. — Panna Clent ma przyjść dziś przed południem do Lovat Stacy i przymierzyć nam sukienki.

— Och, Boże — westchnęła Allegra. — Szkoda, że wybrałam ten materiał w kolorze rozgniecionej truskawki. Burgund byłby znacznie lepszy.

— Mówiłam ci — upomniała ją Alice. — Tak, czy inaczej, panna Clent nie powinna na nas czekać.

Dziewczynki pożegnały się, zostawiając nas zatopionych w dyskusji, co mogło być tematem przedstawień na mozaikach.

\* \* \*

— Alice napisała opowiadanie o mozaikach — oświadczyła następnego dnia Allegra. — Jest naprawdę świetne.

— To wspaniale — ucieszyłam się. — Chciałabym je przeczytać.

— Muszę nad nim jeszcze trochę popracować.

— Ale Allegra i Sylvia już go czytały.

— Chciałam tylko sprawdzić, jakie to na nich zrobi wrażenie. Chociaż to jeszcze dzieci... no, może trochę starsze. Dorośli zwykle są bardziej krytyczni, prawda?

— Nie rozumiem, dlaczego tak myślisz.

— Oczywiście, że tacy są. Mają więcej doświadczeń, a my dopiero się uczymy.

— A więc nie pokażesz mi swojej nowej pracy?

— Kiedyś na pewno... gdy będę już z niej zadowolona.

— To jest opowieść o człowieku, który pogrąża się w grząskich piaskach — powiedziała Allegra.

Alice westchnęła i spojrzała na koleżankę, która wzruszyła ramionami.

— Myślałam, że jesteś z tego zadowolona.

— To opowieść o Rzymianach — wyjaśniła mi Alice. — Gdy ktoś z nich popełnił jakieś przestępstwo, wysyłano go na grząskie piaski, które powoli go wciągały. Dla takiego nieszczęśnika nie było już ratunku. Niektóre piaski pochłaniały przestępców szybko, inne wolno... i to była dużo sroższa kara. Gdy próbowali się oswobodzić, piaski wciągały ich jeszcze szybciej. W moim opowiadaniu bohaterem jest człowiek, który układa mozaikę, przedstawiającą jego samego, ginącego powolną śmiercią w grząskich piaskach. Rzymianie nazywali to wyrafinowaną torturą. Ten biedak, pracując nad mozaiką, doskonale zdawał sobie sprawę, co się z nim stanie A ponieważ wiedział o tym, jego mozaika była naprawdę przejmująca i przerażająco prawdziwa.

— Alice, co też tobie chodzi po głowie!

— Moim zdaniem to dobry pomysł, pani tak nie uważa? — zapytała przejęta.

— Też tak sądzę, ale nie powinnaś pozwalać, aby w twojej wyobraźni rodziły się takie makabryczne sceny. Postaraj się myśleć o przyjemniejszych sprawach.

— Rozumiem — powiedziała Alice. — Ale człowiek ma obowiązek dawać świadectwo prawdzie, nie mam racji? Wydaje mi się, że nie wolno przymykać na nią oczu.

— Oczywiście, że nie, ale...

— Zastanawiałam się, dlaczego Rzymianie wykonywali takie mozaiki. Na pewno nie były one efektem myślenia o przyjemnych sprawach. Przecież powolne umieranie w ruchomych piaskach wcale nie należy do przyjemności. Tak właśnie zatytułowałam moje opowiadanie: „Ruchome piaski”. Gdy je pisałam, trzęsłam się ze strachu. Dziewczynki także, gdy później im czytałam. Ale obiecuję, postaram się skierować wyobraźnię na jakieś przyjemniejsze obszary.

\* \* \*

Gdy wyszłam ze swojego pokoju, wpadłam prosto na Sybil, która zdawała się czekać na mnie.

— Och, pani Verlaine — zawołała na mój widok, udając zdziwienie. — Jak to miło panią spotkać! Dawno się nie widziałyśmy. Była pani bardzo zajęta.

— Mam dużo lekcji — odpowiedziałam wymijająco.

— Ach tak. — Przesunęła się bliżej drzwi i usiłowała zajrzeć do środka. — Chciałabym z panią porozmawiać.

— Zechce pani wejść do środka?

— Z przyjemnością.

Przemknęła obok mnie na palcach, jakbyśmy byli partnerkami w konspiracji i rozejrzała się dookoła.

— Miło tu — stwierdziła. — Bardzo miło. Myślę, że jest tu pani całkiem szczęśliwa. Będzie pani żał stąd wyjeżdżać.

— Tak... jeżeli będę wyjeżdżać.

— Widziałam panią z wikarym. Przypuszczam, że wielu uważa go za bardzo atrakcyjnego mężczyznę.

— Sądzę, że tak.

— A co pani o nim myśli? — Jej dociekliwość denerwowała mnie.

— Tak, tak, myślę, że ma pani rację.

— Słyszałam, że już wkrótce stąd wyjeżdża, aby objąć interesującą posadę. No tak, można się było tego spodziewać. Ma przecież znakomite koneksje. Na pewno zrobi karierę. Potrzebna mu będzie odpowiednia żona.

Chyba zauważyła wyraz irytacji na mojej twarzy, bo szybko dodała:

— Bardzo panią polubiłam. Nie chciałabym, aby pani stąd wyjeżdżała. Stała się pani częścią tego miejsca.

— Dziękuję.

— Oczywiście, każdy, kto mieszka w tym domu, staje się jego częścią. Nawet tacy ludzie jak Edith. To biedne dziecko, bez wyraźnej osobowości, także zapisało się w historii tego domu, prawda? I to jak! Biedactwo.

Żałowałam, że ją do siebie zaprosiłam. Na korytarzu łatwiej byłoby mi się jej wymknąć.

— I oczywiście — mówiła dalej — to pani muzyka sprawiła, że William się rozchorował.

— Powiedziałam już pani, że grałam tylko to, co było w wybranych nutach — zachnęłam się. Jej oczy błysnęły nagle dziwnym światłem, migocącym pośród zmarszczek.

— No tak... ale jak pani myśli, kto podłożył pani te nuty?

— Bardzo chciałabym to wiedzieć — powiedziałam. Ogarnęło ją takie podniecenie, że domyśliłam się, iż ma mi coś niezwykle ważnego do powiedzenia.

— Pamiętam dzień, kiedy umarła...

— Kto?

— Isabella. Cały dzień grała na fortepianie. To był nowy utwór, do którego właśnie znalazła opracowanie na fortepian. „Taniec szkieletów”. Najpierw nuciła go bez muzyki, co brzmiało doprawdy niesamowicie. „Taniec śmierci...” śpiewała. A potem, grając to raz po raz, myślała już tylko o śmierci. Potem wzięła pistolet i poszła do lasu. Dlatego mój brat tak się wzburzył słysząc, że ktoś znowu gra tę melodię. On nigdy by nie wybrał tych nut.

— Ktoś to jednak zrobił.

— Ciekawe kto? Zaśmiała się.

— Pani wie? — zapytałam. Pokiwała głową.

— O tak, wiem.

— To był ktoś, kto chciał zdenerwować sir Williama... przerazić go. Chorego człowieka!

— I co z tego? — zapytała. — Czemu udaje takiego chojra — ka? Wcale taki nie był. Zapewniam panią. Dlaczego ktoś nie miałby go przestraszyć?

— Ale to mogło go zabić. Jest bardzo chory i nie powinno się go denerwować.

— Pani myślała, że to robota Napiera. Pokłócił się z ojcem, który groził, że wyrzuci go z domu. Rozumie pani? Dlaczego Napier miałby stąd wyjeżdżać? Dlaczego sir William udawał takiego sprawiedliwego? Kiedyś...

— Panno Stacy — przerwałam jej — czy to pani podłożyła mi te nuty?

Skuliła ramiona jak dziecko i pokiwała głową.

— A więc nie powinna pani źle myśleć o Napierze, prawda?

To wariatka, pomyślałam, niebezpieczna wariatka. Niemniej jednak byłam szczęśliwa, że zaprosiłam ją do siebie.

Napier był niewinny.

\* \* \*

Nie mogłam przestać myśleć o mozaikach. Byłam pewna, że przedstawiały coś bardzo ważnego. Od czasu do czasu odwiedzałam wykopaliska, żeby lepiej im się przyjrzeć. Spacerowałam tam, wspominając Romę i próbując sobie przypomnieć, co mi mówiła o restauracji zabytków. Pewnego dnia spotkałam w ruinach Napiera.

— Znowu zaczęła tu pani przychodzić — powiedział. — Miałem nadzieję, że kiedyś się spotkamy.

— Widywał mnie pan tu wcześniej?

— Często.

— Ale ja pana nie widziałam. Nikt nie lubi, gdy się go obserwuje po kryjomu.

— Nie powinno tak być, gdy nie ma się nic do ukrycia.

— Jak wielu ludzi, pana zdaniem, posiada tę cnotę niewinności?

— To niekoniecznie wiąże się z cnotą. Ktoś może, na przykład, wykonywać jakieś bardzo ważne zadanie, które wymaga od niego całkowitej anonimowości. I wtedy denerwuje się, gdy inni go obserwują.

— Jakie zadanie?

— Na przykład przyjazd incognito w pewne miejsce, aby rozwiązać zagadkę zniknięcia siostry.

— Pan wie! — zawołałam, wstrzymując oddech.

— Nietrudno było to odgadnąć.

— Od jak dawna pan wie?

— Domyśliłem się wkrótce po pani przyjeździe.

— Ale...

— Powiedziałem już, że nie było to trudne — zaśmiał się. — Bardzo chciałem się wszystkiego o pani dowiedzieć, a ponieważ miała pani słynnego męża, znakomicie ułatwiło mi to zadanie. Słynny mąż, siostra, która była bardzo znana w pewnych kręgach. Sama pani przyzna, że to nie było trudne.

— Dlaczego mi pan nie powiedział?

— Mogłaby się pani zdenerwować, a poza tym wolałem dowiedzieć się wszystkiego od pani.

— Gdybym wyjawiała, kim jestem, nigdy by mnie tu nie zaproszono.

— Trzeba było powiedzieć o tym tylko mnie.

— A więc, co pan teraz zamierza?

— Dokładnie to samo, co już robię od pewnego czasu.

— Jest pan na mnie zły?

— Dlaczego miałbym być zły teraz, skoro wiem o wszystkim już od dawna?

— Śmieje się pan ze mnie?

— Podziwiam panią.

— Za co?

— Za to, że przyjechała tu pani... że tak mocno kocha pani swoją siostrę, że naraża się dla niej na niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo! Co może mi grozić?

— Ludzie, którzy usiłują się dowiedzieć, co się stało z przypuszczalną ofiarą mordercy, zawsze są narażeni na niebezpieczeństwo.

— Kto powiedział, że moja siostra została zamordowana?

— Powiedziałem „przypuszczalnie”. Nie można, niestety, także stwierdzić, że nie została.

— Roma była ostatnią osobą, którą ktoś chciałby zamordować.

— Tak mówi się o większości ofiar. A skąd pani wie, co ona wiedziała? Może miała jakiś sekret. Przecież nie mówiła pani wszystkiego o sobie i swoim życiu.

— Właściwie to niewiele o nim wiedziałam.

— A teraz jest pani tutaj. Ma pani odwagę się narażać i to właśnie w pani podziwiam... oczywiście, między innymi.

Postąpił krok w moją stronę, nie spuszczać ze mnie wzroku pełnego tęsknoty.

— Jednak już wkrótce zniknęła następna osoba, a dwa zniknięcia to już za dużo, żeby traktować je jako wypadek.

— To oczywisty wniosek, mnie też to przyszło do głowy.

— Jak pani myśli, co przytrafiło się pani siostrze?

— Nie wiem, poza tym, że z pewnością nie wyjechałaby nigdzie, nic mi nie mówiąc.

— A Edith?

— Edith także.

— Sądzi pani, że te dwie sprawy coś ze sobą łączy?

— Wydaje mi się, że tak.

— Czy nie uważa pani, że może Edith coś odkryła... coś, co mogłoby wyjaśnić sprawę zniknięcia pani siostry? Jeżeli tak... to co może stać się z panią, która próbuje dowiedzieć się tego samego? Czy nie powinna pani być ostrożniejsza? To niebezpiecznie bawić się w detektywa samemu... chociaż, o ile wiem, pomaga pani w tym pan Wilmot, prawda?

— Trudno to tak nazwać.

— Ale on wie, kim pani jest. Pokiwałam głową.

— A więc jemu jednemu pani powiedziała.

— On wiedział, kim jestem, zanim się poznaliśmy — wyjaśniłam.

— I przyznał się do tego? Oczywiście, to taki szczery i otwarty człowiek... Nie tak jak inni.

— To wszystko odbyło się bardzo spontanicznie. Od razu mnie rozpoznał, a ja byłam mu wdzięczna, że nie zdradził się przed innymi.

— Ja też trzymałem to dla siebie. Jest mi pani wdzięczna?

— Tak, bardzo panu dziękuję.

— Pani wie, że zrobię wszystko, żeby jej pomóc. Wierzy mi pani?

— Tak.

— Ciesz się. Jeżeli uda nam się rozwiązać zagadkę tych tajemniczych zniknięć, to będzie duża rzecz. Pani też na tym zależy, prawda? Dla mnie również jest to ważne... może nawet bardziej... żeby poznać prawdę.

Nagle przestraszyłam się tego, co mógłby mi jeszcze powiedzieć i co mogłabym mu odpowiedzieć. Gdy byłam z Napierem, łatwo poddawałam się jego urokowi, ale kiedy się rozstawaliśmy, znowu myślałam o nim spokojnie i chłodno.

Napier chyba mnie rozumiał, bo zaczął mówić o Romie.

— Widziałem pani siostrę raz czy dwa. To była prawdziwa entuzjastka. Mieszkała w tej chacie zupełnie sama.

— Ja też spędziłam tam z nią kilka dni.

— To dziwne! Byliśmy tak blisko i nie spotkaliśmy się.

— Mnie to nie dziwi. Było tu wtedy tak wielu ludzi, że nie mógł pan wszystkich zauważyć.

— Nie interesują mnie wszyscy ludzie... tylko pani.

— Godfrey Wilmot uważa, że być może Roma dokonała jakiegoś niezwykle ważnego odkrycia i wzbudziła tym zazdrość innego archeologa. Moim zdaniem to dość sensowna hipoteza.

— Powinna mi pani mówić o wszystkim, co może mieć znaczenie dla rozwiązania tej zagadki. Proszę mi pozwolić sobie pomóc. Wie pani przecież, że jeżeli oba te zniknięcia mają ze sobą coś wspólnego, za wszelką cenę powinienem się o tym dowiedzieć.

— Ja też zrobię wszystko, aby poznać prawdę.

— A zatem mogę mieć nadzieję, że będziemy działać razem... w tej sprawie?

— Tak. Działajmy razem.

Wyciągnął rękę, jakby chciał mnie dotknąć, ale odwróciłam się, udając, że tego nie widzę i szybko się pożegnałam.

Sybil wydała walkę Cyganom. Tak się w to zaangażowała, że o niczym innym nie mówiła, przestała nawet malować.

Często widywałam ją, jak spacerowała wokół domu i mruzczała do siebie jakieś groźby pod ich adresem.

Zdrowie sir Williama powoli się poprawiało. Oczekiwałam, że znowu zaczną się kłótnie między nim a Napierem, ale myliłam się. Pomyślałam więc, że sir William docenił wreszcie jego talent w zarządzaniu majątkiem i postanowił zostawić te sprawy w jego rękach.

Otoczony murem ogród stał się ulubionym miejscem wypoczynku sir Williama, zmuszona więc byłam zrezygnować ze swoich przyzwyczajęń i coraz rzadziej tam przychodziłam. Sir William spędzał w ogrodzie godzinę każdego ranka, pieczołowicie otulony kocem przez panią Lincroft, która przychodziła także później, aby pomóc mu wrócić do pokoju.

Gdy pierwszy raz go tam zastałam, była z nim Sybil.

— Musisz ich stąd wyrzucić — przekonywała go podniesionym głosem. — Ich pobyt tu nie wróży nic dobrego. Pamiętasz, co się stało, gdy byli tu poprzednio? Jedna z nich zaczęła pracować w kuchni i popatrz, czym to się skończyło.

— Sybil, uspokój się — upominał ją sir William. — Nie podnoś głosu.

— Zawsze mówiłeś, że nie chcesz ich tu widzieć. I co teraz zrobisz?

— Sybil... bądź cicho. Bądź cicho.

Odwróciłam się, aby odejść i natknęłam się na panią Lincroft. Obrzuciła mnie szybkim spojrzaniem i weszła do ogrodu.

— Panno Stacy — usłyszałam jej głos. — Proszę nie przeszkadzać sir Williamowi. Nie czuje się najlepiej.

— Kim pani jest? — zawołała Sybil. — Proszę mi nie zwracać uwagi. To niesmaczne. Uważa się pani za gospodynię w tym domu, prawda? Powiem pani jednak, że może pani być opiekunką mojego brata, ale nie panią w Lovat Stacy. Pani zachęca tych Cyganów, aby tu pozostali. Dlaczego? Bo Serena za dużo o pani wie, oto cała tajemnica.

Ta kobieta jest szalona, pomyślałam odchodząc. Czemu słucham tych nonsensów, które wygaduje? Byłam na tyle nierozsądna, że dałam posłuch jej wymysłom, a przecież ona żyje w swoim wymyślanym świecie.

Kilka minut później widziałam, jak pani Lincroft popychała wózek z sir Williamem. Była czerwona i szła ze spuszczonej oczami.

\* \* \*

Jednak sir William dał posłuch żądaniom swojej siostry. Oświadczył, że nie zezwala Cyganom, aby obozowali na jego ziemi i ku zadowoleniu Sybil, kazał im się wynosić.

Panią Lincroft poparł Napier i wywiązała się kłótnia, którą później komentowały dziewczęta.

— Cyganie muszą stąd odejść — oświadczyła Allegra — ponieważ dziadek tak powiedział. A on jest tu panem. Pani Lincroft i mój ojciec są temu przeciwni.

— A moja mama też uważa, że Cyganie powinni odejść — powiedziała Sylvia. — Mówi, że to wstyd dla całej okolicy. Zaśmiecają teren, kradną kurczaki i dlatego powinni odjechać.

— Jeżeli chodzi o mnie, uważam, że to wstyd ich wyrzucać — stwierdziła Allegra.

Alice obojętnie wzruszyła ramionami i powiedziała, że Cyganie mogą przecież znaleźć sobie jakieś inne, miłe miejsce na obóz, a jeżeli sobie pojadą, będzie lepiej dla wszystkich.

Później, gdy zostałyśmy same z Sylvią, dziewczynka oglądając się za siebie, zwierzyła mi się.

— Mama mówi, że jedyne dwie osoby, które chcą, aby Cyganie tu zostali, robią tak, bo są przez nich szantażowane.

— Na twoim miejscu nie rozpowiadałabym takich plotek, Sylvio — zwróciłam jej uwagę.

— Ja tego nie rozpowiadam. Powiedziałam to tylko pani. Ale moja mama naprawdę tak uważa. Podobno pan Napier miał kiedyś romans z jedną z tych Cyganiek, która jest matką Allegry. Moja mama uważa, że to pożałowania godne, i że takie rzeczy nie powinny się zdarzać. A jeżeli chodzi o panią Lincroft... moja mama mówi, że cała ta historia z jej wdowieństwem jest mocno podejrzana i nie wierzy w żadnego pana Lincrofta.

— Powinnas takie opinie zachować dla siebie, Sylvio — powiedziałam stanowczo. — A teraz pora na ćwiczenia.

\* \* \*

Walka z Cyganami trwała nadal i sir William najwyraźniej szykował się do zdecydowanego posunięcia. Pani Lincroft była bardzo niespokojna, podobnie Napier. Ja też powoli zaczynałam dawać wiarę pogłoskom, że Cyganka zastraszyła ich ujawnieniem jakichś kompromitujących faktów, jeżeli nie wywalczą dla nich prawa zamieszkania na terenach Lovat Stacy.

Wreszcie któregoś poranka wszystko się wyjaśniło.

Siedziałam w ogródku za kamiennym murem, gdy pojawiła się pani Lincroft, popychając wózek z sir Williamem. Zamierzałam odejść, ale starszy pan poprosił, abym dotrzymała mu towarzystwa i porozmawiała z nim o muzyce.

Usiadłam więc obok niego i razem z panią Lincroft zatopiliśmy się w miłej pogawędce. Sir William jeszcze raz podziękował mi za chwilę przyjemności, jakie dawała mu moja muzyka. Tłumaczył, że chociaż często zapada w drzemkę, kiedy gram, muzyka działa na niego kojąco i bardzo go uspokaja.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, o ułamek sekundy wcześniej niż oni, że ktoś wszedł do ogrodu. Była to Cyganka Serena.



Pani Lincroft także ją zauważyła. Przez chwilę zdziwiona i zaskoczona patrzyła w milczeniu na pstrokato ubraną kobietę.

— Co pani tu robi? — zapytała wreszcie.

— Przyszłam zobaczyć się z sir Williamem. Dzień dobry panu. Trochę się natrudziłam, aby się z panem spotkać, ale w końcu mi się udało.

— Czego chce ta kobieta? — zapytał sir William.

— Czy pan wie, kim ona jest? — zapytała szeptem pani Lincroft.

Wstałam, zamierzając odejść, ale Cyganka mnie powstrzymała.

— Nie, proszę zostać. Chcę, żeby pani też to usłyszała. Mam swoje powody.

Spojrzałam pytająco na panią Lincroft, która przyzwalająco kiwnęła głową. Usiadłam więc z powrotem na ławce. Twarz sir Williama przybrała niepokojący kolor purpury.

— Przyszłam zapytać, czy cofnie pan swój zakaz i zgodzi się na rozbicie obozu na pańskiej ziemi?

— Nie — odpowiedział sir William. — Jeżeli nie zabierzecie się stąd do jutrzejszego wieczora, naśle na was policję.

— Nie robi pan tego — odpowiedziała zuchwale Serena. Stała przed nami w wyzywającej pozie, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami opartymi na biodrach i z dumnie odrzuconą do tyłu głową. — Pożaluje pan, jeżeli natychmiast nie cofnie tego polecenia.

— Ależ to jest ordynarny szantaż — zawołał sir William.

— Pan! Pan ma czelność mówić o szantażu! Ty stary łajdaku! Nie jesteś lepszy od żadnego z nas!

Pani Lincroft wstała.

— Nie pozwolę denerwować sir Williama.

— Nie pozwoli pani? A czy chce się pani sama zdenerwować? Albo będzie tak, jak ja chcę, albo okropnie się pani zdenerwuje. Ja wiem, jestem nędzarką. Nie mieszkam w tej pięknej rezydencji, ale mam prawo zatrzymywać swój wóz tam, gdzie mi się podoba, takie samo, jak każdy człowiek... a jeżeli mi w tym przeszkodzicie, pożalujecie tego... oboje.

Pani Lincroft spojrzała na mnie, jakby spodziewając się pomocy.

— Muszę zabrać stąd sir Williama — oświadczyła.

Wstałam, ale Cyganka zastąpiła nam drogę.

— A więc nie cofnie pan tego zakazu? — zapytała po raz drugi.

— Absolutnie nie — oświadczył sir William. — Wasz tabor odjedzie z mojej ziemi, zanim skończy się tydzień. Przyrzekłem sobie, że nigdy żaden Cygan nie zamieszka w Lovat Stacy i dotrzymam obietnicy.

— Daję panu jeszcze jedną szansę.

— Zabieraj się stąd.

— Dobrze. Sam pan tego chciał. Powiem panu o rzeczach, które nie będą się panu podobały. Moja córka Allegra, pańska wnuczka...

— To bardzo niefortunna sprawa — powiedział sir William. — Opiekujemy się tym dzieckiem. Daliśmy jej dom. Ale na tym kończą się nasze obowiązki wobec niej.

— O tak... i uważacie, że jej ojcem jest Napier. To wam pasuje, prawda? Ale co będzie, gdy powiem wam, że nie on jest ojcem Allegrzy? To jest właśnie jedna z tych rzeczy, które chcę panu powiedzieć i które z pewnością pana zmartwią. Ojcem Allegrzy jest jeden z pańskich synów, ale nie Nap. O, nie, jej ojcem jest pana drogi Beau... któremu wybudował pan świątynię.

— Nie wierzę w to — zawołał sir William.

— Tak myślałam. Ale ja wiem, kto jest ojcem mojego dziecka.

— To kłamstwo — wzbraniał się sir William. — Okrutne kłamstwo.

— Proszę nie słuchać tej kobiety — powiedziała pani Lincroft, kładąc dłonie na poręczy fotela.

— Tak, lepiej pan zrobi słuchając jej! — zaśmiała się Cyganka. — Ona panu powie tylko to, co chciałby pan usłyszeć. Będzie powtarzała: tak, tak, tak... jak zawsze robiła. — Serena przysunęła się bliżej sir Williama i spojrzała na niego z ukosa. — Tak było od samego początku, nawet kiedy żyła jeszcze lady Stacy. A jak pan myśli, dlaczego pańska żona popełniła samobójstwo? Czy na pewno z rozpaczy, że jeden jej syn zastrzelił drugiego? Dlatego że tak bardzo kochała tego starszego? Niewykluczone, ale bardziej chyba męczyło ją to, że nie było przy niej męża, który by ją pocieszył w tych trudnych chwilach i ukoił jej ból. Odkryła, że jest pan znacznie bardziej zainteresowany w zadowalaniu jej ładniutkiej damy do towarzystwa.

— Proszę przestać! — zawołała pani Lincroft. — Niech pani natychmiast przestanie.

— Przestać! Przestać! — powtórzyła jak echo Cyganka i odwróciła się do mnie. — Niektórzy ludzie nie lubią słuchać prawdy. Czy można ich za to winić? Ja to rozumiem, gdyż często prawda jest bardzo nieprzyjemna. Biedny Nap! Zrobili z niego kozła ofiarnego. Zastrzelił brata, można więc było zwalić na niego całą resztę. Jeżeli powiedziałabym im, że ojcem dziecka, którego się spodziewałam jest Beau, odesłaliby mnie stąd w pięć minut. Nikt by mi nie uwierzył. Dlatego powiedziałam, że to Napier. W to uwierzyli i postanowili ponieść za to odpowiedzialność. Zrobiłam to dla dobra mojego dziecka. Skłamałam... gdyż wiedziałam, że tylko w ten sposób zapewnię jej tu dom. Lady Stacy zostawiła list, w którym napisała, że nie może znieść śmierci swojego syna, a także niewierności swojego męża, który zdradzał ją pod ich dachem. Ale on oskarżył o wszystko Napiera i wygnał go z domu. To upraszczało całą sprawę. W ten sposób był tylko jeden nikczemnik, a nie troje.

— Sir William jest bardzo zdenerwowany — powiedziała pani Lincroft.

— Pozwólmy mu się denerwować. Niech się nie chowa za plecami Napiera. Niech przestanie się okłamywać, że nie jest odpowiedzialny za śmierć swojej żony. I pamiętajcie... jeżeli zmusicie nas do odejścia, dowiedzą się o tym wszyscy, nie tylko pani od muzyki.

Pani Lincroft znowu spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem.

— Muszę zawieźć sir Williama do domu — powiedziała. — Powinniśmy natychmiast wezwać doktora. Czy może się pani tym zająć?

\* \* \*

Zaraz potem wiedząc, że Napier zwykle o tej porze wraca do domu, pobiegłam do stajni. Po chwili rzeczywiście nadjechał.

— Muszę z panem natychmiast porozmawiać. Ale nie tutaj.

— Zatem gdzie? — zapytał.

— W zagajniku. Będę tam na pana czekała.

Zgodził się bez pytania o przyczynę. Po mojej twarzy poznał natychmiast, że to coś ważnego.

Musiałam jak najszybciej powiedzieć Napierowi, o czym dowiedziałam się od Cyganki. Nawet idąc w biały dzień przez zalany słońcem trawnik miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwował. Nie mogłam pozbyć się tego uczucia, cały czas oczekiwałam ataku. Tym razem na pewno nie byłby to pożar, są jednak jeszcze inne sposoby. Osoba, która mnie śledziła i czyhała na moje życie, była, czułam to w kościach, odpowiedzialna za śmierć Romy i Edith.

Cały czas pamiętałam o tym, że grozi mi niebezpieczeństwo. A to, czego się dowiedziałam rano, jeżeli tylko była to prawda, napawało mnie radością. I nie mogłam się już doczekać, aby powiedzieć o tym Napierowi.

Czekałam na niego w zagajniku, tuż przy ruinach kaplicy... zniszczonej przez ogień, tak samo jak opuszczona chata. Tu wybuchł pierwszy pożar. Oparłam się o ścianę i nasłuchiwałam.

Wiedziałam, że postąpiłam nierozsądnie, przychodząc tu sama. Do tego nawiedzanego przez duchy zagajnika, od którego ludzie trzymają się z daleka.

Uspokajałam się, powtarzając sobie w duchu, że zaraz tu będzie Napier.

Obejrzałam się przez ramię. Byłam niespokojna. Gdy usłyszałam za sobą trzask łamanej gałązki, wydawało mi się, że gdzieś... wśród tych drzew... obserwują mnie czyjeś oczy. Ktoś zadawał sobie pytanie, co ona tu robi? Czy już czas?

Czułam, że ogarnia mnie panika.

— Napier, czy to pan? — zawołałam.

Cisza. Słyszałam tylko jednostajny szelest liści. W końcu pojawił się Napier.

— Tak się cieszę, że panią widzę.

Wyciągnęłam do niego ręce, które serdecznie uściskał.

— Dowiedziałam się prawdy o Allegrze — powiedziałam. — Jej matka powiedziała to dzisiaj sir Williamowi. Musiałam się z panem spotkać. Musiałam...

— Prawdę o... Allegrze? — powtórzył zdziwiony Napier.

— Jej ojcem był Beau.

— Ona mu to powiedziała?

— Tak. W ogródku za murami, dziś rano. Sir William postanowił pozbyć się Cyganów i ona przysłała, żeby z nim porozmawiać. Gdy obstawał przy swoim, powiedziała mu, że to jego najukochańszy Beau był ojcem Allegrzy. Oskarżyła o to pana, bo bała się, że nikt jej nie uwierzy i wyrzucą ją z Lovat Stacy razem z nie narodzonym dzieckiem.

Napier milczał.

— A pan pozwolił im w to wierzyć.

— Zabiłem go — przemówił w końcu. — Myślałem, że w ten sposób choć trochę odkupię swój grzech.

Wciąż trzymał mnie za ręce, a ja uśmiechałam się do niego ciepło.

— Potem wyjechałem — mówił dalej. — Nie myślałam o tym więcej. To tylko jedno więcej przewinienie... wśród tylu innych.

— A pana matka... zabiła się, ponieważ odkryła, że sir William miał romans z panią Lincroft. Targnęła się na życie nie tylko z powodu śmierci pana brata.

— To wszystko przeszłość — powiedział.

— Nie tylko — zawołałam — ponieważ ma wpływ na teraźniejszość i przyszłość.

— Pani wie o tym najlepiej.

Spuściłam oczy. Pietro nigdy nie był mi tak daleki, jak w tamtej chwili.

— Jest pan głupcem, Napierze — powiedziałam.

— Wiele czasu pani zajęło, by to zauważyć.

— Wszyscy daliśmy się nabrać. A pan pozwolił im się obwiniać.

— Zabiłem go — powtórzył. — Gdyby go pani знаła... pokochałaby go pani jak wszyscy.

— Nie był jednak tak doskonały.

— Był młody, bardzo męski... kochał życie.

— Dlatego właśnie uwiódł tę Cyganę.

— Jeżeli żyłby, z pewnością wzięłby na siebie odpowiedzialność za los tego dziecka. Opiekowałby się także jego matką i nie pozwoliłby, aby ktokolwiek wyrządził jej krzywdę. Tamtego dnia, kiedy go zastrzeliłem, bardzo żałowałem, że to nie on wystrzelił pierwszy. To byłoby dużo mniejsze nieszczęście. Jemu wszyscy by przebaczyli.

— Był pan o niego zazdrosny?

— Skądże. Podziwiałem go. Chciałem być do niego podobny. Próbowałem go naśladować, bo wydawało mi się, że jest doskonały. Robiłem wszystko to co on, żeby jak najbardziej się do niego

upodobnić. Ale nie zazdrościłem mu niczego. Byłem z niego dumny, jak wszyscy... a może nawet bardziej. Uważałem, że jest najwspanialszy na świecie.

— Wziął pan więc jego grzech na siebie.

— Tylko tyle mogłem dla niego zrobić.

— Uważam, że nawet gdyby zabił go pan z premedytacją, swoim postępowaniem odkupił pan całą winę.

— A więc?

— To już koniec. Musi pan zapomnieć o przeszłości.

— Sądzi pani, że kiedyś mi się to uda?

— Tak, jestem pewna. I pan też powinien w to wierzyć.

— Znam jedną osobę, która mogłaby mi w tym pomóc... jedna, jedyna na świecie. A pani... czy pani zapomniała już o swojej przeszłości?

— Być może ja także znam kogoś, kto mógłby mi w tym pomóc.

— Ale nie jest pani pewna...

— Z każdym dniem bardziej się o tym przekonuję. Trzymaliśmy się za ręce, ale nie zbliżaliśmy się do siebie.

Edith wciąż nas rozdzielała.

Przysięgłam sobie, że zrobię wszystko, aby dowiedzieć się, co się z nią stało. Napier został już oczyszczony z części win, jakie mu przypisywano. Pozostała jeszcze tylko sprawa zniknięcia Edith... lub jej śmierci. Abyśmy obydwój mogli z nadzieją patrzeć w tę przyszłość, o której tak marzyliśmy, należało jeszcze wyjaśnić tę ostatnią tajemnicę.

## Rozdział 12

Było popołudnie... czas sjesty. Doktor zalecił sir Williamowi dużo odpoczynku, pani Lincroft także nie czuła się najlepiej i poszła się położyć. Gdy mi to mówiła, oczy miała spuszczone i widziałam, że wstydzi się tego, co ujawniła nam Cyganka.

Chciałam wszystko gruntownie przemyśleć. Chciałam jeszcze raz przeanalizować słowo po słowie ostatnią rozmowę z Napierem i rozważyć mój stosunek do niego i Godfrey'a.

Chociaż w głębi serca już podjęłam decyzję. Podobnie jak wówczas, gdy udawałam tylko, że się zastanawiam, czy zająć się karierą pianistyczną, czy poślubić Pietra, tak i w tym wypadku byłam pewna, że podążę za głosem serca. Gdyby była przy mnie Roma, z pewnością powiedziała by, że jestem szalona, odrzucając małżeństwo z Godfreyem dla Napiera. Godfrey zapewniłby mi bezpieczne, wygodne życie. A Napier? Nie mogłam sobie wyobrazić, jaka przyszłość czeka mnie przy jego boku. Wiedziałam tylko, że na pewno prędko się nie wyzwoli z poczucia winy za śmierć brata. Ten cień długo jeszcze będzie za nim podążał, pojawiając się zniemacka w najmniej oczekiwanych momentach jego życia. A co będzie z Piętr'em? Czy uda mi się kiedykolwiek o nim zapomnieć?

Mając w perspektywie godzinę lub dwie wolnego czasu, postanowiłam spędzić je na przemyśleniach w moim ulubionym ogrodzie.

Gdy dotarłam tam, ze zdziwieniem zobaczyłam, że na ławce siedzi z poważną miną Alice.

— Wiedziałam, że pani tu przyjdzie — powiedziała na mój widok.

— Chciałaś się ze mną zobaczyć?

— Tak. Chcę coś pani powiedzieć... a właściwie pokazać, co znalazłam. Ale tu nie możemy o tym rozmawiać.

— Dlaczego nie?

— Mam przeczucie, że to bardzo ważne. — Wstała. — Czy możemy się przejść na mały spacer?

— Oczywiście.

Gdy oddalałyśmy się od domu zauważyłam, że dziewczynka co jakiś czas niespokojnie ogląda się za siebie.

— Co się dzieje, Alice? — zapytałam.

— Chcę się upewnić, że nikt nas nie śledzi.

— A podejrzewasz, że ktoś mógłby?

— Od czasu pożaru zawsze się tego obawiam. A pani nie? Przyznałam, że często miewałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

— To prawda, że każdy mógł mieć trudności z wydostaniem się z płonącego domu, ale od tamtej pory wydaje mi się, że powinnam dbać o pani bezpieczeństwo.

— Bardzo ci jestem za to wdzięczna. Rzeczywiście, czuję się przy tobie spokojna.

— O to mi właśnie chodzi.

— To cudownie mieć swojego anioła stróża.

— Też tak myślę. Jeden z pewnością nad panią czuwa.

— Dokąd idziemy i co mi chcesz pokazać?

— Skręcimy tu i zejdziemy w kierunku plaży.

— Czy tą drogą?

— Tak. Myślę, że to co chcę pani pokazać, jest bardzo ważne.

— Trzymasz mnie w napięciu.

— To dlatego, że nie wiem, jak mam to pani opisać. To może mieć znaczenie dla archeologów.

— Mój Boże, nie sądzisz, że powinniśmy...

— Powiedzieć o tym jeszcze komuś? Z pewnością, ale później. Chciałabym, żeby pani pierwsza to zobaczyła.

— Jesteś bardzo tajemnicza.

— Już wkrótce dowie się pani wszystkiego. — Znowu się obejrzała.

— Czy coś się stało?

— Wydaje mi się, że ktoś za nami idzie.

— Nikogo nie widziałam.

— Może schował się w krzakach.

— Nie sądzę. W każdym razie jesteśmy we dwie. Nie ma powodu do niepokoju.

Alice szła pierwsza, prowadząc mnie ścieżką w dół ku plaży. W połowie drogi nagle się zatrzymała.

— Posłuchajmy.

Stałyśmy w ciszy nasłuchując.

— Z tego miejsca doskonale słychać kroki tam na górze... nawet gdy ktoś jest daleko.

— Wszystko w porządku — powiedziałam. — Pamiętam to miejsce.

— Tak, ja też pamiętam, jak ostrzegałam panią przed przyplywem. Być może wtedy także uratowałam pani życie. — Ta myśl wyraźnie ją ucieszyła. — To chyba moje powołanie.

Weszłyśmy na plażę. Przed nami rozciągała się niewielka zatoczka, nad którą od strony stromego urwiska wznosiła się samotna skała. To właśnie w tym miejscu chciałam wtedy zejść, gdy dobiegł mnie alarmujący głos Alice.

Dziewczynka prowadziła mnie dobrze sobie znaną drogą, oglądając się co chwila za siebie.

— To tutaj, proszę pani — zawołała, znikając w skalnej szczelinie.

— Co to jest, Alice?

— To grot. Niech pani wejdzie.

Posłusznie podążyłam za nią.

— To pierwsza jaskinia. Nie ma w niej nic szczególnego, ale w następnej znalazłam jakieś rysunki na ścianach. Bardzo prymitywne, chyba wykonane setki lat temu. Może nawet w epoce kamienia. Pan Wilmot opowiadał nam kiedyś o tamtych czasach. A może w epoce brązu?

Pomyślałam o Romie. Rysunki w jaskini! Czyżby jednak Godfrey miał rację? Może moja siostra dokonała jakiegoś wielkiego odkrycia i dlatego zginęła?

— Uważam, że to może być coś ważnego — dodała Alice.

— Ale gdzie... — rozglądałam się po mrocznej jaskini, nic nie widząc.

— Jeżeli byłoby je widać na pierwszy rzut oka, już dawno by je odkryto — zaśmiała się dziewczynka. — Proszę spojrzeć tu. — Wskazała ręką w głąb groty. — Tu leży kamień. Ale bardzo łatwo można go trochę przesunąć i precyzyjnie się dalej... Moim zdaniem nikt nie próbował tego zrobić... dopiero ja na to wpadłam. Och, proszę pani, to jest naprawdę moje odkrycie. Będę sławna, prawda?

— To zależy, co znalazłaś, Alice.

— Coś wspaniałego. Zaraz pani zobaczy.

Kamień rzeczywiście dało się ruszyć z miejsca i naszym oczom ukazała się następna pieczara.

— Proszę spojrzeć — powiedziała Alice. — Tędy można się precyzyjnie... Nie jest to łatwe, ale pokażę pani, proszę za mną.

— Alice, czy tu jest bezpiecznie?

— Ależ tak... to tylko jaskinia. Ja już ją zbadałam. Chyba nie sądzi pani, że namawiałabym ją na coś niebezpiecznego. Proszę śmiało za mną. — Zniknęła w jeszcze większym mroku i widziałam tylko jej migającą białą sukienkę. Ruszyłam do przodu i znalazłam się w drugiej jaskini.

Alice wyciągnęła z kieszeni świeczkę i zapaliła ją.

— Tam!

Przez chwilę moje oczy przyzwyczajały się do nikłego światła świecy, migocącego we wnętrzu. Gdy jednak zobaczyłam przed sobą niezwykły las stalaktytów i stalagmitów urzekająco, nieziemsko wręcz pięknych, krzyknęłam z zachwytu. Przed moimi oczami widniały formy, jakie z trudem zrodziłyby się w najbardziej twórczej wyobraźni i nawet w tym słabym świetle mogłam dostrzec bogactwo naturalnych kolorów, jakimi były zabarwione: miedź dała szmaragdową zieleń, żelazo brązy i rdzawe czerwienie, złoża magnezu delikatny róż. Czułam się tak, jakbym nagle znalazła się w świecie fantazji.

— Alice! — zawołałam. — To cudowne odkrycie...

Dziewczynka zaśmiała się wesoło.

— Spodziewałam się, że pani to powie. Nie mogłam się doczekać, żeby pokazać pani tę jaskinię.

— Musimy już wracać. Trzeba o tym powiedzieć innym. Przypomina mi to jaskinie w Cheddar. To niesamowite, że przez tyle lat nikt o nich nie wiedział.

— Podoba się pani?

— To wielkie odkrycie.

— Chciałabym pani pokazać coś jeszcze... Proszę podać mi rękę, tu trzeba bardzo uważać.

Schwyciła mnie za rękę, a ja niemal w tej samej chwili zachwiałam się i o mały włos bym się przewróciła. Alice przeraziła się.

— Proszę uważać. To byłoby straszne, gdyby pani tu upadła...

— Postaram się bardzo uważać, Alice. Ale sprowadźmy tu jeszcze kogoś. Pan Wilmot będzie zachwycony tym odkryciem.

— Najpierw chcę to pokazać pani. Proszę, jeszcze kilka kroków.

Uśmiechnęłam się, słysząc w jej głosie wielkie emocje.

— Posłuchaj! Czy to nie dźwięk płynącej wody?

— Tak. Następna jaskinia jest jeszcze wspanialsza. Zaraz ją zobaczymy. Jest tam mały wodospad, pochodzący z jakiegoś podziemnego strumienia. Wypływa z jaskini i wpada do morza. To właśnie tam są na ścianach te rysunki, o których pani mówiłam. Moim zdaniem to najcenniejsze odkrycie w tych jaskiniach.

— Czujesz, jaki wilgotny jest ten piasek?

— To przez ten wodospad i podziemny strumień — wyjaśniła. Wyciągnęła z kieszeni drugą świecę i zapaliła ją. — Po jednej dla każdej z nas — oświadczyła, wręczając mi ją. — Pomyślałam, że się pani przyda. Czy tu nie jest cudownie? To moja jaskinia. Znajduje się na terenie sir Williama i, jak wszystko tu, należy do niego i jego spadkobierców.

Nie mogłam oderwać oczu od bajkowych kształtów tego podziemnego krajobrazu, który formował się tu przez tysiąclecia. Stałam i chłonęłam go wzrokiem.

Alice niecierpliwiła się, chcąc pokazać mi kolejne odkrycie. Podążyłam za nią przez szczelinę w ścianie i stanęłyśmy na progu trzeciej pieczary. Szmer spływającej po skałach wody stał się bardziej wyraźny. Nie mogłam się już doczekać, kiedy zobaczę te rysunki.

— Rysunki na ścianach są bardzo podobne do tych, które widziałyśmy na mozaikach w British Museum.

— Alice! — zawołałam. — To rewelacja na wielką skalę.

Byłam już pewna, że Roma dokonała tego samego odkrycia. Czyżby więc teoria Godfreya o zawistnym archeologu miała się sprawdzić?

— Może je pani sama obejrzyć — powiedziała Alice. — Są tam.

Posuwając się w stronę przeciwległej ściany czułam, jak moje stopy grzęzną w mokrym piasku. Drogę oświetlałam sobie świeczką, usiłując dojrzeć rysunki, o których mówiła Alice.

— To naprawdę... niezwykle — wyszeptałam, kiedy byłam już bardzo blisko celu. Nagle zrozumiałam, co się dzieje.

— Alice — zawołałam, odwracając się do niej. — Zostań tam, gdzie jesteś.

Dziewczynka stała u wejścia do jaskini, trzymając świecę w wysoko wyciągniętej ręce.

— Tak, proszę pani — powiedziała grzecznie.

— Alice... nie mogę... się ruszać... moje stopy. Alice... Alice... ja tonę.

— To są grząskie piaski, w których człowiek zatapia się bardzo powoli. To trochę potrwa, zanim panią całkiem wciągną — powiedziała spokojnie.

— Alice! — wykrzyknęłam przerażona.

Stała w dalszym ciągu bez ruchu, uśmiechając się do mnie.

— To ty! — zawołałam.

— Tak — przytaknęła. — A dlaczego by nie? Jestem za młoda? Ale jestem inteligentna, proszę pani. Inteligentniejsza niż wy wszyscy. To są moje jaskinie. I moje piaski... nigdy nie pozwolę ich sobie odebrać.

— Nie, to niemożliwe — mówiłam do siebie, a w mojej głowie panował kompletny chaos. Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Wydawało mi się, że to jakiś koszmar, zły sen i że za chwilę się obudzę.

Alice wciąż mi się przyglądała, trzymając świecę wysoko nad głową — okrucieństwo jej czynu było tym większe, że wciąż wydawała się tą samą, miłą i grzeczną dziewczynką, za jaką zawsze ją uważałam. Świeca wypadła mi z ręki, a ja patrzyłam, jak chwilę leżała na piasku, a potem zniknęła.

Nagle Alice cofnęła się jakieś dwa lub trzy kroki, a gdy znowu odwróciła się do mnie, w jej rękach zobaczyłam grubą linę, podobną do tych, jakich używa się do cumowania łodzi.

A więc jednak chce mnie uratować. Tylko się tak ze mną drażniła. Co za okrutna i niebezpieczna zabawa!

— Jeżeli rzuciłabym ją pani, może udałoby mi się panią wyciągnąć... ale kto wie... te piaski mocno trzymają. Nie wyglądają groźnie... ale ich uścisk jest śmiertelny... nie dają swoim ofiarom żadnej szansy na wydostanie się. Takie maleńkie ziarenka piasku! Czy to nie zdumiewające? Natura jest wspaniała. Pastor ciągle nam to powtarza.

— Alice, rzuć mi linę. Potrząsnęła głową.

— To się nazywa wyrafinowana tortura, proszę pani. Cały czas będzie pani miała nadzieję, że rzucę tę linę i uratuję panią. Jeżeli straci pani wiarę, będzie to znaczyło, że się pani poddaje... i wtedy da się pani pochłonąć tym piaskom bez walki. Niech pani nie walczy. To sprawi, że wszystko stanie się dużo szybciej. Chyba że tego właśnie pani chce. Będę tu stała... aż do końca.

— Alice... jesteś szatanem.

— Tak, ma pani rację. Ale proszę przyznać, że inteligentnym.

— Przyprowadziłaś mnie tu specjalnie.

— Tak, z pełną premedytacją — potwierdziła. — Panią i te dwie pozostałe.

— Nie!

— Ależ tak. To miejsce należy do mnie. Jestem córką sir Williama. To moja własność. Napier jest jego synem, ale zabił swojego brata i sir William go nienawidzi. Tak samo, jak nienawidził jego matki, moją zaś kocha. Gdy odeśle Napiera, mnie pozostawi to miejsce w spadku. Tego właśnie chcę. A jeżeli ktoś będzie mi w tym przeszkadzał, przyprowadzę go tutaj, do mojej jaskini. Pani mi przeszkadzała, bo przyjechała tu pani szukać swojej siostry. Ona też mi przeszkadzała, gdyż o mało nie odkryła mojej jaskini. Przyszła tutaj, szukając jej, więc pokazałam jej, co znalazłam, tak samo jak pani.



Piasek sięgał mi już do połowy łydek. Alice zmierzyła mnie wzrokiem znawcy.

— Im głębiej będzie pani zanurzona, tym szybciej panią pochłoną — poinformowała mnie rzeczowo. — Ale pani jest wysoka, a te piaski dość wolne.

— Pomóż mi, Alice — zaczęłam ją błagać. — Czy kiedykolwiek wyrządziłam ci krzywdę?

— Jest pani zbyt ciekawska, a poza tym przyjechała tu pani, aby dowiedzieć się prawdy o swojej siostrze. To było bardzo chytre posunięcie, aby udawać nauczycielkę muzyki. Ale ja domyśliłam się wszystkiego, gdy pojawił się pan Wilmot. To on zdradził pani tajemnicę, prawda? Śledziłam was i przysłuchiwałam się waszym rozmowom. Wiedziałam, że muszę się pani pozbyć, ale kolejne tajemnicze zniknięcie mogłoby się wydać podejrzanym, postanowiłam więc zwabić panią do tej chaty na odludziu. Wszystko pięknie by się udało, gdyby nie ten stary ogrodnik.

Cały czas uśmiechała się do mnie szatańsko, zachwycona swoim sprytem. Nawet teraz pragnęła mnie przekonać, jaka jest zdolna i pomysłowa.

— Gdy mnie tam zobaczył, pomyślałam, że może zacząć coś podejrzewać, postanowiłam więc panią uratować. Ocaliłam więc pani życie... a teraz je pani zabieram. Jestem boginią, która posiada władzę nad życiem i śmiercią.

— Jesteś szalona — powiedziałam.

— Niech pani tak nie mówi — wykrzyknęła z gniewem.

— Alice, co ci się stało?

— Nic. To przecież łatwo zrozumieć. Powinna się pani była zaręczyć z panem Wilmotem i przestać o nas myśleć. Ale pani by tego nie zrobiła, prawda? Chciała pani wyjść za Napiera, a wtedy byłoby to samo co z Edith. Musiałam się jej pozbyć, bo spodziewała się dziecka, a ja nie mogłam dopuścić, aby pojawił się nowy spadkobierca. Przyprowadziłam więc ją tutaj, dokładnie w to samo miejsce, gdzie pani stoi. Muszę jeszcze doprowadzić do wyjazdu Napiera, ale to nie będzie trudne. Beau tak długo będzie nawiedzał ten dom, dopóki jego brat nie wyjedzie. Już ja się o to postaram. A wtedy sir William przekona się do swojej córki i wszystko będzie moje. Pani zawsze uważała, że jestem grzeczną, małą dziewczynką, prawda? Pomyliła się pani, chociaż na samym początku pobytu uprzedziłam panią, że coś może tu panią zaskoczyć. Ale pani nie zrozumiała mojej aluzji. I teraz spotkała panią za to kara. Za wścibstwo. Znalazła pani wzór na mozaikach i dlatego poszła pani do muzeum. Tam rozpoznał panią ten mężczyzna, ale wtedy ja już wiedziałam, kim pani jest. Wiedziałam też, że nie mogę zbyt długo zwlekać, bo odszyfrowała pani rysunki na mozaikach... To były moje grząskie piaski.

— Pomóż mi — zawołałam jeszcze raz, a mój głos odbił się echem po jaskini.

— Nikt tu pani nie usłyszy. Im głębiej się pani zanurza, tym mocniej piaski panią obejmują.

To już koniec, pomyślałam. Och, Romo, co czułaś w chwili, gdy te piaski powoli cię pochłaniały? Biedna Roma! Te rysunki na ścianach jaskini mogły stać się największą przygodą jej życia. Umarła w miejscu, gdzie je znalazła.

A Edith? Co ona czuła?

— Alice — zawołałam. — Jesteś szalona... szalona...

— Niech pani tak nie mówi. Nie wolno pani.

Strach mnie paraliżował. Po raz drugi w tak krótkim czasie stanęłam oko w oko ze śmiercią. Nie mogłam już ruszać nogami. Staralam się nie patrzeć na spokojnie stojącą w miejscu, szatańską Alice, oświetlającą sobie scenę, na której rozgrywała się makabryczna tragedia. Gorączkowo usiłowałam coś wymyślić, aby się uratować.

— Pomocy! Pomocy! — wołałam, łkając.

Cały czas czułam, jak powoli obsuwam się niżej i niżej.

Ktoś oprócz nas był jednak w jaskini.

— Na Boga! — usłyszałam głos Godfrey'a. — Caroline! Caroline!

— Nie podchodź za blisko — zawołałam. — Ja tonę... tonę w piasku.  
— Proszę, odejdz stąd. To moja jaskinia — powiedziała spokojnie Alice.  
Godfrey stanął tuż za nią.  
— Uważaj! Nie stawiaj nóg na piasku. Zostań tam... gdzie ona.  
— Potrzebujemy liny — zawołał Godfrey i zwrócił się do Alice. — Biegnij i przynieś jakąś...  
szybko.  
Dziewczynka ani drgnęła.  
— Ona ma linę... Wyrafinowana tortura. To Alice zabiła Romeę... i Edith.  
I nagle obok Godfrey'a pojawił się Napier, trzymając w rękach linę.

\* \* \*

Wciąż nie mogę się otrząsnąć z koszmaru, jaki przeżyłam w jaskini. Rysunki na ścianach, świadomość, że setki lat temu przyprowadzano tam ludzi skazanych na powolną, okrutną śmierć... I Alice... dziwna Alice... która zwabiała tam swoich wrogów, skazując ich na podobną śmierć. Roma... Edith... ja.

Schwyciłam koniec liny. Krzyczeli do mnie, abym przywiązała ją sobie do nadgarstków. Wiedziałam, że zrobią wszystko, aby mnie uratować... ci dwaj mężczyźni, którzy mnie kochali.

Słyszałam Alice, która krzyczała nienaturalnym, monotonnym głosem.

— Pośpieszcie się, moje piaski. Zabierzcie ją... jak zabrałyście tamte dwie.

Nie spuszczałam wzroku z obu mężczyzn.

— Uda nam się — powiedział Napier.

A ja wiedziałam, że mogę mu ufać.

\* \* \*

Leżałam w łóżku, walcząc z upiornymi wspomnieniami, które nie dawały mi ani chwili spokoju. Cały czas czułam nieubłagany, miękki dotyk wokół kolan, który, gdy się ocknęłam, okazał się dotykiem pościeli. Nawiedzała mnie niewysoka postać, trzymająca w dłoniach świecę... widziałam jej twarz, która budziła tym większe przerażenie, że przybrała tak dobrze mi znaną maskę dziecinnej niewinności.

Przy łóżku czuwali Napier i Godfrey.

— Proszę odpoczywać — mówił Napier, a dotyk jego dłoni napawał mnie spokojem. Sprawiał, że zniknęły dręczące zjawy i wróciłam do rzeczywistości.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniał mnie Godfrey. Dopiero wtedy udało mi się zasnąć.

\* \* \*

Tamtego dnia, kiedy zaplanowano moją śmierć, miałam niewiarygodne szczęście. Godfrey postanowił odwiedzić Lovat Stacy, aby pokazać mi książkę ze zdjęciami rzymskich mozaik, którą kupił w Dover.

Zobaczył mnie, schodzącą w towarzystwie Alice w dół wybrzeża. Dziewczynka miała rację obawiając się, że ktoś nas śledzi.

Napier zaś podejrzewał, iż Godfrey będzie chciał mi się oświadczyć. Wiedziony zazdrością, poszedł za nim tamtego dnia sądząc, że wikary ma ze mną randkę. Tak więc, szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności obaj mężczyźni przybyli do jaskini i wspólnymi siłami uratowali mi życie.

Tak, to był niewątpliwie szczęśliwy dla mnie dzień.

Leżałam w łóżku, nie mogąc przestać myśleć o tym, co się stało i powtarzałam sobie: nie ma już żadnych przeszkód. Droga do przyszłości jest wolna.

\* \* \*

A co z Alice? Dlaczego ta dziwna dziewczynka tak się zachowywała? Jakie zło toczyło jej młodą duszę?

Allegra i Sylvia zostały przesłuchane. Były najbliższymi koleżankami Alice i najwięcej o niej wiedziały.

Allegra powiedziała:

— Kazała nam robić to, co chciała. To trwało już od dawna. Umiała wykorzystać nasze słabości, widziała, gdy byłyśmy niegrzeczne i potem nas szantażowała... Pokazywała, że ma nad nami władzę. Musiałyśmy udawać, że jest boginią, a my zwykłymi śmiertelnikami. Na początku kazała nam robić drobne rzeczy, jak na przykład wykrzywanie się za plecami panny Elgin, stłuczenie filiżanki, zrywanie róż w ogrodzie lub wygłupianie się przed portretem Beau. Potem zaczęła nam dawać poważniejsze zadania. Musiałyśmy chodzić do kaplicy i palić tam światło, świeczkę lub latarkę, aby ludzie myśleli, że nawiedza ją duch Beau. Chciała przekonać innych, że Beau nie może zaznać spokoju, dopóki Napier jest w Lovat Stacy. A pewnego dnia zapaliła się tkanina na ołtarzu i cała kaplica stanęła w płomieniach. Ledwo udało mi się uciec. Po tym zdarzeniu miała mnie już całkowicie w ręku i straszyla, że jeśli nie będę posłuszna, powie wszystkim, kto podłożył ogień. Bałam się, że dziadek mógłby mnie wygnać z domu. Tak więc paliłyśmy to światło na zmianę... a kiedy pani Verlaine zaczynała którąś z nas podejrzewać, do kaplicy szła inna, a ta posądzana o udawanie ducha była z panią od muzyki akurat wtedy, gdy w zagajniku widać było światło. A potem, gdy Alice zauważyła, że pan Napier jest zainteresowany panią Verlaine, musiałyśmy udawać, że widziałyśmy, jak kopał dół w zagajniku...

Sylvia powiedziała: — Ja także musiałam straszyć w kaplicy. Bardzo często, z łakomstwa, podkradałam jedzenie ze spiżarni w naszym domu. Alice wiedziała o tym i zagroziła, że powie mojej mamie, kto jest tym złodziejem. Wiedziała też, że Edith spotykała się potajemnie z Jeremym Brownem, więc ona też musiała się jej słuchać. Kiedy Jeremy wyjechał, Edith zbuntowała się i powiedziała, że już nie da się dłużej szantażować... tak to nazwała. No i potem... zniknęła.

\* \* \*

Co należało zrobić z Alice?

Gdy przyprowadzono ją do Lovat Stacy, była znowu tą samą, grzeczną dziewczynką. Głęboko współczułam jej matce, która nie mogła się otrząsnąć z szoku i zachowywała się jak lunatyczka.

Jednak wkrótce poznałam ponurą historię jej życia. Leżałam w łóżku, gdyż doktor zalecił mi odpoczynek. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszła pani Lincroft. Cichutko usiadła przy moim łóżku.

— Co mam pani powiedzieć? — zaczęła ze łzami w oczach. — Moja córka próbowała panią zabić... dwa razy.

— Proszę się nie denerwować. Jestem już bezpieczna.

— Ale to moja wina — powiedziała. — Tylko moja. Co oni zrobią z moją małą Alice? Nie powinni jej za to karać. Ja i tylko ja za to odpowiadam.

Wstała i zaczęła nerwowo przemierzać pokój.

— To ja jestem mordercą. Ja... nie Alice.

— Proszę się uspokoić. Stała się rzecz straszna, to prawda, ale lekarze będą wiedzieli, jak pomóc Alice. Gdzie ona teraz jest?

— Śpi. Gdy ją przyprowadzili, wyglądała bardzo dziwnie. Zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Była taka grzeczna... taka słodka... jak zawsze.

— Z pani córką dzieje się coś bardzo złego.

— Wiem — zgodziła się. — Ja wiem, co się z nią dzieje.

— Wie pani?

— Tak bardzo zależało jej, aby tu mieszkać. Była taka dumna, że jest córką sir Williama... Tak pragnęła odziedziczyć to miejsce...

— Ale w jaki sposób?

— Alice nigdy nie zaakceptuje porażki. Nawet teraz... nie jest do tego zdolna. Udaje, że nic się nie stało... jakby mogła nas o tym z czasem przekonać.

Pani Lincroft na moment przerwała.

— Muszę wyznać pani prawdę — kontynuowała. — Być może powinnam to zrobić wiele lat wcześniej. Ja jednak wolałam trzymać to w tajemnicy. Strzegłam jej bardzo dobrze, aby nikt się nie dowiedział. Nikt, a przede wszystkim Alice. Uważałam, że to bardzo ważne, nie tylko ze względu na mnie, ale przede wszystkim dla jej dobra. Ale pani powinna odpoczywać. Właściwie nie wiem, czy mogę panią tym niepokoić. Taka historia każdego by zdenerwowała.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć.

— Wie pani już, że sir William był moim kochankiem i że przybyłam tu jako bardzo biedna dziewczyna, aby służyć pani Stacy za osobę do towarzystwa. Wie pani również o śmierci Beau i o tym, że jego matka wkrótce po tym zabiła się. Cyganka mówiła prawdę. Zrobiła to z naszego powodu... przez sir Williama i przeze mnie. Któregoś dnia tuż po śmierci syna zastała nas razem i to odebrało jej chęć do życia. Nie mogła znieść tego cierpienia. Po jej śmierci wyjechałam. Sądziliśmy oboje, że tak będzie lepiej. Czułam się bardzo nieszczęśliwa. Nie wierzyłam, że sir William kiedykolwiek mnie jeszcze do siebie wezwie, byłam też załamana tragedią, do której się przyczyniliśmy. Moja obecność w Lovat Stacy tylko mu o tym przypominała. Wraz z upływem lat, udało mu się przekonać samego siebie, że lady Stacy zabiła się z żalu po stracie syna, jednak w głębi serca wiedział, że to nie była prawda. Odeszła, bo nie mogła przebaczyć mu niewierności. Jednak sir William wolał obwiniać o to Napiera. Za każdym razem, gdy go widział, przypominał mu się ten straszny wypadek. Postanowił zatem wyrzucić Napiera z domu. Obwinił go o wszystko, o co nie umiał obwinie siebie. Ludzie często nienawidzą tych, w stosunku do których są niesprawiedliwi.

— To prawda — przytaknęłam. — Biedny Napier.

— Napier zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. Ale ponieważ sam zadreślał się tym, że zabił brata, pozwalał się obarczać wszystkimi winami. Wie pani, że wziął na siebie odpowiedzialność za Allegrę.

— Motywy działania ludzi są takie dziwne... tak trudne do zrozumienia.

— Byłam przerażona i zupełnie nie wiedziałam, co robić, gdy stąd odeszłam. Musiałam znaleźć inną pracę. Ale najpierw postanowiłam zrobić sobie krótkie wakacje. — Zadrzała i widziałam, że trudno jej mówić dalej. — Spotkałam pewnego mężczyznę. Był czarujący, czuły... bardzo mu się podobałam... on mi zresztą też. Mówił, że chce się ze mną ożenić i zostaliśmy kochankami. Potem wyjechał do Londynu, a ja czekałam na niego w hotelu. Powiedział, że za tydzień przyśle po mnie i pobierzemy się. Został jednak aresztowany i wtedy dowiedziałam się, że mój ukochany był patologicznym mordercą, który zabił już trzy kobiety. Uciekł z Broadmoor. W okresach między napadami choroby był absolutnie normalny. Domyślałam się, że gdyby go nie schwytano, mnie też

by zamordował. Kto wie, może to byłoby lepsze. Gdy prawda wyszła na jaw, byłam zdruzgotana. Opuściłam hotel i pojechałam do Londynu. I wtedy okazało się, że będę miała dziecko, dziecko „Dzentelmena” Terralla.

Wstrzymałam oddech. Zrozumiałam, czemu była taka zdenerwowana, gdy dowiedziała się z gazety, że ten człowiek znowu uciekł z więzienia. Ten morderca był... ojcem Alice.

— Byłam zdesperowana — kontynuowała opowieść. — Co by pani zrobiła na moim miejscu? Co by zrobił każdy inny? Proszę mi powiedzieć. Byłam sama na świecie... i spodziewałam się dziecka maniakalnego mordercy. Co mogłam zrobić? Obmyśliłam pewien plan. Napisałam list do sir Williama. Poinformowałam go, że spodziewam się dziecka... jego dziecka.

Bez trudu mogłam go oszukać, wmawiając mu, że Alice jest o pół roku starsza. Zaczął przysyłać mi pieniądze... wystarczyło, abyśmy mogły wygodnie żyć. A gdy Alice miała dwa lata, wróciłam tu jako pani Lincroft, wdowa z córką.

— Och, tak pani współczuję.

— Jakież to tragedie ludzie ukrywają pod maskami — wyszeptwała, kołysząc się w przód i w tył. — Wydaje im się, że znaleźli azyl, że są bezpieczni, ale przecież każdy może się poślizgnąć na progu domu.

— A co będzie teraz? — zapytałam.

— Kto to wie? Pewnie mi ją zabiorą. Muszę im powiedzieć prawdę. Moje biedne dziecko... Była taka do niego podobna... Widziałam to wyraźnie. Był tak samo delikatny. Chciał być dobry, jestem tego pewna.

Mogłam ją tylko zapewnić o swoim współczuciu. Nic więcej nie byłam w stanie jej ofiarować.

— Co się z nami teraz stanie? — wyszeptwała. — Co się „stanie”

\* \* \*

Alice sama zdecydowała o swoim losie.

Następnego dnia dziewczynka nagle zniknęła. Jej pokój jak zawsze lśnił czystością: łóżko było równo zasłane, rzeczy poukładane w szufladach.

Ona sama jednak zniknęła.

Wiedziała, dokąd poszła. Usłyszała, że nie jest córką sir Williama i będzie musiała na zawsze opuścić Lovat Stacy. A tego nie mogłaby zrobić. Przysięgła sobie, że zostanie w tym miejscu na zawsze. Nie potrafiła się pogodzić z myślą, że to już nie jest jej dom.

Alice zawsze lubiła dramatyczne efekty. Tuż obok ruchomych piasków zostawiła swoją chusteczkę, która miała w rogu wyhaftowaną literę A.

Wyobraziłam sobie, jak stoi tam, trzymając w ręku świecę. Teraz jest już na zawsze pogrzebana w ziemi, która miała należeć do niej.

\* \* \*

Nic już nie było takie jak kiedyś. Pomiedzy nowym i starym życiem rozciągała się głęboka przepaść, której nie można było przekroczyć. Przeszłość umarła, a przyszłość była radosna i obiecująca. Śmierć, podchodząc tak blisko i chwytając mnie za rękę, uświadomiła mi właśnie, że pragnę żyć. Rozpaczliwie pragnęłam żyć. Chciałam rozpocząć nowe życie na ruinach starego, które byłoby tak dobrze ukryte, jakby nigdy nie istniało.

Czekali na mnie dwaj mężczyźni. Jeden spokojny i czarujący, doskonale znający swoje miejsce na tym świecie, drugi pokiereszowany przez życie. Godfrey gwarantował bezpieczeństwo, Napier był wielką niewiadomą.

Obaj byli przy mnie, gdy ich potrzebowałam, po wypadku z pożarem obaj troszczyli się o moje bezpieczeństwo i każdy na swój sposób mnie kochał. W przypadku Godfreya było to uczucie bardzo ciepłe, miłe, ale zupełnie pozbawione namiętności. Być może wybrał mnie tylko dlatego, że wydawałam mu się odpowiednią kandydatką na żonę dla kogoś z taką pozycją, jak on. Napier darzył mnie uczuciem gwałtownym, zaborczym i niemal straceńczym.

Wybierz Godfreya — podpowiadał mi rozum. — Wyjedź stąd i zapomnij o wszystkich koszmarnych przeżyciach, jakie cię tu spotkały. Żyj w spokoju... wychowuj swoje dzieci w odpowiednich warunkach... wygodnie i łatwo.

Ale — odzywało się moje serce — ty należysz przecież do innego świata. Kto wie, może tam też są koszmarny senne. Wspomnienia. Jego i twoje szatany. Pietro, który będzie się naśmiewał, że po raz kolejny posłuchałaś głosu serca.

I wtedy koło mojego łóżka pojawił się Napier. Wziął mnie za rękę, a ja czułam, że był jakiś inny, nareszcie wolny.

— Myśli pani teraz pewnie, że powinniście się z Godfreyem pobrać i osiąść w przydzielonej mu plebanii w oczekiwaniu na biskupstwo. Ale nie zrobi pani tego. — Zaśmiał się, a ja zaczęłam mu wtórować. — Zachowa się pani niemądrze, Caroline. Wszyscy będą to pani wytykać.

— Nie wszyscy — sprzeciwiłam się.

Wiedziałam, że nie mogę zdecydować inaczej. Moje serce zawsze zwyciężało.